

MICHAŁ
KAMIŃSKI

Pieśni
dawnej

Tom I

Jonki



NOVAE RES

MICHAŁ
KAMIŃSKI

Pieśni
dawnej

Jonki

Tom I



NOVAE RES

Spis treści

[Prolog. Zaćmienie Słońca](#)

[Pieśń I. Bitwa Przeznaczeń](#)

[Pieśń II. Honor króla](#)

[Pieśń III. Noc ognisk](#)

[Podziękowania](#)

PROLOG

Zaćmienie Słońca

**Zamek w Berleujściu,
2 zniwnia roku 2073 od założenia Jonki.**

Kasztel stał w górnej części miasta. Był stary, pierwsze jego zręby liczyły sobie już dobrze ponad czterysta lat. W ostatniej dekadzie ciągle go jednak powiększano i rozbudowywano. Nowy był wielki stołp górujący nad całym kompleksem zamkowym, który w blasku letniego słońca lśnił świeżością biało-szarego kamienia. Na szczycie stołpu dumnie powiewała chorągiew hrabiego Lirwelii - błękitna tkanina, na której prężył się złoty lew kroczący. Most łączący kasztel z miastem pozostawał opuszczony, oczekując ostatnich gości, którzy właśnie tego dnia mieli stawić się na wezwanie hrabiego, by służyć mu radą w ważnej sprawie.

Cizba od samego świtu tłoczyła się wzdłuż szerokiego traktu wiodącego od nabrzeża rzeki w kierunku zamku, by obserwować barwne korowody możnych panów Lirwelii. Zbliżało się południe. Większość baronów była już na zamku, a upał dawał się we znaki, więc i tłum zaczął się przerzedzać. Archisolis Berleujścia w otoczeniu trzech swoich przybocznych, sapiąc mocno, parł naprzód w kierunku zamku na tyle szybko, na ile pozwalały mu jego wiek i tusza. W duchu złorzeczył sobie, że nie zdołał powrócić do miasta wcześniej i dotrzeć na zamek przed baronami. Słudzy kapłana odpychali ludzi, torując drogę swemu panu, który zamysłony nie zważał ani na wulgarne zachowania podpitych plebejuszy stojących wokół karczmy, ani na łagodne prośby matek

o błogosławieństwa dla ich dzieci. Był zbyt skupiony na sprawach, które rada hrabiego miała dziś rozpatrywać. Nagle z zamyślenia wyrwał go głos. Podniósł wzrok i na niewielkim placyku opodal kramu z sukniem zobaczył stojącego na becze starca.

- Czas nadszedł! Przeznaczenie wkrótce się wypełni - perorował z emfazą mężczyzna. - Gdy Srebrna Pani Luna znów przesłoni oblicze Wielkiego Sola, narodzi się syn, którego przeznaczeniem będzie zmienić losy całego królestwa!

Archisolis Prochor pokręcił głową z dezaprobatą.

- Ojczy, czas nam śpieszyć na zamek - ponaglił go jeden ze sług. - To tylko wieszczek, wiesz, ojczy, jak lud chętnie takich słucha. To brednie.

- Brednie?! Znaki na niebie to nie brednie - ofuknął go kapłan. - Zapamiętaj to sobie, młody Filomenie! Jednak ich znaczenie tylko my, którzy poświęcamy życie bogom, mamy prawo odczytywać!

- Czy mamy zatem go pochwycić i zaprowadzić do kasztelana? - zapytał drugi sługa.

- Tak - burknął archisolis. - Dwadzieścia batów nauczyłoby go...

Zamilkł nagle, bo oto zdarzyło się coś dziwnego. Słońce, które dotąd bezlitośnie prażyło na bezchmurnym niebie, jakby nieco zbladło. Kapłan zmrużył oczy i spojrzał w niebo. Zdawało mu się, że z jednej strony kula nie była pełna.

- To niemożliwe - mruknął, ganiąc się w myślach za to, że tak łatwo daje się omamić sztuczkom jakiegoś kuglarza. - Wielki Sol nie uczyni niczego na rozkaz takiego przybłądy.

Cień, który lekko zarysował się na słońcu, minimalnie się powiększył. Teraz już nie tylko archisolis patrzył na gwiazdę, której blask lekko przygasał.

- Oto dzieje się na naszych oczach! - wykrzyknął wieszczek. - Nadchodzi syn! Syn słońca i księżycy!

Prochor nie chciał dłużej słuchać tego, co w jego mniemaniu było szalbierstwem i herezją. Podkasał swoją długą granatową suknię przepasaną srebrną szarfą i szybszym niż poprzednio krokiem ruszył w kierunku zamku.

W wielkiej sali zapadła cisza. Krzepki mężczyzna w wieku około czterdziestu lat wszedł właśnie żwawym krokiem, a wszyscy obecni wstali. Za nim kroczyło dwóch chorążych, z których każdy trzymał błękitną chorągiew z lwem. Hrabia zajął miejsce u szczytu długiego stołu i skinął ręką na pozostałych baronów, zezwalając im na powrót zająć miejsca. Powiódł wzrokiem po zebranych. Chwile takie jak ta, dawały mu zawsze ogromną satysfakcję. On, wnuk zaledwie prostego rycerza, baron w ledwie drugim pokoleniu przewodził teraz zebraniu możnych Lirwelii jako jej hrabia. Swój awans społeczny, który tak bardzo kłuł w oczy dostojników z innych rodów, zawdzięczał osobistemu sprytowi i wiernej służbie na dworze króla Jonki. Stary król Robert IV zwany Prawym lubił hrabiego, często poruczał mu trudne zadania wymagające dyskrecji. Jego syn, obecny król Wilhelm, tak bardzo poważał młodego rycerza, że nie tylko kreował go hrabią w jednym z największych lenn, ale również dał mu za żonę swą siostrę. Gdyby tylko Paulissa żyła jeszcze – myślał czasami hrabia – wówczas żaden z tych lisów nie śmiałyby mi choćby spojrzeć prosto w oczy.

Zerknął na jedyną kobietę wśród zebranych. Miała pooraną zmarszczkami twarz, wokół której połyskiwał przetykany srebrną nicią wdowi zawój. Jej zielone kocie oczy patrzyły na niego hardo. Rozumiał doskonale, że od śmierci żony z królewskiego rodu był znów słaby i zdany na łaskę swoich wasali. Nie wystarczyło zawrzeć kolejnego małżeństwa, wiążąc się sojuszem z jednym z potężnych lordów Lirwelii. Potrzebował czegoś więcej. Jakiegoś znaku.

- Wieści, które nadeszły ze stolicy, nie są pomyślne. - Oderwał się w końcu od swoich myśli i przemówił do zebranych. - Król chce iść na wojnę, najpóźniej na wiosnę...

- Hrabia Rozanii zatrul mu umysł, psia jego mać - przerwał jeden z lordów.

- My na wojnę swoich ludzi nie damy - rzucił kolejny.

- Ani złota! - zawtórował kolejny. - Dość już królowie z Jonki zrabowali nam monet! Całe srebro spod Wężowej Góry wywożą do

swoich mennic!

- To, co mówisz, panie, pachnie zdradą! - odpowiedział jeszcze inny.

- Śmiesz mnie zwać zdrajcą?! - ryknął na niego. - Mnie? Wiesz, do kogo mówisz?!

- Dostojni Panowie! - Hrabia uniósł rękę, chcąc przemówić.

- Jesteś tylko baronetem w Tarton - mówił jednak dalej jeden z lordów, nie zważając na gest swego lennika. - Twój ród nawet herbu nie miał, gdy moi przodkowie...

- Uciszcie się! - krzyknęła nagle stara kobieta siedząca pośród nich.

- Pozwólcie hrabiemu mówić!

Siła głosu tej staruszki spowodowała, że nagle wszyscy przestali się wzajem przekrzykiwać.

- Dziękuję, dostojna pani Mario - zwrócił się do niej hrabia. - Zatem...

- Jeśli jednak mogłabym co nieco wtrącić - Maria z Lokrydzu, pomimo całej swej kurtuazji, nie zamierzała oddać głosu - za twym pozwoleniem, Henryku.

Hrabia nienawidził wprost, gdy zwracała się do niego po imieniu. Tylko ona jedna miała taką odwagę, a może tupet. Skinął jednak głową, pozwalając jej mówić.

- Niemądrze jest odrzucać żądanie królewskie i obrażać naszego władcę, jak czyni to lord Tarton, jednakowoż nieroztropnie jest rzucać się w bój, nie uzgodniwszy z królem warunków - mówiła Maria. - Królowie do wojny potrzebują dwóch rzeczy: ludzi i złota, i aby je uzyskać, gotowi są na wiele ustępstw. Moja rada, Henryku, jest taka: napisz do Jonki i powiedz wyraźnie, czego żądamy. Jeśli król da nam, czego chcemy, wówczas będziemy gotowi go poprzeć. Jeśli nie, zagramy na czas. O ile prawdą jest, co ci napisano, że młody Wilhelm już wiosną chce ruszyć na Jomsborg, to czas nie jest jego przyjacielem.

- Dobra rada! - podchwycili lordowie. - Prawdę rzekła dostojna pani Lokrydź!

Przebiegła wiedźma - pomyślał Henryk. Na głos powiedział tylko:

- I my myślimy tak samo. Niech tak się stanie.

Zwrócił się następnie do swego przybocznego, który stał za jego krzesłem:

- Leonelu, przygotuj stosowny list, jutro go opieczętujemy i pošlemy gońca do stolicy.

Leonel przyłożył prawą dłoń do serca i skinął głową przed swym panem. Gdy podniósł oczy, napotkał surowy wzrok Marii z Lokrydź, która przeszywała go gadzim spojrzeniem. Hrabia Henryk wstał, a wraz z nim pozostali baronowie. Wychodząc, spojrział jeszcze w okno wielkiej sali i ze zdumieniem stwierdził, że na dziedzińcu szarzało pomimo wciąż bezchmurnego nieba. Zdawało mi się, że rada nie trwała tak długo - przemknęło mu przez głowę.

- Czyżby już zmierzchało? - spytał Leonela, który szedł krok w krok za nim.

- Nie, mości hrabio - odparł. - Dzwony świątyni wybiły dopiero godzinę po południu. Sam nie wiem, czemu tak ściemniało na zewnątrz.

- To zaćmienie - oznajmił archisolis Prochor, który dotąd milczał wciąż zamyślony nad zdarzeniami na głównym trakcie miasta. - Pani Luna stanęła przed obliczem Wielkiego Sola, który, zachwycony jej pięknem, zamknął swe jasne oko na sprawy ludzi.

- Chodźmy, zobaczmy ten taniec bogów! - wykrzyknął Henryk do zgromadzonych.

Ruszyli w kierunku schodów prowadzących na dziedziniec, zanim jednak wyszli z sieni, do hrabiego dobiegł sługa.

- Mości hrabio! Mości hrabio! - zawołał. - Dostojna pani hrabina rodzi!

- Wszak jeszcze nie czas - zauważyła podążająca za Henrykiem pani Lokrydź.

- Nie wiem tego, pani, ale dwórki pani hrabiny powiedziały, że zległa i ma bóle - oznajmił sługa. - Mówią, że wyda na świat dziecko jeszcze przed zachodem słońca.

Archisolis ścisnął w dłoni naszyjnik przedstawiający dwanaście srebrnych gwiazd okalających złote słońce, symbol jego godności. „Nadchodzi syn! Syn słońca i księżycy!”. Słowa wieszczka wciąż

pobrzmiwały mu w uszach.

- Jeśli to naprawdę zaćmienie słońca, to dziecię urodzone dzisiaj czeka wielka przyszłość - powiedział Leonel do swego hrabiego.

Henryk spojrział na kapłana.

- Co mówią na ten temat bogowie, czcigodny ojcze? - spytał.

- Wielki Sol nie skrywa swego oblicza przed byle kim, mości hrabio - odparł Prochor. - Jeśli w czasie zaćmienia twoja żona da ci syna, to z pewnością wielkie plany ma dla niego nasz Najwyższy.

Dziecię zrodzone w czasie zaćmienia, syn, który przyjdzie na świat pod takim znakiem - myśli kłębiły się w głowie Henryka. Znakiem! Nareszcie znak! Uradował się w duchu. Jeśli to prawda, jeśli Ofka porodzi teraz syna, to będzie znak i żaden z tych fanfaronów więcej nie spojrzy na mnie z góry, żaden Darlington nie powie o mnie, żem parweniusz, żadna pani Maria nie ośmieli się więcej mówić mi po imieniu! Syn zrodzony w czasie zaćmienia! Ofko, moja najdroższa, niechże cię Karsa, pani ciąży i położu, ma w opiece!

Henryk nie szukał dłużej wyjaśnień, pognął przed siebie przez dziedziniec w kierunku sieni prowadzącej do skrzydła zamku, gdzie mieściły się komnaty jejmości hrabiny Lirwelii.

W skryptorium było duszno od upału i dymu z płonących świec. Panowała absolutna cisza, którą raz po raz przerywało jedynie skrobanie pióra o pergamin. Leonel, kanclerz i szambelan dworu hrabiego Lirwelii, niezwłocznie zajął się wypełnieniem woli swego pana.

My, Henryk, z woli naszego króla Wilhelma I hrabia Lirwelii, pana Berleujściu, Sędziu, Pilźnie, kasztelan Wężowej Góry i strażnik południowych granic do Jego Królewskiej Wysokości Wilhelma, z łaski Regula, króla królów i szafarza koron króla Jonki, zwierzchniego księcia Hazenii Górnej i Dolnej, Porawia, Rozanii, Lirwelii etc., wymienionych ziem pana i dziedzica, niniejszym ślemy pokorne pozdrowienie, upraszając łaski naszego Króla i Pana.

Zakończył właśnie pisać nagłówek, gdy usłyszał stukanie laski o podłogę.

- Pani. - Skłonił głowę, widząc wchodzącą do skryptorium Marię z Lokrydź.

Pokręciła tylko głową i westchnęła.

- Hańba ci - mruknęła. - Wstyd przynosisz...

- Czy wstydem jest służyć swemu hrabiemu? - warknął na nią.

- Hrabiemu, psia jego mać! - zakłęła pod nosem. - Z niego taki hrabia, jak z ciebie solis. Syn rycerza i dziewczki wszetecznej, który podstępem wkradł się w łaski króla niedojdy i zdobył rękę jego siostry, odbierając dziedzictwo rodu z Lokrydź.

- Za takie słowa można stracić głowę - zauważył po cichu Leonel.

- Nie będziesz mnie uczył, co mam myśleć, synu - powiedziała poważnie, siadając na taboreciku skryby. - Gdyby twój ojciec żył, a żyłby, gdyby nie zginął od miecza twego pana hrabiego - wycedziła przez zęby - zabiłby cię tu i teraz, widząc, jak merdasz ogonem przed tym szalbierzem niczym jego ogary. Ty, syn takiego rodu!

- Mój pan ojciec walczył o nasze dziedzictwo z honorem - odparł jej Leonel - i poległ. Czy chciałabyś, pani matko, abym podzielił jego los?

Milczała więc postanowił kontynuować:

- Czy to nie ty uczyłaś mnie za młodu, że jeśli nie da się pokonać wroga w uczciwej walce, można to zrobić tylko w jeden sposób: kijem we śnie? Przyjdzie dzień, że Henryk wróci tam, skąd przypelznął, do ścieku, w którym powiła go ta suka, Katlina Bielska, ale nim tak się stanie, zapłaci nam za każdą zniewagę, którą nasza krew od niego doznała.

Maria podniosła się powoli i zbliżyła do syna. Po raz pierwszy tego dnia w jej oczach można było zobaczyć sympatię w stosunku do niego.

- Niech Antres, który wypełnia serca i prowadzi rękę tych, którzy szukają zemsty, ci sprzyja, mój synu - szepnęła, zanim odwróciła się i wyszła.

W komnatach hrabiny Lirwelii zrobiło się zupełnie ciemno. Zaćmienie weszło w szczytową fazę i księżyc całkiem przesłonił tarczę słońca. Archisolis stał przy szerokim wykuszu okiennym z uniesionymi rękami i mamrotał modlitwy ku czci Wielkiego Sola. Henryk niespokojnie

chodził z kąta w kąt, czekając na wieści. Wreszcie drzwi sypialni hrabiny zostały otwarte.

- Mości hrabio - jedna z położnych skłoniła się przed Henrykiem - jejmość urodziła...

- Dwunastu niech będą dzięki! - wykrzyknął Henryk. - Uderzcie w dzwony, niech lud miasta wie, że hrabia ma drugiego syna! Zdrowyż on?! - spytał w końcu. - Silny?

- Panie - zawahała się kobieta - jejmość powiła córkę...

W komnacie zapadła złowróżbna cisza.

- Córkę? To nie może być - szepnął zaskoczony archisolis. - Wielki Sol nie przesłoniłby oblicza dla dziewczynki...

Zamilkł. W słabej poświacie znów rodzącego się światła słonecznego dostrzegł purpurową twarz hrabiego Lirwelii. Hrabia ruszył przed siebie, wyminął akuszerkę, która raz jeszcze dygnęła w ukłonie i wparował do sypialni żony.

Ofka leżała na łożu, była spocona, jej złote włosy rozsypywały się po poduszkach. Jakaś dwórka zwilżała jej twarz i usta wilgotną chustą. Przy piersi hrabiny leżało dziecko.

- Wybacz mi, panie... - szepnęła hrabina.

Gdy tylko Henryk usłyszał słaby głos żony, uszła z niego cała złość. Poczul uścisk w dołku. Najważniejsze było, że zdrowo urodziła, że dziecko zdrowe, że żona przeżyła poród.

- Nic to, moja piękna pani - uśmiechnął się lekko i przysiadł na brzegu szerokiego łoża. - Ważne, żeś zdrowa. - Dotknął wierzchem dłoni jej czerwonej twarzy. - Na wiosnę damy szczerą ofiarę w ogniu świątyni Karsy i ani się obejrzymy, jak na kolejne przesilenie zimowe da nam syna - zapewniał, starając się, by jego głos brzmiał słodko. - Póki co wypoczywaj, moja śliczna Ofko.

Ofka podniosła jego dłoń i ucałowała.

- Bogowie straszliwie zadrwili z hrabiego - mruknął Leonel, kończąc pieczętować list do króla pieczęcią swego pana. - Zdawało się, że znów dostąpi ich błogosławieństwa, a tu proszę.

- Nie wiemy, co znaczą takie znaki, mości kanclerzu - przystopował go Prochor. - Nadal twierdzą, że dziecko wysokiego rodu zrodzone w czasie zaćmienia to nie przypadek.

- Ale córka? - skrzywił się Leonel - Cóż warta jest córka?

- Cztery z Dwunastu są niewiastami - napomniął go kapłan. - Nie należy całkiem lekceważyć niewiast. Może i tej dziewczynce bogowie przygotowali jakąś rolę w naszym świecie? Wszak to hrabianka. Skończyłeś? - zmienił temat, wskazując na list, a Leonel skinął głową. - To daj, hrabia jest w grobowym nastroju, będzie lepiej, jeśli ja dam mu list do podpisu, na służbę bogów nie odważy się krzyczyć.

Leonel podał kapłanowi list i archisolis powoli wyszedł ze skryptorium. Na twarzy kanclerza pojawił się błogi uśmiech. Myśl, że bogowie zagrali na nosie hrabiemu poprawiła mu humor.

Jonka,

10 zniwnia 2073 roku

Morska bryza łagodziła letni skwar. Prastary zamek królów Jonki, jedną z dwóch monumentalnych budowli wzniesionych na szczycie Wzgórza Natreusza, przepełniał zapach ryb dochodzący z targu w Nowym Porcie. Słudzy poprawiali właśnie fałdy sukni młodego króla, który wciąż prężył się przed sporym lustrem. Wilhelm miał już dwadzieścia pięć lat, ale wciąż gładką twarz. Jeśli na jego licu pojawiał się zarost, to golił go starannie, gorsząc tym samym swoich poddanych przyzwyczajonych do brodatego króla Roberta IV. Złośliwi głosili zresztą, że król golił się nie tylko na twarzy. Młody syn kasztelana Włotysławia podał władcy poduszkę, na której leżało berło. Wilhelm schwycił je mocno, wyprostował się i raz jeszcze przejrzał w lustrze. Był wysoki, choć wątłej postury, i ciemnowłosy jak wszyscy w jego rodzie.

- Wasza miłość, może raczysz jeszcze raz przemyśleć swą decyzję. - Archisolis Jonki podjął kolejną próbę dotarcia do rozsądku króla. - Gdybyś choć poczekał, aż Czerwona Planeta, która rządzi wojnami,

wejdzie w gwiazdy Regula, szafarza koron, to byłby dobry znak...

- Kapłańskie nudy - jęknął Wilhelm. - Czyż król nie powinien walczyć z wrogami królestwa? Czy to samo rzekłbyś, ojcze, memu przodkowi Krzesimirowi Walecznemu, gdy szedł na Bogaland? Albo Pierwszemu Robertowi, który gromił Hazenów na polach pod Czerniowcami?

- Jego wysokość ma rację - zawtórował mu jego stryj, hrabia Rozanii.
- Wojna jest powinnością króla...

- Mój król słusznie raczył pominąć przydomek Pierwszego Roberta - wtrącił archisolis - którego prosty lud do dzisiaj, po ponad trzech stuleciach, zwie okrutnym.

- Jak śmiesz w mojej obecności lżyć pamięć moich wielkich poprzedników?! - Ogolona twarz króla poczerwieniała ze złości. Po chwili opanował się i teatralnym ruchem podniósł prawą rękę.

- Opuść tę komnatę, Marcjonie, nie życzymy sobie, byś dłużej przebywał w naszej królewskiej obecności! - wygłosił.

Zwrócić się do archisolisa po imieniu nie wypadało nawet królowi. Marcjon przełknął jednak zniewagę. Ścisnął w dłoni swój naszyjnik z dwunastoma gwiazdami i słońcem, po czym opuścił salę.

- Jak możesz, mój królu, tolerować tego tchórza? - jęknął syn kasztelana.

- Gdy przyszłej wiosny rozgromimy w polu Jomsborczyków, nikt nie ośmieli się tak do nas odezwać - mruknął tylko Wilhelm.

Lekko kołysząc biodrami, ruszył w kierunku drzwi swojej komnaty. Przemierzył szeroki korytarz wyściełany tkanymi kobiercami i gdy tylko służdy otworzyli przed nim drzwi, wkroczył do wielkiej sali.

Tron wyciosany z jednego fragmentu piaskowca spoczywał pod szeroko rozpostartymi skrzydłami kamiennego orła. Posąg strzegł jonkijskich królów od zarania ich dziejów. Swymi kamiennymi oczyma spoglądał na królów odważnych i tchórzliwych, mądrych i głupich, sprawiedliwych i okrutnych. Trzyście wieków minęło, odkąd Natreusz, syn Lithosa, nakazał wykuć ten niezwykły w swej formie baldachim nad tronem przodków. Tego dnia pod kamiennym orłem nie zasiadał jednak

przewidujący Natreusz, od którego imienia wzięło swą nazwę najstarsze z dziewięciu wzgórz Jonki, ani jego bogobojny syn Halcjon, który Wielkiemu Solowi i jego Dwanaściorgu świętych dzieci wzniosł okazały solar, ani też Gumuncjusz, który choć wygrał siedem wojen i jako pierwszy ujarzmił dzikich wówczas Hazenów, to dla swej ukochanej pisał miłosną poezję. Na kamiennym tronie pod wielkim orłem zasiadał dwudziestokilkuletni chłopak o wątłych ramionach, który piskliwym głosem rozpoczął swą przemowę:

- Regul, który jest królem królów i szafarzem koron, przemówił do mnie i nakazał mi, abym w jego imieniu zdobył dla Wielkiego Sola ziemie Jomsborga - perorował do stojących przed nim baronów królestwa.

Młody rycerz o szerokich ramionach ubrany w przetykaną srebrną nicią białą tunikę z wyhaftowaną czerwoną różą podszedł do stojącego w pierwszym rzędzie hrabiego Rozanii.

- Jak udało ci się, ojcze, przekonać tego głupca, że jest gotowy do walki z Jomsborgiem? - szepnął.

Stryj króla zgromił go spojrzaniem.

- Przecież to prawda! Mój królewski kuzyn to głupiec, a królestwo jest gotowe na wojnę tak, jak nasz król do ożenku - kpił dalej młodzieniec.

- Robercie, zamilcz - warknął po cichu hrabia. - Jeśli nie rozumiesz tego, co dziś tu się dzieje, jesteś głupcem trzykroć większym od tego osła na tronie.

Król skończył właśnie swoją kilkuminutową tyradę na temat nieuniknionej wojny, do udziału w której wezwał wasali, po czym wstał i ruszył do wyjścia. Wszyscy, nie wyłączając Piotra z Rozanii i jego syna Roberta, ugięli się w ukłonach przed wychodzącym monarchą. Gdy tylko król zniknął w korytarzu wiodącym do jego prywatnych komnat, Piotr pociągnął syna w kierunku dziedzińca.

- Król pojedzie na wojnę i przegra - powiedział cicho i westchnął, gdy przechodzili przez bramę w kierunku ogrodów.

- Skąd pewność, że przegra? - spytał Robert. - Siły korony są znacznie większe niż Jomsborczyków.

- Jeśli wliczyć chorągwie lirwelijskie. A te nas nie wspomogą - odparł spokojnie Piotr.

- Skąd to wiesz? Lirwelijczyk to pies, racja, ale przysięgi danej królowi nie zlekceważy, honor mu na to nie pozwoli.

- Honor Henryka to jedno, a jego zdrowy rozsądek to drugie. - Piotr potrząsnął głową. Brak zrozumienia sytuacji u syna irytował go. - Robercie, jeśli kiedykolwiek chcesz rządzić tym królestwem, czy to jako król, czy jako jego doradca, musisz rozumieć takie sprawy. Henryk jest słaby, po śmierci królowy Paulissy związał się z Darlingtonami, sądząc, że ma po swojej stronie Lokrydów w osobie Leonela, ale zapomniał o starej Marii. Ona jednak nie zapomniała o zemście. Im bardziej Henryk słabnie, tym bardziej Maria rośnie w siłę. Henryk nie może opuścić Lirwelii, jeśli nie chce stracić swojego rodowego gniazda - wyjaśnił w końcu. - I dlatego nie ruszy się z Berleujscia.

- Bez Lirwelijczyka mój kuzyn naprawdę przegra - zauważył Robert.

- I o to właśnie chodzi - uśmiechnął się Piotr. - A kiedy król zginie w bitwie, ty, mój synu, zasiądziesz pod kamiennym orłem jako Robert V.

- Skąd pewność, że król zginie w bitwie, nawet jeśli ją przegra? - Robert zmrużył oczy.

- Och, młodzieńcze małej wiary - roześmiał się jego ojciec. - Uwierz mi. Król z tej wojny nie powróci. - Położył dłoń na ramieniu syna.

**Lensburg,
siedziba rodu von Kolbie,
22 zniwnia roku 2073**

Jerzy z rodu von Kolbie, książę Obojga Hazenii, który ledwo rok wcześniej pochował ojca i otrzymał po nim tytuł oraz ziemię, dzielił właśnie z przyjaciółmi radość z narodzenia swego pierwszego syna. W zasadzie chłopiec miał już ponad trzy miesiące i rósł jak na drożdżach. Jego matka, dostojna pani Klaudia z rodu von Baldstein, źle jednak zniosła poród i długo dochodziła do zdrowia. Czekano więc na nią

z ceremonią nadania dziecku imienia i dopiero teraz sproszone gości. Wśród wielu dostojnych panów z całej Hazenii, zarówno Górnej jak i Dolnej, byli też goście z innych stron królestwa, między innymi Henryk, hrabia Lirwelii i Laurenty del Pescare, księżę Trantu, z którymi za młodu Jerzy von Kolbie spędził wiele czasu, włączając się po turniejach w całym królestwie.

Spotkali się w południe, w archisolarze, głównej świątyni miasta i siedzibie jednego z dwunastu najwyższych kapłanów w królestwie. Dziecko leżało na ołtarzu, nad którym wisiał wielki złoty dysk, symbol Wielkiego Sola. Archisolis Alderyk odmawiał właśnie modlitwy mające zapewnić chłopcu pomyślność i odgonić od niego ciemne moce. W końcu skinął głową i wówczas wyznaczeni na ojców chrzestnych przyjaciele Jerzego, Henryk i Laurenty, podeszli do ołtarza. Każdy z nich położył swą dłoń na maleńkiej piersi chłopca.

- Jakie imię wybrałeś dla swego syna, dostojny panie? - spytał Jerzego Alderyk.

- Wilhelm! - odpowiedział głośno księżę.

- Wilhelmie, odtąd Wielki Sol i wszystkich Dwunastu będzie cię znało pod tym imieniem! - oznajmił kapłan. - Tak też niech wołają cię ludzie!

- Wilhelm - powtórzyli równo Henryk i Laurenty.

Później dziecko zabrano z ołtarza i oddano dostojnej pani Klaudii, która natychmiast je okryła, bojąc się o jego zdrowie.

- Bez obaw, żono! - roześmiał się Jerzy, widząc jej zabiegi. - To von Kolbie, ma w sobie siłę jak my wszyscy!

Pod wieczór rozpoczęła się uczta, podczas której należało tego popić, aby zapewnić dziecku pomyślność na całe życie. Trzej przyjaciele siedzieli nad dzbanami miodu, które służba raz po raz uzupełniała. Rozmawiali o przyszłości syna Jerzego, ale i o innych sprawach.

- Och, nie wiecie nawet, jak jestem wdzięczny pani Karsie, że moja żona urodziła mi syna - rzekł Jerzy, wznosząc kolejny toast. - Wreszcie mój brat Cecyl przestanie się chełpić. Cały rok od narodzenia swojego Gotfryda nie dawał mi spokoju, wypominając brak następcy.

- Tobie, zdaje się, też urodziło się dziecko, prawda Henryku? -

zagadnął z kolei księżę Laurenty.

- Owszem, córka - roześmiał się podпиты już hrabia Lirwelii. - Nazwaliśmy ją Łada, u was na północy to chyba byłoby Leda - wyjaśnił. - Osobliwa to zresztą historia, wszyscy bowiem wróżyli mi syna. Najpierw nawet czułem zawód, że bogowie zadrwili ze mnie, dając mi córkę i to w dniu, w którym Wielki Sol zawarł przed nami swe oblicze. Teraz jednak cieszę się i z córki. Ofka jest zresztą z niej tak dumna, właśnie z jej powodu nie przybyła do ciebie, Jerzy, czego szczerze oboje żalowaliśmy. Tak chciałem, byś ją w końcu poznał.

- Racja, nie znam jeszcze twojej drugiej żony - skinął głową Jerzy. - Nie myślałem, że po śmierci Paulissy się ożenisz. Król chyba nie był z tego rad.

- Nie mówmy dziś o królu Wilhelmie - mruknął Henryk.

- Jednak trudno o tym milczeć - wtrącił Laurenty. - Młodemu Wilhelmowi zamarzyło się ruszyć na wojnę z Jomsborgiem, choć po pół wieku wojen z nimi jego ojcu udało się nareszcie zawrzeć korzystny pokój.

- Ech, powiadam wam, że zgubi tym królestwo. - Jerzy westchnął. - Wszyscy mu mówili, żeby się żenił i najpierw spłodził następcę, a dopiero potem szedł na wojny. Od stuleci nie było tak, żeby król nie miał następcy i nie chciał się żenić.

- Powiadam ci, drogi Jerzy, że z tej mąki chleba nie upieczesz - rzucił Laurenty. - Dziwne rzeczy o Wilhelmie powiadają. Zresztą zawsze osobliwy z niego był chłopiec, ty wiesz to najlepiej, Henryku.

- Prawda, osobliwy - mruknął tylko Henryk, podstawiając służebnemu puchar do napełnienia.

- Mówisz tak spokojnie, druhu - roześmiał się Jerzy. - Czy nie martwi cię, że królestwo nie ma następcy?

- Mylisz się - odparł cicho Henryk, obserwując migoczący płyn w swoim pucharze. - Królestwo ma następcę. Zapominasz, przyjacielu, że moja miła Paulissa, oby bogowie karmili ją miodem, zostawiła mi syna, w którego żyłach płynie krew Roberta Prawego.

Spojrzeli na niego lekko zaskoczeni.

- Jeśli król nie wróci ze swojej wojny, pamiętajcie, moi druhowie, że mój Grzegorz jest jego najbliższym krewniakiem i ma prawa do korony - powiedział wymownie, po czym wzniosł puchar, dając znak do toastu.

PIEŚŃ I

Bitwa Przeznaczeń

Obóz wojsk królewskich pod Bogalandem, 20 czerwca roku 2077

Wojna, do której król Jonki tak bardzo się śpieszył, ciągnęła się już czwarty rok. Choć baronowie zapewniali Wilhelma o swoim poparciu, to kiedy przyszło co do czego, oddali mu do dyspozycji tylko część swoich armii. Henryk Lirwelijski z początku w ogóle nie przybył na wezwanie królewskie. Wymawiał się niepewną sytuacją w swoim hrabstwie, ale wszyscy wiedzieli, iż był to tylko pretekst. Hrabia grał na czas. Zwodził monarchę, a w międzyczasie cierpliwie plótł swoje intrygi, tak jak pająk buduje swoją sieć. Wielu zastanawiało się, jakie to czary pozwoliły Henrykowi omamić Leonela z Lokrydź, który pomimo wielu okazji do zdrady i ku utrapieniu swej żądnej zemsty matki, wciąż wiernie służył hrabiemu. Uważni obserwatorzy, a takich wśród baronów Starej Jonki nie brakowało, zauważyli też, iż Henryk zaczął zbierać profity swojej zażyłości z Jerzym von Kolbie z Hazenii i Laurentym del Pescare z Trantu.

W końcu Lirwelijczyk, którego wszyscy w Jonce podejrzewali już nawet o zdradę, przyciągnął ze swoimi chorągwiami. Sytuacja była wówczas poważna. Wojska królewskie cofały się od kilku tygodni, zmuszane przez posuwającego się naprzód wroga do coraz szybszego odwrotu. Stracili już dwie ważne twierdze na pograniczu i pozwolili wejść jomsborskim armiom głęboko w ziemię Porawia. Wszyscy dowódcy

tłumaczyli królowi, że należy w końcu wstrzymać odwrót i wydać bitwę. Kiedy nareszcie dotarło to do Wilhelma, okazało się, że wybrał na bitwę najgorszy możliwy teren. To właśnie próbowali przetłumaczyć mu zebrani w jego namiocie podczas rady baronowie.

- Najjaśniejszy panie, ustawienie armii proponowane przez dostojnego stryja waszej miłości to złe rozwiązanie - hrabia Lirwelii próbował wyperswadować władcy nowy pomysł taktyki podrzucony przez Piotra z Rozanii. - Musimy zrobić wszystko, aby powstrzymać atak jombsorski, nie powinniśmy atakować sami.

- To tchórzliwe podszepty, najjaśniejszy panie, nie słuchaj ich! - zaoponował Piotr. - Wybraliśmy dogodne miejsce na wzgórzu. To wystarczy, by zaatakować i zwyciężyć.

Wilhelm pokiwał mu z uznaniem głową.

- Przynajmniej niech wasza wysokość wstrzyma się z wydaniem bitwy, dopóki ziemia na stoku wzgórza nie obeschnie. Po wczorajszej ulewie grunt rozmókł - apelował Laurenty del Pescara.

Król nie słuchał go. Wstał i chwycił w rękę sztylet, jego ostrzem powiódł po mapie rozłożonej na stole.

- Wojska mają stanąć w trzech liniach, o tu. - Wbił koniec noża w miejsce, gdzie zaznaczono szczyt jednego z pagórków nadrzecznych. - Najpierw moje armie, potem twoi ludzie, von Kolbie, a na końcu chorągwie lirwelijskie.

- Panie, takie ustawienie uniemożliwi ci użycie jednocześnie wszystkich sił, co zniweluje naszą przewagę, którą dopiero co uzyskaliśmy dzięki przybyciu chorągwi Henryka! - sprzeciwił się Jerzy von Kolbie - Jak chcesz, najjaśniejszy panie, w tym ustawieniu manewrować na skrzydłach?

- Boisz się, panie von Kolbie, że splendor zwycięstwa spadnie na twego króla, a nie na ciebie? - rzucił mu wyzywająco hrabia Rozanii.

- Boję się jedynie tego, że atak pojedynczych oddziałów zostanie łatwo odparty - przekonywał Jerzy.

- Nie będą mieli sił, by odeprzeć natarcie prowadzone przez moją ciężką jazdę ze wzgórza - upierał się król Wilhelm. - Zgnieciemy ich pod

naszymi kopytami. Jeśli komuś brak jest wiary i odwagi, może zabrać swoje wojska i kulić się dalej w zamkach.

Henryk i Jerzy wymienili się tylko spojrzeniami. Wilhelm po raz kolejny odrzucił ich rady a tym razem, najwyraźniej bardziej podjudzony przez stryja Piotra z Rozanii, postanowił też uderzyć w ich honor.

Obóz wojsk Henryka Lirwelijskiego, wieczorem tego samego dnia

- Ponad trzy lata wojny i wszystko na nic! - Piotr z Darlington uderzył pięścią w stół. - I nadal nie chce słuchać rad tych, którym los króla i królestwa leży na sercu!

- Odkąd utracił twierdze w Allesztyniu i Modlinie nad Kwilą, przegrał już trzy bitwy - zauważył lord Tarton.

Henryk stał przy wejściu do namiotu, starając się złapać choć odrobinę ożywczego wiatru. Powietrze było nieznośnie duszne. Lekka tunika dosłownie lepiała się do ciała hrabiego. Jego obóz leżał na uboczu, na niewielkim pagórku o trzy czwarte mili jonkijskiej od obozu głównych sił króla. Hrabia trzymał w ręku puchar z winem, raz po raz przechylając go i obserwując, jak płyn powoli spływa po ściankach naczynia. Gdzieś daleko na horyzoncie błyskawica przecięła ciemniejące powoli niebo. Henryk spojrział przed siebie, oczekując gromu, który pojawił się po wielu sekundach jako głuchoe mruknięcie. W końcu pociągnął słuszny łyk.

- Walki od ustąpienia z Allesztynia były ledwie małymi potyczkami - skwitował. - Walna bitwa odbędzie się dopiero jutro. I ją też Wilhelm przegra.

- Mości hrabio, ale teraz my tu jesteśmy, nawet jeśli nie z pełnymi siłami... - wtrącił lord Tarton.

- Słyszałeś, co ci przekazałem po porannej radzie wojennej? - spytał Henryk. - Wilhelma zaślepia młodzieńcza duma, chce atakować sam i to nie w pełnym szyku, ale wyłącznie oddziałami swoimi i swego stryja. Głupota - mruknął, znów pociągając z kielicha.

- Nieopierzony młodzieniec na czele armii! - jęknął Darlington. - Choć przy odrobinie szczęścia i jeśli zarówno my na prawym skrzydle i baronowie Hazenii na lewym zwiążemy siły wroga...

- Nie mamy skrzydeł - przerwał mu Henryk stanowczo. - Król ustawił nas inaczej, wbrew temu, co obaj z dostojnym panem Jerzym mu tłumaczyliśmy.

- Więc jutro dopełni się los Wilhelma - dodał ponuro Tarton.

- Przeznaczenie - odparł Henryk. - Takie jest jego przeznaczenie. I lepiej dla królestwa. Wkrótce będziemy mieć nowego, silnego króla.

Znów gdzieś nad horyzontem niebo rozbłysło i po dłuższej chwili nad obozowiskiem przetoczył się odległy dźwięk grzmotu. Hrabia podniósł puchar do ust i wychylił do dna.

Wzgórza opodal Bogalandu, 21 czerwca roku 2077

Nocna burza, która przeszła nad obozowiskiem armii królewskiej i polem bitwy, nie zwiastowała niczego dobrego. Grunt na stokach wzgórza, na którym się rozlokowywali, rozmókł do reszty. Choć wojsko już od świtu stało w szyku zgodnym z rozkazem monarchy, to Wilhelm zwlekał z atakiem. Jerzy von Kolbie raz jeszcze próbował przekonać hrabię Rozanii, by przemówił królowi do rozumu i choć opóźnił bitwę. Wskazywał na błotniste podłoże, przekonując, że atak ciężkiej konnicy w takich warunkach zakrawa na głupotę. Wilhelm jednak był pewny swoich racji. Spożył obfite śniadanie i w znakomitym nastroju wjechał na pole bitwy. Rozejrzał się ze szczytu wzgórza. Po lewej ręce, u podnóża pagórka wiła się rzeka Rawa, po prawej gęstniał las. Tylko wąski pas nadrzecznej równiny nadawał się do wydania bitwy, z pewnością jednak nie wystarczał dla rozwinięcia pełnego szyku armii królewskiej.

W końcu Wilhelm skinął głową hrabiemu Rozanii, po czym dał znak trębaczowi, by zagrał do ataku. Ruszyli poprzez wzgórze, próbując w wilgotnej ziemi rozwinąć pełną prędkość koni. Z szeregów

jomsborskich nagle wysunęli się łucznicy i zaczęli razić wroga. Ich łuki nie miały może zbyt wielkich szans dosięgnąć rycerzy jonkijskich zakutych w ciężkie zbroje, z tej bowiem odległości nie były w stanie ich przebić, ale już łatwiej radziły sobie z końmi. Wiele więc wierzchowców z pierwszej linii ataku padło w błoto, zrzucając z siodeł swoich jeźdźców, zanim w ogóle czoło królewskiej armii dosięgnęło przeciwnika. Kolejni, którzy nacierali za nimi, wpadali na nich i – na zasadzie domina – również się wywracali. Wtedy ruszyła jazda jomsborska, która na widok tego, co się dzieje, chwyciła za miecze, topory i włócznie. Gdy tylko dopadła do rozbitych oddziałów królewskich, poczęła bezlitośnie wyrzynać niemogących wydostać się z błota Jonkijczyków.

Henryk i Jerzy stali na szczycie wzgórza, obserwując przerażający rozwój wydarzeń. W ciągu zaledwie chwil stało się jasne, że bitwa, z której wynikiem młody król Wilhelm wiązał tak ogromne nadzieje, jest przegrana. Jerzy miał już zakomenderować atak swoich sił wyznaczonych jako nacierające w drugiej kolejności, gdy doskoczył do niego na koniu hrabia Lirwelii.

– Nie rób tego, przyjacielu! – krzyknął.

– Tego wymaga honor i moja przysięga złożona królowi w dniu homagium – odparł tylko Jerzy.

– Jeśli teraz ruszysz na wroga, utoniesz w błocie albo rozsieką cię na części – przekonywał Henryk. – Nie uratujemy już króla ani jego ludzi, ta bitwa jest skończona. Tu i teraz nic zrobić nie możemy. Musimy zadbać o nasze oddziały, cofnąć się, przegrupować i wydać im bitwę w dogodniejszym miejscu. Choćby na przedpolach miasta!

Jerzy skinął głową. Rozumowanie Henryka, choć cyniczne, było jak najbardziej prawidłowe. Jerzy raz jeszcze powiódł wzrokiem po polu bitwy, po czym zarządził odwrót.

Rzeź rycerstwa jonkijskiego i rozańskiego, które poszło w pierwszej linii ataku, trwała aż do południa.

Berleujście,

22 czerwca roku 2077

Ofka z Darlington, hrabina Lirwelii, pomimo iż liczyła sobie dopiero dwadzieścia jeden wiosen, czuła się, jakby już nic wartościowego nie miało jej spotkać. Jako dziewczyna raz tylko poznała smak miłości, ale zarówno jej ojciec, jak i ojciec jej ukochanego mieli inne plany. Nie po drodze było im bowiem w polityce. Darlingtonowie od dawna wspierali Henryka, a przed nim jeszcze jego ojca. Ród jej lubego zaś sprzymierzył się z panami na Wiśniczu i w końcu przegrał. Pokonanych wrogów nie nagradza się ręką córki zwycięzcy. Ofka poszła więc za Henryka, jak tylko ten zakończył żałobę po królowie Paulissie. Podobał jej się wówczas: wysoki i barczysty, świetny rycerz, bywały na dworze. Cóż z tego jednak, kiedy on nie odwzajemniał jej uczuć. Choć odwiedzał jej alkowę regularnie i obsypywał ją prezentami, a nawet spędzał czas z dziećmi, to częściej bywał na polowaniach niż w zamku. Ofka tak bardzo pragnęła zobaczyć na własne oczy stołeczną Jonkę i poczuć splendor królewskiego dworu. Jej mąż tymczasem boczył się o coś okrutnie na młodego króla Wilhelma i na dwór jechać nie chciał. Gości w swojej siedzibie też rzadko przyjmował, raz bodaj tylko wyprawił prawdziwą ucztę, gdy na ceremonię nadania imienia młodszej z ich córek przybył książę Jerzy von Kolbie ze swoją połowicą. Właśnie: córki. Bo przecież na to też Henryk kręcił nosem. Urodziła mu dwie dziewczynki, choć za każdym razem marzył o synu. Wszystko to powodowało, że po pięciu latach od zaślubin Ofka czuła się głęboko nieszczęśliwa. Nudziła się właśnie okropnie w swoich komnatach. Nagle w głowie usłyszała pewną melodię, jaką dawno temu grywali muzykanci na dworze jej ojca w zamku Darlington. Zanuciła fragment pod nosem i zachichotała. Podniosła się i zakręciła, jakby chciała sobie przypomnieć, jak to jest tańczyć. Zajęta swoim płasem przy muzyce, którą słyszała tylko ona, nie zauważyła nawet, że ktoś wszedł do komnaty.

- Pani - szepnął kanclerz Leonel.

Zatrzymała się nagle. Rumieniec wypełził na jej policzki.

- Są wieści od Henryka? - spytała tylko.

Świdrował ją wzrokiem. Nienawidziła tego, że każdego dnia spotykała się z nim na dworze. Niechby już to wszystko, co było, naprawdę się wypaliło. Łatwiej byłoby jej mierzyć się z codziennością nędznej egzystencji u boku hrabiego.

- Ostatnie wieści głosiły, że król zdecydował się wydać bitwę - odpowiedział w końcu na jej pytanie.

- Co to oznacza?

Podszedł do niej bliżej.

- Że przy odrobinie szczęścia kolejny posłaniec przywiezie ci wiadomość, że jesteś już wdową - szepnął.

Spuściła wzrok i odwróciła się od niego.

- Nie mów tak, Leonelu - wyszeptała. - Nigdy tak nie mów.

- Dlaczego? Przecież oboje byśmy tego pragnęli.

Potrząsnęła głową.

- Nie wezmę na siebie takiej winy - powiedziała cicho. - Moja miłość do ciebie jest niezmienna od lat. W sercu zawsze będziesz mój, a ja będę twoja, ale niczego więcej nie możesz ode mnie oczekiwać.

Leonel szedł przez zamkowe korytarze zamyślony. Ofka nadal trzymała go na dystans. Owszem, czasem uśmiechnęła się do niego, czasem powiedziała jakieś miłe słówko, na tym jednak zawsze się kończyło. Gdy raz po raz próbował się do niej zbliżyć, odtrącała go bezceremonialnie. A przecież to z jej powodu mężczyzna w ogóle przyjął służbę na dworze Henryka. Inaczej nigdy nie zgodziłby się służyć temu, który odpowiadał za zniszczenie potęgi rodu Lokrydów i odebranie im władzy nad Lirwelią. Gdyby tak bogowie sprawili, że Henryk zginie w bitwie od jomsborskiej strzały, marzył Leonel. Może wtedy znów pojawiłaby się szansa dla niego i Ofki?

- Dostojny kanclerzu. - Głos gwardzisty przerwał jego rozmyślenia.

- Czego? - warknął.

- W kancelarii czeka na ciebie, panie, twoja matka - oznajmił strażnik.

Jeśli coś mogło tego dnia jeszcze bardziej popsuć mu humor, to

właśnie wizyta matki. Maria z Lokrydz była dumną kobietą, która przedkładała obowiązki wobec rodu ponad porywy serca. Nigdy nie rozumiała uczuć, którymi kierował się Leonel. Tyle już razy słyszał od niej, że hańbi swój ród, służąc sprawcy ich poniżenia. Powtarzała mu to często, a on niezmiennie wówczas obiecywał jej, że przemyśliwuje zemstę. Początkowo nawet naprawdę obmyślał, jak zaszkodzić Henrykowi, choć, po prawdzie, nienawidził go głównie za to, że odebrał mu Ofkę. Im dłużej jednak opływał w fawory na dworze hrabiego Lirwelii, a jego życie stawało się coraz wygodniejsze, tym bardziej zemsta schodziła na dalszy plan. Wchodząc do kancelarii hrabiego, którą prowadził, układał w myślach słowa, którymi tym razem przekona swoją nieustępliwą rodzicielkę, że nadal pozostaje wierny złożonej na grobie ojca przysiędze.

- Matko. - Skłonił się przed nią.

Siedziała na krzeselku i mierzyła go wzrokiem, który tak dobrze już znał. Posunęła się ostatnio w latach. Coraz gorzej chodziła, ale jej umysł nadal był ostry jak brzytwa, a serce wciąż przepełnione gniewem.

- Mówią, że dojdzie w końcu do bitwy - zaczęła. - Prawda to?

- Prawda - odparł cicho. Stojąc przed nią, zawsze czuł się jak uczeń oczekujący od solisa kary za źle odrobioną lekcję. - Lada dzień król wyda bitwę, może nawet jutro. Jeśli Antres nam dopomoże, Henryk...

- Antres, Antres - przerwała mu. - Już ty nie zostawiaj wszystkiego na głowie boga zemsty. Wiesz przecież, że on potrzebuje ludzi jako narzędzi. - Pokręciła głową, wyrażając swoją dezaprobatę. - Twój ojciec nie zazna spokoju na tamym świecie, póki ten parweniusz przeklęty siedzi w naszym zamku - wylewała z siebie złość. - A ty? Nadal przed nim czapkujesz. Mości hrabio, już biegnę. Mości hrabio, list przyniosłem - przedrzeźniała go.

- Matko...

Maria z Lokrydzu zamilkła na chwilę, przypatrując mu się uważnie.

- Mikołajewicz list mi przysłał - rzuciła po dłuższej przerwie. - O zdrowie zapytuje.

Leonel tylko pokiwał głową, udając, że wie, do czego zmierza.

- Wiesz, że ma córkę na wydaniu...

- Bogowie! - Westchnął. - I jeszcze to...

- A ile zamierzasz jeszcze czekać? - burknęła. - Od śmierci Augusty już dwie wiosny mijają, a ty dalej szukasz, jakbyś nie szukał i nic z tego nie wynika - łajęła go. - Nie przystoi, by mąż twojej pozycji pozostawał bez żony. Ludzie w końcu zaczną gadać, a ja dość mam szeptów za swoimi plecami.

Nie odpowiedział jej. Potrząsnęła więc głową i ociężale wstała, wspierając się na lasce.

- Przemyśl to, za najdalej miesiąc muszę dać odpowiedź Mikołajewiczom - dodała jeszcze.

Powoli, postukując laską o kamienną posadzkę, wyszła z kancelarii. Leonel ze świstem wypuścił z płuc powietrze.

Przedpola Bogalandu, 24 czerwca roku 2077

Wycofali się, tak jak założyli, aż na przedpola miasta. Szeroka równina między rzeką a murami grodu, na której rozbudowywały się powoli przedmieścia, nie była terenem idealnym, ale dawała nieco miejsca na rozwinięcie szyku. Na początku Henryk nakazał spalić wszystkie zabudowania, aby pozbyć się chociaż tego problemu. Ludność w popłochu schroniła się za murami miejskimi, on zaś tymczasem nakazał rozbić obóz na równinie.

Następnego dnia wieczorem siedzieli we trzech w namiocie: Henryk hrabia Lirwelii, Jerzy von Kolbie i Laurenty del Pescara.

- Poległ król Wilhelm i jego stryj. Robert z Rozanii podobno uszedł z pola, ale był ranny - wspomniął Jerzy.

- Jomsborczycy są upojeni zwycięstwem, sami nie wierzą w to, że tak łatwo rozbili siły jonkijskie - zauważył Laurenty.

- I to najbardziej mnie cieszy - mruknął Henryk. - Są teraz pewni siebie, nasyceni łupami, mają sporo jeńców, z których liczą zedrzeć

sowity okup. To daje nam szansę.

- Co zamierzasz? - spytali go pozostali.

- Początkowo sądziłem, że zaczną nas ścigać i że wydamy im bitwę tutaj, ale najwyraźniej tryumf sprzed trzech dni upoił ich na tyle, że nie mają na to ochoty. Dla nas to lepiej, bo tutaj też nie mamy pewności co do wyniku bitwy, zwłaszcza że straciliśmy blisko połowę armii, a za plecami mamy mury Bogalandu.

- Na Tarrisa, nie żyje co najmniej trzy czwarte baronów Rozanii. Wiele rodów Starej Jonki też straciło swoich lordów i ich następców - wtrącił Laurenty. - Nawet Jakub Jacobson dostał się do niewoli!

- Niech podziękują za to królowi Wilhelmowi - odparł chłodno Jerzy von Kolbie. - Wróćmy do tematu.

Zebrani spojrzeli na Henryka, który znów się odezwał:

- Doniesiono mi, że jomsborczycy rozwinęli obóz o milę od Rawska - oznajmił. - Są pewni siebie, jeszcze zmęczeni i bardzo niechętni, by natychmiast ruszać do kolejnej bitwy.

- Sądzisz, że... - Jerzy zmarszczył czoło.

- Sądzę, że to nasza jedyna szansa. Oni naprawdę wierzą, że rozgromili całą potęgę Jonki. Uważają, że pierzchliśmy z pola walki i więcej nie stanowimy zagrożenia. Chcę przekonać ich, że się mylą. Jeszcze tej nocy wyruszamy. Armia ma poruszać się w całkowitej ciszy. O świcie zaatakujemy ich obóz.

- To ryzykowne - mruknął Laurenty.

- Nie mamy w tej chwili pewniejszej możliwości - skwitował Henryk.

Wyruszyli nocą, tak jak nakazał hrabia Lirwelii. Konie zostawili w bezpiecznej odległości i dalej przedzierali się w ciszy. Wysłany spośród ludzi księcia Hazenii zwiad przyniósł informacje o niewielkiej liczbie wartowników pilnujących obozu. Henryk podziękował w duchu bogom, po czym nakazał okrążyć obóz sił jomsborskich od południa, tak aby w momencie natarcia przyprzeć ich do rzeki. Wyjął zza pasa sztylet i naciął skórę na lewej dłoni. Mamrocząc pod nosem modlitwy do Tarrisa, pozwolił, by kilka kropli spadło na ziemię.

Słońce jeszcze nie wzeszło, niebo dopiero szarzało, gdy Henryk

wzniósł rękę do góry i nakazał atak. Uderzyli z trzech stron z dzikim wrzaskiem. Ubrani w lekkie tylko zbroje żołnierze nacierali pieszo. Wróg istotnie był całkowicie nieprzygotowany. Ci, którzy próbowali stawać do walki, przeważnie ginęli, nim dobyli broni. Ci, którzy wybrali ucieczkę, kończyli ze strzałą lub toporem w plecach albo tonęli w odmętach Rawy.

Słońce wzeszło już dość wysoko, gdy Henryk z Lirwelii dosiadł z powrotem swego rumaka i wjechał do obozu.

- Przedni pomysł, Henryku - komplementował go Jerzy von Kolbie, wciąż jeszcze cały w brudzie i krwi po stoczonych walce.

- To nasze wspólne zwycięstwo. Uratowaliśmy to królestwo.

- Odbiliśmy wielu naszych jeńców - oznajmił Jerzy. - Może chcesz porozmawiać z dostojnym panem Jacobsonem?

- Z wielką chęcią - uśmiechnął się chytrze Henryk.

Zeskoczył z konia, podając wodze giermkowi i poszedł za Jerzym. Zbliżyli się do grupki wielmożów, wśród których prym wiódł właśnie dostojny pan Jacobson.

- Panie - uśmiechnął się do niego Henryk - rad jestem, widząc, że jesteś zdrowy. Cieszę się, że zdołaliśmy cię uwolnić.

Jacobson zmierzył Henryka wzrokiem.

- Wielkie zwycięstwo, mości hrabio - rzucił tylko. - Król będzie ci wdzięczny.

- Król nie żyje - odparł krótko Henryk. - I jak wiesz, dostojny panie Jakubie, nie miał potomstwa.

- Sugerujesz, że nie mamy teraz króla?

- Wręcz przeciwnie - uśmiechnął się szeroko Henryk. - Nabierz sił, panie Jakubie, wkrótce wrócimy do tej rozmowy.

Berleujście,

30 czerwca roku 2077

Letnie upały nawiedziły Lirwelię. Choć dopiero minęło południe, panowała nieopisana duchota. Dziesięcioletni chłopiec stał przy pulpicie,

z mozołem kreśląc litery na kawałku pergaminu. Jak na swój wiek był dzieckiem bardzo rozwiniętym. Z wyglądu o wiele bardziej przypominał swoją matkę i przodków z królewskiego rodu Krzeismirowiców niż swego ojca. Miał bowiem ciemne włosy, co wśród ludu Lirwelii nie zdarzało się często. Brązowe oczy chłopca zdradzały inteligencję.

Jego nauczyciel spoglądał przez otwarte okno na skąpane w letnim skwarze miasto. Grzegorz, korzystając z nieuwagi swego preceptora, odłożył na chwilę pióro i przeciągnął się. Uważnie przyjrzał się pogrążonemu w myślach solisowi. Uśmiechnął się do siebie i na palcach przeszedł kilka kroków w kierunku drzwi komnaty. Zdołał nawet po cichu je otworzyć. Pech chciał, że w momencie gdy już miał czmychnąć z lekcji, w drzwiach zderzył się z archisolisem.

- Cóż to, mój chłopcze, czyżbyś skończył już na dziś lekcje? - zagadnął go Prochor, przybierając groźną minę. Stojący wciąż przy oknie Filomen dopiero w tym momencie oderwał się od obserwacji głównego traktu miejskiego. Skłonił się przed archisolisem, który znów się odezwał: - Powinieneś mieć na naszego księcia większe baczenie, Filomenie.

- Wybacz, czcigodny ojcze, to przez ten upał...

- W istocie Wielki Sol aż nazbyt hojnie darzy nas swymi wdziękami tego lata. - Prochor westchnął. - Nawet noce nie dają wytchnienia od upału.

- Nocami przecież słońce nie świeci - mruknął syn Henryka.

- Owszem, Grzegorzu - zgodził się Prochor, dobrotliwie się uśmiechając. - A wiesz, kto pojawia się nocą na nieboskłonie? - Kapłan postanowił wykorzystać moment i sprawdzić wiedzę chłopca.

- Pani Luna - odparł bez wahania dziesięcioletek.

- Prawda. - Archisolis znów obdarzył go łagodnym uśmiechem. - Czy wiesz, dlaczego pani Luna swoim światłem nie dorównuje Wielkiemu Solowi?

Grzegorz zmarszczył czoło. Słyszał wielokrotnie legendę o stworzeniu świata i narodzeniu Dwunastu, ale nie przykładał do tego zbyt wielkiej wagi.

- Kiedyś, na początku czasów Pani Luna świeciła tak samo jasno, jak Wielki Sol - zaczął tymczasem Prochor. - To było w czasach, gdy z jej łona zrodziło się dwanaścioro dzieci Wielkiego Sola. Jako ostatni przyszedł na świat...

- Antres! - dokończył Grzegorz, przypominając sobie imię jednego z bóstw. - Bóg zemsty, który urodził się pod postacią skorpiona.

- Tak, chłopcze, bardzo dobrze - pochwalił go Prochor. - Urodził się jako skorpion i natychmiast po urodzeniu ukąsił swoją matkę. Wielki Sol zbyt późno przybył jej na ratunek. Pani Luna umarła - ciągnął archisolis. - Wielki Sol bolał nad śmiercią ukochanej. Żar jego serca spłynął na jej ciało wraz ze łzami, które ronił, przywracając jej życie. I choć znów ożyła, to nie miała już mocy, by dawać ludziom światło. Dlatego może tylko odbijać światło swego męża. To jemu zawdzięcza swoje życie i tylko dopóki on daje jej swą jasność, możemy widzieć i jej blask. - Prochor poklepał Grzegorza po ramieniu, po czym znów zwrócił się do Filomena: - Doprawdy, tyle razy ci mówiłem, że nie wolno zaniedbywać nauki religii!

- Wybacz, czcigodny ojcze, wiele razy powtarzałem z paniczem tę wiedzę, ale młody hrabia nie przywiązuje do tego zbytnej wagi...

Prochor pokręcił z dezaprobatą głową. Miał jeszcze powiedzieć coś na temat wagi religii w nauczaniu przyszłego hrabiego Lirwelii, gdy do komnaty wpadł gwardzista.

- Czcigodny ojcze, proszę o wybaczenie - zaczął. - Dostojny kanclerz wszędzie cię szuka, ponoć przyszły wieści z obozu pana hrabiego...

Archisolis Prochor, sapiąc jak niedźwiedź, wszedł do zamkowego skryptorium. W dusznym pomieszczeniu wypełnionym papierami próżno było szukać wytchnienia od spiekoty. Leonel Lokrydź stał za pulpitem, kreśląc jakiś list.

- Czcigodny ojcze! - powitał kapłana i odłożył pióro. - Czym zasłużyłem na twoją wizytę?

- Posłałeś do mnie z informacją, że przyszły wieści - odparł Prochor.

- Wybacz, nie sądziłem, że będziesz fatygował się sam.

- Mniejsza o sprawy protokołu - machnął ręką Prochor. - Mów! Czy doszło do bitwy?

- Doszło, ojczy, doszło - pokiwał głową Leonel.

- I?

Archisolis z wrażenia chwycił w rękę swój naszyjnik ze słońcem okolonym dwunastoma gwiazdami.

- Król Wilhelm poległ, podobnie jego stryj...

- Bogowie... - Prochor aż przysiadł. - A hrabia Henryk?

- Tarris miał go w opiece, z pierwszego starcia wyszedł bez szwanku...

- Pierwszego? - jęknął Prochor. - To ile ich było?

- Dwa - objaśnił go Leonel. - Pierwsze przegrał król, gubiąc przy tym całą swoją armię. Drugie wygrał nasz hrabia.

- Więc teraz Henryk...

- Ma najsilniejszą armię w królestwie, druga należy do księcia Obojga Hazenii, który jest mu przyjacielem - mówił Leonel. - Henryk trzyma teraz w garści całą Jonkę.

- Rozmawiałeś z młodym Grzegorzem? - spytał przytomnie archisolis. - Jeśli naprawdę jego królewski wuj zginął w bitwie...

Nie musiał kończyć zdania. Leonel i bez tego zdawał sobie sprawę z roli, jaka teraz miała przypaść dziesięcioletniemu synowi hrabiego i córki króla Roberta Prawego.

Udali się na poszukiwania chłopca, który korzystając z zamieszania, umknął spod opieki Filomena. Siedział w komnatach prywatnych swojej macochy, bawiąc się z rodzeństwem.

- Pani - Leonel ukłonił się przed hrabiną Ofką - musimy pomówić. Przyszły wieści.

- Bogowie! - pisnęła Ofka. - Czy Henryk...

- Hrabia ma się świetnie, a nawet jeszcze lepiej. - Leonel uśmiechnął się, chcąc ją uspokoić. - Choć pierwsza potyczka została przegrana, i to sromotnie, to drugą wygrał właśnie hrabia. Jest teraz panem sytuacji.

- Król będzie musiał przywrócić go do łask... - westchnęła.

- Król zginął w bitwie, podobnie jak jego stryj, Piotr z Rozanii -

poinformował ją Leonel. – A księżę Robert Rozański jest ranny.

Ofka odwróciła głowę i spojrzała na Grzegorza, który stał nad dwiema uważnie go słuchającymi małymi, złotowłosymi dziewczynkami. Najwyraźniej opowiadał coś siostrze.

– Zatem teraz on jest królem – szepnęła.

Poczuła ukłucie zazdrości. Nigdy nie lubiła tego poważnego i nad wiek rozwiniętego chłopca o ciemnych oczach, które podobno miał po matce. Zawsze bolało ją, że to właśnie on, jako pierworodny syn Henryka, przejmie jego spuściznę. Teraz to uczucie wydało się jej nieznośne. Archisolis podszedł do Grzegorza i zaczął coś mu tłumaczyć. Leonel, korzystając z jego nieuwagi, nachylił się do Ofki.

– Naprawdę cieszy cię jego zwycięstwo? – szepnął.

– Jak możesz mnie o to pytać – odparła ledwie słyszalnym głosem.

– Cały czas modliłem się, by Tarris pozwolił ci zostać wdową – dodał jeszcze.

– Jeśli mnie kochasz, Leonelu, nigdy więcej tak nie powiesz – odwróciła się od niego i podeszła do rozmawiającego z dziećmi Prochora.

Czerwieńsk, sanktuarium Panny Virgis, 10 lipnia roku 2077

Długa była droga z Bogalandu do stolicy. Za powracającą armią ciągnęły wozy wiozące rannych. Mieszkańcy miasteczek i wiosek z radością wychodzili im na powitanie, rzucając kwiaty pod kopyta rycerskich koni. Henryk jechał na czele lirwelijskich chorągwi z poważną miną.

– Nie czas jeszcze na świętowanie – upominał raz po raz swoich dowódców, gdy pytali, dlaczego nie pozwala nawet wychylić pucharu miodu za zwycięstwo albo przyjąć proponowanej gościny.

Henrykowi śpieszyło się do stolicy jak nigdy dotąd. Myśli miał zaprzątnięte swoimi planami. Liczył w głowie mile, które pozostawały jeszcze przed nimi. Podążali żyzną doliną Fiuminy, która w dolnym biegu

rozlewała się szeroko, leniwie tocząc swoje szarozielone wody. Tylko kilka brodów pozwalało przepłynąć się przez rzekę w tym rejonie. Najpierw przekroczyli nurt opodal Rozamudy położonej na wysepkach u ujścia Rawy, a potem w Czerwieńsku, w którym znajdował się potężny solar poświęcony Pannie Virgis. Ufundowany przez Roberta II Śmiałego kompleks świątynny wznosił się na niewielkim pagórku ponad szeroko rozlaną rzeką, niecałe dwie mile od niewielkiego miasta, w którym krzyżowały się szlaki handlowe i raz do roku odbywał się wielki targ.

Henryk niechętnie zatrzymał się pod bramą sanktuarium. Piotr z Darlington zdołał go jednak przekonać, iż musi porozmawiać z matką przełożoną i uprosić u niej opiekę nad rannymi. Słyszał o niej sporo. Virginia była bowiem znana w królestwie. Podobno pochodziła z jednego z najmożniejszych rodów Starej Jonki i miała koneksje na dworze. Hrabia poczuł ukłucie gniewu, gdy od jednej z mniszek usłyszał, że ma zostawić broń przed bramą i pieszo wejść w mury sanktuarium.

- Takie są zwyczaje, dostojny hrabio - odparła solissa, gdy próbował zaprotestować. - Przez szacunek dla Panny Virgis zaklinam cię, byś ich nie łamał.

Chcąc nie chcąc, odpiął pas z mieczem i podał go Darlingtonowi. Przeszedł przez bramę i odprowadzony przez solissę udał się do komnaty oficjalnej matki przełożonej.

- Czemu zawdzięczam twoją wizytę, hrabio Henryku? - spytała go z wyczuwalną wyższością.

Mężczyzna zlustrował ją wzrokiem. Była mniej więcej w jego wieku. Spod szarego zawoju widać było tylko część twarzy. Miała delikatne rysy i drobne usta. Centralnym elementem oblicza były oczy: duże, orzechowe, o przenikliwym spojrzeniu zdradzającym inteligencję. Zdziwiło to Henryka, bowiem dotąd zawsze sądził, iż tylko brzydkie albo głupie panny z wysokich rodów oddawane były na służbę bogom.

- Hrabio, wybacz, ale mam wiele obowiązków i nie mogę poświęcić ci zbyt wiele czasu. Mów zatem, czego ode mnie żądasz?

Henryk nie był przyzwyczajony, by ktoś zwracał się do niego tak bezceremonialnie. Powściągnął jednak gniew, odetchnął głęboko i nawet

lekko się uśmiechnął.

- Musisz wybaczyć mi, czcigodna matko, to zmęczenie wieloma dniami drogi - zaczął. - Przybywam w święte mury twego sanktuarium, by...

- To sanktuarium Panny Virgis, nie moje - przerwała mu, świdrując go wzrokiem.

Henryk poczuł się nagle jak chłopiec łajany przez matkę. Odchrząknął, nim jej odpowiedział:

- Przepraszam, jestem jedynie żołnierzem, nie umiem tak pięknie dobierać słów. Powiem zatem wprost: przychodzę prosić cię o opiekę nad moimi rannymi wojami.

- Tylko tyle? - spytała chłodno. Zbity z tropu hrabia zmarszczył czoło. - To mój obowiązek. Panna Virgis przyjmie wszystkich, którzy potrzebują pomocy. Ze swej strony przyrzekam ci, że moje solissy uczynią co tylko w naszej mocy, by przywrócić twoim ludziom zdrowie. Czy jest coś jeszcze?

- Nie, matko, to wszystko - odparł z wyraźną ulgą. - Dziękuję.

Odwrócił się i miał już skierować do wyjścia.

- Hrabio... - zatrzymała go jeszcze. Spojrzał na nią wyczekująco. - Czy posłałeś już po swego syna, aby przybył do Jonki?

- Dlaczego o to pytasz, matko?

- Nie było nam dane się poznać, gdy przebywałeś na dworze króla Roberta, oby bogowie karmili go miodem. Zdążyłam jednak poznać twą żonę, królowną Paulisę. Dawno temu byliśmy przyjaciółkami. - Jej oblicze przeciął cień uśmiechu. - Może tego nie wiesz, ale byłam przy niej, gdy rodziła waszego syna. Byłam też przy niej, gdy oddawała duszę bogom - oznajmiła. - Przez jej pamięć muszę cię spytać: czy udajesz się z wojskiem do stolicy, by ukoronować waszego syna?

Henryk patrzył na nią przez chwilę uważnie. Jej orzechowe skrzące się oczy wciąż były w nim utkwione. Kobieta wyraźnie oczekiwała jednoznacznej odpowiedzi.

- Sądzisz, że moja umiłowana żona, oby bogowie karmili ją miodem, tak by postąpiła? - odpowiedział pytaniem. - Kazałaby koronować

dziesięcioletniego chłopca i rzuciłaby go na pożarcie wilkom, takim jak Jacobson czy Kolliński?

Powoli pokręciła przecząco głową.

- Gdyby Paulissa żyła, mogłaby przejąć tron - odparła po chwili namysłu. - Baronowie Jonki nie ośmieliliby się stanąć przeciw córce Roberta Prawego. Przeciw tobie z pewnością wystąpią, Henryku - dodała, odgadując jego plany.

- Jeżeli tak uczynią, to wyświadczą mi przysługę - stwierdził. - Moje wojska zgniotą niedobitki ich oddziałów z łatwością.

Zmrużyła swoje orzechowe oczy.

- Przemawia przez ciebie pycha, hrabio Henryku.

- To będzie pycha, jeśli przegram - odparł, kłaniając się, po czym opuścił izbę.

Jonka,

Archisolar Halcjona,

18 lipnia roku 2077

Po przybyciu do stolicy Henryk rozlokował swoich ludzi w pobliżu królewskiego pałacu, samemu zajmując komnaty opodal prywatnych apartamentów poległego monarchy. Zwięźle wyjaśnił, że jako były szwagier króla miał do nich prawo. Baronowie Jonki nie znaleźli wystarczającego poparcia, by mu się przeciwstawić w otwarty sposób. Nie zamierzał jednak ich lekceważyć. Wystawił strażę pod drzwiami swojej izby i nakazał dwa razy kosztować podawane posiłki.

Mimo zmęczenia długą podróżą, zanim udał się na spoczynek, postanowił jeszcze odwiedzić archisolar. Był to ogromny budynek położony na szczycie Wzgórza Natreusza, najdawniej zasiedlonego z dziewięciu wzgórz Jonki. Nawet pałac królewski stojący obok zdawał się przy nim mały. Świątynię rozpoczął budować Halcjon, wnuk Natreusza, a dokończył jej budowę dopiero jego syn, król Amogezy. Monumentalne gmazysko sprawiało ponure wrażenie w zapadającym

nad stolicą wieczornym półmroku. Tylko kilka oliwnych lampek rozpraszało ciemność panującą we wnętrzu. W ich wątłym blasku tańczyły cienie rzucane przez nagrobne pomniki dawnych władców Jonki.

Henryk wszedł do bocznej nawy. Towarzyszący mu strażnicy zatrzymali się o kilkanaście kroków od celu jego wizyty. Na płycie z czarnego kamienia wyryto litery, które trudno byłoby odczytać przy tak nikłym świetle. Hrabia potarł dłonią czoło i westchnął głęboko. Zza poły kaftana wyjął niewielki bukłak napełniony miodem. Nalał odrobinę do ofiarnej czarki i wypił. Potem znów ją napełnił i położył na nagrobku.

- Oby bogowie zawsze karmili cię miodem, najmilsza żono - szepnęła.

Minęło ponad sześć lat od śmierci Paulissy, a on wciąż pamiętał blask słońca w jej kruczoczarnych włosach, iskierki ciemnych oczu, perlisty śmiech, zapach ciała. Żeniąc się z nią, chciał tylko zbliżyć się do tronu, wejść do rodziny królewskiej, zdobyć władzę, której tak pragnął. Czy kiedykolwiek powiedział jej, że ją miłuje? Uświadomił to sobie chyba dopiero, gdy odeszła. To poczucie winy często go dręczyło. Nawet jeśli nie było między nimi płomiennej miłości, to pozostawali sobie bliscy. Siostra króla doskonale rozumiała jego ambicje. W pełni jej ufał i powierzał wszystkie swoje plany. Przymknął wilgotne oczy i nerwowo przełknął ślinę. Nie, nawet tutaj nie mógł pozwolić sobie na słabość. Nie teraz.

- Wkrótce spełnią się nasze marzenia - wyszeptał. - Tak bardzo żałuję, że nie będzie cię przy mnie tego dnia. Tak, jak ci przysiągłem, uczynię wszystko, aby nasz syn objął to królestwo silne i bogate. I aby był królem godnym twoich przodków. Szkoda, że nie możesz go teraz zobaczyć, wspaniały z niego chłopak.

Jakiś szmer przerwał potok jego myśli. Nabrał w płuca więcej powietrza i spojrzał za siebie.

- Czego tam? - huknął. - Przecież rozkazałem, by mi nie przeszkadzano!

- Wybacz, dostojny hrabio, archisolis Marcjon przysłał odpowiedź na twą prośbę o spotkanie - wybąkał sługa. - Przyjmie cię jutro po ceremonii.

- Dobrze. - Henryk odetchnął ze spokojem.

Jeszcze na moment spojrzął na płytę z czarnego kamienia, uśmiechnął się ciepło, po czym ruszył za służebnym.

Następnego dnia pochowano króla Wilhelma w kryptach pod wielką świątynią. Archisolar jonkijski widział już wiele koronacji i wiele pogrzebów. Grzebano tu bowiem władców Jonki od wielu wieków. Ten pogrzeb był wyjątkowy o tyle, że po złożeniu królewskiego ciała do grobu zakrzyknięto co prawda zwyczajowe „umarł król”, nie było jednak komu od razu przekazać władzy, więc prastare mury nie słyszały tym razem drugiej części zawołania brzmiącego „niech żyje król”. Sprawa sukcesji nie była taka prosta. W grę wchodziły nie tylko więzy krwi, ale i ambicje poszczególnych baronów królestwa.

Dostojny pan Jakub Jacobson, hrabia Bytowa i pan na Miastku, Rozgardzie i Leopolu, pochodzący z rodu nobilitowanego jeszcze w czasach króla Gumuncjusza, w towarzystwie kilku swoich przyjaciół ze starych jonkijskich rodów przechadzał się w cieniu wysokich kolumn podtrzymujących sklepienie świątyni Halcjona. Szedł wyprostowany, należał bowiem do tej wąskiej grupy ludzi, którzy nikomu nie musieli się kłaniać. Jak zwykle kroczył na czele, o krok wyprzedzając towarzyszących mu mężczyzn. Zatrzymał się na chwilę przy pomniku nagrobnym Roberta Prawego, który akurat mijali. Oby Regul pozwolił, by na tronie znów zasiadł ktoś godny korony, przemknęło mu przez głowę.

Zadumał się nad wyborem, jaki ich czekał. Syn królowny Paulissy i Lirwelijczyka był jeszcze w zasadzie dzieckiem. Od śmierci matki, kiedy Henryk wywiózł go z Jonki, nie odwiedził nawet stolicy. Czy znał jej obyczaje? Czy utożsamiał się ze spuścizną swego wielkiego dziada, którego wykutym w kamieniu rysom twarzy przyglądał się teraz Jacobson? Alternatywą był tylko Robert z Rozanii. Zadufany w sobie dureń, dokładnie taki sam fanfaron jak jego ojciec, który złą radą doprowadził do klęski na wzgórzach Porawia, sprowadzając śmierć na króla, a katastrofę na całe królestwo.

- Lirwelijczyk już ostrzy pazury - mruknął hrabia Ulryk Kolliński,

wyrywając Jakuba z zamyślenia. – Oczyma wyobraźni widzi już syna na tronie.

– Dziwi mnie, dostojni panowie, dlaczego nie przywiózł Grzegorza na pogrzeb jego wuja – zauważył Gunter, pan na Mikołajewie. – Wszak przyspieszyłyby to sprawę koronacji.

– Widać Lirwelijczyk nie jest aż tak pewny swego, by od razu sięgnąć po tron i osadzić na nim syna – uśmiechnął się Marius z Elwina. – I to dobra wiadomość, bo jak rozumiem wszyscy jesteśmy zgodni, iż należy rozstrzygnąć sprawę sukcesji na korzyść dostojnego księcia Roberta, syna hrabiego Rozanii.

– Nie jestem pewny, czy prawa Roberta wyprzedzają roszczenia Grzegorza. Przecież chłopak był siostrzeńcem króla, a Robert dopiero jego kuzynem – zastanawiał się głośno hrabia Kolliński.

– Nie o prawo tu idzie, mości hrabio, ale o przyszłość Jonki. – Jacobson w końcu rozważył w swojej głowie wszystkie argumenty. – Jeśli młody Grzegorz zasiądzie na tronie, nie będzie w stanie rządzić sam, ma dopiero dziesięć lat. Wiesz chyba, kto obejmie regencję?

– Lirwelijski pies... – syknął Marius.

– Dlatego królem musimy ogłosić Roberta. Tylko tak zachowamy wpływ na rządy w Jonce – zawyrokował Jacobson. – Inaczej przyjdzie nam zginać karki przed tym parweniuszem.

Henryk także nie tracił tego dnia czasu. Natychmiast po pogrzebie udał się do przylegającego do wielkiej świątyni pałacu jonkijskich archisolisów i oczekiwał na audiencję u Marcjona. W końcu najwyższy kapłan stolicy wyszedł mu na spotkanie. Zeszli do ogrodów i ruszyli powolnym krokiem alejką pomiędzy zieleńcami.

– Dziękuję ci, czcigodny ojcze, że zgodziłeś się ze mną mówić w tym szczególnym dniu – ukłonił się Henryk. – Wiem, że smutna to chwila, kiedy ledwo pogrzebaliśmy młodego króla Wilhelma, ale trzeba nam myśleć o przyszłości królestwa.

– Właśnie miałem cię o nią pytać – wtrącił archisolis. – Dlaczego nie kazałeś twemu synowi przybyć do Jonki? Grzegorz powinien być tu być. Jest naturalnym następcą tronu, jedynym wnukiem Roberta IV Prawego.

- Grzegorz to jeszcze dziecko. - Henryk westchnął. - Prawda, zapowiada się świetnie, ale zanim dojrzeje do objęcia rządów, miną lata, a chyba zgodzisz się ze mną, czcigodny ojcze, że teraz przed chaosem może królestwo uratować tylko naprawdę silny władca?

Marcjon zatrzymał się i uważnie spojrział w twarz Henryka.

- Mówmy z sobą szczerze, mości hrabio, cóż ci chodzi po głowie? - spytał wprost. - Nie chcesz wynieść na tron syna?

- A czy ty oddałbyś syna w tym wieku wilkom na pożarcie? - skrzywił się Henryk. - Jak myślisz, czy baronom Starej Jonki będzie zależało, by wychować go tak, aby w przyszłości był silnym i samodzielnym władcą.

- Ach, więc pragniesz regencji - mruknął Marcjon, sądząc, że rozgryzł swego rozmówcę.

- Czy regent w mojej osobie miałby tu jakikolwiek posłuch? - rozłożył ręce Henryk. - Panowie Jonki zażądają rady regencyjnej, w której wiedliby prym.

- Prosiłem cię, byś mówił ze mną wprost, a nie zasypywał zagadkami - upomniał go ponownie archisolis. - Czego ode mnie żądasz?

Henryk nabrał więcej powietrza i znów się odezwał.

- Dobrze, powiem wprost: namaść mnie na króla.

Marcjon spojrział na niego jak ktoś, komu wydaje się, że słuch go zawodzi.

- Pragniesz... korony dla... siebie? - wydukał zaskoczony.

- Nie pragnę jej - odparł spokojnie Henryk - ale powiedz mi, czy Jonka ma inne wyjście?

- Hrabio, wybacz, nie chcę cię urazić, ale czyż twój dziad nie był ledwie prostym rycerzem? Czy płynie w tobie choćby jedna kropla krwi królewskiej? Mamy w Jonce kilkudziesięciu baronów, nawet odliczając rody, które wyginęły na polach pod Bogalandem. Każdy z nich wyprzedza cię w prawach do tronu.

- Ilu z nich ma pieniądze albo wojska? - odpowiedział mu Henryk pytaniem. - Jak sam słusznie zauważyłeś, ojcze, mój syn jest naturalnym kandydatem do korony, ale według mnie jest za młody, więc go wam nie oddam, póki nie uznam, że osiągnął stosowny wiek. Po drugie nie macie

tu zbyt wiele armii, bo król Wilhelm był tak przezorny, że utopił ją w błocie na wzgórzach Porawia. Z kruszczem też musi być słabo, bo inaczej nie wywozilibyście tak skwapliwie srebra z moich kopalń pod Wężową Górą.

- Co ty chcesz mi powiedzieć, Henryku?! - zirytował się w końcu Marcjon.

- Dziś w świątyni, gdy odmawiałeś modły za duszę biednego Wilhelma, złożyłem Regulowi pewien ślub - zaczął znów hrabia Lirwelii. - Jeśli nie uczyni mnie królem Jonki, zabiorę wojska, zamknę bramy swoich zamków i zakręcę wam kurek ze srebrem. Grzegorza tym bardziej wam nie wydam. Po prostu stąd odejdę, zjednoczę siły z książętami Slawinii, a Jonkę zostawię jej własnemu losowi. Jak myślisz, co zrobią Jomsborczycy, którzy póki co jeszcze liżą rany po moim zwycięstwie nad nimi?

- Szantażujesz już nie tylko mnie, ale i Dwunastu?! - wykrzyknął Marcjon.

- Przecież to nie jest szantaż, tylko uczciwy układ - uśmiechnął się Henryk.

- Wiesz, że Jacobsonowie obstają przy tym, by wynieść na tron syna hrabiego Rozanii - oznajmił nagle Marcjon, chwytając się ostatniej nadziei.

- Biorąc pod uwagę, że pod Bogalandem stał u boku swego kuzyna i dostał trzy strzały, przez które od miesiąca nie wstał z łóża, to obawiam się, że to może być bardzo krótkie panowanie - odparł spokojnie Henryk.

Wieczorem Piotr z Darlingtonu wszedł do komnat Henryka.

- Archisolis dał już odpowiedź? - spytał go hrabia.

- Jeszcze nie, mości hrabio - odparł Piotr.

Henryk gestem ręki wskazał swemu szwagrowi miejsce przy stoliku, po czym nalał wina do pucharu.

- Myślisz, Henryku, że naprawdę ośmielą się wynieść na tron Roberta z Rozanii? - spytał Piotr, biorąc kielich z reki hrabiego.

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Nie zamierzam jednak kusić losu,

dlatego posłałem młodzieńcowi medyka. - Henryk uśmiechnął się wymownie i wznosił swój puchar.

- Za nowego króla - szepnął Piotr. - Najjaśniejszy panie. - Ukłonił się Henrykowi, zanim znów sięgnął po wino. Po chwili uśmiechnął się i rzucił wesołym tonem: - Musisz być zadowolony, wszak wkrótce spełnią się twoje marzenia.

- Uważasz, że sięgam po koronę jedynie po to, by zaspokoić własną ambicję? - łypnął na niego Henryk.

- Wybacz, Henryku, nie to miałem na myśli - zmieszał się Piotr.

- Wiesz, dlaczego lud pokochał Roberta Prawego? - odezwał się po chwili hrabia Lirwelii. Piotr spojrzał na niego pytająco, po czym Henryk dodał: - Bo nie bał się nikogo. Wziął baronów w karby, choć zgrzytali zębami. Prostaczkowie nic z tego nie mieli, ale przynajmniej mogli śmiać się w kułak, wiedząc, że ich panowie też nie mają lepiej. A jego syn? Wzgardził ludem i dał sobie wejść na głowę moźnym. Żałosny był z niego król - prychnął z pogardą Henryk. - To królestwo nie może pozwolić sobie na kolejnego słabego władcę. Ludzie kochają siłę. Pójdą tylko za tym, kto ją okaże. - Henryk dopił wino i odstawiwszy puchar na stolik, westchnął przeciągle.

Bogaland,

29 lipnia roku 2077

Robert z Rozanii ze względu na swój stan zdrowia przebywał wciąż w Bogalandzie, gdzie przywieziono go po bitwie. Strzały wroga dosięgły go, gdy w pierwszej linii natarcia pędził z pagórka u boku swego ojca i kuzyna. Rany same w sobie nie zagrażały życiu, ale upadłszy w błoto, dostoyny pan Robert musiał je czymś zakazić i przez kilka tygodni ciężko chorował od gorączki. W końcu jego organizm pokonał chorobę i od dobrych dwóch tygodni Robert wracał do zdrowia. Wciąż był dość słaby i większą część czasu spędzał w łóżu. Dotarła już do niego powaga sytuacji. Wiedział o śmierci swoich najbliższych i doskonale zdawał sobie

sprawę, iż teraz jest jednym z dwóch najpoważniejszych kandydatów do korony Jonki. Rozmyślał, jak porozumieć się z baronami starych rodów. Brakowało mu jednak przebiegłości ojca i z trudem ogarniał takie sprawy. Liczył, że może nobilowie, którzy dotąd go wspierali, sami się do niego odezwą. Niecierpliwie wyczekiwał listu.

- Są jakieś wieści ze stolicy? - spytał, gdy siadali do wieczerzy.

Zadawał to pytanie niemal każdego wieczoru, odkąd odzyskał przytomność. I tego wieczora, tak jak każdego poprzedniego, jego przyboczny, Walter z Frydlądu, odpowiedział:

- Nie, książę, żadnych.

- Niepokoi mnie brak informacji - odparł smętnie Robert. - Chociaż Jacobson mógłby coś napisać, zawsze był wierny mojemu rodowi. Nie wierzę, że teraz mógłby wspierać tego lirwelijskiego szczeniaka. - Jego przyjaciel nic mu nie odpowiedział. - Jak myślisz, Walterze, baronowie Jonki wybiorą na tron Grzegorza czy mnie?

- Bez wątpienia poprą ciebie, książę. - Walter uśmiechnął się przymilnie.

Po chwili Robert przypomniał sobie jeszcze, że nie wziął wieczornej porcji medykamentów.

- Ach, Walterze, powinienem przed wieczerzą wypić jeszcze ten napar, wiesz ten gorzki w smaku - oznajmił. - Podaj mi go, ale nie za dużo, jest taki niesmaczny.

- Medyk nakazał, by przestrzegać dawki, książę. Podobno tylko wtedy jest skuteczny - odparł Walter. - Ze stojącego na stoliku słoiczka przelał do niewielkiego pucharka kilkanaście kropli jakiegoś środka, po czym dolał do niego wody.

- Gdyby chociaż pozwolił zmieszać go z miodem - mruknął niepokieszony Robert i wypił podany przez przybocznego napój, krzywiąc się z niesmakiem.

- Chyba wlałeś za dużo, jest jeszcze bardziej gorzkie niż wczoraj.

Jonka,

5 zniwnia roku 2077

Wiadomość o śmierci Roberta z Rozanii szybko dotarła do Jonki, wywołując niemałą konsternację wśród popierających go baronów. „Nagle pogorszenie stanu zdrowia, nawrót gorączki i wreszcie zgon”, tyle głosiła oficjalna wiadomość przesłana przez dwór Roberta. Wszystko brzmiało wiarygodnie i nie budziło wątpliwości medyków. Baronowie podchodzili do takiej wersji ostrożniej. Jakub Jacobson miał nietęgą minę, czytając przywieziony dopiero co z Bogalandu pergamin. Archisolis Marcjon pokręcił tylko głową, chwytając w dłoń wiszący mu na piersi naszyjnik ze słońcem i dwunastoma gwiazdami.

- To robota tego psa, Henryka! - walnął pięścią w stół hrabia Kollński.

- Nie mamy na to dowodów - szepnął archisolis.

- Przecież odgrażał się, że Robert nie pożyje długo, sam mówiłeś, ojczy - przypomniał mu Jacobson. - Już w pierwszej rozmowie, gdy mu powiedziałeś, że jeśli nie wyda Grzegorza, to koronujemy Roberta. A potem jeszcze raz, gdy przekazałeś mu swoją odpowiedź w sprawie jego roszczeń.

- Teraz to już nieistotne - odparł po namyśle Marcjon. - Mogłem wahać się i zwodzić Henryka, póki żył inny kandydat do korony, teraz już nie mamy wyjścia. Musimy mu ustąpić.

- Bogowie! - ryknął Jakub Jacobson. - Nie mówisz poważnie! Chcesz w imieniu Regula, króla królów, namaścić tego psa lirwelijskiego na króla Jonki?! To oczywista uzurpacja! - pieklił się. - Połowa z nas tu obecnych, ze mną włącznie, ma tysiącokrotnie większe prawa do korony niż on! Syn prostaka i dziewczki! A ty chcesz wynieść go na tron?!

- Nie podnoś na mnie głosu, Jakubie - upomniał go spokojnym tonem Marcjon. - Nie jestem jednym z twoich sług.

Jacobson ucichł, choć jego czerwone oblicze wskazywało, że nadal zalewała go złość.

- Spotkaj się z Henrykiem z Lirwelii - radził tymczasem archisolis. - Pomówcie, uzgodnijcie swoje stanowiska. Z pewnością możliwy jest

kompromis. Przecież on nie będzie żył wiecznie, a jego spadkobiercą tak czy owak jest Grzegorz – przekonywał.

– Nigdy nie będę z nim pertraktował – warknął Jakub. – Nigdy nie zegnę przed nim karku. On nie ma prawa do korony!

– Prawda! – dorzucił hrabia Kolliński. – Powiedzmy mu to wprost: niech ustąpi i wyda nam swego syna, wnuka Roberta IV albo, powiadam wam, wybierzmy sobie innego króla!

– A kto miałby nim być? – spytał archisolis.

Obecni w komnacie baronowie spojrzeli po sobie. Przez krótką chwilę taksowali się wzrokiem, oceniając nawzajem swoje szczupłe siły i przypominając sobie rodowe koligacje. Każdy z nich gotowy był chwycić za miecz i ogłosić swoje roszczenia.

– No właśnie. – Marcjon westchnął. – Wybaczcie mi zatem, dostojni panowie, ale ja nie pozwolę rozedrzeć tego królestwa na części. Nie kocham Lirwelijczyka, tak samo jak wy, jednak ani ja, ani wy nie zdołamy mu się przeciwstawić. Nie teraz, gdy straciliście swoje wojska pod Bogalandem. – Marcjon podniósł się z krzesła i powolnym krokiem ruszył w kierunku wyjścia.

Dwa dni później w pałacu archisolisów jonkijskich spotkali się znowu. Tym razem w nieco zmienionym gronie. Marcjon zaprosił bowiem Jacobsona i Kollińskiego, a także Henryka, który przybył wraz z jawnie go wspierającym księciem Jerzym von Kolbiem. Siedzieli naprzeciw siebie, mierząc się lodowatymi spojrzeniami.

– Dlaczego nie przywieziesz syna do stolicy i nie pozwolisz wynieść go na tron, hrabio? – spytał w końcu Jakub Jacobson, przerywając niezręczną ciszę.

– Nie zamierzam wydać go w łapy twoje i twoich stronników, panie Jakubie – odparł pewnie Henryk. – Napatrzyłem się już, co Piotr z Rozanii zrobił z młodym Wilhelmem, nie pozwolę, by dla waszej uciechy to samo spotkało mojego syna.

– Powiedz mi, hrabio Henryku: nie masz ani kropli królewskiej krwi w swoich żyłach, nie masz wielkich przodków, ale chcesz byśmy uznali

cię królem? – spytał wprost Ulryk Kollński. – Dobrze pamiętam dzień, w którym przybyłeś na dwór Roberta IV z mieczem i tarczą jako całym twym rodowym majątkiem. Stałeś wtedy u stóp tronu, zebrząc królewskiej protekcji. – Henryk patrzył na niego chłodno, ale spokojnie. Jeśli przypomnienie tamtego dnia raniło go, to dobrze zamaskował emocje. – A teraz chcesz na tym tronie zasiąść. Powiedz, w czym jesteś od nas lepszy, że chcesz się ponad nas wynosić? Co takiego masz w sobie, że uważasz, że jesteś tego godzien?

– Ma armię – wtrącił zwięźle Jerzy von Kolbie.

Henryk nic nie odpowiedział, wpatrując się tylko w Jacobsona. Jakub nagle zarechotał.

– Chcesz więc być królem Jonki, bo wygrałeś jedną bitwę? – spytał, gdy zdołał zdusić śmiech.

– Raczej dlatego, że ty nie jesteś w stanie wygrać kolejnej – sprostował Henryk. – Wiesz to, dostojny panie Jakubie, wygubiłeś swoich ludzi, bo poszedłeś za królem, który znał się na dowodzeniu armiami, tak jak ja na haftowaniu – mówił.

– A ty pierzchłeś z pagórka na widok pierwszej krwi jak zając! – prychnął Jacobson. – Miałeś wyraźny rozkaz króla, by iść w kolejnej szarzy i go zlekceważyłeś.

– Zarzucasz nam tchórzostwo?! – wściekł się von Kolbie.

Marcjon podniósł ręce, chcąc ich uspokoić, ale niewiele to pomogło, bo Henryk znów się odezwał:

– Gdybym zrobił, co kazał mi król, to wszyscy potonęlibyśmy w błocie tamtego poranka razem z naszym najjaśniejszym panem – precedził ten tytuł – albo w najlepszym razie jęczelibyśmy w jomsborskiej niewoli, z której cię wyzwoliłem, nie żądając niczego w zamian. Czcigodny archisolis negocjowałby dziś z Björnem z Jomsborgu warunki, na których odda mu koronę Jonki. Okaż mi więc może choć odrobinę wdzięczności zamiast zarzucać, że nie mam honoru! – dokończył podniesionym głosem.

Jacobson patrzył na niego wrogo. Kalkulował w myślach, szukając sposobu, by zbić jego argumenty. Henryk odezwał się znów po chwili.

– Przysięgam przed obliczem samego Regula, że nie zażadam od was

niczego, czego by nie żądał od baronów król Marek Mocny – zapewnił.

- Zaprzysięgniesz przywileje z czasów Marka Mocnego? – upewnił się Jacobson. – Wszystkie?

- Co do jednego – obiecał Henryk.

- A prawa narzucone przez Roberta IV? – spytał zdziwiony Kolliński.

- Zakaz posiadania armii i bicia monety?

- Bez mojego srebra spod Wężowej Góry i złota, które leży w Górach Kamiennych, czyli w dobrach mojego przyjaciela – rzekł, wskazując ręką na siedzącego obok von Kolbiego – nie macie z czego bić monety, więc z tego ustąpicie. Jeśli chodzi o wasze armie, możecie je sobie dalej zbierać, jak pozwolił wam młody Wilhelm, jeśli tylko znajdziecie rekruta.

- Henryk się uśmiechnął.

- Przysięgnij jeszcze, że Grzegorz, syn twojej pierwszej żony, księżniczki Paulissy, będzie twoim następcą tronu – dorzucił Jacobson.

- Na Regula! – odpowiedział mu Henryk.

Berleujście,

16 zniwnia roku 2077

Grzegorz nudził się okrutnie. Siedział właśnie w niewielkiej komnacie obok kancelarii zamkowej i słuchał wykładu swego nauczyciela, solisa Filomena.

- Zapamiętałeś, książę? – spytał Filomen.

- Tak. Kiedy w końcu mój ojciec pośle po mnie, bym pojechał do Jonki?

- Nie wiem, Grzegorzu, zapewne twój ojciec, nasz pan hrabia, negocjuje warunki twojej koronacji – odparł Filomen. – To bardzo ważne i niełatwe sprawy, dlatego wymagają czasu.

- Czy nie powinienem sam rozmawiać z baronami? – spytał Grzegorz.

- Mój dobry książę – solis się uśmiechnął – jesteś jeszcze zbyt młody, co najmniej sześć lat jeszcze przed tobą, nim będziesz mógł rządzić samodzielnie, takie jest prawo.

- To głupie prawo! - mruknął Grzegorz.

Zanim Filomen coś mu odpowiedział, usłyszeli dziwny chrobot dochodzący zza kotary. Solis podszedł do okna i odsunął materiał. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczył stojącą w kącie czteroletnią hrabiankę Ładę.

- Panienko - jęknął. - Co ty tu robisz?

- Chciałam posłuchać, co mówisz - bąknęła dziewczynka. - To bardzo zajmujące. Też chciałabym się uczyć!

- Jesteś dziewczynką, panienko. Dziewczynki nie muszą się uczyć. - Nauczyciel uśmiechnął się z lekkim politowaniem. - Wszystkiego, co ci będzie potrzebne, nauczą cię twoja pani matka i jej dwórki.

- Ale wyszywanie jest nudne! - Czteroletnia hrabianka tupnęła nóżką. - Ja też chcę się uczyć o królach Jonki, o wojnach i o bogach!

Filomen wybałuszył oczy. Grzegorz tymczasem podszedł do nich i wyciągnął do siostry rękę, którą ochoczo uścisnęła.

- Skoro moja siostra życzy sobie uczyć się z nami, od dziś będzie przychodziła na lekcje - zawyrokował.

- Książę! - Filomen z trudem zdusił śmiech. - Nie możemy uczyć dziewczynek...

- Jestem teraz królem i wydałem ci rozkaz, mój nauczycielu! - odpowiedział hardo dziesięciolatek.

Teraz już oboje patrzyli na Filomena twardym wzrokiem. Na szczęście dla nauczyciela ich dalszą rozmowę przerwało wejście archisolisa Prochora.

- Czy nasz młody panicz czyni postępy? - Stary kapłan uśmiechnął się przyjaźnie.

- Owszem, coraz lepiej opanowuje wiedzę - odparł Filomen.

- To wspaniale! Kto będzie kiedyś władał Jonką, ten musi znać jej historię i zwyczaje - powiedział Prochor z przekonaniem. - A ty co tutaj robisz, panienko? Matka wszędzie cię szuka - zwrócił się w końcu do Łady.

- Moja siostra będzie uczyć się wraz ze mną. Tak rzekłem - odpowiedział za nią Grzegorz.

Filomen i Prochor spojrzeli na siebie.

- Zaprawdę zdumiewająca dziewczynka - mruknął Prochor, przywołując w pamięci niezwykle okoliczności jej narodzenia.

- Tłumaczyłem już księciu, że dziewczynek nie trzeba uczyć - wtrącił Filomen.

- Dla tej tutaj zrobimy na razie mały wyjątek - mrugnął do dzieci Prochor.

Atmosfera w komnacie rozluźniła się natychmiast. Na twarzy Grzegorza zagościł uśmiech i po chwili książę znów się odezwał:

- Czy twoje przybycie oznacza, że ojciec po mnie posłał? - ucieszył się chłopiec.

- W istocie twój ojciec przysłał wiadomość, ale nie taką, jakiej oczekiwałeś, Grzegorzu.

Książę zmarszczył czoło.

- Czego zatem chce mój ojciec?

- Abyś został na razie w zamku i uczył się dalej, aż pewnego dnia będziesz gotowy, by włożyć koronę na swoje skronie - objaśnił Prochor.

- A kto w tym czasie będzie panował? - spytał zdziwiony Grzegorz.

- Twój ojciec - odparł kapłan. - Archisolis Marcjon dał zgodę na koronację i podobno baronowie...

- Nie! - krzyknął chłopiec. - Nie zgadzam się! Przecież to ja miałem być teraz królem! To moja korona, nie oddam jej!

Grzegorz wybiegł nagle z komnaty.

- Idź za nim, Filomenie - pogodnie nakazał Prochor. - Najwyraźniej nie tylko baronów Jonki przyprawia o ból głowy koronacja naszego hrabiego.

Solis wybiegł za księciem, a Prochor został w komnacie. Po chwili odnotował uważny wzrok Łady.

- Zatem od teraz, ojczy, będziesz zwracać się do mnie „księżniczko” - pouczyła go dziecięcym głosem, rozsiadając się na krześle.

Jonka,

29 pajęcznika roku 2077

Od bladego świtu w komnatach prywatnych króla trwały gorączkowe przygotowania do koronacji. Z początku Henryk czuł się nieswojo w przetykanej srebrną nicią szacie i purpurowym płaszczu z wyszytym orłem. Różne myśli przemykały mu przez głowę. Zastanawiał się, co by powiedział jego ojciec, gdyby go teraz zobaczył. „Nie przynieś hańby swemu nazwisku” – usłyszał od ojca przed ponad już dwudziestu laty, gdy wyjeżdżał szukać szczęścia na dworze Roberta Prawego. Nie przynieść hańby swemu rodowi, wówczas jeszcze nikomu niemal nieznanemu. Henryk był tylko synem pana na Niechowicach. Dopiero dobrych kilka lat później, wykorzystując dworskie intrygi i wdzięczność, jaką zaskarbił sobie u króla Roberta Prawego, zdołał wyjednać tytuł hrabiowski. Jakże wtedy znienawidzili go wszyscy nobilowie Lirwelii: Wiśniccy czy Lokrydźowie. Teraz nagle Lirwelia wydawała się czymś mało istotnym, niemalże śmiesznym. Czymże bowiem była wobec korony całej Jonki. Kiedy pierwszy raz Henryk wjeżdżał do stolicy, miał na sobie prostą żelazną kolczugę. Czy ktoś mógłby wówczas przypuszczać, że pewnego dnia ten młodzieniec stanie w pałacu na Wzgórzu Natreusza przybrany w królewskie barwy srebra i purpury?

Kątem oka zerknął na stojącego z boku Jerzego von Kolbie. Henryk go lubił, wiele mu zawdzięczał, choć również odczuwał lekką zazdrość. Jerzy pochodził z książęcego rodu, jego przodkowie wywodzili się wprost z hazeńskiej starszyny plemiennej i od setek lat przewodzili innym możnym Hazenii. Jerzy nigdy nie musiał o nic prosić, nigdy nie musiał walczyć o swoją pozycję. Podobnie jak od Jakuba Jacobsona, nie wymagano od niego, by skłaniał głowę przed kimkolwiek. Poza królem Jonki rzecz jasna. I tego właśnie dnia, za ledwie kilka godzin zarówno Jakub jak i Jerzy będą musieli uklęknąć przed Henrykiem zasiadającym na tronie pod kamiennym orłem. Lirwelijczyk uśmiechnął się do siebie. Purpurowy płaszcz coraz bardziej mu się podobał.

- Jak znajdujesz mój strój? - Henryk zwrócił się do Jerzego.
- Wyglądasz jak uosobienie Regula, przyjacielu - odparł książę

Hazenii. Jerzy podszedł bliżej i z uśmiechem na ustach klepnął Henryka w ramię. – Gdybym cię nie znał, mógłbym się pomylić.

Henryk spojrział na niego chłodno. Odprawił sługi gestem ręki, pozostając w komnacie tylko z Jerzym i archisolisem Marcjonem.

– Wydajesz się rozbawiony, książę? – spytał po chwili, świdrując swego druha wzrokiem.

– Wybacz, to miał być tylko żart. Wydawało mi się, że jesteś spięty i chciałem rozładować atmosferę – odparł von Kolbie. – Po prostu to wszystko jest tak absurdalne. Kto by pomyślał? Ty w płaszczu ze srebrnym orłem Jonki, cały ten ceremoniał, koronacja.

– Tak, ja naprawdę jestem królem. – Henryk przeszył go wzrokiem. – Za godzinę namaszcą mnie w archisolarze, a potem wrócę tu, do pałacu, a ty, jako jeden z dwunastu najważniejszych baronów królestwa, uklęknieś przede mną, położysz na posadzce u moich stóp swój miecz i ucałujesz moją purpurową szatę i królewski pierścień. Żywię nadzieję, że nie zamierzasz wtedy żartować? – Król spojrział wymownie.

– Wiesz, że cię popieram i zawsze jestem ci lojalny, Henryku – odpowiedział zmieszany Jerzy von Kolbie. – Mój królu... – poprawił się pod wpływem wzroku Lirwelijczyka.

Henryk odetchnął głęboko.

Koronacja odbyła się zgodnie z prastarym obyczajem. Najpierw w wielkiej świątyni jonkijskiej namaszczono Henrykowi skronie, dłonie i pierś świętymi olejami, które, jak głosiły dawne podania, pierwszym władcom miasta podarował sam bóg Regul. Potem założono mu na głowę koronę Jonki, wzywając błogosławieństwa Regula, króla królów i szafarza koron. Później król wrócił do zamku, zasiadł w wielkiej sali na tronie pod kamiennym orłem i przyjął homagium od dwunastu najprzedniejszych baronów królestwa, wśród których byli nie tylko jego zwolennicy, jak Jerzy von Kolbie, książę Obojga Hazenii czy też Laurenty del Pescare, książę Trantu, ale również przeciwnicy, jak choćby Jakub Jacobson. Wszyscy oni musieli zgiąć kolano przed nowym władcą. Kiedy skończył się hołd, Henryk podniósł prawą dłoń, dając znak, że zamierza przemówić.

- Dostojni panowie - zaczął - walczyliśmy razem pod Bogalandem, gdzie tak wielu naszych oddało życie. Wiem, że wielu z was było przeciwnikami mojej sukcesji i być może wielu nadal jest. - Utkwił wzrok w Jacobsonie. - Nie troskam się tym i nie zamierzam szukać na nikim zemsty. Domagam się tylko jednego: chcę, byście włączyli się w moje nowe dzieło. Dzieło budowy potężnej Jonki, która zapewni wszystkim swoim poddanym dobrobyt i sprawiedliwość. Dla was, dostojni panowie, Jonka kończy się na Bramie Orrońskiej. Dla mnie dopiero tam się zaczyna. - Jacobson przyglądał się w milczeniu Henrykowi, próbując odgadnąć, do czego zmierza. - Powiedziałem wam już, że zamierzam iść drogą wyznaczoną przez Marka Mocnego, który z mieczem w dłoni poszerzył granice królestwa - przypomniał. - Król Marek skończył na Lirwelii, ja stamtąd zacznę. Wkrótce przedstawię wam szczegóły, a póki co zapraszam na ucztę.

Henryk uśmiechnął się znacząco, po czym wstał i wyszedł z sali tronowej.

- On mówił o wojnie - szepnął Kollński do Jacobsona.

Dostojny pan Jakub pokiwał głową.

- Spójrz na to z jasnej strony, Ulryku. - Hrabia Bytowa uśmiechnął się szeroko. - Przy odrobinie szczęścia jeszcze jeden król Jonki polegnie w bitwie.

Berleuście, 9 winnika roku 2077

Leonel Lokrydź przemknął wzrokiem przez treść krótkiego listu, jaki przywiózł posłaniec ze stolicy. Zmarszczył brwi i westchnął.

- Niech go diabli, dopiął swego - mruknął, nie zważając na umyślnego, który wciąż stał w progu kancelarii. - Na co czekasz, nie stój tu jak cielę! - ofuknął go, zdając sobie sprawę z gafy, jaką popełnił.

Wiadomość o koronacji Henryka w pierwszej chwili nie ucieszyła Leonela. Zebrał myśli i kalkulując, jak ta zmiana sił wpłynie na królestwo, począł szukać jasnych stron. Matkę chyba krew zaleje,

przemknęło mu przez głowę.

Uśmiechnął się lekko pod nosem i wyszedł z kancelarii. Postanowił przekazać wieści hrabinie Lirwelii. Skłonił się, wchodząc do jej komnat prywatnych. Dopiero w tej chwili dotarło do niego, że ma przed sobą królową Jonki. Stała odwrócona twarzą do okna. Kanclerz musiał przyznać, iż pomimo dwóch porodów jej figura wciąż była nienaganna.

- Najjaśniejsza pani! - pozdrowił ją.

Zwróciła ku niemu swoją twarz i uśmiechnęła się. Zauważył, że w jej oczach próżno szukać radości.

- Bardzo jesteś dziś oficjalny - odezwała się po chwili.

- Przyszły wieści ze stolicy, archisolisowie koronowali Henryka - oznajmił. - Gratuluję, pani, jesteś teraz królową.

Pokręciła lekko głową.

- I cóż mi z tego? - westchnęła. - Nawet nie posłał po mnie, by i mnie ukoronowano. - Schyliła głowę, jakby zawstydzona własnych słów. Cóż, stało się, powiedziała to, co chodziło jej po głowie od wielu dni. Henryk nie poprosił jej do stolicy, nie chciał, by towarzyszyła mu w tym szczególnym dniu, który przecież musiał stanowić ucieleśnienie wszystkich jego marzeń i pragnień. Wiele takich myśli kłębiło się w jej głowie. Tamtej kobiety tak by nie potraktował. Ta myśl jak drzazga raz po raz kłuła jej serce. Paulissa Robertówna, której Ofka nigdy nie poznała i która odeszła ponad sześć lat temu, wciąż jak strzyga kładła się cieniem na małżeństwie hrabiny Lirwelii. Ofka nie wiedziała, czy Henryk miłował swoją pierwszą żonę. Może pokochał tylko władzę, którą otrzymał wraz z jej ręką i której nigdy potem za skarby nie chciał się wyrzec?

Królowa Jonki poczuła nagle wstyd, uświadamiając sobie po raz kolejny, że czuje zazdrość w stosunku do tamtej kobiety. Taka była prawda: Ofka czuła zazdrość, ilekroć Henryk choćby wspomniał Paulisę. Tak jak wtedy, gdy spoglądał w ciemne oczy syna i mówił do niego: „Masz oczy matki”.

Leonel wciąż stał przed nią, próbując odgadnąć jej myśli. Nie powinna mu się skarżyć. Nie miała prawa narzekać na własnego męża.

- Cóż, tak już widać musi być, że szczęście Henryka nie jest moim udziałem - skwitowała tylko.

- Mówiłem ci przecież, że wciąż jeszcze możesz być szczęśliwa - zniżył głos do szeptu. - Masz do tego prawo.

- Sam przed chwilą powiedziałeś, miły... - odparła równie cichym głosem - Jestem teraz królową, a królowej nie godzi się brać sobie kochanków.

- A czy godzi się, by taka królowa, jak ty, żyła w zapomnieniu?

Zbliżył się do niej. Przymknęła oczy, gdy wierzchem dłoni musnął jej policzka. Westchnęła głośno. Przez krótki moment zalała ją fala gorąca. Pragnęła, by ta chwila nigdy się nie skończyła. Nigdy w ciągu całego ich małżeństwa Henryk nie dotykał jej w taki sposób. A przecież zawsze starała się go zadowolić. Nigdy nie odmawiała mu praw przysługujących mężowi. „Masz prawo do szczęścia”, powtórzył jakiś głos w jej wnętrzu. Podniosła rękę, chcąc dotknąć twarzy Leonela. Tak bardzo chciała ulec, powetować sobie wszystkie te ostatnie lata smutków i samotności. Z trudem opanowała potrzebę odwzajemnienia jego dotyku. Odwróciła głowę. To była chwila słabości, powtarzała sobie w myślach, tylko chwila słabości. Nie mogła pozwolić sobie, aby ta niemoc nią zawładnęła.

- Dziękuję ci, kanclerzu, za informacje - odezwała się chłodnym tonem i podała mu dłoń do ucałowania. W jego oczach dostrzegła błysk zawodu. Gdy skierował się do drzwi, raz jeszcze przemknęło jej przez głowę, by podbiec do niego i rzucić mu się na szyję.

Lensburg,

10 winnik roku 2077

Tydzień trwały uroczystości koronacyjne w Jonce. Kilka dni po nich ksiązę Jerzy von Kolbie opuścił stolicę, by udać się nareszcie do swoich włości. Dawno nie był w domu. Wjeżdżając na dziedziniec lensburskiego zamku, myślał tylko o żonie i swoich synach: czteroletnim już Wilhelmie i dwuletnim Krzysztofie. Zeskoczył z konia, podał lejce stajennemu

i zawołał do przybocznych:

- Pani Klaudia zdrowa? A chłopcy?

- Zdrowi, mój książę, czekają na ciebie! - odpowiedział jeden ze sług.

Jerzy ruszył już w stronę sieni, z której wchodziło się do prywatnych komnat, gdy usłyszał za sobą wołanie:

- Książę, wybaczone, ale twój brat, dostojny pan Cecyl i czcigodny archisolis Alderyk czekają na ciebie w komnacie audiencyjnej.

- Później...

- Wybaczone, panie, ale prosili, byś natychmiast do nich poszedł.

- Do diaska! - krzyknął Jerzy. Zawrócił i udał się, gdzie mu sługa wskazał. Wspiął się na piętro i przemierzywszy krużganki, pchnął drzwi komnaty audiencyjnej.

- Cóż takiego ważnego do mnie masz, bracie, że nie pozwalasz mi nawet przywitać się z rodziną! - warknął, widząc Cecyla.

- Naprawdę się nie domyślasz, bracie? - spytał Cecyl, świdrując go wzrokiem.

Jerzy potrząsnął przecząco głową.

- Powiedz nam, bo wielu w tym zamku, jak i w całej Hazenii, i Górnej, i Dolnej, chciałoby to wiedzieć: dlaczego, na Wielkiego Sola i wszystkich jego Dwanaścioro Dzieci, wsparłeś Lirwelijczyka w jego absurdalnym roszczeniu do korony?!

Jerzy westchnął. Rozejrzał się po komnacie. Zarówno jego młodszy brat, pan na Tilborku, jak i archisolis Alderyk czekali na wyjaśnienie. Jerzy podszedł do stolika, chwycił dzban z miodem i napełnił sobie kubek. Przepłukał gardło, dając sobie czas na odpowiedź i dopiero przemówił:

- Henryk chce ruszyć na południe. Wzmocnić granicę Lirwelii, uderzyć być może na Sławinię. Widzi tam korzyści dla własnych włości - objaśniał. - Nie interesuje go Hazenia.

- I to ma być powód?! - jęknął Cecyl.

- Pamiętaj, ile razy nasz ojciec, oby bogowie karmili go miodem, narzekał na Roberta Prawego, który mieszał się w każdy szczegół jego rządów? - spytał Jerzy. - Bo ja pamiętam. Pamiętam, jak król Robert

intrygował przeciwko nam, angażując naszych kuzynów z Czerniowców. Nie ścierpię kolejnego króla Roberta na tronie, bo chcę mieć, jako księżę Hazenii Górnej i Dolnej, więcej swobody w działaniu niż mój ojciec, a powiadam ci, że Henryka prędko na północy nie zobaczymy. To da mi czas, by rozprawić się z Desteinami z Tomaszyna i de Vittmore'ami z Branawy.

- Księżę, a królewski pokój? - wtrącił Alderyk. - Król Robert, rozsądzając spór twego ojca z Desteinami, zabronił używania siły pod groźbą klątwy!

- I to jest właśnie pierwsza korzyść z koronacji Henryka. - Twarz Jerzego rozszerzył uśmiech. - Najjaśniejszy pan anulował ten haniebny wyrok i dał mi wolną rękę w Hazenii. - Jerzy dopił miód, rzucił kubek o stół i ruszył do wyjścia.

Nie tracąc więcej czasu, udał się do komnat księżnej Klaudii, gdzie spotkał się z żoną i synami. Odpiął pas i odłożył obok skrzyni stojącej przy ścianie. Młodszy z chłopców, Krzysztof, włożył palec do ust i wpatrywał się w ojca z pewną nieufnością. Starszy, Wilhelm, skłonił przed ojcem główkę. Gdy tylko Jerzy wziął żonę w ramiona, starszy z chłopców podszedł do stojącego przy kufrze miecza i spróbował wziąć go w ręce. Oczywiście broń okazała się zbyt ciężka dla czterolatka. Ostrze z brząkiem upadło na drewnianą podłogę.

- Wilhelmie! - pisnęła Klaudia. - To nie zabawka! Mogłeś się zranić.

Uklękła przy synu, chwytając jego dłonie i przyglądając się im w poszukiwaniu ewentualnych skaleczeń.

- Zostaw go, tak musi być - roześmiał się gromko Jerzy. - To von Kolbie, od razu widać. Ciągnie go do miecza.

Ojciec podszedł do chłopca, chwycił go w ramiona i podniósł do góry. Mały Wilhelm roześmiał się promiennie.

Wieczorem, gdy już księżę Obojga Hazenii został z żoną sam na sam w jej alkowie i wypełnił męzowski obowiązek, leżeli przytuleni i szeptem rozprawiali o sprawach, które wydarzyły się podczas jego nieobecności.

- Tak rzadko pisałeś, miły mężu - poskarżyła się Klaudia.

- Dwa lata krwi, piachu, żelaza. - Jerzy westchnął. - W takich

okolicznościach brakuje słodkich słów. Zwłaszcza, że jestem rycerzem, a nie poetą. Musisz mi wybaczyć, moja najmilsza.

- Wybaczyć, powiadasz, mój miły - uśmiech rozświetlił jej oblicze. - Pomyślmy, czy powinnam ci przebaczyć...

Pocałowała go w usta. Spojrzał w jej orzechowe oczy, gdy już oderwali od siebie wargi. Tęsknił za nią przez ten czas. Nie połączyła ich płomienna miłość, a umowa między ich ojcami. Dwa wielkie rody Dolnej Hazenii zawierały sojusz przypieczętowany ich zaślubinami. Z biegiem czasu pojawiły się czułość i przywiązanie. Klaudia myślała czasami, iż to silniejsza więź, niż płochy miłowanie sławione przez trubadurów w dworskich romansach. Zerknęła na niego i odnotowała, że błędził myślami gdzieś daleko.

- Twój druh został królem - odezwała się po cichu. - Musisz być zadowolony. Będziesz teraz wpływową personą na dworze.

Uśmiechnął się pod nosem, odnotowując jej pytanie. Myślał bowiem o tym samym.

- Nie zamierzam szukać poklasku w stolicy - odparł. - Wystarczy mi, że Henryk anulował wyrok w sprawie baronów Górnej Hazenii.

- Ruszysz przeciw nim na wojnę? - spytała, a w jej głosie dało się odczuć obawę.

- Czas pokaże - mruknął. - Nie zamierzam działać pochopnie. Gerhard Destein to rozsądny człowiek. Może wystarczy sama groźba użycia siły, by zmusić go do ustępstw.

- Oby Tarris pozwolił.

Położyła głowę na jego szerokiej piersi. Wsłuchując się w bicie serca męża, starała się odegnać od siebie lęk związany z myślą o kolejnym jego wyjeździe.

Tomaszyn,

Górna Hazenia,

12 listopada roku 2077

Gerhard Destein przybył z Łęgnicy, gdy tylko doszły go wieści o powrocie księcia Jerzego do Lensburga i o ruchach wojsk, jakie przedsięwziął. W pierwszej chwili miał ochotę zebrać swoją drużynę i ruszyć przeciw von Kolbiemu. Szybka kalkulacja sił ostudziła jego zapał. Wziął więc kilku przybocznych i ruszył do siedziby swego ojca, by się z nim naradzić.

Tomaszyn, położony w kotlinie pomiędzy falistymi zboczami stanowiącymi przedgórze Gór Kamiennych, szczycił się wysokimi wieżami solarów i murowanymi kamienicami. Miasto wzbogaciło się na handlu rudami metali, które wydobywano w sztolniach Gór Kamiennych. Tutejsi złotnicy zaopatrywali w towary kilka dworów królewskich i bogactwem dorównywali jonkijskim patrycjuszom. Rządzący miastem ród Desteinów także miał swoje ambicje i od blisko stulecia rywalizował z von Kolbiem z Lensburga o prymat nad ziemią Hazenii.

Wysoki i szczupły Gerhard wspiął się po schodach zamkowej sieni. Przekraczając drzwi ojcowskich komnat, musiał schylić głowę.

- Ojciec. - Skłonił się ponownie przed łóżem, na którym leżał starzec.

Konrad Destein liczył już blisko sześćdziesiąt wiosen. W młodości był mocarzem, ale odkąd dwa lata wcześniej dotknął go paraliż, jego niegdyś szerokie jak u tura bary skurczyły się, a pierś zapadła. Wyciągnął przed siebie wątle prawe ramię. Lewe spoczywało nieruchomo na pościeli.

- Podejź - mruknął cicho.

Jego mowa była ledwo zrozumiała, ale służba i domownicy przyzwyczajali się już do niej i porozumiewali się z nim bez trudu.

- Jerzy von Kolbie dostał od Lirwelijczyka przyzwolenie i gromadzi przeciw nam wielkie siły - zaczął bez zbędnych wstępów Gerhard. - Jeśli utrzyma się pogoda, ruszy na nas jeszcze przed zimą.

Starzec pokiwał swoją siwą głową. W oczach ojca Gerhard dostrzegł znajomy błysk. Tylko w tych oczach było jeszcze życie.

- Czy de Vittmore nam odpowiedział? - spytał Konrad, powoli cedząc słowa.

- Niestety - odparł Gerhard, spuszczać wzrok. - Pan Olaf zwodzi nas tak, jak czynił to przed laty jego ojciec.

- Tylko połączone rody Górnej Hazenii mogłyby przeciwstawić się

sile von Kolbiech wspieranych przez koronę.

- Mamy więc ugiąć kark przed panami na Lensburgu? - Gerhard prychnął. Rozumiał, iż tak naprawdę nie ma żadnego wyboru, ale ta myśl wzbudzała w nim gniew.

- Tylko na chwilę - odrzekł Konrad. - Musimy przeczekać, aż znów będą słabsi. Bracia i kuzyni Jerzego z pewnością nie rozradują się z jego wywyższenia. Gdy wkradnie się między nich niezgoda, nadejdzie nasz czas.

Gerhard westchnął ciężko. Rozwiązanie nasuwało się samo, ale serce młodszego z Desteinów trawiły wątpliwości. Nie było to bowiem rozwiązanie honorowe. Konrad wyczuł wahanie syna.

- Gerhardzie - stęknął - polityka to brudne zajęcie. Bardziej godne kupców łasych na złoto i wszetecznych dziewczek sprzedających swą cześć, a nie szlachetnie urodzonych mężów, to prawda. - Gerhard bardzo dobrze znał te słowa. Od dzieciństwa słyszał je od ojca.

- Nie ma w tym dyshonoru, byś dobrowolnie ukląkł przed von Kolbiem i przyjął z jego ręki miecz i sztandar. Zapewniam, że to o wiele godniejsze, niż gdyby cię pokonał i na łańcuchu pognął za swoim koniem.

Młody baron pokiwał głową.

- Jutro pchnę do Jerzego poselstwo - odezwał się po chwili. - Zaproponuję mu sojusz przeciw de Vittmore'om i Waldeburgom.

Konrad przymknął oczy i westchnął z zadowoleniem.

Jonka,

13 listopad roku 2077

Jakub Jacobson szedł szybkim krokiem korytarzami pałacu królewskiego. Bardzo starał się zdusić w sobie wściekłość, jaką poczuł, gdy rano królewski gwardzista przysłał mu wezwanie do stawienia się przed obliczem monarchy. On, przedstawiciel jednego z najstarszych i najznamienitszych rodów Jonki, musiał biegać na wezwanie Lirwelijczyka niczym zwykły kundel. Najbardziej bolało go, że nie zdołał

przeciwstawić się objęciu tronu przez Henryka. Cóż, stało się, stracił armię pod Bogalandem i nie miał dość sił, by wskazać temu uzurpatorowi jego miejsce w szeregu. Wielokrotnie wyrzucał sobie, że nie powinien był ruszać na wezwanie króla ze wszystkimi siłami. Wilhelm był przecież głupcem, wszyscy o tym wiedzieli. Co innego jego siostra, Paulissa. Jakub pamiętał jej żywe, czarne oczy, w których igrały wesołe ogniki. Pamiętał jej ostry jak brzytwa umysł. Dobrali się z Henrykiem, trzeba im to było przyznać. Jacobson wiele razy w ostatnich dniach zastanawiał się, jak potoczyłaby się historia królestwa, gdyby piękna córka Roberta Prawego tak ochoczo nie wskoczyła do łóża tego parweniusza.

- Otwieraj - warknął na strażnika stojącego przy wejściu do komnaty królewskiej.

Żołnierz skłonił się i pchnął drzwi. Jakub wszedł do środka. Król Henryk stał nad stołem, na którym rozłożona była sporych rozmiarów mapa.

- Wzywałś mnie, mój królu - wycedził Jacobson przez zaciśnięte zęby.

Henryk odnotował, że Jakub nawet nie skinął mu głową. Nie odpowiedział nic, tylko podał hrabiemu zwinięty rulonik pergaminu.

- Wczoraj wieczorem otrzymałem list z Berleujścia - objaśnił zwięźle.

Pan Bytowa przebiegł wzrokiem linijki równo skreślonych liter. Z jego uniesionych brwi król odczytał, że treść była dla niego zaskakująca.

- Książęta slawińscy znów się poszarpali - Hrabia wzruszył ramionami, udając obojętność. - Cóż nam do tego?

Henryk gestem ręki wskazał Jakubowi mapę, którą uważnie lustrował.

- Pamiętasz zapewne, co powiedziałem do was zaraz po koronacji. Królestwo to nie tylko Jonka.

- Pamiętam, miałem nawet zamiar spytać cię, co takiego jest oprócz niej? - prychnął pogardliwie Jakub. - Hazenia to jedynie parę zamków i wiecznie skłócenie kuzyni von Kolbiego. Rozania to pola, łąki i lasy. Ach, jest i twoja Lirwelia - wycedził w końcu.

Henryk świdrował go wzrokiem.

- A na południe od mojej Lirwelii leży Slawinia - odezwał się po chwili król. - Zapewne powiesz mi, panie Jakubie, że to też tylko pola, bacz jednak, że te pola są w stanie wyżywić o wiele więcej niż tylko samą Slawinię. Pamiętasz może z dzieciństwa klęski głodu, które nawiedzały nasze królestwo?

Hrabia Bytowa wrzucił tylko ramionami. Owszem, słyszał o dwunastu chudych latach, kiedy bogowie pokarali królestwo nieurodzajem, ale przecież nawet w największe niedostatki Jacobsonom niczego nie brakowało.

- Zanim Zbysław Szczerbaty zgiął kark przed Markiem Mocnym, lirwelijscy hrabiowie zawierali przymierza z książętami Slawinii - przypomniał tymczasem Henryk. - Nadal można twierdzić, że te postanowienia pozostają w mocy. - Król powiódł ręką po mapie. - Wratymów, Wyszaków, Witra, Tarnawa - wyliczył. - Bolesław Biały, jak mi napisano, nie żyje. Wratymów przypadnie jego małemu synowi Wojciechowi.

- Zmarł w bardzo korzystnym dla ciebie, panie, momencie - zauważył Jacobson. - Nie wiem tylko, czy można wierzyć informatorowi, który twierdzi, że to Waclaw Brzuchaty z Wyszakowa odpowiada za jego śmierć.

- W istocie, Waclaw to wiecznie zapity knur - mruknął Henryk. - Nie stać by go było na taką intrygę, ale wielu w to uwierzy. Jeśli uwierzą we Wratymowie, to nie puszczą mu płazem. - Król uśmiechnął się wymownie.

Jacobson pokiwał głową, rozumiejąc aluzję.

- Ciekawi mnie, kto pierwszy poprosi cię o pomoc, królu: Waclaw czy Wojciech. Tak czy owak jeden złoży ci hołd dobrowolnie, drugiego zmusisz do tego zbrojnie.

- Nie zamierzam przyjmować hołdów od książąt Slawinii - uśmiechnął się Henryk. - Od czasów Roberta Śmiałego slawińscy książęta już trzykrotnie klękali przed władcami Jonki i szybko potem łamali dane słowo. Jeśli ruszę na Slawinię z wojskiem, to po to, by rozprawić się z nią definitywnie.

Jacobson pokiwał głową.

- Zamierzasz zatem opuścić stolicę? - spytał po chwili.

- Nie uwierzę, panie Jakubie, jeśli powiesz mi, że cię to martwi. - Jacobson uważnie przyglądał się królowi, który dalej mówił: - Założyliście, że będę tu siedział i walczył z wami. Ja jednak wolę zrobić coś pożytecznego dla królestwa niż czekać, aż któryś z was postanowi przysłać mi sztylet bądź truciznę.

Uczucie, które wypełniało teraz myśli hrabiego, było mu dotąd nieznane. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że trafił na godnego przeciwnika. Nie znosił tego parweniusza, ale musiał przyznać, że miał polityczny zmysł.

- Kto będzie w twoim imieniu zarządzał miastem? - spytał po chwili Jakub. - Lud źle przyjmie Lokrydża, jest obcy.

- Lokrydż będzie kanclerzem królestwa, ale nie zamierzam powierzać mu stolicy - przerwał mu król. Jakub Jacobson zmrużył oczy. Henryk tymczasem kontynuował - Twój herb to lew siedzący u bram miasta, o ile dobrze pamiętam. - Hrabia skinął głową, próbując odgadnąć, do czego zmierza jego rozmówca. - Czy prawdą jest, że nadał go waszemu szlachebnemu rodowi król Gumuncjusz?

Jacobson, jak każdy z baronów Starej Jonki, wyczulony był na punkcie honoru swego rodu. Przez chwilę przemknęło mu przez głowę, że Henryk chce z niego zadrwić.

- Owszem, tak właśnie było - wycedził Jakub. - Mój przodek otrzymał ten herb jako symbol męstwa okazanego w obronie murów stolicy. Od tego czasu zawsze broniliśmy jej bram i stanowiliśmy podporę panowania jej władców.

- Wiem, właśnie dlatego to przypomniałem - odparł Henryk. - I o nic więcej nie śmiem cię prosić, panie Jakubie.

Hrabia wlepił w króla wzrok, zastanawiając się nad jego intencjami.

- Byłbym głupcem, gdybym ci zaufał, mości hrabio - uśmiechnął się chytrze Henryk. - Wiem, co o mnie myślisz. Wierzę jednak, że od pogardy, którą mnie obdarzasz, silniejsza jest lojalność wobec Jonki i pamięć twych wielkich przodków. - Patrzył mu prosto w oczy. - Dlatego

jestem gotów podzielić się z tobą władzą. Zostawię stolicę pod twoim zarządem. Co mi powiesz, panie Jakubie?

Henryk wyciągnął przed siebie prawą dłoń. Jakub przez chwilę się zawahał, zanim uścisnął prawicę króla.

- Jeszcze tylko jedno - dodał Henryk, zniżając głos - nie opuszczam Jonki na zawsze, nie zapominaj o tym, hrabio.

Lintal w dobrach dostojnego pana de Vittmore'a, 30 listopada roku 2077

Olaf de Vittmore był wściekły, gdy doniesiono mu, iż obok sztandarów z lampartami von Kolbiech szły na Branawę również oddziały pod znakiem czarnego orła ze srebrną przepaską na skrzydłach.

- Przeklęty Konrad Destein! - pieklił się, posłyszawszy tę wieść. - Niech Antres przeklnie cały jego ród!

Potem nakazał zebrać swoje siły i wyszedł im naprzeciw. Przegrawszy niewielką potyczkę opodal Sztembarku, cofnął się aż do Lintal, które leżało o dzień drogi od Branawy. Zamknął się w grodzie otoczonym murami i czekał, licząc, iż zdoła powstrzymać wroga przynajmniej do czasu nadejścia rychłej zimy.

W końcu nadszedł ten dzień, gdy o świcie obudzono dostojnego pana, przynosząc mu informację o nadejściu poselstwa od wrogiej armii. Ubrał się pośpiesznie i wyszedł na mury.

- Otwórz bramy, dostojny panie de Vittmore! - zawołał posłaniec w barwach von Kolbiech.

Odpowiedział mu śmiech obrońców zmieszany z soczystymi przekleństwami.

- W imieniu Henryka, z łaski Regula, króla królów i szafarza koron, dostojny Jerzy, książę Obojga Hazenii i pan na Lensburgu nakazuje ci otworzyć bramy, poddać gród i uznać jego władzę! - wykrzyknął niezrażony herold.

- Niech Jerzy sam tu przyjdzie i otworzy sobie bramę - odkrzyknął

mu Olaf de Vittmore. – Niech tylko uważa, by jego lamparty zębów sobie nie połamaly na naszych mieczach!

Obrażony drwinami de Vittmore'a i jego załogi posłaniec zaciął konia i ruszył z powrotem. Olaf westchnął przeciągle i spojrzął na jesienne słońce, które dopiero co wychynęło sponad ściany lasu. W myślach zmówił modlitwę ku jego czci, po czym naciął wewnętrzną część dłoni sztyletem, oddając cześć także i Tarrisowi.

– Szykować się do oblężenia! – polecił następnie swoim ludziom.

Tego samego dnia Jerzy von Kolbie przyciągnął pod mury Lintal ze swoją armią. Olaf musiał przyznać, iż jego wróg dobrze się przygotował. Oddziały łuczników zaczęły razić ich strzałami. Nie mogły one wyrządzić większej krzywdy schowanym za blankami obrońcom, ale skutecznie zdołały powstrzymać ich od ataku na maszyny, które na rozkaz Jerzego stopa po stopie przesuwaly się w kierunku murów. Pod wieczór trzy ogromne trebusze były już gotowe, by oddać pierwszą salwę. Przez całą noc głuchy łoskot uderzeń kamiennych bloków o mury przetaczał się ponad Lintal. O poranku w murze pojawiła się pierwsza rysa i Gerhard Destein nakazał celować jak najbliżej osłabionego miejsca.

Kolejnego dnia atakujący znów zarzucili obrońców gradem strzał, tym razem chcąc odciągnąć ich uwagę od tarana, który przyciągnięto do bramy, i od piechurów, którzy z drabinami przystąpili do kamiennych ścian. Na rozkaz dowódcy grodu obrońcy poczęli wylewać na nacierających wrzącą smołę. Wycie poparzonych zmieszało się na chwilę z radosnym krzykiem żołnierzy de Vittmore'a. Nie było czasu na odpoczynek, bo po chwili kolejna fala wojów natarła na bramę. Taran znów z łoskotem uderzył w drewno bramy i potężne żelazne sztaby nie wytrzymały wściekłego naporu.

Okrzyk radości, który wydobył się z gardeł zdobywców, przetoczył się ponad murami. Obrońcy na chwilę zamarli, jakby rozbicie bramy odebrało im część animuszu. Szybko jednak wykrzykiwane rozkazy dowódców twierdzy przywołały ich do porządku. Jerzy von Kolbie wraz z innymi biegł już w kierunku wyłomu w bramie. Niewiele widział przez wąską szczelinę hełmu. Jego ludzie wlewali się przez bramę wartkim

strumieniem, tak że po kilku ledwie chwilach na jednego obrońcę przypadało już dwóch ludzi ze znakami lamparta lub orła. W końcu Jerzy dostrzegł Olafa de Vittmore'a. Mężczyzna chwiał się na nogach pod naporem ciosów jakiegoś rycerza. Jerzy, zadając po drodze silne ciosy, doskoczył do walczących i rozdzielił ich.

- Poddaj zamek, Olafie! - wrzasnął. - To ostatnia szansa. Inaczej zginiecie tu wszyscy.

De Vittmore rzucił miecz pod nogi przeciwnika i krzyknął, jak najgłośniej mógł:

- Poddaję gród!

Szczęk oręża milknął powoli. Po chwili wszystkie oczy zwróciły się na Jerzego, który zdjął hełm i podniósł wysoko swoją uzbrojoną w miecz prawicę, po czym przemówił:

- Nie chcę więcej przelewać hazeńskiej krwi. Żądam tylko należnych memu rodowi praw suwerena! - Utkwił spojrzenie w Olafie. - Jeśli uznasz moją władzę, daruję życie tobie i twoim ludziom.

Olaf przez chwilę patrzył na niego podejrzliwie, po czym upadł przed nim na kolana i złożył pocałunek na jego okutej stalową rękawicą dłoni. Gerhard Destein stał nieco z boku, patrząc na tę scenę wyniośle. W duchu podziękował bogom, że posłuchał rady ojca i dzięki temu stał teraz po stronie zwycięzców, zamiast klęczeć obok Olafa de Vittmore'a.

Cecyl von Kolbie podszedł do Jerzego i położył mu dłoń na ramieniu.

- Gratuluję, bracie - rzekł poważnym tonem. - Nasz dziad byłby z ciebie dumny.

- Poślij natychmiast do Lensburga, niech złożą ofiary dziękczynne w archisolarze - nakazał spokojnie Jerzy. - I pchnij gońca do Jonki. Niech Henryk wie, że cała Hazenia znów należy do von Kolbiech.

Berleujście,

9 prosnia roku 2077

Od dnia, w którym Ofka po raz pierwszy pozwoliła, by Leonel ją dotknął,

nie mogła przestać o nim myśleć. Początkowo uważała to za chwilę własnej słabości, którą powinna w sobie zdusić. Przy kolejnym spotkaniu postanowiła jednak spróbować odwzajemnić jego ciepły dotyk. Aż w końcu pozwoliła sobie na więcej. Kiedy już zdołała spotkać się z kanclerzem sam na sam, było za późno, aby się wycofać. Nie byłaby zdolna dłużej tłumić w sobie uczuć. Radość, jaką czerpała z oddawania mu się, nie pozwalała jej myśleć o czymkolwiek innym. Po raz pierwszy od bardzo dawna czuła się szczęśliwa i potrzebna. Miłowała. A co było dla niej jeszcze ważniejsze, czuła nareszcie, że jej miłość jest odwzajemniona. Dotyk jego palców, smak pocałunków, dźwięk szeptu, zapach ciała przyćmiewały wszystko. Chłoneła go wszystkimi zmysłami, zatapiając się w tym nieznanym wcześniej uczuciu bezgranicznego szczęścia. Nieraz w obawie przed dwórkami oczekującymi w sąsiedniej komnacie przygryzała jego ramię lub pierś, próbując zdusić okrzyk, jaki chciał wydobyć się z jej gardła.

Choć wokół jesień pokazywała coraz bardziej ponure oblicze, w sercu królowej Jonki zapanowała wiosna. Dla Ofki to uczucie było ważniejsze od tytułu i honorów, jakimi ją teraz otaczano na dworze. Ważniejsze od kompleksów, które pielęgnowała w sobie przez tyle lat z powodu demonstracyjnej obojętności, jaką okazywał jej mąż, nawet od samej korony, której nawet nie włożono jej na głowę. Henryk bowiem nadal nie wzywał do stolicy, w której bawił.

Ofka siedziała w swoich komnatach, słuchając śpiewu dwórki. Jej myśli krążyły tylko wokół kolejnego zaplanowanego spotkania z Leonelem. Cały czas zastanawiała się, jak mogła żyć bez niego? Jak mogła być tak głupia, by tak długo odmawiać sobie szczęścia w imię lojalności wobec męża, który przecież w ogóle się nią nie interesował. Dziewczyna skończyła właśnie śpiewać.

- Dziękuję ci, moja miła. - Królowa się uśmiechnęła. - Masz piękny głos. - Dziewczyna dygnęła przed nią. - Sprawdź przy okazji, czy są jakieś wiadomości dla mnie.

- Sprawdzałam przed godziną, pani - odparła od razu dwórka. - Nie ma żadnych, w kancelarii cicho jak makiem zasiał, pewno dlatego, że

dostojny kanclerz wyjechał rano.

- Wyjechał? Jak to? - pisała Ofka.

- Ponoć jego matka go wezwała - odpowiedziała spokojnie dziewczyna. - Mówią, że zaniemogła.

Ofka westchnęła smutno, rozumiejąc już, że tym razem czeka ją samotny wieczór.

Zamek w Klifton, siedziba rodu Lokrydźów, tego samego wieczora

Klifton był niewielkim kasztelem. O jego znaczeniu decydowała jednak nie wielkość, ale dogodne położenie w zakolu rzeki Berletty i niewielka odległość od Berleujścia. Gród leżał bowiem niecałe dwadzieścia mil jonkijskich od siedziby hrabiów Lirwelii. Obok rodowego gniazda w Lokrydź oraz przejętego jako wiano pani Augusty zamku w Wiśniczu była to najważniejsza rezydencja pozostająca w rękach potężnego ongiś rodu Lokrydźów. Maria chętnie tu zamieszkiwała, mogła bowiem w każdej chwili ruszyć do Berleujścia, co przy jej blisko siedemdziesięciu wiosnach było atutem. Ponadto wieści od rozmieszczonych na dworze hrabiowskim szpiegów docierały często tego samego dnia. Również i Leonel nie miał zatem kłopotu, by w ciągu paru godzin stawić się na wezwanie matki.

Skłonił się przed nią, wchodząc do jej komnaty. Wbrew temu, czego oczekiwał, po tym jak otrzymał wiadomość o jej chorobie, nie zastał jej w łożu. Maria z Lokrydź siedziała na wspaniale zdobionym krześle nakryta kocem i wpatrywała się w ogień płonący w kominku.

- Wzywałaś, matko - odezwał się, odnotowując, że nie zareagowała na jego pozdrowienie. - Słyszałem, że zaniemogłaś. Co się stało?

- Nic ponad to, co Kaprun zsyła każdemu, kto zbliża się już do pewnego wieku - odparła. - Nazywają to starością.

Leonel skrzywił się nieco. O jej starości i schyłku jej żywota słyszał

już od dobrych kilku lat. Nie w smak mu było, że fatygowała go niepotrzebnie.

- Po cóż zatem mnie wzywałaś?

- Nim umrę, chcę jeszcze raz usłyszeć, że jesteś wierny przysiędze, którą mi złożyłeś - szepnęła. - Nie odejdę spokojna, nie wiedząc, że po mojej śmierci w końcu wypełnisz ślub i wymierzysz sprawiedliwość temu łotrowi.

- Jest teraz królem - przypomniał jej.

- Długo sobie nie porządzi - parsknęła. - Baronowie Jonki już ostrzą pazury, by skoczyć mu do gardła. Aż dziwi mnie, że jeszcze się go nie pozbyli.

- Skoro jesteś przekonana, że wkrótce to zrobią, to po co mnie do tego mieszasz?

- Nie ich rolą jest wymierzyć Henrykowi sprawiedliwą karę. - Stuknęła laską o podłogę. - To twoje zadanie. Nas Henryk skrzywdził najbardziej, odbierając wszystko, na co twoi przodkowie pracowali od tyłu dziesięcioleci - ciągnęła. - Czy pamiętasz, kto jako pierwszy poparł Zbysława Szczerbatego, gdy ugiął kolano przed Markiem Mocnym i przyjął jego wiarę? My, Lokrydźowie - przypomniała. - I dlatego to nam zostawił hrabiowski tytuł, gdy zabrakło jego synów. Nie Darlingtonom i nie Wiśnickim, ale nam. A ty pozwalasz, by ten tytuł nosił Henryk, syn prostaka i dziewczki - pokręciła głową.

- Ten syn prostaka i dziewczki - powtórzył, cedząc słowa - uczynił mnie swoim kanclerzem. Będę drugim człowiekiem w królestwie. Czy kiedyś któryś z Lokrydźów zaszedł tak wysoko?

Nie odpowiedziała mu. W ciszy, jaka zapadła w komnacie, Leonel uciekł na chwilę myślami do swojej umiłowanej Ofki. Bardzo żałował, że nie może spędzić z nią tego wieczoru.

- To może chociaż powiesz swojej starej matce, że w końcu się ożenisz? - zaskrzeczała znów po dłuższej chwili kobieta. - Przynajmniej o to byś zadbał, bo inaczej na tobie skończy się cały ród.

- Ożenię się, gdy tylko będę mógł - mruknął, niewiele myśląc. - Może, gdy spełni się twoje życzenie i baronowie Jonki pozbędą się

Henryka, Ofka będzie wtedy wolna...

Uderzyła głośno laską w podłogę i zdał sobie sprawę, że niepotrzebnie to powiedział. Maria odrzuciła koc nakrywający jej nogi i z trudem podniosła się z krzesła. Opierając się na lasce, podeszła do niego.

- Bogowie - szepnęła. - Zatem nadal durzysz się w tej dziewczce? - Spojrzała mu głęboko w oczy i zorientowała się, że przecucie jej nie myli. - Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że...

Leonel nic nie odpowiedział. Przez chwilę tylko mierzyli się wzrokiem. W końcu Maria pokiwała głową. Nie potrzebowała od niego żadnych potwierdzeń.

- Zatem w końcu ci uległa - westchnęła Maria. - Czy wiesz, na jakie szaleństwo się porywasz? Wiesz, co się stanie, kiedy ktoś odkryje, że przyprawiasz Henrykowi rogi? A odkryją to na pewno, nie łudź się - przekonywała. - Na dworze zawsze jest mnóstwo oczu i uszu. I jeszcze więcej języków. Skończ to! - rozkazała głosem nieznoszącym sprzeciwu. - Na wszystkich bogów, błagam cię, skończ z tym wariactwem! - W jej głosie pojawiła się nagle nuta troski. - Zapomnij o tej kobiecie, zanim będzie za późno.

- Nie potrafię - szepnął w końcu. - Bardzo długo czekałem, żeby być z nią i teraz nie zamierzam z niej rezygnować.

Popatrzyła na niego uważnie i zrozumiała, że mówił poważnie.

- Rozum ci odjęło - sapnęła. - Powiedziałabym, że również i honor, ale ten ostatni dawno już postradałeś. Nie tak cię wychowywałam, nie tak, synu.

- Dość, matko!

- Nie waż się więcej mówić do mnie „matko” - oznajmiła, patrząc na niego chłodno. - Wyrzekam się ciebie. Nie jesteś moim synem. Zdradziłeś nasz ród, służąc Henrykowi, a teraz także i jego zdradzasz, uwodząc mu żonę. Nie jesteś godzien nosić nazwiska twego ojca.

- Wystarczy! - Leonel podniósł głos. - Całe moje dorosłe życie słuchałem tylko o tym, jak bardzo pragniesz zemsty na Henryku. Wlewałaś swoją nienawiść w moje serce, ale dość już.

- Odejdź stąd - nakazała. - Zejdź mi z oczu i pozwól mi umrzeć

w spokoju.

- Jak sobie życzysz, matko. - Ukłonił się przed nią. - I jeśli mogę na pożegnanie o coś cię poprosić, to bądź tak uprzejma i umrzyj szybko.

Odwrócił się i wyszedł. Opuszczając zamek w Klifton, czuł w sobie dziwną lekkość, zupełnie jakby zrzucił z siebie kamień, który od dawna go przygniatał.

Jonka,

3 brzeźnia roku 2078

Henryk spędził zimę w Jonce, przygotowując zapasy i werbując ludzi na planowaną wyprawę wojenną. Administrował dość sprawnie, zostawiając większość spraw w rękach bądź to mianowanego kanclerzem królestwa Leonela, bądź baronów Starej Jonki. Z początkiem miesiąca siekących mrozów pojawiły się w Jonce poselstwa kolejno z Wyszkowa i z Wratymowa. Zarówno jednym jak i drugim Henryk obiecywał pomoc w rozwiązaniu sporów. Wkrótce też ogłoszono publicznie, iż król odpowie na wezwania książąt w Slawinii i ruszy, by rozsądzić ich zatarg.

Armia, którą zgromadził, nie była zwykłym wojskiem, a raczej zbieraniną żądnych sławy i pieniędzy zabijaków, którzy odpowiedzieli na królewskie wezwanie. Perspektywa wojny poza granicami kusila możliwością łatwego wzbogacenia albo zdobycia chwały. Wielu zdolnych do walki, którzy nie mieli zajęcia, skorzystało z okazji. Przybywali zatem do stolicy młodszy synowie z rycerskich rodów, którzy wiedzieli, że jedynie w ten sposób mają szansę na zdobycie majątku. Przybywali ci, którzy ostatni rok od czasu wojny jombsorskiej spędzili, rabując kupców na traktach. Królewskie wezwanie skusiło też wszystkich tych, którym obce było marzenie o spokojnym życiu w rodowym zamku.

Tego dnia na wielkim placu pomiędzy pałacem królewskim a świątynią Halcjona archisolis Marcjon błogosławił króla i jego armię, przyzywając opieki Tarrisa, niezwycięzonego boga wojny, który przyszedł na świat w postaci półczłowieka, a półkonia z mieczem w dłoni i łukiem

przewieszonym przez plecy, jako jeden z trzech najstarszych dzieci Wielkiego Sola i pani Luny. Pozostałymi dwoma byli Ers opiekujący się rolnikami oraz Taor, opiekun kupców i rzemiosła. Tak bowiem wojna, uprawa roli i handel były najstarszymi zajęciami ludzi. Czas, jak mówił archisolis Marcjon, był dla wojny pomyślny. Czerwona Planeta weszła właśnie w gwiazdy Tarrisa, co wróżyło pomyślność każdemu, kto w takim momencie wyprowadzi wojska do ataku. I król Henryk ruszył na czele swojej barwnej armii.

Zjechali ze Wzgórza Natreusza i odprowadzani okrzykami ludu Jonki przebyli trakt u stóp Wzgórza Roberta, a potem przez Stare Miasto i Podwale do Bramy Orrońskiej. Wielu spośród obserwatorów owego pochodu, z dostojnym hrabią Jacobsonem na czele, zastanawiało się, czy najjaśniejszemu panu Henrykowi będzie jeszcze dane zobaczyć stolicę.

PIEŚŃ II

Honor króla

**Pola przed bramami Minadi,
13 trawnia roku 2087**

Henryk siedział wyprostowany na swoim koniu. Za jego plecami powiewały sztandary trzymane przez chorążych. Królewski sztandar Jonki - szkarłatny ze srebrnym orłem oraz jego osobisty - błękitny ze złotym lwem. Na równinie opodal miasta stały w równych szeregach jonkijskie oddziały. Wkrótce miało minąć dziesięć lat, odkąd rozpoczęła się wielka kampania wojenna Henryka. Z początku zamierzał tylko podporządkować sobie Slawinę, bogatą i żyzną ziemię podzieloną między kilkunastu książąt blisko ze sobą spokrewnionych lub powinowaconych, lecz walczących o władzę bez pardonu. Wszedł na ich włości, wykorzystał ich intrygi i pozbawił władzy, a przeważnie również i życia. Tak minęły mu pierwsze trzy lata. Potem ruszył dalej na południe i dotarł aż do podnóży zawsze ośnieżonych Gór Psich oddzielających Marenię od Redondy. Wiele lat grabił i palił owe ziemie, ogałając je ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. W końcu poprzedniego lata stanął pod murami portu Minadi, najbardziej wysuniętego spośród wolnych miast południa. Gród leżał na równinie, w widłach ujścia rzeki zwanej przez miejscowy lud Regaliną. Miał potężne mury z żółtawego kamienia, które strzegły jego zasobów. Oblężenie przedłużało się, ale

w końcu nadszedł ten dzień, gdy wyczerpana załoga poprosiła o negocjacje.

Dziś właśnie twierdza miała skapitulować przed królem Jonki. Gdy ognisty rydwan Wielkiego Sola osiągnął najwyższe tego dnia położenie na nieboskłonie, brama miasta została otwarta. Wyszło przez nią pięciu mężczyzn w podeszłym wieku poprzedzanych przez chorążego dzierżącego biały sztandar z mieczem unoszącym się ponad błękitnymi falami. Szli powolnym, spokojnym krokiem ku swojemu przeznaczeniu. Zbliżyli się do króla Henryka stojącego na czele armii i jeden z nich wysunął się nieco do przodu, po czym zaczął mówić w swoim języku.

- Powiedział, że nazywa się Arebius i że jest pierwszym spośród rady starszych gildii, która włada miastem - stojący obok Henryka tłumacz powtórzył królowi słowa przełożone na jonkijski. - Mówi też, że teraz miasto, wszyscy jego mieszkańcy i jego bogactwa należą do ciebie, panie.

Władca Jonki przyjrzał się uważnie starcowi, który wyjął z rąk chorążego sztandar i podał go Henrykowi. Król siedział nadal nieruchomo, jeden z jego przybocznych podjechał bliżej i wziął chorągiew, po czym wycofał się. Starcy uklękli teraz przed koniem Henryka, a chorąży króla, ten który dzierżył sztandar w barwach królestwa, podjechał do przodu i pochylił go, tak by znalazł się na wysokości oczu klęczących. Arebius podniósł głowę i spojrzał na siedzącego na koniu króla Henryka, który patrzył tylko przed siebie, jakby taksując już, ile złota zdoła wydusić z poddających mu się mieszczan. Arebius tymczasem podniósł dłoń, chwycił rąbek chorągwi w ręce i ucałował ją.

- Henryk! Jonka! - Ryk tryumfu wyrwał się z tysięcy gardeł ludzi króla zgromadzonych na równinie przed miastem. - Chwała!

Król nabrał więcej powietrza w płuca. Wjechał później w bramy miasta, zabezpieczył najcenniejsze przedmioty zgromadzone w skarbcu, po czym zezwolił swoim żołnierzom na dwudniową grabież miasta.

Jonka,

3 czerwień roku 2087

Jakub Jacobson wyszedł właśnie z solaru położonego przy głównym placu Wzgórza Gumuncjusza. Dzielnica ta leżała po przeciwnej w stosunku do Wzgórza Natruesza stronie jednego z kanałów ujściowych Fiuminy. Ustępowała też najstarszej części miasta pod względem splendoru potężnych budowli. Była za to jednym z głównych miejsc targowych i siedzibą większości gildii rzemieślniczych w stolicy. Dostojni panowie, tacy jak Jakub Jacobson czy towarzyszący mu Marius z Elwina albo Gunter z Mikołajewa, rzadko się tu zapuszczali, bo i nie było na Wzgórzu Gumuncjusza nic, co mogłoby ich zainteresować. Dlatego też obaj towarzyszący Jacobsonowi baronowie zdziwieni byli, że na miejsce spotkania wybrał właśnie ten wąski i długi plac. Stali na stopniach świątyni, obserwując uważnie rozwój wydarzeń. Tłum był tego dnia spory, co dziwiło, biorąc pod uwagę fakt, iż nie był to dzień targowy. Nagle jednak na plac wjechały potężne wozy, turkocząc po bruku tak głośno, iż zagłuszały nawet odgłosy wydawane przez tłuszcę. Jacobson powiódł wzrokiem po swoich towarzyszach, przyglądając się, czy na pewno patrzą uważnie. Stojący na jednym z wozów gwardzista ubrany w barwy królewskie podniósł wieko jakiejś skrzyni, zaczerpnął z niej garść monet i rzucił je przed ludzi. W tym momencie przez zgromadzony tłum przebiegł dziwny skowyt. Przez kilka kolejnych chwil na środku placu trwała prawdziwa bitwa. Gwardziści rozrzucaли z wozów monety, kosztowności i inne wartościowe przedmioty, o które walczyli prostaczkowie. Po chwili oprócz wycia dostojni panowie usłyszeli wydobywające się z tysiąca gardeł miarowe skandowanie:

- Henryk! Henryk! Henryk!

- Nasz król! - Dobiegało też co chwilę. - Niech go Regul zachowa!

Nasz najjaśniejszy pan!

Jakub spojrzał wymownie na swoich druhów.

- Łatwo jest zadowolić plebs - odezwał się w końcu Marius z Elwina, krzywiąc się przy tym.

- Tak, przez chwilę motłoch będzie szczęśliwy i wdzięczny hojnemu

władcy - odparł spokojnie Jacobson. - Poczekaj jednak, aż skończą się zdobyczne błyskotki. Henryk wróci do miasta i zacznie się szara rzeczywistość. Wtedy ten sam tłum nie będzie już tak chętny do wychwalania króla.

- Sądysz, że Henryk w końcu wróci? - spytał Gunter z Mikołajewa.

- Jeśli prawdą jest, że zdobył Minadi, to nie zostało mu już miast do splądrowania po tej stronie Gór Psich, a żeby iść dalej, musiałby zgromadzić znacznie większe siły - odparł Jacobson. - Poza tym zapewne docierają do niego sygnały o poczynaniach zarówno naszych, jak i przekłętego Lokrydza. Wątpię, aby dłużej to lekceważył. Podbił Minadi, przysłał nam wozy z łupami, kupując sobie po raz kolejny chwilową przychylność ludu. To znakomity czas na wielki powrót króla do stolicy.

- Nie wróży nam to dobrze - mruknął Marius z Elwina.

- Może tak, może nie. Ja osobiście żywię nadzieję, że jest w tym królestwie ktoś, kto życzy sobie powrotu Henryka jeszcze mniej od nas. - Jakub uśmiechnął się, po czym zwrócił się do Guntera. - Czy kanclerz Lokrydź odpowiedział już na mój list?

Berleujście,

5 czerwca roku 2087

Księżniczka Łada za raptem dwa księżyce miała skończyć czternaście lat. Nie wyglądała już jak dziecko, ale jak młoda kobieta. Miała też już chyba świadomość siły, jaką jej uroda wywierała na mężczyznach. Idąc, potrafiła tak zakreślić biodrami, by przykuć wzrok strażników. Umiała również zatrzepotać rzęsami, tak że serce najtwardszego nawet męża miękło i naginało się do jej woli. Choć archisolis Prochor patrzył na to z dezaprobatą, to inni podchodzili wyrozumiale do zachowania młodej księżniczki. Większe zdumienie budziło jej zamiłowanie do ksiąg i do wiedzy. Bo w końcu czy widział ktoś, by dziewczynkę uczyć na równi z chłopcami? Sam Prochor zastanawiał się czasem, jak to się stało, że raz, w chwili słabości dane pozwolenie na jej udział w lekcjach

przerodziło się szybko w stały zwyczaj. Jeszcze bardziej dziwiło go, gdy od Filomena słyszał, że królewska córka ma naprawdę chłonny umysł, szybko przyswaja wiedzę i czyni zdumiewające postępy, wcale nie mniejsze od jej starszego brata. Jako człowiek poświęcony służbie bogom, a więc i uczony, wiedział bowiem Prochor dobrze, iż umysł dziewczynek nie jest tak rozwinięty jak męski. Wszystkie księgi traktujące o naturze ludzkiej podkreślały tę różnicę. Łada najwyraźniej stanowiła wyjątek i tylko znakami, jakie towarzyszyły jej narodzinom, mógł sobie czcigodny kapłan wyjaśnić wyjątkowość księżniczki.

Trwała właśnie jedna z lekcji. Filomen stał przy oknie wpatrzony w poruszające się na trakcie u stóp kasztelu postacie kupców i mieszczan. Z mierną uwagą słuchał, jak uczennica recytuje listę najważniejszych zamków królestwa jej ojca. Odpytywał ją z geografii.

- No dobrze, a jakie stancje strzegą zachodniej granicy? - spytał, gdy Łada skończyła wyliczankę.

- Zachodniej granicy nie muszą strzec zamki, od zachodu naszą granicą jest morze - odpowiedziała, nie dając się złapać w jego pułapkę.

- Jakie morze?

- Morze Słoneczne - odparła bez namysłu - zwane tak dlatego, że słońce zachodzi w jego falach.

Filomen pokiwał głową. Próbował znaleźć jakieś kolejne pytanie, które mogłoby zaskoczyć księżniczkę, ale nie mógł niczego wymyślić. Coraz trudniej przychodziły mu lekcje z nią. I nie tylko dlatego, że musiał wiele się natrudzić, by złapać ją na niewiedzy. Był jeszcze inny powód. Dopóki była tylko małą dziewczynką, spoglądał na nią jak na dziecko, ale w ciągu ostatniego roku zmieniła się niemal zupełnie. Całkowicie odmienił się jej wygląd. Delikatne piersi wyraźnie rysowały się pod jedwabną tkaniną sukni, kusząc jego wzrok. Jej biodra zaokrągliły się, a w talii pojawiło się wspaniałe wcięcie. Z każdym miesiącem coraz bardziej stawała się kobietą. Ileż to nocy spędzał, wyobrażając sobie, że jej szelmowski uśmiech, spojrzenie, które puszczała mu spod długich, jasnych rzęs, było czymś więcej niż tylko grą nastoletniej dziewczyny. Te myśli przynosiły najpierw ogarniającą go falę ciepła, która szybko

zmieniała się w złość i poczucie winy. Był kapłanem, nie powinien w ogóle snuć takich marzeń. Później wiele godzin spędzał, zadając sobie rozmaite pokuty. Niczego to jednak nie zmieniało.

- Solisie? - spytała Łada, wrywając go po dłuższej chwili z zamyślenia.

- Tak, księżniczko? - odparł, starając się, by jego głos nie zdradził emocji.

- Czy to już wszystko na dziś?

- Oczywiście - uśmiechnął się. - Chyba, że masz do mnie jakieś pytania, panienko?

Łada zmarszczyła czoło. Znał ten gest na tyle, by wiedzieć, że dziewczyna właśnie szuka w myślach pytania, które chciała mu zadać.

- Ostatnio przeczytałam, że w Górach Kamiennych żyły kiedyś smoki, czy to prawda? - spytała po chwili.

- Księżniczko... - Nauczyciel załamał ręce, w takich momentach znów wydawała się tylko naiwnym dzieckiem. - Smoki to tylko legenda. Nie należy wierzyć legendom.

- Ale...

- Nie ma „ale”, panienko - przerwał stanowczo. - Smoki, jak inne magiczne stworzenia, to tylko wymysł bazarzy. Kolegium w Jonce naucza, że grzechem jest dawać posłuch takim głupotom.

- Skoro kolegium tak naucza, to dlaczego jednocześnie w Wielkiej Świątyni czczony jest miecz króla Gumuncjusza, który, jak sam czcigodny archisolis przyznaje, został wykuty w smoczym ogniu?

Filomen otworzył usta, nie zdołał jednak znaleźć odpowiedzi. Łada uśmiechnęła się pod nosem. Uwielbiała wprawiać solisa w zakłopotanie. Powoli wstała od pulpitu, ukloniła się swojemu nauczycielowi i z poczuciem spełnionej misji wybiegła z komnaty.

Ofka nie miała czasu wysłuchać kolejnej porcji narzekań Filomena na impertynencje starszej córki. Ten wieczór spędzała z Leonelem zamknięta w swojej prywatnej komnacie. Żegnali się przed jego wyjazdem na zgromadzenie baronów, które zwołał. Oficjalnie miał umilić

jej czas, towarzysząc w grze w warcaby. Później przeszli do bardziej intymnych zabaw. W końcu po prostu leżeli w jej łóżu przytuleni do siebie. Ofka pocałowała go w ramię, po czym przyłożyła głowę do jego piersi.

- Przejeżdżałam wczoraj przez miasto - odezwała się cicho. - Na trakcie bankierów widziałam parę kochanków, szli trzymając się za rękę, na ich twarzach gościły uśmiechy. Jakże im zazdrościłam! - szeptała.

- Czego? - Uśmiechnął się.

- Tego, że mogą pokazać swoje miłowanie całemu światu - powiedziała. - My nigdy nie będziemy mogli chwycić się za rękę, po prostu uśmiechnąć się do siebie, nie mówiąc o pocałunku - wyliczała. - Tak bardzo mi czasem źle z tym, że nigdy nie założysz mi pierścienia na palec.

- Przecież w sercach jesteście sobie poślubieni - pocieszał ją. - To wystarczy.

- Wystarczy - powtórzyła. - Na jak długo?

Podniosła się i usiadła. Spojrzała gdzieś daleko w przestrzeń.

- Myślałeś kiedyś, co z nami będzie, gdy Henryk wróci z wojny? - spytała w końcu wprost. - Oboje wiemy, że to już niebawem.

- Boisz się go? - spytał.

Ofka zamyśliła się. Musiała przyznać, że był czas, kiedy kochała Henryka. Chyba niedługo po ślubie. Urodziła mu wtedy córkę, a potem drugą. Później on wyjechał na wojnę jomsborską, następnie przebywał jakiś czas w Jonce, gdzie walczył o koronę, a jeszcze później wyjechał na swoją kampanię i od tego czasu ledwie kilka razy wracał na dwór. Zawsze na krótko. Za przedostatnim razem, blisko sześć lat temu, znów zaszła w ciążę i w końcu urodziła syna. Choć prawdę mówiąc, sama przed sobą nie do końca mogła przyznać, że jest pewna, czy tak to właśnie było. Henryk, którego dla odróżnienia od ojca nazywano Młodszym, urodził się przecież w siódmym miesiącu, a całkiem był rozwinięty. Zawsze się nad tym zastanawiała. Patrząc w twarz kanclerza, stale doszukiwała się w swoim synu podobieństwa do niego.

- Nie wiem, co czuję do męża - powiedziała po długim namyśle. -

Skłamałabym, mówiąc, że był dla mnie zły. Może to dziwne, ale nie potrafię go nienawidzić. – Odgarnęła włosy opadające jej na twarz i spojrzała na Leonela. – Pewna w tym wszystkim jestem tylko jednego: moje serce należy do ciebie, nie do Henryka.

Wyszogród nad Rawą, 23 czerwca roku 2087

Jacobson istotnie doczekał się odpowiedzi od kanclerza Leonela Lokrydza. List był jednak zdawkowy i w zasadzie ograniczał się do zaproszenia na zgromadzenie baronów królestwa, które tym razem zwołano do Wyszogrodu nad Rawą. Było to średniej wielkości grodzisko położone na pograniczu Rozanii i Porawia, o jakieś czterdzieści kilka mil jonkijskich na wschód od Rozamunde. Baronowie Starej Jonki nie byli szczęśliwi, że muszą wyprawiać się w rejony, które w ich mniemaniu były jedynie w pół dzikimi rubieżami królestwa, jednakowoż sprawy wydawały się na tyle ważne, że postanowili ruszyć na wezwanie kanclerza i to w jak największej sile.

Tego dnia otwierano właśnie obrady. Archisolis Marcjon, który również przybył, jako najdostojniejszy z grona dwunastu świętych mężów służących bogom rozpoczął od wygłoszenia modlitwy, w której upraszał Wielkiego Sola, by obdarzył ich swym życiodajnym światłem oraz błagał Regula, króla królów, aby dał im mądrość potrzebną do podjęcia decyzji w ważnych dla królestwa sprawach. Później zbiorowo złożyli przysięgę, w której obiecali służyć królowi radą zgodnie ze swą najlepszą wiedzą. Podniosła atmosfera szybko jednak prysła, a to za sprawą przemówienia dostojnego pana Jacobsona, który otrzymał głos zaraz po sprawozdaniu złożonym przez kanclerza.

– Powiedz nam, dostojny kanclerzu, skoro przybyliśmy tu doradzać królowi, dlaczego to król Henryk nie zaszczycił nas swą obecnością? – spytał wprost, wskazując na puste krzesło na najwyższym stopniu podwyższenia. – Dlaczego ty sam zwołujesz zgromadzenie? Dlaczego ty

składasz nam wyjaśnienia? Cóż takiego zatrzymuje najjaśniejszego pana? Czy nie dość ma wojny? Nie dość łupów, którymi kupuje przychylność tłuszczy? - Każdemu z jego pytań odpowiadały okrzyki poparcia wykrzykiwane przez baronów Starej Jonki. - A może wciąż brakuje nowych ziem, które rozdaje szczerze wielu z tu obecnych? - Tym razem okrzyki oburzenia dały się słyszeć od strony, gdzie siedzieli panowie z Lirwelii. - Powiadam, wezwijmy Henryka, by stawił się na naszym zgromadzeniu. Niech przybędzie tutaj i zda nam relację ze swoich poczynań!

Na sali znów podniósł się harmider od okrzyków to jednej, to znów drugiej strony. W końcu jednak Leonel Lokrydź, siedzący jako kanclerz na środku, na krześle ustawionym poniżej podwyższenia, na którym umocowano pusty tron, podniósł rękę i przemówił:

- Dziękuję bogom, widząc, że zachowują cię w dobrej formie, dostojny panie Jakubie - uśmiechnął się. - Co zaś do twego, mości hrabio, wniosku, to powiem wprost: nie zamierzam tracić czasu tak potrzebnego dla omówienia istotnych dla korony kwestii. W imieniu króla nie zezwalam na poddanie twego wniosku pod głosowanie!

Po tych słowach znów potężna wrzawa podniosła się w sali obrad. Bezskutecznie kanclerz Leonel próbował uspokoić zebranych.

- Cisza! - Potężny krzyk wzbił się nagle ponad krzyki baronów i wszystkie spojrzenia utkwily w stojącym Jerzym von Kolbiem, księciu Obojga Hazenii. - Czy my jesteśmy jak te przekupki na targu, że musimy krzykiem rozmowy prowadzić?! - krzyczał dalej Jerzy. - Odgrażacie się królowi Henrykowi za to, że obdarowuje lud, a sami zapominacie o swoich powinnościach wobec waszych poddanych! - Oskarżycielsko wbił palec w Jacobsona, który mierzył go wściekłym spojrzeniem. - Zgadzam się z panem kanclerzem - oznajmił von Kolbie spokojniejszym już tonem. - I ja nie pozwolę, by w ten sposób pisać do króla, który był i jest mi przyjacielem.

Jego wystąpienie ostudziło nieco atmosferę, tak że Leonel Lokrydź mógł przejść do dalszych spraw.

**Berleujście,
25 czerwca roku 2087**

Tego roku, w miesiącu kwitnących kwiatów, królewicz Grzegorz skończył dwadzieścia lat. Był młodzieńcem nad wyraz udanym. Każdy król mógłby być zadowolony, mając w perspektywie objęcie tronu przez takiego następcę. I Henryk w istocie był szczęśliwy, choć gdyby spytać o to Grzegorza, odpowiedziałby zapewne, że jego królewski ojciec go nie docenia. Dodatkowo była jeszcze Ofka, macocha Grzegorza, która nigdy nie była mu serdeczna, a od czasu, gdy pięć lat temu po dwóch córkach nareszcie urodziła własnego syna, szukała tylko pretekstu, by pozbyć się pasierba.

Henryk uległ w końcu i pod naciskiem swojej żony i kanclerza przysłał trzy lata temu list, w którym mianował Grzegorza kasztelanem w Pilźnie, średniej wielkości grodzie na Wysoczyźnie, to jest w zachodniej części hrabstwa Lirwelii. Niepocieszony królewicz musiał opuścić dwór. Spędził jednak ten czas owocnie. Mając możliwość samemu dobrać sobie doradców, zdołał zbudować całkiem udany zespół. Mądrym gospodarowaniem zaskarbił sobie łaski pilźnieńskiego ludu. Nabral też niestety złych nawyków, bo o ile dni spędzał na obowiązkach, o tyle wieczorami zabijał czas pijaństwem i wycieczkami do miejscowych zamtuzów.

W końcu jednak wieści, jakie otrzymał o zwycięstwie ojca pod Minadi i o zgromadzeniu baronów w Wyszogrodzie, skłoniły go, by wrócić do Berleujścia. Wjeżdżał właśnie do miasta od zachodu, przez Bramę Czerwoną, zwaną tak od koloru cegieł, z których była zbudowana. Wszystkie inne wzniesiono z kamienia. Pokonał główny trakt i wjechał główną bramą na zamek. Zeskoczył z konia i powiódł wzrokiem wokoło.

- Serdeczne powitanie - mruknął do siebie, widząc, że nikt nie wyszedł mu naprzeciw. - Nie ma to jak w domu...

Słudzy, kłaniając mu się, odebrali od niego konia. Grzegorz skinął na swoich ludzi, dając im znak, by zajęli się obowiązkami, po czym ruszył

powoli przed siebie, rozglądając się w poszukiwaniu zmian, jakie poczyniono na zamku w czasie jego długiej nieobecności. Nagle usłyszał za sobą, że ktoś woła go po imieniu.

- Grzeszku! Braciszku! - Dźwięczny dziewczęcy głos brzmiał na dziedzińcu. Nastoletnia dziewczuszka biegła ku niemu, trzymając w rękach podkasaną suknię.

- Łada! - wykrzyknął na widok młodszej siostry.

Doskoczyła do niego i od razu rzuciła mu się w ramiona. Podniósł ją i okręcił wokół własnej osi.

- Jak dobrze, że chociaż ty mnie witasz, siostrzyczko! - Uśmiechnął się, stawiając ją z powrotem na ziemi.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że przyjechałeś! - pisnęła. - Tak dawno cię nie widziałam, że strasznie się za tobą stęskniłam! Gdy powiedziano mi, że widać twoją chorągiew na trakcie miasta, serce szybciej mi zabiło. Rzuciłam wszystko i przybiegłam!

Jak zwykle mówiła dużo, szybko i nieco nieskładnie, co go rozbawiło. Miał jej coś odpowiedzieć, ale za plecami usłyszał znowu słowa powitania.

- Księżę... - Tym razem kobiecy głos był tak chłodny, iż nie musiał nawet się odwracać, by wiedzieć, że należał do królowej Ofki.

- Pani - odparł, ledwo skinąwszy jej głową.

- Córkó, dlaczego zachowujesz się w taki sposób, tyle razy cię przestrzegałam - ofuknęła Ładę poirytowanym tonem. - Chodźmy już, jesteś mi potrzebna.

Ofka obrzuciła tylko Grzegorza wrogim spojrzeniem i ruszyła przed siebie, zamiatając dziedziniec suknią.

- Do zobaczenia później, Grzeszku... - szepnęła księżniczka Łada i ruszyła za matką.

Do wieczora nastrój Ofki nie poprawił się. Stała na środku swojej prywatnej komnaty, bębniąc palcami o blat stolika. Od godziny bezskutecznie usiłowała wezwać Ładę, ale słudzy zgodnie twierdzili, że jakby zapadła się pod ziemię. W końcu drzwi komnaty się otwały i weszła księżniczka, rumiana i uśmiechnięta, tak że Ofka odgadła, że

znów biegła albo jeździła konno. Skrzywiła się i rzekła:

- Skaranie z tobą, dziewczyno - mruknęła. - Gdzie znowu cię wyniosło?

- Wybacz, matko, byłam u Filomena, miałam lekcję... arytmetyki - odparła Łada.

- Jeszcze bezczelnie kłamiesz! - Ofka pokręciła z niezadowoleniem głową. - Na panią Karsę przyrzekam, że następnym razem każę ci dać lekcję różgą!

Łada spuściła na chwilę wzrok, choć z trudem zdusiła uśmiech, jaki pojawił się jej na ustach.

- Byłaś u Grzegorza, prawda? - spytała po chwili matka.

- A nawet jeśli, to co z tego, matko? - odpowiedziała hardo dziewczyna. - Przecież Grzeszko to mój brat!

- To jest twój brat! - podniosła głos Ofka, wskazując palcem na pięcioletniego Henryka Młodszego, który siedział na podłodze, bawiąc się czymś. - I powinnaś robić wszystko, by to jemu pomóc! Ten twój Grzegorz jest dla niego zagrożeniem! Nie rozumiesz tego?!

Łada nie odpowiedziała. Nie podzielała lęku matki, która wielokrotnie wcześniej mówiła już o swoich obawach dotyczących tego, że Grzegorz może chcieć zrobić krzywdę jej synowi.

Nie tylko Ofce przyszło zmierzyć się z wizytą niemile widzianego gościa. Solis Filomen skończył właśnie wieczorną modlitwę w archisolarze. Wstał z klęczek i otrzepał ścierpnięte kolana z kurzu. Wyszedł ze świątyni i skierował swoje kroki w kierunku zamku. Słońce dopiero co schowało się za horyzontem. Ciepły wieczór kusił zapachami lata. Kapłan lubił tę porę roku. Gorące dni sprawiały, że krew szybciej krążyła w jego żyłach. Przeszedł przez dziedziniec i ruszył po schodach na piętro. Przy wejściu na krużganki niemal zderzył się księżniczką Ładą. Miała nadąsaną minę.

- Proszę o wybaczenie, panienko. - Uśmiechnął się, sądząc, że przyczyną jej złego humoru jest owo niefortunne spotkanie w przejściu.

Łada tylko zmierzyła go chłodnym spojrzeniem, przepchnęła się

przez drzwi i szybkim krokiem ruszyła przed siebie, mamrocząc pod nosem coś, co przypominało przekleństwa. Powinien był zatrzymać uczennicę i zganić za tego rodzaju zachowanie, ale zamiast tego tylko się uśmiechnął. Przez chwilę wiódł wzrokiem za jej znikającą postacią, podziwiając grację ruchów.

- Solisie, dobrze, że cię znalazłem - oznajmił gwardzista, przerywając kapłanowi rozmyślenia o księżniczce. - Jakiś człowiek od południa oczekuje na ciebie w wartowni.

Filomen westchnął ciężko. Chcąc nie chcąc, powlókł się za strażnikiem. W izbie, do której go zaprowadzono, panował już półmrok. W słabym świetle pochodni Filomen dostrzegł w rogu podnoszącą się z krzeselka postać szczupłego, choć krzepkiego młodego mężczyzny. Zmrużył oczy i uważnie przyjrzał się przybyszowi.

- No proszę, ważny człowiek, kto by pomyślał, Filomenie! - roześmiał się tamten. - Sługa samego archisolisa i doradca najjaśniejszego pana!

Kapłan spojrzał na niego spode łba. Przypatrywał się rysom twarzy młodzieńca odzianego w prostą kolczugę narzuconą na skórzany, mocno znoszony kaftan.

- Nie poznajesz mnie? - spytał zaskoczony milczeniem solisa gość.

- Poznaje - mruknął Filomen. - Co nie znaczy, że raduje się na twój widok. Po co tu przyjechałeś, Lucjuszu?

- To chyba oczywiste, chciałem spotkać się z przyrodnim bratem, co w tym dziwnego? - odparł szybko.

Filomen lustrował go uważnie wzrokiem. Ile go nie widział? Spotkali się może z trzy razy, odkąd na życzenie jego matki ojciec odesłał Filomena do szkoły świątynnej przed prawie siedemnastu laty. Pamiętał tłustego dzieciaka, który ledwo składał zdanie, a potem przyszczatego nastolatka, który marzył o zostaniu rycerzem. Teraz miał przed sobą rosłego młodzieńca z mieczem u boku. Ile on właściwie mógł mieć lat? Osiemnaście, dwadzieścia? Nie, na pewno odrobinę więcej.

- Matka zmarła przed rokiem - odezwał się znowu Lucjusz. - Ojciec znów się ożenił i...

- No proszę, ma krzepę nasz kochany ojczulek - roześmiał się nagle

Filomen, choć zupełnie nie czuł radości. Domyślał się już, iż to niełaska rodziciela zmusiła młodszego brata do szukania szczęścia na dworze. Ta złośliwa satysfakcja, że Lucjusza spotkał ten sam los, poprawiła nieco nastrój kapłana. – W porządku, powiedz wprost, czego ode mnie chcesz? Mam ci znaleźć zajęcie na dworze?

Lucjusz spuścił głowę. Najwyraźniej bezpośredniość słów starszego brata zaskoczyła go.

– Tak – szepnął, po czym dodał głośniejszym głosem – bardzo cię proszę, żebyś mógł mnie polecić na służbę w zamkowej gwardii.

Wyszogród nad Rawą, 26 czerwca roku 2087

Możnowładcy królestwa Jonki opuszczali już Wyszogród po kilkudniowych obradach, z których niewiele wynikało. Leonel Lokrydż nadzorował właśnie służbę ładującą jego podróźny dobytek na wóz, gdy podszedł do niego Jakub Jacobson w towarzystwie Mariusa z Elwina.

– Witaj, kanclerzu. – Uśmiechnął się na powitanie.

– Dostojni panowie – odpowiedział pozdrowieniem Leonel – czym zawdzięczam sobie waszą wizytę?

Jacobson spojrzał na Mariusa i ten zaczął mówić.

– Pamiętasz może moją córkę, kanclerzu? – spytał wprost. – Ma już szesnaście wiosen i planuję wydać ją korzystnie za męża. Mój druh, pan Jakub, wspomniał mi, że od śmierci dostojnej pani Augusty, oby bogowie karmili ją miodem, pozostajesz, panie, samotnym...

Leonel uśmiechnął się pod nosem. Sugestia była aż nadto czytelna.

– Zaszczycasz mnie, panie Mariusie – mruknął tylko Leonel.

– Kanclerzu, gdybyśmy mogli porozmawiać – nalegał Jakub.

Leonel gestem ręki zachęcił ich, by przeszli się po dziedzińcu.

– Ani ty sam, ani my, baronowie Starej Jonki, nie poradzimy nic na króla Henryka, kiedy już zdecyduje wrócić – zaczął wprost, choć ściszonego głosem Jacobson.

- Można by pomyśleć, że dostojny pan ma na myśli zdradę... - przerwał mu Leonel. - Takie słowa mogą być niebezpieczne.

- Czasy też są niebezpieczne - zauważył hrabia Bytowa. - Należy ostrożnie dobierać zarówno słowa, jak i sojuszników, nieprawdaż, dostojny kanclerzu? - Uśmiechnął się, jakby chciał nadać rozmowie pozory żartu. Po chwili znów spoważniał i dodał: - Nie twierdzę, że ty masz w planach przeciwstawić się królowi, kanclerzu, ale gdybyś chciał...

- Gdybym chciał, i tak bym was nie potrzebował, dostojni panowie. - Leonel Lokrydź uśmiechnął się szeroko. - Jestem kanclerzem korony. Sam król dał mi nieograniczoną władzę. Jednym skinieniem mogę zwołać armię i ruszyć na jego wysokość, jeśli mi się zamarzy - mówił. - Ale w przeciwieństwie do ciebie, panie, korona mi się nie marzy.

- Masz rację, Leonelu - zwrócił się do niego znowu Jacobson. - To ty masz rzeczywistą władzę w królestwie. Pamiętaj jednak, że ja trzymam w garści stolicę. Sprzymierz się ze mną, a wtedy Henryk zostanie z niczym. Lud też wkrótce go opuści, gdy tylko skończą się łupy z południa do rozdania.

- A kogóż obchodzi, kogo poprze lud? - Leonel nagle się roześmiał. Jacobson spojrzał na niego dziwnie.

- Nie ma nic ważniejszego, kanclerzu - odparł mu tylko.

**Trakt opodal Wysokiej Hazeńskiej,
pod wieczór,
29 czerwca roku 2087**

Bracia von Kolbie trzeci dzień byli w drodze. Z Wyszogrodu ruszyli najpierw na Rozamunde, a stamtąd przez Lubień w kierunku ziem hazeńskich. Obaj dostojni panowie z rodu von Kolbie z radością przyjęli, że tego dnia dotarli z powrotem do swoich włości. Mało ze sobą rozmawiali po drodze. Jerzy myślał wciąż o królu Henryku, zajęty bowiem przez ostatnie lata sprawami swojego księstwa, mało orientował

się w sytuacji na dworze i zaskoczyło go, że panowie Starej Jonki aż tak na monarchę nastawali. Z kolei jego młodszy brat, Cecyl, nosił w sobie złość z powodu wystąpienia Jerzego. Uważał bowiem konsekwentnie, że ów dziwny alians między Hazenią a rodem Henryka Lirwelijczyka przynosił więcej szkód niż pożytku.

- Dziś przenocujemy w Wysokiej - odezwał się Jerzy - a jutro spokojnie ruszymy o poranku i po południu zjedziemy z powrotem do Lensburga. Lękam się, powiem ci, bracie, co tam zastanę.

Od śmierci żony półtora roku temu Jerzy rzadko opuszczał swój zamek. Bardzo brakowało mu pani Klaudii, bo choć poślubił ją tylko z rozkazu ojca dla wzmocnienia więzi między dwoma wielkimi rodami Hazenii Dolnej, to jednak z czasem pokochał ją szczerze. Dała mu dwóch wcale udanych synów. Pragnął jeszcze córki, może z przekory, a może dlatego, że kiedyś król Henryk napomknął, że z chęcią widziałby córkę swego druha jako żonę następcy tronu. Starali się więc Jerzy i Klaudia o kolejne dziecko, ale bogowie im nie sprzyjali. Wielekroć jeździli do świątyni Karsy, pani ciąży i połogu, dając na ołtarz bogate dary, ale nic z tego nie wynikało. A gdy w końcu się udało, radość szybko zmieniła się w gorycz, bo ciąża była trudna, a poród tak skomplikowany, że nawet mimo pomocy najlepszych medyczek dziewczynka urodziła się martwa, a dzień po niej i dostojna pani Klaudia wyzionęła ducha. Źle się to odbiło na chłopcach. Zwłaszcza na młodszym, który od tego czasu chciał spędzać czas jedynie na modlitwach. Dopiero po chwili Jerzy von Kolbie ocknął się z zamyślenia i odnotował, że brat nic mu nie odpowiedział.

- Nic mi nie powiesz, Cecylu? - spytał go wprost. - Aż tak ci dopiekło, że stanąłem w obronie króla?

- Powiedz mi, mój bracie, kiedy to ostatnio widziałeś Henryka? - spytał Cecyl, przypatrując się bratu, który w myślach próbował sobie przypomnieć ostatnie spotkanie z dawnym towarzyszem broni. - No właśnie. Minie wkrótce dziesięć lat, jak król opuścił Jonkę, zebrał wielką armię i ruszył na swoją wojnę. Dziesięć lat w polu. Wiele zwycięstw, ale i kilka porażek. Znasz wojnę lepiej ode mnie, Jerzy, sam powiedz, czy to nie odmieniłoby każdego?

- Co sugerujesz?

- Tylko tyle, że Henryk, który wróci, będzie już innym Henrykiem - odparł Cecyl. - I obawiam się, że może się nam nie spodobać.

- Co więc twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

- Dziesięć lat temu Henryk obiecywał, że gdy przyjdzie czas, wyniesie na tron swojego syna, w którego żyłach płynie krew Roberta Prawego. Może już pora, by spełnił tę obietnicę? - spytał Cecyl.

- Nie robi tego. - Jerzy potrząsnął głową - Założył koronę Jonki z próżności, sam to przyznaję, i choć w istocie niewiele dla Jonki zrobił, zdając się na rządy innych, to nigdy jej dobrowolnie nie odda. Będzie rządził, póki mu starczy tchu w piersiach.

Cecyl lekko się odprężył i uśmiechnął. Pierwszy raz od dawna zgodził się ze swoim bratem.

Orrońsk,

1 lipnia roku 2087

Orrońsk był jednym z najstarszych miast królestwa. Położony na trzech wyspach pośrodku rzeki Fiuminy, z których jedną zajmował zamek, drugą archisolar wraz z pałacem archisolisa, a trzecią właściwe miasto. W ciągu ostatnich dekad gród rozbudowywał się już na prawym brzegu rzeki, choć ta dzielnica nie doczekała się jeszcze obwarowania murami. Dostojni panowie Jakub Jacobson, Marius z Elwina i Gunter z Mikołajewa zjechali właśnie do Orrońska w swojej drodze powrotnej z Wyszogrodu i zatrzymali się tu na nocleg. Jacobson miał nietęgą minę. Zły był na kanclerza Lokrydza. Nie dość, że grubiańsko odmówił propozycji sojuszu, to jeszcze śmiał wywyższać się ponad nich, baronów Starej Jonki. „Jakże to lirwelijskie tałatajstwo się rozpanoszyło między porządnymi rodami...” - myślał sobie Jakub Jacobson przez całą dotychczasową drogę. Tego wieczora czuł się zmęczony długą podróżą, co potęgowało jego zły nastrój.

- Zbyttno się tym wszystkim trapisz, Jakubie, mój przyjacielu -

odezwał się w końcu Gunter widząc, że hrabia Bytowa coraz bardziej pograża się w swoich posepnych myślach.

- Wybaczcie mi, panowie - odparł w końcu Jacobson. - Nie mogę zapomnieć tego, jak grubiańsko potraktował nas ten pies, Lokrydź! A z nas wszystkich to przecież on powinien najbardziej obawiać się powrotu Henryka! - mówił. - Wszak ma chyba na tyle rozsądku, by rozumieć, że król nie będzie tolerował jego wszechwładzy, gdy już wróci.

- Nie wiadomo - mruknął Marius. - Kto tam wie, czego Henryk będzie chciał? Może sam uchwyci ster władzy i wówczas Lokrydź nie będzie mu już potrzebny, a może wręcz przeciwnie - uzna za wygodne, aby nadal rządził w jego imieniu.

- Ja również uważam, że może o tym zdecydować przypadek - zgodził się z nim baron Mikołajewa.

- Nie lubię zostawiać takich spraw przypadkowi - mruknął coraz bardziej zasepiony Jacobson.

- Zatem nie zostawiaj - Marius z Elwina uśmiechnął się. - Sprowokuj króla do działania... - Sam się zastanowił nad swoim pomysłem. - Dajmy na to pošlij Henrykowi prezent w imieniu kanclerza.

- Prezent? - zmarszczył czoło Jacobson.

- Pomyślmy, co zrobiłby Henryk, gdyby jakiś sługa kanclerza spróbował go zgładzić? - szepnął Gunter, podchwyciwszy myśl swego druha.

Berleujście,

1 lipnia roku 2087

Filomen nakazał bratu wrócić za kilka dni. Początkowo zamierzał nic nie uczynić i powiedzieć Lucjuszowi, że nie zdołał przekonać dowódcy straży. Potem jednak zaczął kalkulować w myślach korzyści płynące z umieszczenia w gwardii królewskiej swojego protegowanego. Oczywiście nie mógł być pewnym, że głupkowaty brat okaże lojalność. Mimo wszystko warto było spróbować, ryzykował tylko tyle, że będzie

musiał zrewanżować się przysługą dowódcy straży.

Lucjusz przybył do zamku najszybciej, jak tylko mógł, po tym jak otrzymał wezwanie od brata. Filomen nie chciał rozmawiać z nim w komnatach, gdzie czyhało zbyt wiele par ciekawskich oczu i uszu. Przeszli więc do ogrodów, gdzie o tej porze można było zaznać kojącego cienia drzew.

- Nawet nie wiesz, ile zachodu kosztowało mnie przekonanie dowódcy gwardii! - sapnął Filomen, w myślach dodając: „Całą jedną rozmowę. Głupcowi brakuje ludzi, ledwie ma kim obstawiać warty”. - Jestem teraz winien przysługę temu człowiekowi, co stawia mnie w kłopotliwej sytuacji.

- Bardzo ci dziękuję, bracie - odparł bez namysłu Lucjusz. - Obiecuję, że cię nie zawiodę. I oczywiście możesz liczyć na moją wdzięczność.

- Och, oczywiście, oczywiście. - Filomen westchnął lekko. - Choć zupełnie nie wiem, co mógłbyś dla mnie zrobić.

- Cokolwiek, naprawdę - zapewnił młodszy z braci. - Zrobię wszystko, czego tylko będziesz sobie życzył. Naprawdę nie sądziłem, że aż tak się zaangażujesz, by...

- Dobrze, już dobrze - mruknął Filomen zmęczony jego dziękczynieniami. - Później pomyślimy, jak mogę cię... Co mógłbyś dla mnie zrobić. - Filomen omal się nie przejęzyczył, a ostatnią rzeczą, jakiej chciał, było wyjawianie bratu prawdziwych intencji. Solis wiedział bowiem doskonale, że w stosownym momencie wykorzysta młodzieńca do swoich celów. - Lepiej już wracajmy, mam mnóstwo zajęć.

Ruszyli z powrotem w kierunku zamku. Nie uszli daleko, gdy usłyszeli szczebiot dziewcząt siedzących na trawie w cieniu drzew. Filomen nie zdążył nawet ostrzec brata, iż wiodąca prym nastolatka jest córką króla, gdy Łada zawołała do nich:

- Filomenie, bogowie mi cię zesłali! - zaćwierkała. - Powiedz nam, mój mądry nauczycielu, bo właśnie się zastanawialiśmy z dwórkami, od ilu pocałunków można stać się brzemienną.

Siedzące obok niej dziewczęta z trudem zdusiły śmiech. Filomena aż

w środku zagotowało. Nie znosił, gdy królowna drwiła z niego w ten sposób, a ostatnio coraz częściej jej się to zdarzało.

- Nie sądzę, księżniczko, by ten temat był stosowny dla panien w twoim wieku - odparł, starając się pozostać opanowanym. - Jestem przekonany, że gdy nadejdzie odpowiedni czas, twoja królewska matka wszystko ci wyjaśni.

- Oczywiście. - Usta Łady rozszerzył z pozoru niewinny uśmiezek. - Tak sądziłam, że nie możesz nam pomóc w tej kwestii. Wszak jesteś kapłanem.

Wybuch śmiechu jednej z dwórek niemal wyprowadził solisa z równowagi.

- A może twój towarzysz pomoże rozwiązać nasz dylemat? - pisnęła znów Łada. - Kim w ogóle jest ten człowiek? Nigdy nie widziałam go na dworze mego ojca.

- To mój młodszy brat, Lucjusz - przedstawił go niechętnie solis.

- Masz brata, nauczycielu? Jak ślicznie! - Klasnęła w dłonie. - Podejdź tu, rycerzu - zwróciła się do Lucjusza.

Mężczyzna uczynił, jak mu nakazała. Księżniczka spojrzała na niego swymi dużymi błękitnymi oczami. Przekręciła lekko głowę. W promieniach słońca przesączających się przez liście drzew jej włosy lśniły refleksami złota. Uniosła rękę i podała mu ją do ucałowania.

- Witaj na dworze, bracie mego nauczyciela - odezwała się ponownie.

Lucjusz, choć był od niej o dobrych kilka lat starszy, spłonął rumieńcem. Niezgrabnie ujął wyciągniętą dłoń i złożył pocałunek. Gdy się wyprostował, Filomen trącił go lekko w bok, nakazując mu ruszyć dalej.

- Zupełnie pozbawiony ogłady - usłyszeli jeszcze głos księżniczki, gdy się oddalali - choć przynajmniej przystojny.

Lensburg,

2 lipnia roku 2087

Młody Wilhelm von Kolbie wychowywał się w zamku swego ojca w towarzystwie młodszego o dwa lata brata Krzysztofa oraz licznych krewnych. W sumie, jak kiedyś zliczył, miał siedmiu kuzynów ze strony ojca oraz pięciu z rodu matki. Tak naprawdę bliskie stosunki łączyły go jednak tylko z o rok starszym Gotfrydem i jego o dwa lata młodszym bratem Maksymilianem, którzy byli synami stryja Cecyla. Z racji tego, że stryj zamieszkiwał w zamku Tilbork, odległym jedynie o pół dnia drogi od Lensburga, i na dodatek często przebywał na dworze Jerzego, to chłopcy spędzali większość czasu razem. Dni upływały im na ćwiczeniach w rycerskim rzemiośle, które szczególnie uwielbiali Gotfryd i Wilhelm oraz na naukach u solisa, które chyba tylko Krzysztof chłonał z zainteresowaniem. Maksymilian z kolei miał pewne szczególne upodobanie. Lubił po prostu być złośliwym i okazywał tę cechę zarówno służbie, jak i zwierzętom. Łatwo przychodziło mu dokuczanie tym, którzy nie mogli się przed nim bronić. Wiedział z kolei doskonale, że jeśli zadrze ze starszym bratem lub z kuzynem Wilhelmem, to sam porządnie oberwie.

Tego dnia chłopcy ćwiczyli się w strzelaniu z łuku. Wszyscy z wyjątkiem Wilhelma, który zajęty był w stajniach. Tuż przed wyjazdem na zgromadzenie baronów Jerzy von Kolbie podarował starszemu synowi rocznego źrebaka. Wilhelm go uwielbiał. Opieka nad zwierzęciem sprawiała chłopakowi wiele radości. Wyszedł właśnie ze stajni, prowadząc je, i zawołał Gotfryda. Zawsze z dumą prezentował mu swojego konia. Krzysztof przyglądał im się znudzonym wzrokiem, zadowolony przynajmniej z tego, że może na chwilę odłożyć łuk. Maksymilian z kolei uśmiechnął się pod nosem. Odstawił broń, ale za plecami schował strzałę. Podeszedł do Wilhelma i Gotfryda, udając, że chce obejrzyć zwierzę. Pozostali, zajęci rozmową, nie zwracali na niego uwagi. Maksymilian wyjął więc strzałę zza pleców i z całej siły dźgnął źrebaka grotem w zad. Źrebak zarżał, wyrwał się Wilhelmowi, przewracając go, i przerażony pobiegł przed siebie. Chłopiec podniósł się szybko i wraz ze sługami pobiegł za koniem. Po chwili udało im się go

uspokoić. Wilhelm przytulił jego łeb i czule coś do niego szeptał, chcąc ukoić jego nerwy. Dopiero teraz, kiedy był już pewny, że jego konikowi nic się nie stało, dostrzegł kątem oka kuzyna Maksymiliana, który z szerokim uśmiechem stał na środku dziedzińca, bawiąc się strzałą.

- Ty złośliwy łachudro! - wrzasnął na niego, po czym ruszył za nim biegiem.

Maksymilian zaczął uciekać w kierunku sieni. Chcąc opóźnić ścigającego go kuzyna, złapał za jakiś kosz leżący pod murem i rzucił za siebie. Potem skręcił gwałtownie i pod krużgankami przebiegł w kierunku stajni. Byłby może i nawet uciekł Wilhelmowi, biegał bowiem bardzo szybko, ale nagle potknął się i upadł. Wilhelm dopadł go, gdy ten próbował się podnieść. Chłopcy zaczęli się szarpać, ale Wilhelm okazał się silniejszy i po chwili siedział już okrakiem na Maksymilianie, okładając go pięściami.

Słusznie Jerzy von Kolbie obawiał się, co zastanie po powrocie do domu. Kończył dopiero rozprawiać się z bieżącymi dokumentami, których narosło sporo przez jego blisko miesięczną nieobecność na zamku. Nagle do komnaty wpadł strażnik, prosząc, by księżę natychmiast zszedł na dziedziniec. W pobliżu wejścia do stajni stali obok siebie Wilhelm, z lekko tylko poszarpanym ubraniem i zmierzwionymi ciemnymi włosami, oraz Maksymilian z rozoranym nosem, próbujący wytrzeć rękawem spływającą mu po brodzie krew.

- Bogowie! - krzyknął Jerzy. - A cóż między wami zaszło?

- Wilhelm mnie zaatakował! - pisnął Maksymilian.

- Dźgnął Rączego grotem strzały! - odparł szybko Wilhelm.

- Nieprawda, twój głupi koń się spłoszył, a ty próbujesz zrzucić winę na mnie!

- Dosyć! - Jerzy rozejrzał się dookoła, po czym zwrócił się do stojącego obok Krzysztofa. - Jak było naprawdę, synu?

- Nie widziałem... - skłamał cicho Krzysztof, patrząc z lekką obawą na Maksymiliana, który tylko delikatnie się uśmiechnął.

- Ja widziałem, stryju - odezwał się z kolei Gotfryd. - Maksymilian

naprawdę czymś wystraszył Rączego, choć nie wiem, czy to akurat była strzała.

- Kłamca! - warknął Maksymilian.

Jerzy ponownie uciszył chłopców, którzy byli gotowi znów stanąć do walki między sobą, po czym zwrócił się do strażnika:

- Odprowadź mojego bratanka do solisa, niech wymierzy mu karę - oznajmił. - Dziesięć razy powinno być w sam raz. Ty idziesz ze mną, synu - nakazał z kolei Wilhelmowi.

Maksymilian poszedł za strażnikiem, przyrzekając sobie w duchu, że niebawem odpłaci kuzynowi za każde jedno uderzenie. Wilhelm tymczasem powlókł się za ojcem po schodach na górę.

- Naprawdę zrobił krzywdę Rączemu - odezwał się Wilhelm, gdy weszli do komnaty.

- I to jest powód? - warknął Jerzy, gdy weszli do komnaty. - Wybiłeś kuzynowi ząb i złamałeś mu nos!

Wilhelm stał ze spuszczoną głową. Jerzy potarł dłonią czoło i potrząsnął głową.

- Masz dobre uderzenie, synku - uśmiechnął się po chwili. - Na przyszłość nie ćwicz go na kuzynie. Cecyl będzie tu jutro i dopiero będzie się pieklił, żeś mu syna obił. Wieczorem podacie sobie ręce i za karę obaj posprzątacie w stajniach.

Wilhelm skinął głową. Rad był, że przynajmniej jego ominęły baty.

Obóz wojskowy Henryka, 24 lipnia roku 2087

Przez nieco ponad dwa miesiące swoich rządów nad Minadi Henryk zdołał obsadzić zamek swoją załogą i ustanowić kasztelana. Nie czuł się jednak w mieście ani bezpiecznie, ani komfortowo, więc sam cofnął się z powrotem do obozu, który rozbił wcześniej o kilka mil od murów grodu. Był gorący, letni wieczór. O tej porze roku upały nawiedzały nawet leżącą na północnych rubieżach królestwa Hazenię. Na głębokim

południu, gdzie leżało Minadi, skwar był wręcz nieopisany. Duszne powietrze niosło w sobie coś złowieszczonego, jakąś niewypowiedzianą groźbę. Tak przynajmniej zdawało się królowi, gdy ubrany jedynie w lekką tunikę spacerował po okolicy. Towarzyszyli mu oczywiście strażnicy, idąc za nim w odległości kilku kroków. Henryk rozglądał się po swoim obozie. Lubił te wieczorne spacerowanie. Nie tylko dawały mu chwilę wytchnienia od dusznej, gorącej atmosfery wewnątrz namiotu, ale i pozwalały doglądać podległych mu ludzi, dając im poczucie, że król ich nadzoruje. Henryk był człowiekiem, który starał się sam nad wszystkim czuwać. Skończył właśnie rozmowę z jednym z oficerów swoich kuzników, którego na końcu po bratersku poklepał po ramieniu. Lubił dawać swym ludziom do zrozumienia, że jest zawsze z nimi jako towarzysz broni. Ruszył dalej przed siebie. Gorący wiatr z południa wiał pomiędzy namiotami, przynosząc drobiny czerwonego piasku z nadleżących o dziesiątki mil dalej pustyń. Nagle zdało mu się, że pomiędzy namiotów wysuwa się jakiś cień, jakby wiatr podniósł tuman kurzu. W jednej chwili cień okazał się mieć oczy i trzymać w ręku błyszczące ostrze. Henryk w ostatniej chwili usunął się o pół kroku, dzięki czemu sztylet drasnął jedynie jego bok, rozdzierając tunikę, ale nie zagłębiając się w ciało. Zarówno król jak i napastnik upadli na ziemię. Zanim Henryk podniósł się na nogi, jego strażnicy trzymali już szarpiącego się zamachowca pod ramiona.

Kolejny świt wstał i okazał się równie duszny i parny, jak poprzedni. Henryk siedział na zydelku w swoim namiocie. Źle spał tej nocy. Oczekiwał na wyniki przesłuchania więźnia. Sam w duchu próbował sobie odpowiedzieć na pytanie o to, kto mógł nasłać na niego zabójcę. Może gildia z Minadi albo panowie z Jonki? Te tropy wydawały mu się najbardziej prawdopodobne. Raporty jego szpiegów od dawna donosiły mu, że Jacobson i jego totumfaccy spiskują przeciw niemu. Jednak najbardziej oczywiste rozwiązania często bywają błędne. Wszak hrabia Bytowa był cwany lisem, nie zdecydowałby się na tak otwarte zerwanie kruchej sojuszu, jaki Henryk zawarł z nim przed swoim wyjazdem ze

stolicy.

W końcu do królewskiego namiotu wszedł Piotr Darlington, odrywając Henryka od jego posepnych myśli. Król spojrzał na niego wyczekująco. Przybysz przełknął ślinę i spuścił głowę, po jego minie Henryk domyślił się, że informacje wyciśnięte z więźnia musiały być zaskakujące.

- To nie Jacobson, prawda? - spytał.

- Nie, najjaśniejszy panie... - szepnął Piotr.

- Więc kto?

- Ten człowiek twierdzi, że ludzie, którzy go wynajęli, powoływali się na kanclerza.

Król wstał gwałtownie, zaplótł ręce za plecami i przeszedł kilka kroków po namiocie. Przypuszczenie jakoby Leonel wynajął zabójcę, aby się go pozbyć, nie mieściło mu się w głowie. Lokrydź wszystko zawdzięczał Henrykowi. Jeszcze jako hrabia Lirwelii Henryk przyjął go na swój dwór, aby trzymać go blisko i mieć na niego oko. Po jakimś czasie Leonel okazał się lojalnym doradcą, swego czasu złamał nawet słowo dane matce, tej przeklętej czarownicy Marii, która aż do ostatniego tchnienia pluła jadem. Nie, przypuszczenie, że to Leonel stał za zamachem, było zbyt nieprawdopodobne. Król poczuł, jak gniew zaczyna pulsować mu w skroniach. Z początku wydawało mu się, że złość przyszła wraz z mętlikiem w głowie, jaki wywołał brak odpowiedzi na pytanie o zleceniodawcę zamachu. Szybko jednak Henryk uświadomił sobie, że jest wściekły na siebie.

- Zbyt pewnie poczułem się na tej wojnie, za daleko poszedłem na południe i straciłem z oczu sprawę korony - przemknęło mu w myślach. - Jacobson, Lokrydź i wszyscy inni poczuli się zbyt swobodnie. W końcu gdy kota nie ma, myszy harują.

To mógł być ostatni moment, by wrócić na dwór i wyszarpnąć władzę z ich rąk. O ile już nie było za późno. Henryk pokiwał sam sobie głową. Podjął decyzję.

- Zbyt długo jesteśmy z dala od domu - odezwał się w końcu. - Ten, kto to zlecił, dobrze wie, że muszę już wracać. I bardzo nie chce, bym

naprawdę wrócił. Ma zbyt wiele do stracenia. Przyślij mi skrybę, podyktuję list do Leonela. Niech wie, że zwijamy obóz i wyruszamy do domu.

Berleujście,

8 zniwnia roku 2087

Łada coraz mniej chętnie uczęszczała na lekcje Filomena. Wiedza, którą chłonęła z reguły z zainteresowaniem, teraz zwyczajnie ją nużyła. Nudziło ją nawet słuchanie romantycznych opowieści o rycerzach i pannach, które dotychczas bardzo lubiła. Sama wieczorami marzyła o przystojnym rycerzu, który przyrzeknie dla niej wygrać turniej, a którego później będzie mogła nagrodzić słodkim spojrzeniem. Wyobrażała sobie czasami, jak cudownie musi być rozkochać w sobie takiego rycerza, który z jej imieniem na ustach byłby gotowy walczyć choćby i ze smokiem, a jeśli nie ze smokiem (bo przecież wszyscy wiedzieli, że nie było ich w królestwie już tysiąc lat temu, w czasach króla Natreusza) to chociaż z jej wrogami. Pod tym względem Łada nie różniła się ani trochę od dworskich panien, które szczebiotały często na krużgankach lub w ogrodach, gdy tylko królowa ich nie nadzorowała. Opowiadały sobie o licznych romansach, czasem nawet dzieląc się wyznaniem na temat intymnych spotkań z tym lub owym rycerzem z królewskiej straży. Oczywiście nie mówiły tego przy niej, bo o takich rzeczach nie wypada opowiadać księżniczce, ale Łada zawsze znajdowała sposób, by je podsłuchać. I choć nie wszystko rozumiała, a niektóre sprawy wydawały się jej wręcz obrzydliwe, to musiała przyznać, że bardzo chciałaby, by ją ktoś adorował. Miała już przecież ponad czternaście lat i była w pełni kobietą.

Dumała tak, spacerując po krużgankach. Przeszła w końcu do ogrodów i znalazła ustronne, zacienione miejsce. Stała wyprostowana i wyjęła z rękawa jedwabną chusteczkę. W myślach zaczęła sobie wyobrażać, że podaje ją swemu wybrankowi.

- Przyrzeknij mi, mój miły panie, że zwyciężywszy mych wrogów, wrócisz do mnie - powiedziała z emfazą. - Będę z niecierpliwością wyglądała twego powrotu. Każde uderzenie mego serca...

- Księżniczko, najjaśniejsza pani poleciła mi cię przyprowadzić. - Jej zabawę przerwał głos gwardzisty.

Odwróciła się i zerknęła na zbrojnego. Rozpoznała w nim młodszego brata swojego nauczyciela. Na jej policzki wypełził rumieniec. Nie mogła chyba trafić gorzej. Że też akurat ten natręt musiał ją przyłapać. Innymi pewnie by się tak nie przejęła. Niestety pech sprawił, że to akurat Lucjusz ją znalazł. Pewnie uznał ją za głupią gęś, a przecież ona właśnie o nim myślała, ile razy wyobrażała sobie podobne sceny. Nie mogła nic na to poradzić. Znajdowała w nim coś, co intrygowało ją od pierwszej chwili, gdy go zobaczyła.

- Lucjan, tak? - spytała, podnosząc dumnie głowę.

- Lucjusz - poprawił ją.

- Niech będzie Lucjusz. - Wzruszyła ramionami, udając obojętność.

Patrzył jej prosto w oczy, co rzadko zdarzało się gwardzistom. Jego śmiałość była jednym z powodów, dla których tak ją zaciekawił. Zachowywał się w ten sposób zawsze, gdy spotykała go na zamku, co zdarzało się dość często, jako że ostatnio zyskał łaskę królowej.

- Czego tu chcesz? - burknęła Łada. - Nie widzisz, że mi przeszkadzasz? Ćwiczyłam właśnie moją przemowę na... powitanie posłów.

- Posłów? - Uśmiechnął się pod nosem. - Nie słyszałem o żadnym poselstwie.

Chyba żaden inny gwardzista nie ośmieliłby się tak do niej odezwać.

- Nie pomyliło ci się coś?! - fuknęła. - Myślisz, że dostojny pan kanclerz będzie ci się spowiadał, że przyjeżdża poselstwo z... - strzeliła w bok oczyma - z Wysp Borba?

- Nigdy nie słyszałem o takich wyspach. - odparł.

Uśmiech na jego twarzy rozszerzył się tak, iż teraz wydał się jej bezczelny. Ten grubianin drwił z niej i wcale nie próbował tego ukryć! Już ona go nauczy moresu!

- Jak zawsze zaszczyt mi sprawiasz, konwersując ze mną, królewno, ale czas nas nagli - odezwał się ponownie, nadal nie próbując nawet zachować powagi. - Najjaśniejsza pani rozkazała, bym cię znalazł i do niej zaprowadził.

Lucjusz skłonił nieznacznie głowę i gestem ręki wskazał jej drogę. Zmierzyła go chłodnym wzrokiem, ale ruszyła we wskazanym kierunku.

Leonel Lokrydź przeglądał właśnie rachunki dworskie w komnacie oficjalnej, gdy doniesiono mu, iż przybył posłaniec z obozu króla. Kanclerz nakazał go natychmiast wprowadzić. Zdziwił się, gdy zobaczył, że mężczyzna oprócz zwiniętego pergaminu taszczy jeszcze dość okazałej wielkości kufer.

- Dostojny kanclerzu - przybysz pokłonił się przed Leonelem - najjaśniejszy pan, król Henryk, w swej łaskawości przesyła ci prezent.

Posłaniec postawił skrzynię na stole. Kanclerz podniósł wieko i omal nie zwymiotował. Wstał tak gwałtownie, że przewrócił ciężkie krzesło, na którym siedział.

- Bogowie! - krzyknął, widząc nieco już poczerniałą ludzką głowę umieszczoną wewnątrz skrzyni. - Cóż to ma znaczyć?! Kto to jest?!

- Dostojny kanclerzu, najjaśniejszy pan wszystko wyjaśnia ci w liście - odparł poseł, podając Leonelowi pergamin.

Blady z przerażenia kanclerz wyrwał mu z ręki list, przełamał pieczęć i zaczął czytać.

Człowiek, którego głowę ci przesyłam, próbował mnie zabić. Powiedziano mi, iż działał z twego rozkazu. Gdy będziesz czytał ten list, ja będę już w drodze do Berleujścia. Wkrótce będziesz miał okazję zdać mi sprawę ze swoich poczynań.

Lokrydź zwinął ponownie pergamin i blady jak kreda usiadł ponownie na krześle, które podsunęli mu służący.

Lucjusz przepuścił Ładę w drzwiach i wszedł za nią do komnat królowej

Ofki.

- Najjaśniejsza pani, przyprowadziłem twoją córkę, jak kazałaś - oznajmił, uderzając prawą dłonią w pierś.

- Dziękuję, możesz odejść, Lucjuszu - odparła spokojnie Ofka.

- Jeszcze nie! - wtrąciła nagle Łada. - Matko, ten strażnik mnie znieważył. Był grubiański i brutalny. Należy go ukarać!

- Coś podobnego... - Ofka wlepiła wzrok w córkę, po czym zwróciła się do Lucjusza. - Czy to prawda? Potraktowałeś niewłaściwie córkę swego władcy?

- Oczywiście, że nie, miłościwa pani - zaprzeczył bez wahania. - Choć prawdą jest, że przerwałem jej wysokości powitanie posłów z sojuszniczego nam mocarstwa, ale myślę, że nie będzie z tego wojny.

Ofka uśmiechnęła się, wyczuwając żart. Łada z kolei obrzuciła go spojrzaniem, które mogło zmrozić krew w żyłach.

- Matko! - pisnęła.

- Dość, córko! - przerwała jej natychmiast Ofka. - Jeśli ktoś tutaj zasłużył na karę, to ty! I jeśli następnym razem księżniczka zachowa się podobnie, możesz nawet użyć siły - dodała, zwracając się do strażnika.

Lucjusz skinął tylko głową. Łada patrzyła teraz z furią na nich oboje. Ofka zamierzała coś jeszcze powiedzieć, ale do jej komnaty wpadła dwórka Bogna. Ledwie dygnęła przed królową i wyszeptała coś na ucho. Ofka strzeliła w bok oczyma.

- Później się tobą zajmę - mruknęła tylko do córki i wypadła z komnaty.

Łada i Lucjusz zostali w izbie sami. Księżniczka wpatrywała się w jego lekko uśmiechnięte oblicze.

- Pożałujesz tego, rycerzyku - warknęła. - Przyrzekam, że jeszcze się spotkamy.

- Każde spotkanie z tobą, księżniczko, będzie dla mnie zaszczytem - odparł, kłaniając się nisko. Uśmiechnął się jeszcze szerzej i opuścił komnatę. Łada zaklęła soczyście.

Królowa z pobladłą twarzą słuchała relacji kanclerza. Leonel ze

szczegółami opowiedział jej, co zaszło.

- Piękna pani Luno, chroń nas przed gniewem Wielkiego Sola! - jęknęła, siadając z wrażenia. - Co teraz będzie?

- Henryk wraca na dwór, to pewne - odparł Leonel.

Ofka pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Co teraz zrobimy, miły? - szepnęła, patrząc z czułością w twarz kochanka. - Wystarczająco źle to wszystko wygląda teraz. Ten przeklęty Grzegorz zjechał na dwór i już ponad miesiąc mija, jak tu siedzi. Ani myśli wracać do Pilzna! A teraz jeszcze i Henryk wróci!

- Będziemy musieli lepiej się ukrywać. - Kanclerz zamyślił się na chwilę. - Najlepiej byłoby na jakiś czas przestać się spotykać...

- Równie dobrze mogłabym przestać oddychać - szepnęła.

- Musimy być silni - odparł tylko. - Będę musiał wytłumaczyć wszystko królowi i wierzę, że mi zaufa. To tylko jakaś podła intryga moich wrogów, jak sądzę, baronów Starej Jonki. Zapewne mszczą się za to, że im odmówiłem.

- Naprawdę chcieli cię ożenić z córką tego Elwińczyka? - burknęła urażona.

- Naprawdę. - Uśmiechnął się.

- I dobrze, że im odmówiłeś! - pisnęła. - Pamiętaj, jesteś poślubiony mnie, tak jak ja tobie, w moim sercu. - Chwyciła jego dłoń i przycisnęła do swojej twarzy. - I jeśli weźmiesz sobie inną, na Antresa przysięgam, otruję ją!

- Już dobrze, miła. - Jej zazdrość często go bawiła. - Nie ma żadnej innej - zapewnił. - Nigdy nie było.

Berleujście,

15 pajęcznika roku 2087

Berleujście od kilku wieków było siedzibą hrabiów Lirwelii, a że była to kraina, w której w ostatnich stuleciach często i w dość gwałtowny sposób zmieniały się rody zasiadające na hrabiowskim stolcu, to i miasto

kilkakrotnie było palone, aby potem znów odbudować się z popiołów. Przycupnięte u ujścia rzeki Berletty do wielkiej Fiuminy, składało się z głównego miasta położonego przy zamku i kilku przedmieść. Od blisko dekady było również siedzibą dworu, choć nikt nie ważył się nazywać go stolicą.

Tego dnia miasto czekało na wjazd swego króla. Główne ulice udekorowano odświętnie i uprzątnięto. Umyto nawet elewacje większości kamiennych budynków przy głównym trakcie. Z Bramy Katarzyńskiej, którą przybywający od południa monarcha miał wjechać do miasta, zwisały dwie ogromne chorągwie: jedna czerwona ze srebrnym orłem, a druga błękitna ze złotym lwem, znaki królestwa i rodu panującego. Tłumy ludzi stały w oczekiwaniu na przejazd. Wrzawa, jaka dobiegała z Katarzyńskiego Przedmieścia, wskazywała, iż pochód dotarł już do pierwszych zabudowań. W końcu król na czele niewielkiego tylko oddziału gwardii przybocznej wkroczył przez bramę do miasta i owacyjnie pozdrawiany przejechał traktem bankowym. Potem ulicą zwaną Staromiejską wjechał na zamek. Na dziedzińcu czekała już na niego rodzina królewska, ustawiona w równym rzędzie, oraz najważniejsi dygnitarze dworu, z kanclerzem Lokrydżem na czele.

- Jego królewska wysokość Henryk, z łaski Regula, króla królów i szafarza koron król Jonki, zwierzchni książę Hazenii, Porawia, Sławinii, hrabia Rozanii i Lirwelii, wymienionych ziem pan i dziedzic! - zakrzyknął herold, gdy Henryk zatrzymał swego konia na środku dziedzińca i zeskoczył na ziemię.

Wciąż wyglądał krzepko, pomimo że przekroczył już pięćdziesiątkę. Wszyscy obecni na dziedzińcu, nie wyłączając królowej, królewiczów i księżniczek, ugięli się w głębokich ukłonach. Henryk podszedł bliżej.

- Podnieście głowy - uśmiechnął się, stając przed królową i dziećmi. - To tylko ja, wasz mąż i ojciec. - Powiódł wzrokiem po pozostałych, a potem ujął twarz Ofki w ręce i ucałował ją w oba policzki. - Moja najukochańsza żono. I Grzegorz, ty tutaj! - Zwrócił się kolejno do starszego syna. Przez jedną, krótką chwilę w sercu Ofki zatliła się nadzieja, że król zbeszta syna za to, że bez jego pozwolenia powrócił na

dwór, ale Henryk tylko mocno go uściskał i dodał po cichu: – Rad jestem, widząc cię na dworze.

Następnie król podszedł do córek. Żanna tylko ucałowała jego dłoń, ale Łada natychmiast padła ojcu w objęcia. W końcu monarcha podniósł na ręce małego Henryka, po czym ruszył z nim w kierunku komnat zamkowych. Królowa i dzieci podążyli za nim. Kanclerz Lokrydź odnotował, że władca nawet na niego nie spojrzał.

Solis Filomen był jednym z tych doradców, którzy podczas powitania króla stali w pierwszym rzędzie. Przyjemnie był zaskoczony tym, że monarcha go pamiętał. Towarzyszył mu więc aż do wieczora, nadskakując we wszystkim. Zmęczony, ale zadowolony z efektów swojej pracy, wrócił w końcu do archisolaru.

Z zaskoczeniem spostrzegł, że przy wejściu czekał na niego Lucjusz. Nawet on nie mógł popsuć tego wieczora nastroju kapłana.

– Widziałem cię dziś na dziedzińcu. – Młodszy brat uśmiechnął się na powitanie. – Ważny człowiek, witałeś się z najjaśniejszym panem.

– No, wiesz... – Filomen nonszalancko machnął ręką. – Ty, jak słyszałem, też dobrze sobie radzisz. Ponoć królowa często cię wzywa.

– Owszem, jej wysokość okazała mi łaskę – przyznał. – Staram się służyć jej jak najlepiej.

Filomen przemyślał już, jakie korzyści dla siebie może odnieść z takiego układu, gdy Lucjusz dodał:

– Za to jej starsza córka nie daje mi spokoju. Okropna dziewczucha. O mało nie wpadłem przez nią w kłopoty.

Solis łypnął na brata.

– Uważaj na nią – poradził tylko Filomen. – Łada to bardzo mądra dziewczyna, ale ma nieposkromiony charakter.

Kapłan poczuł zmęczenie i ziewnął ukradkiem. Rozmowa z bratem nużyła go. Nie miał ochoty udawać, że łączyły ich serdeczne stosunki. W zasadzie ledwie się znali. Filomen pomógł mu, ponieważ liczył, że zdoła go w przyszłości wykorzystać.

– Nie obraż się, Lucjuszu – odezwał się po chwili – jestem zmęczony,

a muszę jeszcze odmówić wieczorne modlitwy. Porozmawiamy innym razem.

Nie czekając nawet na odpowiedź młodszego brata, solis odwrócił się i wszedł do świątyni.

Wieczorem Henryk znalazł w końcu czas i wezwał Leonela Lokrydza do swojej komnaty prywatnej.

- Najjaśniejszy panie, nawet nie wiesz, jak cieszy mnie twój widok.

Król nie odpowiedział od razu. Siorbnął nieco wina z kielicha i podszedł do niego bliżej. Stanął tuż przed nim, przysuwając swoją twarz do jego oblicza.

- Czyżby? - szepnął.

- Najjaśniejszy panie, nie wątpisz chyba w lojalność swego kanclerza...

- A mam powody, by wątpić? - spytał Henryk, wciąż świdrując go wzrokiem. - Sam mi powiedz?

- Królu, byłem ci wierny przez cały czas - zapewnił Leonel. - Wszystko, co robiłem, czyniłem tylko z myślą o dobru królestwa, twojego królestwa! - przekonywał. - Nie słuchaj, panie, plotek.

Henryk podniósł prawą dłoń, dając mu znak, by zamilknął.

- Wróciłem - oznajmił. - Teraz wiele się zmieni, mój kanclerzu.

- Najjaśniejszy panie, królestwo należy do ciebie - zapewnił Leonel.

Henryk uśmiechnął się tylko. Odwrócił się plecami do kanclerza. Podszedł do stolika i ponownie napełnił swój puchar winem.

- Królu, jeśli chodzi o sytuację z tym zabójcą, przysięgam na wszystkich Dwunastu, że...

- Po co do tego wracać, przyjacielu? - król przerwał mu z uśmiechem. - Wszak tylko winni się tłumaczą, nieprawdaż?

Berleujście,

19 pąęcznika roku 2087

Grzegorz lubił tę porę dnia, gdy ognisty rydwan Wielkiego Sola dobiegał już do swego celu po zachodniej stronie nieboskłonu. Kramy handlowe kończyły wówczas sprzedaż, a rzemieślnicy zamykali swoje warsztaty. Przez trzy lata pobytu w niewielkim Pilźnie królewicz zdołał dobrze poznać miasto. Mieszczanie z kolei poznali swojego kasztelana i nawet pochlebiało im, że syn królewski odwiedza miejskie tawerny, gospody, a czasem też miejsca, o których cnotliwi mieszczanie nie wspominali. W Pilźnie Grzegorz czuł się pewnie. W Berleujściu było inaczej. Oczywiście znał dokładnie okolicę, przecież spędził tu całe dzieciństwo, ale znał ją za dnia. Nocą jednak każde miasto przedstawiało inne oblicze niż w dzień. Nuda, jaką odczuwał na zamku, zwłaszcza zaś niechęć, jaką okazywała mu macocha, która nawet nie pozwalała mu widywać się z siostrami, kazała mu szukać nowych wyzwań i atrakcji.

Tego wieczora znów wymknął się z zamku boczną bramą. Miał na sobie proste ubranie, na koszulę narzucił jakiś płaszcz z kapturem. Zatrzymał się w gospodzie przy trakcie kupieckim, gdzie wypił kufel piwa. Nie znalazł jednak towarzystwa do rozmowy. W końcu wyszedł i ruszył przed siebie. Z początku nie zwrócił większej uwagi, słysząc za sobą kroki, po ulicy wciąż bowiem kręciło się trochę ludzi. Skręcił w jakiś zaułek, mając nadzieję, że skróci sobie drogę do traktu bankowego, ale okazało się, że wszedł w jakieś podwórze. Odwrócił się więc, klnąc w duchu i zobaczył ich. Trzech rośliwych młodzieńców, mniej więcej w jego wieku. Musieli iść za nim od pewnego czasu. Ustawili się tak, by zastawić mu drogę ucieczki. Jedyłą bronią, jaką miał przy sobie, był niewielki sztylet, który zatknął za pasem.

- Masz złoto, paniczyku? - zawołał ten w środku.

- Co ci do tego? - warknął na niego Grzegorz, wyciągając nóż.

- Paniczyk ma broń - zarechotał jeden z nich. - To niewiele.

Wszyscy trzej wyjęli zza pasów długie sztylety. Środkowy zamachnął się, tnąc powietrze. Grzegorz cofnął się o krok. Chciał już skoczyć na nich, by sprowokować walkę, ale nagle zza ich pleców wyrosła jakaś postać.

- Trzech na jednego? - odezwał się mężczyzna, którego twarz

przykrywał kaptur. - Bohaterowie z was.

- Co ci do tego, człowieku - burknął przez ramię jeden z rzeźmieszków. - Spierdalaj stąd, zanim...

Nie zdążył dokończyć, gdy mężczyzna walnął go z łokcia w twarz. Napastnik zgiął się w pół zaraz po tym, jak trzask kości obwieścił wszystkim, że jego nos został złamany. Dwaj pozostali odwrócili się teraz do Grzegorza plecami i gotowali się do walki. Tajemniczy nieznajomy wyjął długi miecz i zamachnął się, tnąc jednego z nich po ramieniu. Bandyta zawył, po czym jęcząc, zaczął uciekać.

- Ty też chcesz oberwać? - mężczyzna w kapturze spytał trzeciego z oprychów.

Ten potrząsnął przecząco głową i uciekł czym prędzej. Grzegorz patrzył teraz uważnie na swojego wybawcę, nie będąc pewnym, czego się spodziewać. Mężczyzna w końcu zrzucił kaptur i spojrzał na królewskiego syna.

- Książę... - Skinął mu głową.

- Znasz mnie?

- Widziałem cię kilka dni temu na dziedzińcu zamku. Byłem w drużynie króla. Od roku służę w jego straży przybocznej.

- Jestem ci winien wdzięczność - odparł Grzegorz. - Jak ci na imię?

- Gniewko - odparł tamten. - Gniewko z Horlicy.

Nie tylko królewicz wymknął się z zamku tego wieczora. Królowa Ofka również postanowiła załatwić sprawę, która nie dawała jej spokoju od czasu powrotu króla. Nigdy nie była pewna, kto był ojcem jej syna: jej królewski małżonek czy kochanek? Obaj w młodości mieli jasne włosy, jej syn też był jasnowłosy, ale to akurat żaden dowód, wszak w Lirwelii ciężko było znaleźć ciemnowłosych ludzi.

Powrót Henryka wytrącił ją z równowagi. Póki mąż był daleko, mogła nie obawiać się ujawnienia swoich tajemnic. Teraz sytuacja zmierzała w niewłaściwym kierunku. Obawy o przyszłość targały raz po raz jej sercem. Postanowiła więc udać się do wróżki, by wypytać o przyszłość swego dziecka. Wraz z Bogną i Dobrochną, najbardziej zaufanymi

dwórkami, szły przez pogrążone w mroku miasto aż do Bramy Katarzyńskiej. Zmierały w kierunku przedmieścia. Ofka drżała pod płaszczem, jaki narzuciła na siebie. Katarzyńskie Przedmieście miało fatalną reputację. Królowa rozglądała się uważnie. W końcu dotarły do pewnej chaty. Weszły wszystkie trzy. Zanim zbliżyły się do stołu w głównej izbie, przy którym siedziała starucha, królowa dała dwórkom znać, by zaczekały w sieni. Szepnęła coś na ucho do wróżbiarki. Ta wstała i sięgnęła po jedną z klatek, jakie stały na półkach za nią. Wyjęła z klatki gołębia i chwyciła sztylet. Rozpruła ptaka na pół i spojrzała w jego wnętrzności.

- I cóż mówi wróżba? - Ofka nie powstrzymała ciekawości.

Wróżka uciszyła ją syknięciem. Wyjęła serce ptaka, rozcięła je na pół i uważnie mu się przyglądała.

- Niewiele można odczytać - orzekła po chwili. - Zbyt wiele widzę tajemnic. Jedne są bezpieczne, inne wkrótce wyjdą na jaw, moja pani.

- Jak to? - zdziwiła się królowa. - Co to znaczy?

- Musiałabyś powiedzieć mi więcej - odparła stara.

Ofka spuściła na chwilę wzrok.

- Chodzi o moje dziecko... - szepnęła.

- Widzę troje twoich dzieci, ale tylko dwoje ma przyszłość.

Ofka znów straciła rezon. Przez moment zastanawiała się, czy należy mówić coś więcej.

- Może jednak zostawmy to... - powiedziała niespokojnym głosem.

- Jak sobie życzysz, moja pani - odparła wróżka, wciąż wpatrując się we wnętrzności ptaka. - To bardzo dziwne... - dodała po chwili.

Królowa zerknęła na nią uważnie. Wieszczyca odnotowała jej spojrzenie i po chwili znów się odezwała.

- Twoje córki czeka wielka przyszłość - odparła stara. - Widzę miłość i nienawiść. I krew.

- Czyja to krew? - Twarz Ofki pobladła.

- Zbyt wiele krwi, by orzec...

Lasy na północ od Berleujścia, 22 pajęcznika roku 2087

Równonoc jesienna była czasem dziękczynienia za zebrane plony. W całym królestwie odbywały się modły, podczas których przygotowywano ofiary Ersowi, bogowi rolnictwa. Był jedynym spośród Dwunastu, któremu nie budowano osobnych świątyń. Dary złożone z zebranych ziół i ziaren składano mu na polach. Szczególnie w Lirwelii solisowie pilnowali, aby święto miało odpowiedni charakter.

Wiara w Wielkiego Sola i Dwunastu przybyła do Lirwelii na rozkaz Zbysława Szczerbatego przed ledwie stuleciem. Choć w zamkach baronów i pośród mieszczan była już powszechna, to z dala od większych skupisk nadal można było spotkać ludzi oddających cześć w dawny sposób.

O zachodzie dwie kobiety: matka i córka opuściły swą chatę na skraju polany i ruszyły leśnym duktem pod górę. Uszły ponad milę, śpiewając po cichu w szeleszczącym języku dawnej Lirwelii, którego nie słyszano już w zasadzie po miastach. Dotarły na obszerną polanę w chwili, gdy kapłan rozpalał święty ogień. Od lat spotykali się po zmierzchu. W dzień było zbyt niebezpiecznie, solisowie tropili bowiem tych, którzy uprawiali dawne rytuały.

- Dzień oddaje władzę Nocy - zaczął donośnym głosem kapłan. - Kończy się jasna pora roku. Dziękujemy dziś Matce Ziemi, która obrodziła nam zbożami i owocami, plonami, które pomogą nam przetrwać czas zimowy. - Zgromadzeni na polanie ludzie powtarzali za nim słowa dziękczynienia. - Dziękujemy Ziemi za życie i żyzność.

Ludzie zaczęli podchodzić do ognia i składać ofiary Matce Ziemi: miód, ziarno z tegorocznych zbiorów, kłosa zbóż i kołacz.

- Weź, Dafne. - Starsza z kobiet podała córce kołacz i niewielki garniec miodu. - Oddaj je Matce Ziemi i proś ją, by i w przyszłym roku nam błogosławiła.

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie. Spojrzała na matkę swymi wielkimi, zielonymi oczami i ucisnęła ją, nim ruszyła w kierunku ognia.

- Dziękujemy Słońcu za ciepło światła, dzięki któremu rośliny mogły rosnąć i dojrzeć, za jego promienie, które utrzymują życie - ciągnął dalej kapłan. - Dziękujemy również Pani Burzy za to, że zapładnia Ziemię gromem i deszczem, że daje nam siłę do pracy i walki o byt. Dziękujemy jej także za to, że wstrzymała letnie burze w czasie dojrzewania zbóż, tak by silne wiatry ich nie pokładły. - Dafne podeszła akurat do ogniska i wrzuciła swoje dary.- Dziękujemy za płodność całej Ziemi! Dziękujemy...

Nie dokończył kolejnej inkantacji, bo jego gardło przebiła strzała. Pomiedzy zebrany przeszedł szmer, który zaraz przerodził się w krzyk. Dafne patrzyła przerażona na kapłana, którego martwe ciało leżało tuż obok jej stóp. W jego wciąż wzniesionych ku niebu, otwartych oczach odbijał się ogień. Podniosła wzrok i rozejrzała się wokół. Słudzy archisolisa Berleujścia poczęli wyłapywać zgromadzonych. Dafne stała sparaliżowana strachem, niezdolna do jakiegokolwiek rozsądnej reakcji. Nagle poczuła, jak ktoś chwyta ją za ramię.

- Rusz się, dziecko, prędko! - Głos matki przedarł się przez krzyki ludzi i Dafne oprzytomniała. - Uchodźmy stąd!

Dziewczyna kiwnęła głową i przepychając się przez szukający ucieczki tłum, ruszyła za matką. Biegły przez pogrążony w mroku las, ile sił miały w nogach.

Berleujście, 26 pającznika roku 2087

Życie Łady zmieniło się, odkąd jej królewski ojciec powrócił na dwór. W zasadzie ledwie go znała, bardziej nawet pielęgnując w myślach wyobrażenie o nim niż rzeczywisty obraz. Szybko przekonała się, że potrafi być czułym i kochającym rodzicem. A co jeszcze ważniejsze pochwalał wszystkie wysiłki, jakie podejmowała w zakresie zdobywania wiedzy. W przeciwieństwie do matki nie ganił za zainteresowanie sprawami państwowymi. I tak z dnia na dzień Łada zbliżała się do ojca,

jednocześnie oddalając od matki. Z dnia na dzień również jej zainteresowanie kierowało się ku sprawom korony, spychając na dalszy plan płocze igraszki z dwórkami.

Tego poranka przybiegła do komnat króla, najwyraźniej znów uciekwszy od zajęć pod okiem Ofki.

- Najjaśniejszy pan nie może cię teraz przyjąć, księżniczko - próbował zbyć ją Filomen, który towarzyszył królowi i archisolisowi. - Zaraz wyjeżdża na przedmieście, będzie sprawował sądy.

Łada westchnęła zrezygnowana, zatrzepotała rzęsami, tak jak tylko ona jedna potrafiła, po czym znów się odezwała:

- Pozwól więc tylko, że ucałuję mego królewskiego ojca na dobry dzień. - Przepchnęła się przed solisa i podbiegła do władcy.

Prochor wyrobił już sobie zdanie na jej temat, uważając, że Henryk wykazywał zbyt wiele pobłażania dla córki. Nawet jeśli była wyjątkowa, to od czasu do czasu odrobina różgi wzmocniłaby w niej poszanowanie dla zwyczajów.

- Och, tatku - pisnęła Łada, od razu przytulając się do ojca. - Słyszałam, że jedziesz odbywać sądy. Weź mnie ze sobą, nigdy nie widziałam niczego podobnego!

- W żadnym wypadku, księżniczko! - zaprotestował natychmiast Prochor. - Nie godzi się, by niewiasta brała udział w sprawowaniu sądów!

Henryk tymczasem patrzył w duże błękitne oczy córki i wszyscy w komnacie wyczuwali już, że zaraz zgodzi się na wszystko. Zabawnym nawet było patrzeć, jak ten twardy, doświadczony wieloma latami wojny rycerz topi się jak masło na słońcu pod spojrzeniem nastoletniej dziewczyny.

Łada oczywiście postawiła na swoim. Pojechali wspólnie na miejsce sprawowania sądów ziemskich, o trzy ćwierci mili jonkijskiej od Bramy Księżycowej, zwanej tak dlatego, że wiodła w kierunku północnym, a zatem Słońce nigdy nie rzucało promieni przez jej prześwit. Miejsce, do którego dotarli, było przestronne. Na środku rosła rozłożysta lipa o grubym konarze świadczącym o jej wieku. Pod drzewem ustawiony był

kamienny stół, a przy nim drewniana ława. Na miejscu tym sprawowano sądy od wielu wieków, był to bowiem zwyczaj sięgający dawnych czasów, zanim lirwelijski lud przyjął wiarę w Wielkiego Sola, panią Lunę i ich Dwanaścioro Dzieci. Przetrwał z dawnych czasów i nawet archisolisowie go zbytnio nie krytykowali. Zgromadzony pod lipą lud rozstąpił się na widok króla i jego orszaku. Tu i ówdzie szeptano. Widok był bowiem niezwykle. Mało kto z żyjących oglądał króla, który osobiście przyjeżdżał odbywać sądy. Przez wiele lat jego wojennej tułaczki robił to wyznaczony przez niego kasztelan zamku albo wręcz któryś z jego zastępców. Ranga sądu królewskiego była oczywiście wyższa, wszyscy przecież wiedzieli, że króla wyznaczył osobiście Regul, ten z Dwanaściorga, którego czczono jako władcę wszystkich władców. Na dodatek ten właśnie bóg pojął za żonę swoją siostrę Libris. A domeną Libris była sprawiedliwość. Solisowie uczyli, że związek tych dwojga miał wskazywać ludziom, że władza zawsze powinna iść w parze ze sprawiedliwością. Skoro więc król Henryk osobiście postanowił tego dnia wyrokować, zapowiadało się na prawdziwe widowisko i nawet ci, którzy nie mieli w zwyczaju pojawiać się na sądowych zgromadzeniach, śpieszyli, by móc stać się świadkami tej chwili. Dodatkową ciekawostką było to, że Henryk przybył nie tylko w otoczeniu doradców i archisolisa Prochora, ale wraz ze swoją córką, księżniczką Ładą. Jak gdyby nigdy nic dziewczyna usiadła na krzeselku zaraz za ławą przy kamiennym stole, gdzie spoczęli król, archisolis i skryba sądowy.

Wywołano pierwszą sprawę, która dotyczyła spadku po jakimś rataju. Toczyli ją brat i wdowa po zmarłym. Każde z nich podeszło do stołu sędziowskiego i od razu zaczęło wykrzykiwać swoje racje. Henryk w ogóle ich nie słuchał, nachylony lekko w stronę skryby sądowego, który najwyraźniej streszczał mu, czego spór dotyczy. Król zasięgnął jeszcze opinii Prochora, po czym podniósł prawą dłoń, dając do zrozumienia, żeby wszyscy zamilkli.

- W imię pani Libris sprawiedliwej my Henryk ogłaszamy, co następuje - zaczął donośnym głosem król. - Jako że zmarły nie miał dzieci, spadek w postaci ziemi należy się jego bratu, a po nim jego

synom. Zwyczaj bowiem nakazuje, aby grunty pozostały przy rodzie. Jeśli zaś otrzymałaby je wdowa i wyszła ponownie za mąż, ród straciłby swoją ojcowiznę. Wdowa ma natomiast prawo zabrać swoje rzeczy ruchome, ma na to czas aż do trzeciego zachodu słońca. Rzekłem!

Ładzie zdało się to niesprawiedliwością, ale nic nie rzekła, bo tak obiecała ojcu.

Kolejna sprawa dotyczyła kradzieży. Niejaki rycerz Sławuta oskarżał swojego giermka, chłopca niewiele chyba tylko od Łady starszego, o kradzież trzech sztuk srebra.

- Czy przyznajesz się do winy, młodzieńcze? - spytał obwinionego archisolis. - Pamiętaj, że przysięgasz w świętym miejscu, a pani Libris słucha twych słów!

- Jestem niewinny, przysięgam na Wielkiego Sola, panią Lunę i wszystkich ich dwanaścioro dzieci! - zapewnił gorliwie wystraszony chłopak.

Król znów poszeptał przez chwilę ze skrybą i archisolisem. Łada zmarszczyła czoło, przemknęło jej bowiem przez głowę, że jej ojciec sam z siebie niewiele wie o prawie, o którym ona sama nieco już czytała.

- Zatem zdajmy się na sąd bogów! - oznajmił po konsultacjach król.

Giermek spojrzał przestraszony na sędziów, ale skinął tylko głową. Gwardziści odprowadzili chłopaka o kilka kroków dalej. Archisolis wstał i podszedł do niego, stając w odległości pięciu kroków od giermka. Po chwili zbliżył się do chłopca kowal trzymający w stalowych szczypcach rozgrzany do czerwoności kawałek żelaza. Giermek przełknął nerwowo ślinę i wyciągnął przed siebie prawą dłoń. Syknął jedynie, gdy gorące żelazo dotknęło jego skóry. Niosąc ów ciężar na dłoni, chłopak przeszedł pięć kroków dzielących go od Prochora i dopiero zrzucił metal na ziemię. Drżąca szczeka i łzy w kącikach oczu pokazywały, jak wiele wysiłku kosztowało go, by sprostać zadaniu. Archisolis chwycił jego dłoń i obejrzał ją.

- Jeśli po trzech dniach rana będzie czysta albo wręcz się wygoi, będzie to znaczyło, żeś niewinny - ogłosił. - Przekonamy się.

Gwardziści zabrali więc giermka, a rycerz Sławuta ukłonił się przed

królem. Łada spuściła wzrok. Oglądając kolejne sprawy, przy których nadal król jedynie słuchał streszczeń swoich doradców, zdając się całkowicie na ich wiedzę, księżniczka nabrała przekonania, iż władza i sprawiedliwość są doprawdy dziwną parą.

Orrońsk,

2 winnika roku 2087

Od powrotu z wojny król Henryk czuł się dość pewnie. Nie wyjechał do Jonki, nie chcąc komplikować i tak już napiętej relacji z baronami, którzy nie wchodzili póki co w otwarty konflikt. Leonel Lokrydź z kolei zdawał się pod czujnym okiem swego władcy powściągać swoje ambicje. Henryk miał co do niego mieszane uczucia. Z jednej bowiem strony czuł, że kanclerz jest mu potrzebny, z drugiej nie mógł nie zauważać zagrożenia, jakie płynęło z bardzo szerokiego zakresu powierzonej mu władzy. Póki co Henryk nie dojrzał jeszcze do bardziej zdecydowanych kroków.

Miał zresztą dla swego kanclerza nowe zadanie: rozkazał Leonelowi podjąć w Orrońsku posłów z Alwery, leżącej na północ od granic ziem podległych Jonce. Było to stare królestwo, choć dopiero pół wieku wcześniej ponownie zjednoczone przez Johanna, ojca obecnie panującego króla Edgara . Był władcą zdolnym i nie brakowało mu woli walki, w czym podobny był do Henryka. Tocząc swoje wojny na południu, król Jonki wiele razy otrzymywał od Jerzego von Kolbie ostrzeżenia o ruchach wojsk Edgara. Podległe bowiem rodowi von Kolbie lenno hazeńskie było najbardziej wysuniętą na północ dzielnicą królestwa Jonki i jako takie najbardziej było narażone na alwerskie ataki. A apetyty Edgara rosły, w miarę jak umacniał się na tronie. Henryk widział w nim konkurenta, ale też potencjalnego sojusznika i dlatego poprzedniej jesieni wysłał do niego poselstwo. Król Alwery ociągał się z odpowiedzią, w końcu jednak wysłał swoich emisariuszy i to właśnie ich kanclerz Lokrydź miał, w imieniu króla Henryka, podjąć w Orrońsku. Spotkanie odbywało się w zamku, na jednej z trzech wysp pośrodku Fiuminy, na których

rozłożone było główne miasto.

Leonel rozejrzał się po sali. Podszedł do podwyższenia, na którym stało bogato zdobione krzesło. Usiadł, opierając wygodnie plecy. Po chwili strażnik zaanonsował przybycie posłów. Kanclerz królestwa nie wstał na ich powitanie, siedział, szeroko rozkładając ręce i uśmiechając się serdecznie.

- Najjaśniejszy panie... - Posłowie ukłonili się, sądząc po jego zachowaniu, iż stoją przed władcą. Nie znali bowiem króla Henryka.

- Stoicie przed dostojnym kanclerzem Leonelem Lokrydżem - poprawił ich tłumacz, który jako jedyny towarzyszyć miał ich rozmowie.

Posłowie wymienili nieco zaskoczone spojrzenia, po czym jeden z nich znów się odezwał:

- Wybacz, dostojny kanclerzu, sądziliśmy, że król przyjmie nas osobiście. Jeśli jednak jest to nieodpowiedni moment na audiencję u najjaśniejszego pana Henryka, chętnie przyjdziemy później.

Tłumacz natychmiast przełożył jego słowa. Leonel tylko się uśmiechnął.

- Ależ nie ma takiej potrzeby, możemy porozmawiać o wszystkim już teraz - odpowiedział.

- Wolelibyśmy rozmawiać z królem osobiście, takie mamy wytyczne...

- Zapewniam was, dostojni posłowie, że rozmawiacie z najważniejszym człowiekiem w królestwie - zapewnił Leonel.

Tłumacz zerknął na niego, jakby chcąc się upewnić, zanim przekazał posłom tę wiadomość.

- Sądziliśmy, że król Henryk wolałby osobiście zająć się sprawą tak podobno dla niego ważną, jak negocjacje z naszym władcą...

- Król Henryk powierzył prowadzenie pertraktacji mnie - odpowiedział im tylko Leonel. - I nie ma się czemu dziwić, bo widzicie, dostojni posłowie, nasz król dziesięć lat spędził poza swoją siedzibą i nie zdołał jeszcze zapoznać się ze wszystkimi sprawami. Dlatego właśnie to mnie, swojemu kanclerzowi, powierzył prowadzenie negocjacji, jak zresztą większość istotnych dla korony spraw.

Tłumacz nadal przekazywał jego słowa, choć coraz mniej rozumiał,

do czego kanclerz zmierza.

- Zapewniam, że nawet gdyby najjaśniejszy pan sam prowadził negocjacje, to i tak nie podjąłby żadnej decyzji bez porozumienia ze mną. Henryk bowiem niczego nie czyni, nie konsultując tego uprzednio.

Tłumacz zawahał się przez moment i spojrzawszy na Leonela, który lekkim skinieniem nakazał mu dalej tłumaczyć.

- Dlatego właśnie powiedziałem, że rozmawiacie z najważniejszą osobą w tym królestwie, bo choć Henryk jest królem, tak naprawdę od dziesięciu lat to ja rządę tym królestwem i pociągam za wszystkie sznurki...

Zaskoczony przebiegiem rozmów tłumacz, lekko tylko się jękając, przekazał emisariuszom słowa kanclerza. Zastanawiał się tylko, jak Lokrydz zdoła się z nich później wytłumaczyć królowi.

Berleujście,

6 winnika roku 2087

W porównaniu ze sprawami państwowymi, które mogła obserwować, przebywając w towarzystwie ojca, spędzanie czasu w matczynej komnacie wydawało się księżniczce Ładzie nudne. Siedziała znów na ławeczce w swoim ulubionym zakątku ogrodu. Skończyła czytać jeden z traktatów o prawie królewskim, które ukradkiem wynosiła co kilka dni z biblioteki. Odłożyła księgę, gdy zorientowała się, że słońce schowało się za chmury. Wiatr sprawił, że poczuła chłód. „Cóż, jesień”, pomyślała. Nie lubiła zimy, gdy z powodu chłodu rzadziej wychodziło się na zewnątrz. Perspektywa spędzenia wielu tygodni w komnatach pod czujnym okiem matki wydawała się jej nieznośna.

Odgłos czyichś kroków wyrwał ją z zadumy. Podniosła głowę i spostrzegła Lucjusza.

- Znowu ty - burknęła. Unikała go od tamtej sytuacji, gdy najpierw zastał ją tonącą w romantycznych marzeniach, a później drwił z niej niemiłosiernie. - Niech zgadnę, matka mnie szuka.

Skinął głową, potwierdzając jej domysły. Nadal uśmiechał się w jej obecności w ten sam irytujący sposób. Wstała niechętnie, owinęła się szalem i wzięła do ręki tom, który czytała.

- Może pomogę ci z książką, panienko - spytał, wyciągając rękę.

- Obejdzie się - warknęła. Szli ramie w ramie wzdłuż szpaleru rudziejących drzewek. - Umiesz w ogóle czytać? - spytała z kpina w głosie.

- Wyobraź sobie, księżniczko, że tak - odparł. - Nie jestem tak uczony, jak mój starszy brat, ale umiem czytać, pisać i rachować. Znam też podstawy geografii i wiem, że Wyspy Borba nie istnieją.

Łada pokręciła głową i westchnęła.

- Mógłbyś już przestać o tym przypominać? To nie było śmieszne.

Spojrzał na nią, na jego twarzy znów pojawił się ten szeroki, niemal bezczelny uśmiech.

- No dobrze, masz rację, to było śmieszne - przyznała w końcu po cichu. - W ogóle powinnam cię przeprosić za moje zachowanie tamtego dnia.

Zatrzymał się na chwilę. Patrzył teraz na nią poważnie. Skłonił głowę i pozbawionym ironii tonem powiedział:

- Nie masz za co przeproszać, wasza wysokość. To ja winien jestem przeprosiny, jeśli rozmawiałem z tobą zbyt śmiało, pani.

Łada przez chwilę zaniemówiła.

- No, w końcu nasza rozmowa przebiega tak, jak powinna między córką króla a jej strażnikiem - odparła, gdy już ochłonęła.

Uśmiechnął się znowu. Ruszyli przed siebie, mówiąc o sprawach bez znaczenia. Przeszli przez dziedziniec, nie zdając sobie sprawy, że ktoś ich obserwuje. Filomen po raz kolejny odnotował sposób, w jaki jego uczennica spoglądała na jego brata.

Dobry kwadrans Ofka łajała córkę. Łada zносиła to w spokoju. Wpatrywała się w okno komnaty matki, puszczając mimo uszu jej napomnienia.

- Skaranie z tobą, córko! - Załamywała ręce królowa. - Ciągle tylko

z nosem w chmurach...

- Kiedy zajmuję się przyziemnymi sprawami, też masz mi to za złe - odszczeknęła Łada. - Nie wolno mi ani oddawać się marzeniom, ani sprawom państwowym. Co więc mam robić?

- Uważaj, moja panno! - upomniała ją Ofka, która coraz mniej pobłażliwie podchodziła do swawoli córki. - Odkąd wrócił twój królewski ojciec, zbytnio ci pofolgował i rogi ci urosły. Nie będę tego tolerowała!

Łada przewróciła tylko oczami.

- Masz natychmiast skończyć z chodzeniem na zebrania rady królewskiej, kto to widział?! - piekliła się dalej matka. - Od dziś zakazuję ci tego! Przy najbliższej okazji porozmawiam o tym z królem! Zajmiesz się wreszcie czymś, co przystoi panience o twojej pozycji! - wściekała się, podczas gdy Łada tylko patrzyła przed siebie, oczekując, aż wybuch złości matki minie. - Słowo daję, jakby ci się zdawało, że jesteś następcą tronu. Niedługo się okaże, że chcesz zastąpić w tej roli mojego Henryczka!

- Matko, następcą tronu jest Grzeszko - wtrąciła znudzonym tonem Łada i dopiero po chwili pomyślała, co narobiła.

Twarz Ofki dosłownie spłoszyła i Łada przestraszyła się naraz, że matka naprawdę ją uderzy.

- Zapamiętaj to sobie, córko, dobrze zapamiętaj! - syknęła tylko Ofka. - Grzegorz zasiądzie na tronie Jonki nie wcześniej, jak po moim trupie. Nie po to urodziłam syna i nie po to go chowam, żeby oddać tron temu... - zmeła w ustach przekleństwo.

Łada nie odpowiedziała jej nic, nie chcąc zaognić sytuacji.

Wieczorem Łada, wciąż obrażona na matkę o wcześniejszą awanturę, kręciła się bez celu po zakamarkach zamku. W końcu trafiła do stajni, gdzie zajrzała do swojej ukochanej klaczki. Gładziła ją czule po pysku, przemawiała do niej, podając kawałki jabłek i marchwi. Podniosła głowę, usłyszawszy jakiś chichot.

- Chcesz zabawić się na sianie, mój książę? - szczebiotał kobiecy głos.

- Zróbmy to jak prości chłopci - odparł głos młodzieńca, który dobrze znała.

Uśmiechnęła się pod nosem. Najwyraźniej jej starszy brat znów uwodził którąś dwórkę albo służebną. Starając się pozostać niezauważoną, Łada prześlizgnęła się wzdłuż ścianki stajni, aby znaleźć się bliżej. Przyjrzała się im i rozpoznała w dziewczynie Dobrochnę, dwórkę swej matki. Z wiadra wyjęła kolejne jabłko i gdy tylko spostrzegła Grzegorza, który obejmował dziewczynę, rozwiązując górną część jej sukni, cisnęła w nich z całej siły owocem. Strzał okazał się nad wyraz celny, Grzegorz oberwał akurat w kark.

- Ty sukin... - zaczął, ale nie dokończył, bo gdy się odwrócił, zauważył chichoczącą za nimi Ładę. - Poczekaj tylko, siostrzyczko, zaraz cię dorwę!

Łada pisnęła i widząc nacierającego na nią brata, ruszyła do ucieczki. Niestety potknęła się i upadła.

- Nic ci nie jest? - klękając obok, spytał Grzegorz, z którego właśnie uszła cała złość.

- Nic. - Łada szybko się pozbierała. Spojrzała na swoją mocno pobrudzoną suknię. - Matka znów się będzie ciskać - mruknęła.

- Znów? - spytał z lekkim uśmiechem na twarzy. Humory królowej Ofki zawsze go bawiły.

- Całe popołudnie krzyczała, że zabrania mi zajmować się sprawami ojca, że nie wolno mi chodzić do jego komnat oficjalnych i przeszkadzać - skarżyła się Łada, szczęśliwa, że może się komuś w końcu zwierzyć. - A na koniec wykrzyczała mi jeszcze, żebym nie zachowywała się jak następca tronu, bo i tak jest nim Henryczek...

Twarz Grzegorza nagle spoważniała. Wiedział, że Ofka go nie lubi i chętnie utopiłaby go w łyżce wody, ale nigdy nawet przez myśl mu nie przeszło, że roiła sobie, iż to jej syn może mieć prawo do tronu Jonki. Przecież to on był jedynym żyjącym potomkiem Roberta Prawego i na tym między innymi polegała umowa króla Henryka z rodami Starej Jonki: to właśnie on, Grzegorz miał po Henryku dziedziczyć tron.

- Hej, coś tak zmarkotniał? - Łada, zauważywszy zamyślenie

starszego brata, trąciła go w ramię. - Dla mnie i tak ty jesteś najukochańszym bratem i następcą tronu. Obiecay tylko, że zawsze będziesz mnie bronił.

- Będę, księżniczko ty moja. - Grzegorz przytulił siostrę, cały czas zastanawiając się, jak powinien postąpić w sprawie, o której właśnie przypadkiem się dowiedział.

Lensburg,

7 winnika roku 2087

Wilhelma i Gotfryda von Kolbiech dzielił raptem rok różnicy. Gotfryd był starszy i miał już ponad piętnaście lat, Wilhelm latem skończył czternaście. Obaj byli krzepcy i wysocy jak na swój wiek. Obu też zajmowały wyłącznie sprawy związane z fechtunkiem, nauką rycerskiego rzemiosła lub polowaniem. Z zapalem walczyli mieczami, ćwicząc swoje umiejętności. Potem z dumą prezentowali siniaki odniesione w pozorowanych potyczkach. Jeśli już ich nauczyciele zdołali zagonić ich do ksiąg, to musiały to być lektury traktujące o wielkich historiach wojennych, o bitwach i czynach walecznych rycerzy. Obaj głowy mieli napełnione marzeniami o tym, że pewnego dnia, za wiele pokoleń inni chłopcy w ich wieku czytać będą o przygodach Wilhelma i Gotfryda von Kolbiech, tak jak oni czytali choćby o królu Gumuncjuszu i jego siedmiu wygranych wojnach albo o Robercie II Śmiałym, który organizował wielkie wyprawy we wszystkich czterech kierunkach świata.

Nie można było chłopcom odmówić zapala. Pod tym względem nie różnili się od typowych rycerskich synów w ich wieku. Byli nierozłączni niemal jak rodzeństwo. Wilhelm zawsze bardziej lubił swojego kuzyna Gotfryda niż zamkniętego w sobie i rozmodlonego brata Krzysztofa, który wydawał się po prostu nudny. Podobnie Gotfryd wolał ćwiczyć się na miecze z Wilhelmem niż dręczyć złapane koty, jak zdarzało się to Maksymilianowi.

O ile we władaniu bronią Wilhelm nie miał sobie równych, o tyle

w nauce odstawał swojemu młodszemu bratu. Tylko w skryptorium, w którym wyznaczony przez archisolisa Wilfrieda młody kapłan udzielał im lekcji religii, arytmetyki i geografii, Krzysztof mógł się czuć lepszym od brata. Siedzieli właśnie przy pulpitych, czytając zadane przez nauczyciela teksty. Krzysztof kończył już swój zwój pergaminu, podczas gdy jego starszy brat dukał pod nosem, usiłując złożyć litery w wyrazy, a wyrazy w zdania.

Wilhelm podniósł głowę, gdy jeden z gwardzistów wszedł, informując, iż przyszła pilna wiadomość.

- Czcigodny archisolis wyszedł chwilę temu - objaśnił posłańcowi solis. - Zostaw list, a ja pójdę go poszukać. - Mężczyzna oddalił się, a nauczyciel zerknął na Wilhelma. -Zajmij się swoją pracą, paniczu - nakazał mu. - Kiedy wrócę, odpytam cię z tekstu.

Wilhelm przewrócił oczami. Podparł brodę dłonią i wrócił na moment do czytania. Gdy tylko drzwi izby zamknęły się za nauczycielem, chłopak podniósł się i podszedł do pulpitu, na którym kapłan zostawił list przyniesiony przez posłańca.

- Zostaw, to do ojca, nie do ciebie - ostrzegł go Krzysztof.

Wilhelm wzruszył tylko ramionami. Chwycił zwitek pergaminu i przyjrzał się pieczęci przedstawiającej orła z przepaską na skrzydłach.

- Od dostojnego pana Gerharda Desteina - mruknął, po czym przełamał pieczęć. Zmarszczył czoło, usiłując odczytać drobne pismo pana na Tomaszynie. - Psia mać! - zaklął pod nosem.

Krzysztof zaniósł się śmiechem.

- Po co otwierać list, skoro się czytać nie umie!

- Przymknij się albo ci przyłożę! - syknął Wilhelm, po czym z uwagą zagłębił się w treść wiadomości. - To zaproszenie! - pisnął zachwycony, odcyfrowawszy pierwszą linijkę.

Nie zdążył doczytać całości, bo drzwi izby otworzyły się i weszli do środka ksiązę Jerzy oraz archisolis Wilfried. Wilhelm machinalnie schował list za plecami i skinął przed ojcem głową.

- Wilhelm zabrał list, przełamał pieczęć, ale nie zdołał przeczytać, bo jest za głupi! - wykrzyknął od razu Krzysztof zachwycony, że może

naskarzyć na brata.

- Cicho bądź! - warknął Wilhelm.

- Czy to prawda, synu? - spytał poważnym tonem Jerzy. Wilhelm spuścił głowę i podał ojcu wiadomość. - Nie wolno czytać cudzej korespondencji. Gdybyś nie był moim synem, mógłbym pomyśleć, że szpiegujesz dla naszych wrogów. - Wilhelm nic nie odpowiedział, więc Jerzy odezwał się ponownie: - No to powiedz nam, co pisze dostojny pan Gerhard.

- Zaprasza cię do Tomaszyna... - wydukał chłopak. - Ponoć dostał jakiś list z Alwery, ale nie wiem jaki, bo nie zdążyłem doczytać...

- No ładnie! - Księżę cmoknął, po czym spojrział na treść wiadomości. Liczyła raptem kilka linijek i Jerzy od razu odgadł, że Wilhelm musiał naprawdę mieć duży problem, skoro nie zdążył zapoznać się z całością. - Nie wiem, za co powinniśmy cię ukarać najpierw: za podkradanie moich listów czy za brak postępów w nauce. - Jerzy pokręcił głową i ruszył do wyjścia.

- Ojczy! - zawołał za nim Wilhelm. - Czy mogę jechać do Tomaszyna razem z tobą?

Księżę spojrział na niego wymownie.

- Najpierw zajmiemy się karą - oznajmił.

Dwa kolejne dni Wilhelm przepracował za karę w zbrojowni przy czyszczeniu broni i oporządzenia. Kiedy jednak wyruszali z Lensburga na północ, nie czuł zmęczenia, a tylko zew przygody. Krzysztof z kolei czuł lekki ból pod żebrami z powodu siniaków, jakie otrzymał od starszego brata za to, że na niego naskarzył.

Berleujście,

13 winnika roku 2087

Grzegorz zbyt dobrze znał historię Jonki i zbyt był obeznany z mechanizmami sprawowania władzy na dworze ojca, żeby nie zdawać sobie sprawy z zagrożenia, jakie płynęło ze słów jego macochy. Jonka

widziała już przypadki, gdy dochodziło do bratobójczych walk o tron. Młodszy brat Marka Mocnego, Teobald, po śmierci Marka usunął z drogi jego małoletniego syna i sam przejął koronę. Ba, nawet sam wielki król Gumuncjusz przed wiekami musiał zmagać się z knowaniami młodszego brata. Posiadając tę wiedzę, królewicz rozumiał, że musi działać. Nierozsądnym było jednak uprzedzać działania królowej Ofki i występować otwarcie przeciw niej. Grzegorz postanowił zacząć od wybadania nastrojów ojca. Henryk był tego dnia w nienajlepszym humorze. Gdy Grzegorz wszedł do jego komnat, usłyszał tylko końcówkę rozmowy z kancelistą Gustawem, który odpowiadał za część królewskiej kancelarii dotyczącą spraw zewnętrznych.

- Dobrze zrozumiałem? Leonel zabronił sporządzać pisemną relację z rozmowy z posłami Alwery?! - zapytał król z wściekłością. - Powiedz mi, Gustawie, jak to możliwe?!

- Najjaśniejszy panie, nie wiem. - odparł cicho kancelista. - Tyle przekazał mi tłumacz, który był obecny przy rozmowach w Orrońsku. Tyle i jeszcze...

- Jeszcze co?!

- Dostojny pan kanclerz nazwał ponoć siebie najwłaściwszą osobą do prowadzenia tej sprawy i zasugerował, że choć ty, panie, jesteś królem, to on pociąga za sznurki na dworze...

- Co takiego?! - wściekł się Henryk. - Pociąga... za sznurki?!

- Według tłumacza w ten właśnie sposób dostojny pan kanclerz się wyraził.

- Z nikim nie wolno ci o tym rozmawiać, rozumiesz, Gustawie?! - warknął. - Każ tłumaczowi spisać relację. Słowo po słowie tak, jak ją pamięta. I niech przysięgnie przed archisolisem Prochosem, że nie łże.

Król odprawił kancelistę gestem ręki. Wychodząc, w drzwiach komnaty Gustaw spotkał Grzegorza, któremu uprzejmie skinął głową. Wiadomość, którą królewicz podsłuchał, zaskoczyła go. Świadczyła bowiem o niebywałej arogancji kanclerza. Jednocześnie Grzegorz poczuł radość na myśl, że może w końcu król dostrzeże, jakim człowiekiem był Leonel Lokrydz.

Henryk nie zauważył nawet syna, stał wpatrzony w okno, najwyraźniej tonąc w posepnych refleksjach. „Czy pozostawiając Leonela na stanowisku, popełniłem kolejny błąd?” – przemknęło mu przez myśl.

Kiedy widział przed sobą mapy, na których planował ułożenie wojsk, wszystko wydawało się jasne. Nigdy nie miał wątpliwości, gdy wysyłał swoich ludzi w bój. Czym innym jednak było walczyć, a czym innym administrować królestwem. Ostatnio coraz częściej czuł znużenie. „Może zbliża się starość?”

- Ojciec... - Głos Grzegorza przerwał królewskie rozmyślenia.

Henryk odwrócił się do niego.

- Nie teraz, synu - mruknął tylko.

- Wybacz, że przyszedłem nie w porę. Chciałem prosić cię, ojciec, o rozmowę.

Henryk nabrał więcej powietrza, pokręcił lekko głową, jakby chciał się otrząsnąć, po czym wskazał mu krzesło, zapraszając, by usiedli.

- O co chodzi? - spytał w końcu.

- Chciałem się poradzić: czy powinienem może wrócić do Pilzna? - zaczął Grzegorz. - Już parę miesięcy bawię na dworze i obawiam się, że możesz mieć mi za złe, że zaniedbuję swoje obowiązki kasztelana.

- Obowiązki kasztelana Pilzna wypełniłeś dobrze - odparł krótko Henryk. - Ustanowiłeś zdolnych zastępców. Jak donoszą mi moi ludzie, zamek jest w dobrych rękach - pochwalił syna. - I dobrze, że wróciłeś na dwór, bo mój następca tronu jest mi teraz potrzebny tutaj.

- Następca tronu - powtórzył Grzegorz, udając wahanie.

Henryk spojrzał na niego uważnie.

- Grzegorzu?

- Naprawdę chcesz, bym był twoim następcą? - odpowiedział pytaniem królewicz.

- Co tobie chodzi po głowie, synu? - Król się zdziwił.

- Doszły mnie plotki, że planowane są zmiany w porządku sukcesji...

- Zmiany... W porządku sukcesji... - powtórzył król, jakby miał nadzieję, że to pozwoli mu zrozumieć. - A któż na Regula wygaduje takie bzdury?! Mów! - krzyknął i podniósł się z miejsca. - Wezwę go tu

natychmiast i każę mu wyrwać jęzor! Co za banialuki! Któż niby miałyby po mnie objąć tron, jak nie mój syn?!

Grzegorz spojrzał na niego wymownie. Henryk sapnął, chcąc się uspokoić.

- Ach... Zatem znowu chodzi o humory Ofki. Posłuchaj mnie, synu. - Król podszedł do Grzegorza i położył mu dłoń na ramieniu. - Nie pozwoliłem ukoronować cię dziesięć lat temu nie dlatego, że chcę ci odebrać twoje dziedzictwo, ale po to, by cię ochronić przed baronami Starej Jonki - tłumaczył. - Jesteś moim pierworodnym, jesteś synem mojej żony Paulissy, córki Roberta Prawego, więc zgodnie z prawem tron należy się tobie. Ale to nie są wszystkie powody, dla których chcę, byś został moim następcą. Istnieje jeszcze jeden: jesteś mądrym księciem i wierzę, że będziesz królem lepszym ode mnie.

Grzegorz uśmiechnął się, lekko zawstydzony słowami ojca.

- Kocham każde z moich dzieci, zarówno ciebie, jak i twoje siostry. I oczywiście Henryczka - podkreślił. - Wierzę, że gdy nadejdzie jego czas, wydzielisz mu Lirwelię albo jakiś jej fragment, aby jako wierny wasal zarządzał nią w twoim imieniu, ale to będzie twoja decyzja, niczyja inna - zapewnił. - Henryczek jest mojej krwi, ale nie ma w nim krwi Jonki. Ja to wiem i ty to wiesz. A Ofka jest po prostu matką, musisz to również zrozumieć - powiedział Henryk i uśmiechnął się na koniec.

Grzegorz skinął głową. Udzielone przez króla poparcie wystarczało. Obawy żywione przez kilka ostatnich dni na chwilę go opuściły, choć wbrew sugestii ojca nie zamierzał pobłażać fantazjom macochy.

Królowej nie było w tym czasie na zamku. Wybrała się bowiem z wizytą do sanktuarium bogów na Ostrowi Miśniowickiej, wyspie pośrodku Fiuminy leżącej około dziesięć mil jonkijskich od Bramy Księżycowej. Córki towarzyszyły matce w tej pielgrzymce. Ładzie z początku pomysł ów wydał się nudny, boczyła się więc na otoczenie. Humor poprawiło jej dopiero pojawienie się Lucjusza, który dowodził oddziałem eskorty towarzyszącej dostojnym paniom. Odkąd przeprosiła go za swoje zachowanie, ich stosunki bardzo się polepszyły. Łada starała odnosić się

do niego tak, jak wymagał tego protokół. Ofka patrzyła na nią z zaskoczeniem, rzadko bowiem miała okazję widywać córkę zachowującą się jak na damę jej pozycji przystało.

Przepląły rzekę promem i powitane przez solisów weszły do świątyni. Ofka natychmiast oddała się żarliwej modlitwie. Tak przynajmniej to wyglądało, gdy klęczała na kamiennej posadzce, szepcząc coś po cichu. Żanna podążyła w jej ślady. Łada co prawda przyklękała nieco z tyłu, ale zamiast odmawiać modlitwy, rozglądała się po bogato wyposażonym wnętrzu świątyni. Minęło parę chwil i księżniczka zaczęła się już niecierpliwić, gdy skądś dobiegło ich echo jakichś krzyków odbijających się od kamiennych ścian. Niewiele myśląc, Łada podniosła się i ruszyła w kierunku, z którego dochodziły odgłosy kłótni. Gdy zniknęła w niewielkich drzwiach, Lucjusz ruszył za nią.

- Nie obchodzi mnie to! Masz natychmiast uwolnić moją matkę! Nie zrobiła nic złego!

Wszedłszy na krużganki, Łada zobaczyła młodą, smukłą dziewczynę wydzierającą się na grubego solisa.

- Ty bezczelna dziewucho! - syknął kapłan. - Zaraz cię nauczę szacunku dla bogów!

- Co się tutaj dzieje? - zapytała Łada.

- A ty kim jesteś i po co się wtrącasz, dziewczyno? - fuknął na nią solis.

- Uważaj, solisie, mówisz do jej wysokości Łady, córki miłościwego pana Henryka - upomniał go Lucjusz, który zbliżył się do księżniczki.

Kapłan burknął coś pod nosem.

- Panienko, wybaczone, ale nie powinnaś...

- Dobra pani, księżniczko, oni uwięzili moją matkę i żądają za nią okupu! - Nim zdolał dokończyć, Dafne podbiegła do Łady i rzuciła się jej do nóg. - Błagam, pomóż nam, pani!

- Wstań - nakazała jej najpierw Łada. Przyjrzała się jej uważnie. Dziewczyna musiała być niewiele starsza od księżniczki. W jej dużych, zielonych oczach czaiła się jakaś moc, która sprawiła, że to córka króla pierwsza opuściła wzrok. - Uspokój się i opowiedz mi wszystko.

- Ci solisowie...

- To wszystko kłamstwa! - przerwał dziewczynie kapłan. - Masz dobre serce księżniczko, ale nie daj się zwieść oszczerstwom tej dziewczuchy.

Łada podniosła dłoń do góry gestem, który wiele razy ostatnio widziała u swojego ojca. Poskutkowało, bo kapłan zamilkł.

- Dlaczego uwięziliście matkę tej dziewczyny? - spytała spokojnie.

- Nie było jej w solarze na święcie ku czci Ersa - odparł solis. - Nie zapłaciła też daniny na świątynię.

- Ile tego było? - dopytywała księżniczka.

- Trzy srebrne - odrzekł.

- Nieprawda! - wtrąciła Dafne. - Nie mogło być tak wiele. Rok temu płaciłyśmy!

- Ale nie wszystko! - warknął kapłan. - Były też starsze długi.

Łada nachyliła się do Lucjusza i szepnęła mu coś na ucho. Odwiązał od pasa sakiewkę i podał księżniczce. Sięgnęła do środka i przeliczyła monety.

- Pięć srebrnych wystarczy z nawiązką - oznajmiła chłodno, podając solisowi monety. - Zaliczysz to na odsetki i przyszłoroczną daninę. A teraz wypuść jej matkę.

Kapłan zacisnął dłoń, w której trzymał monety. Drugą ręką potarł czoło.

- Miłościwa królewno, są jeszcze inne zarzuty... - zaczął cicho. Wzrok Łady kazał mu kontynuować. - Mamy podejrzenia, że ta kobieta jest związana z ludźmi oddającymi cześć bożkom starego kultu. Podczas jesiennej równonocy złapaliśmy sporą grupę, udało nam się wyciągnąć od niektórych informacje...

- Stary kult? - pisnęła Łada. - Co za brednie!

W dzieciństwie słyszała od niańki o dawnych legendach, o ludziach, którzy oddawali cześć przyrodzie i jej siłom. Czerpali z mocy żywiołów, ponoć niektórzy mogli widzieć przyszłość, inni uzdrawiać ciała, a jeszcze inni leczyć dusze. Na lekcjach historii Filomen też wspominał o tym, że przed przyjęciem wiary w Wielkiego Sola i Dwunastu Lirwelia miała

swoje wierzenia.

- Odkąd Zbysław Szczerbaty upadł na kolana przed ołtarzem Wielkiego Sola i oddał mu cześć, minęło stulecie - odpowiedziała poważnie. - Nie uwierzę, że ktoś jeszcze ostał się przy dawniejszej wierze. - Kapłan próbował się odezwać, ale nie dopuściła go do głosu. - Ręczę honorem królewskiej córki za tę kobietę. Masz ją natychmiast wypuścić.

Solis zerknął na stojącego o krok za księżniczką Lucjusza, jakby szukając u niego pomocy.

- Rzekłam - dodała dźwięcznym głosem Łada, znów naśladowując ojca.

Solis pochylił głowę i odszedł spełnić jej rozkaz.

- Dzięki ci, pani - odezwała się słabym głosem Dafne. - Nigdy nie zapomnę ci tego, co dla nas zrobiłaś. - Łada dostrzegła w oczach dziewczyny łzy wdzięczności.

Nim wrócili do świątyni, Ofka skończyła już modły i z niecierpliwością oczekiwała na powrót córki. Lucjusz przyrzekł Ładzie, że o niczym nie powie ani królowej, ani Filomenowi.

W drodze powrotnej księżniczka nie myślała już o chciwości kapłanów z sanktuarium na Ostrowi Miśniowickiej. W uszach brzęczały jej tylko słowa o starych wierzeniach. Gdy zbliżali się do Bramy Księżycowej, zrównała swego konia z wierzchowcem Lucjusza.

- Powiedz mi, czy to prawda, że wciąż są w Lirwelii ludzie, którzy hołdują dawnym zwyczajom? - spytała cicho, by matka i siostra nie mogły jej usłyszeć.

Lucjusz milczał przez chwilę.

- Pochodzisz z ludu Lirwelii, musisz znać prawdę - nalegała.

- Tak, pani - odparł w końcu. - Choć dawno temu zgaszono ogień i ścięto święte gaje, wciąż są tacy, którzy oddają cześć przyrodzie i jej mocom.

Łada pokiwała głową. Jeszcze wjeżdżając na zamek swego królewskiego ojca, wciąż myślała o tym, że pomimo wszystkich ksiąg, które przeczytała, nadal niewiele wiedziała o świecie, który ją otaczał.

Tomaszyn, 22 winnika roku 2087

Gerhard Destein zaprosił księcia Jerzego i kilku innych baronów Hazenii z powodu listu z Alwery, w którym król Edgar najwyraźniej sondował hazeńskich nobilów w sprawie stosunku do króla Henryka. Wilhelm niewiele rozumiał z rozmów, które jego ojciec toczył z Gerhardem i innymi. Chyba tylko tyle, że pan Olaf de Vittmore lepiej wyrażał się o alwerskim królu niż o miłościwym Henryku. Zdziwiło to chłopaka na tyle, że spytał o całą tę sprawę ojca. Jerzy przypomniał mu, że Hazenia Górna przez dłuższy czas ciążyła ku Alwerze. Von Kolbie wyraźnie ucieszył się, zauważając u syna zainteresowanie sprawami księstwa. Równie wielką radość sprawiło mu to, że Wilhelm nie spowodował żadnej katastrofy. Nie odzywał się niepytany, z dworską uprzejmością traktował damy i przede wszystkim nie wdał się w żadną bójkę.

Spokój Jerzego trwał aż do przedostatniego dnia wizyty, gdy na dziedzińcu tomaszyńskiego zamku odbył się niewielki turniej. Wilhelm miał ogromną ochotę stanąć w szranki, ale ojciec mu zabronił.

- Są od ciebie starsi i silniejsi - powiedział. - Kiedyś będziesz ich księciem. Źle by się stało, gdyby ich pierwszym wspomnieniem było to, że pokonali cię w walce.

- Skąd pewność, że przegrałbym z nimi? - wycedził tylko Wilhelm.

Mimo wszystko zacisnęła zęby. Z początku lekko był obrażony brakiem wiary ojca w jego umiejętności, ale z każdą obserwowaną potyczką złość ustępowała miejsca emocjom i w końcu całkowicie oddał się kibicowaniu.

Gunter z Kesslerborka, dwudziestotrzyletni kuzyn dostojnego gospodarza turnieju, był niepokonany w potyczkach na miecze. Stosował fantazyjne pchnięcia i piruety. Ciął i rąbał tak zapamiętale, że pod koniec dnia inni młodzieńcy musieli uznać jego wyższość. Gdy jego dostojny gospodarz obdarzył go laurem zwycięstwa, wszyscy przeciwnicy gratulowali mu, a dworskie panny wzdychały w zachwytach.

- Winszuję, Gunterze. Masz talent do miecza. - Książę Jerzy dołączył do gratulacji, gdy Gerhard Destein przedstawił mu swego kuzyna. - Walczysz zaiste wspaniale. Nie znalazłbym żadnych błędów...

- A ja nawet kilka. - Młodzieńczy głos, który dało się słyszeć zza pleców księcia Obojga Hazenii, sprawił, że wszyscy dookoła ucichli.

- Coś ty powiedział? - syknął Gunter.

- Wilhelmie, powinieneś pogratulować zwycięzcy - Jerzy roześmiał się, chcąc obrócić sprawę w żart. - Może jutro udzieliłby ci kilku lekcji?

Twarz Guntera z Kesslerborka nadal wyrażała gniew.

- Chętnie udzielię lekcji twemu synowi, jaśnie książę - wycedził Gunter. - Najlepiej od razu.

Widząc wyraz jego twarzy, Jerzy również spoważniał. Odwrócił się do syna.

- Widzisz, coś narobił? - warknął po cichu. Opanował się natychmiast i spokojnie dodał: - Jesteś od niego lżejszy. Wykorzystaj swoją szybkość i zwrotność. Miejmy nadzieję, że zmęczenie i duma każą mu cię zlekceważyć. - Po czym głośno zwrócił się do swoich ludzi: - Miecz dla mojego syna! Natychmiast!

Widzowie na powrót zajęli swoje miejsca, a młodzieńcy stanęli naprzeciw siebie. Wilhelm przez cały dzień obserwował styl walki swojego przeciwnika i był pewny, że zdołał poznać jego mocne i słabe strony. Gunter patrzył na niego kpiąco. Splunął nawet przed siebie, chcąc pokazać, jak nisko ceni przeciwnika. Przeliczył się, sądząc, iż zdoła tym sprowokować Wilhelma, który nadal stał pewnie, czekając na atak. Gunter powoli ruszył z miejsca. Obszedł pewnym krokiem Wilhelma, który odwrócił się za siebie. Pierwsze uderzenie było mocne. Młodzieniec zachwiał się lekko na nogach, ale sparował cios. Spróbował wyprowadzić atak, ale jego miecz przeciął tylko powietrze. Gunter odchylił się do tyłu i roześmiał głośno. Z ław publiczności zawtórowały mu chichoty. Wilhelm ruszył ponownie, ale przeciwnik tylko odepchnął sztych jego broni. Nonszalancko trzymając miecz w jednej ręce, oganiał się od chłopaka jak od natrętnej muchy. Chichoty na widowni wzmożyły się. Jerzy spojrzał z ukosa na Krzysztofa, kiedy ten również wybuchł śmiechem.

Wilhelm tymczasem natarł mocniej, Gunter musiał ponownie prawdziwym uściskiem chwycić rękojeść, by nie dać się zranić. Odskoczył do tyłu, gdy wściekłe uderzenia młodego przeciwnika przebiły się przez jego gardę. Drwiący uśmiech ustąpił na jego twarzy miejsca zdziwieniu, a w końcu irytacji. Młody von Kolbie tymczasem starał się, jak mógł, by nie dać się ponieść złości. Kesslerborczyk wykrzyknął głośno i potężnym uderzeniem ciał rywala. Chłopak odskoczył i przetoczył się przez prawe ramię. Kolejne uderzenie miecza Guntera wykrzesало iskry z bruku dziedzińca, kiedy Wilhelm w ostatniej chwili przeturlał się na drugi bok. Nim zwycięzca turnieju zdołał wykonać półobrót i ciąć ponownie, Wilhelm skoczył na równe nogi i zaatakował z drugiej strony, uderzając ostrzem po odsłoniętym boku. Gunter zachwiał się, cofnął o krok i potykając się, upadł na prawe kolano. Miecz wypadł mu z ręki i z brzękiem dotknął bruku. Na widowni zrobiło się zupełnie cicho. Wilhelm stanął z mieczem w ręku nad swoim przeciwnikiem. Gunter patrzył na niego z mieszaniną wściekłości i zaskoczenia.

- Mówiłem, że popełniasz pewne błędy - wysapał Wilhelm. - Skończyliśmy?

Niechętnie Gunter skinął głową, a wtedy Wilhelm schował swój miecz do pochwy i podał mu rękę, pomagając wstać. Gerhard Destein podniósł się ze swojego miejsca i zaczął klaskać. Po chwili do owacji dołączyli pozostali widzowie.

Berleujście,

25 winnika roku 2087

Miesiąc wina okazał się na tyle ciepły, że Łada nadal mogła spędzać czas w ogrodach i wymykać się na konne przejażdżki. Kilkakrotnie w ciągu ostatnich trzech tygodni opuszczała zamek jedynie w towarzystwie Lucjusza. Od czasu wizyty w sanktuarium na Ostrowi Miśniowickiej wiele razy rozmawiała z nim, wypytując o różne sprawy związane ze Starą

Lirwelią. Lucjusz niewiele wiedział, tyle w zasadzie, co usłyszał niegdyś od swojej babki. Widział, jak córka króla zainteresowała się tematem. Dostrzegał również jej zawód spowodowany tym, że nie miała możliwości zgłębić tych spraw.

- Jeśli wolno mi coś powiedzieć, księżniczko, to nie interesuj się tą wiedzą. Została przeklęta przez solisów. Możesz tylko ściągnąć na siebie kłopoty. - poradził któregoś dnia. - Jedyne, co możemy zrobić, to po cichu pomagać tym, którzy się ostali.

Pokiwała głową ze zrozumieniem i więcej już go o to nie wypytywała.

Te rozmowy zbliżyły ich. Nie było w tym nic niestosownego. Lucjusz zawsze dbał, by zachować właściwy dystans w stosunku do córki króla. Wiedział jednak, że nawet to, co robił, było rażącym przekroczeniem zasad, które w najlepszym razie mogło spowodować relegowanie go ze służby, a w gorszym ściągnąć na jego głowę gniew władcy. Wiedział o tym, a mimo wszystko brnął dalej w tę dziwaczną relację z dojrzewającą dopiero dziewczyną, która po wielekroć przewyższała go społecznym statusem. Wrócili właśnie z kolejnej przejażdżki. Łada wślizgnęła się do zamku boczną bramą, zostawiając mu konia. Odprowadził wierzchowce do stajni. Księżniczka już na niego czekała.

- Pójdę już - oznajmiła. - Matka może mnie szukać.

Teatralnym gestem wyciągnęła przed siebie dłoń, w której trzymała jedwabną chustkę.

- Pamiętaj, rycerzu, że każde uderzenie mego serca będzie odliczać czas do naszego następnego spotkania! - wygłosiła tym samym tonem, którym mówiła tamtego dnia, gdy nakrył ją w ogrodach.

Uśmiechnął się i z niemal równym talentem aktorskim ukłonił przed nią. Wyjął chustkę z jej dłoni. Wszystko to, co stało się aż do tej chwili było jedynie żartem. Lucjusz zdawał sobie sprawę, że nie może pozwolić sobie na nic więcej. Łada najwyraźniej nie wyczuła tej granicy. Przytrzymała jego dłoń w chwili, gdy już miał ją cofnąć. Wspięła się na palce i wpiła mu w usta. Przez krótki moment zaskoczenie nie pozwoliło mu zareagować. Szybko jednak opamiętał się i odskoczył od niej.

- Nie, księżniczko, tak nie można! - jęknął. - Nie wolno nam, nie

wolno mi dotykać córki króla!

Łada stała przed nim, wpatrując się w jego oblicze, na którym malowały się zaskoczenie i obawa.

- Przepraszam cię, Lucjuszu... - Po chwili dotarło do niej, że przekroczyła granicę, narażając go na straszliwe konsekwencje. - Wybacz mi, obiecuję, że to się więcej nie powtórzy. Ja tylko... Chciałam sprawdzić...

- Tak, pani - szepnął. - To nie może się powtórzyć.

Skinął głową i ruszył do wyjścia ze stajni. Łada została sama, miotając się w myślach pomiędzy euforią a poczuciem winy.

Ofka nerwowym krokiem chodziła po swojej komnacie raz w jedną, raz to w drugą stronę. Łady, jak zwykle ostatnio, nigdzie nie można było znaleźć. Zapewne znów skryła się w pokojach ojca albo potajemnie wybrała na konną przejażdżkę. Krnąbrność córki psuła humor żony króla. Jakby mało było kłopotów. Ofka miała ich ostatnio aż nadto. Grzegorz, z poparciem królewskiego ojca, coraz śmieiej sobie poczynął na dworze i nawet nie udawał już szacunku wobec macochy. Jeśli król będzie nadal stał po jego stronie, to wszystkie jej wysiłki pójdą na marne. Jaki los czeka wówczas jej ukochanego syna?

- Wezwijcie do mnie dostojnego kanclerza - odezwała się po chwili do dwórki Dobrochny. Dziewczyna dygnęła i bez zwłoki pobiegła szukać Leonela.

Od powrotu męża Ofka rzadko go widywała. Początkowo zdawało się jej, że nie przeżyje ani dnia bez jego uśmiechu, dotyku, ciepłego słowa. W końcu jednak zdołała zapanować nad uczuciami, angażując swą energię wyłącznie w sprawę zapewnienia synowi przyszłości, na jaką jej zdaniem zasługiwał. Dlatego gdy Leonel w końcu wszedł do jej komnaty, była chłodna i zdystansowana. Od razu zauważyła błysk nadziei w jego oczach, gdy nakazała Dobrochnie wyjść i zamknąć drzwi izby. Podeszedł do niej i nachylił się, aby ją pocałować. Położyła mu dłoń na piersi i odsunęła się o pół kroku.

- Sądziłem, że...

- Są ważniejsze sprawy niż ja i ty - przerwała mu twardo.

Spojrzał na nią uważnie, próbując odgadnąć, co też może chodzić jej po głowie.

- Henryk trwa w swoim postanowieniu, by pozostawić tron Grzegorzowi - odezwała się znów ściszym głosem.

- To zrozumiałe - odparł kanclerz. - Grzegorz jest jedynym żyjącym wnukiem Roberta Prawego, choć po kądzieli. Tylko dlatego, że Henryk obiecał przekazać mu w przyszłości tron, baronowie Jonki przełknęli jego koronację.

- Wiem - przytaknęła niechętnie. - Długo łudziłam się, że przekonam mojego męża, że wystarczy odsunąć Grzegorza z dworu, rzucić na niego cień podejrzania, ale to nic nie da - zawiesiła na chwilę głos, znów zbliżając się do niego. - Jest tylko jeden sposób. - Ich wzrok spotkał się przez chwilę. - Jedyną możliwością, aby syn tej jonkijskiej księżniczki nie zasiadł na tronie po Henryku, jest jego śmierć.

W końcu powiedziała na głos to, co od wielu tygodni coraz silniej kołatało się w jej myślach. Leonel patrzył na nią z mieszaniną lęku i niedowierzania.

- Nie mówisz poważnie, miła - szepnął. Potarł dłonią czoło, sapnął nerwowo i dopiero znów się odezwał: - Nie. To niedorzeczność. Zostawmy to...

Nagle poczuł, że chce stąd wyjść, zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie mógł uwierzyć, że jego ukochana Ofka mogłaby naprawdę posunąć się tak daleko.

- Jeśli Grzegorz będzie żył, to umrze Henryczek - odezwała się znowu. - Wiesz to równie dobrze, jak ja! Grzegorz nie pozwoli mu żyć!

- Nie wydaje mi się, aby Grzegorz postrzegał brata jako zagrożenie...

Przeszła się kilka kroków po komnacie. Odczuła jego wahanie. Wręcz była pewna, że był za słaby. A przecież wydawał się jej jedynym prawdziwym sojusznikiem. Nie miała nikogo innego, z kim mogłaby się sprzymierzyć. Sięgnęła po silniejszy argument. Zbliżyła się do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Może masz rację - uśmiechnęła się delikatnie. - Może zbyt się

troskam o mojego syna. - Pocałowała go. - Zapomnijmy o tym i cieszymy się sobą. Tak dawno nie mieliśmy okazji być sam na sam.

Wszystkie myśli kotłujące się w jego głowie nagle odpłynęły. Znów liczyło się tylko to, że Ofka była blisko, że mógł jej dotykać, pieścić ją, całować. Przez chwilę nic innego się nie liczyło. Kiedy kochali się w jej komnacie, byli pewni, że są sami. Nie przypuszczali nawet, iż ciekawość zwyciężyła tym razem poczucie obowiązku Dobrochny, która całą rozmowę siedziała z okiem przyklejonym do dziurki od klucza drzwi komnaty królowej.

Do wieczora młoda dwórka biła się z myślami. Co powinna zrobić z sekretem, który poznała? Od wielu miesięcy ciekawiło ją, co królowa robi z kanclerzem, kiedy zostają tylko we dwoje. Było to dość osobliwe, tym bardziej, że te spotkania ustały, gdy tylko król wrócił na dwór. Aż do tej chwili mogła jedynie się domyślać. Dziś widziała na własne oczy. Widziała i, co gorsza, słyszała. Królowa zachęcała kanclerza do spisku, do zamachu na życie następcy tronu. A ten nie był Dobrochnie tak całkiem obojętny. Przystojny i biegły w miłosnych igraszkach królewicz jawił się jako ucieleśnienie marzeń tej dziewczyny. Wiedziała oczywiście, że nigdy nie może liczyć na nic więcej niż pozycja księżęcej nałożnicy. Ale i to stanowiło poważny awans społeczny w porównaniu ze statusem podupadłego zamku we wschodniej Lirwelii, z którego pochodziła.

Po zachodzie słońca czekała na Grzegorza ukryta przy bocznej bramie kasztelu. Wiedziała, że to właśnie tędy najczęściej wymykał się na swoje nocne eskapady do miasta. Serce zabiło jej mocno, gdy zobaczyła go, jak nadchodził w towarzystwie swojego kompana, gwardzisty Gniewka.

- Dostojny księżę! - pisnęła.

- Dobrochna? - zdziwił się Grzegorz - Co ty tu robisz? Chyba nie przyszłaś mnie szpiegować?

- Nie, panie, nie śmiałabym. - Spuściła pokornie oczy. - Przyszłam powiedzieć ci o czymś ważnym.

- Trudno. - Królewicz wzruszył ramionami. - To musi poczekać, mamy z Gniewkiem ważniejsze sprawy. - Podszedł do niej bliżej

i uszczypnął ją w tyłek. – Musisz poczekać na swoją kolejkę, śliczna.

– To nie może czekać, mój książę – nalegała.

Grzegorz zmarszczył brwi. Jej twarz była dziwnie poważna.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że wpadłaś w kłopoty – szepnął. –
Jeśli tak, to szybko znajdź zielarkę, która...

– Nie, panie, nie masz się co obawiać, nie chodzi o ciążę – zaprzeczyła
szybko. – Chodzi o twoją panią macochę. O królową.

– Mów jaśniej.

Dobrochna z lekką obawą zerknęła na stojącego o pół kroku dalej
Gniewka. Grzegorz zrozumiał jej gest. Chwycił ją za ramię i pociągnął
kilka kroków dalej.

– Królowa i kanclerz rozmawiali dziś o tym, jak sprawić, by to młody
Henryk dziedziczył tron po naszym najjaśniejszym panu zamiast ciebie –
wyszeptała. Grzegorz patrzył na nią twardym wzrokiem, nakazując, by
kontynuowała. – Jej wysokość doszła do wniosku, że król nigdy nie zmieni
zdania i że jest tylko jeden sposób. Należałoby...

Grzegorz pokiwał głową. Nie sądził, że jego macocha tak szybko
będzie chciała nastawać na jego życie. Miał już się odwrócić i ruszyć
dalej, ale Dobrochna go zatrzymała.

– To nie wszystko, mój książę. Jest jeszcze coś – oznajmiła. – Potem,
kiedy skończyli mówić, królowa i kanclerz – zawahała się, spuściła wzrok
i ledwie słyszalnym szeptem dokończyła – byli ze sobą.

– Byli ze sobą? – powtórzył zszokowany.

– Tak, książę – potwierdziła. – Jak mąż z żoną...

O ile wiadomość o tym, że Ofka chce go zgładzić, stanowiła tylko
potwierdzenie jego przypuszczeń, o tyle informacja o romansie żony
króla z kanclerzem zupełnie nie mieściła mu się w głowie.

– Masz na to dowód?

– Tylko moje słowo.

Grzegorz przez moment stał, próbując poukładać sobie w głowie
informacje, które właśnie uzyskał. Znienawidzona macocha przyprawiała
rogi jego królewskiemu ojcu. Wiadomość tej wagi mogła wstrząsnąć
królestwem w posadach.

- Dobrze, że mi o tym powiedziałaś, Dobrochno. - Uśmiechnął się i pogładził dłonią jej twarz.

Wściekły na siebie i na księżniczkę Lucjusz nie wrócił od razu do koszar gwardii, gdzie kwaterował. Udał się do gospody, spędził tam kilka godzin nad dzbanem miodu, którym próbował zagłuszyć poczucie winy i złość z powodu tego, co zaszło między nim a Ładą. Polubił tę dziewczynę, odkąd dostrzegł, że jej zachowanie zaczęło się zmieniać. Mimo to nadal uważał, że była rozkapryszoną pannicą. Udowodniła mu to tym wyskokiem. Będzie dobrze, jeżeli znowu na niego nie naskarzy. Jeśli spróbuje tych swoich sztuczek, to wybuchnie afera. Lucjusz wiedział, jakie konsekwencje mogłyby go czekać. Dopił miód i powlókł się na zamek. Miał udać się prosto do koszar, ale mijając zamkowy archisolar, dostrzegł we wnętrzu wątle światło. Odruchowo pomyślał o bracie. Wszedł do środka. Z ulgą zauważył, że to właśnie Filomen klęczał na kamiennej podłodze, recytując modlitwy. Zbliżył się do niego i położył mu dłoń na ramieniu. Solis aż podskoczył.

- To ty... - szepnął, ze świstem wypuszczając powietrze. - Wystraszyłeś mnie, bracie. Po co przyszedłeś o tej porze?

- Pożegnać się z tobą... - mruknął tylko Lucjusz. - Muszę opuścić dwór.

Filomen zmarszczył brwi.

- Coś ty zmalował?! - syknął.

Lucjusz westchnął ciężko, tak iż Filomen poczuł od niego odór alkoholu. Solis rozejrzał się uważnie. Choć o tej porze rzadko kto odwiedzał świątynię, to należało zachować ostrożność. Pociągnął brata do niewielkiego pomieszczenia za ołtarzem. Przymknął drzwiczki i powtórzył:

- Co takiego zrobiłeś, na Wielkiego Sola?!

Lucjusz pokrótce opowiedział całą historię.

- Dobra Pani Luno... - załamał ręce kapłan. - Czy wiesz, co może ci za to grozić?!

Lucjusz skinął głową. Raptem Filomen roześmiał się nerwowo.

Naprawdę osobliwym wydało mu się, że obaj padli ofiarą manipulacji księżniczki. Najwyraźniej Łada wciąż próbowała sprawdzić swoją siłę oddziaływania na mężczyzn.

- Ciężko przewidzieć, co zrobi księżniczka. - Solis wyglądał na zmartwionego. - Jest pewne ryzyko, że to będzie miało swój ciąg dalszy, choć osobiście uważam, że niewielkie. Łada mimo wszystko nie jest zła i nie sądzę, by chciała doprowadzić cię do zguby. Wróć na kwaterę i zachowaj spokój - poradził bratu. - Nie powinieneś uciekać po nocy jak złodziej. To zrodzi podejrzenia. Przyczaj się na kilka dni, weź jakieś warty albo... W każdym razie trzymaj się od niej z dala.

Lucjusz skinął głową na znak, że się zgadza. Raptem posłyszeli dochodzące z nawy kroki. Filomen z niepokojem wysunął się z izdebki i dostrzegł gwardzistę króla.

- O co chodzi? - warknął z rosnącym niepokojem.

- Wybacz, solisie, najjaśniejszy pan Henryk wzywa cię natychmiast do siebie.

Przez grzbiet kapłana przebiegł dreszcz. Jaki powód mógł mieć władca, by wzywać go o tak późnej porze?

- Oczywiście, już idę - odparł, usiłując zachować spokój. - Pozwól tylko, że złożę kapłańskie szaty w należyтым porządku.

Filomen schował się znów w izbie za ołtarzem.

- No to chyba jednak mamy problem - mruknął z niepokojem Lucjusz.

- Nie ruszaj się stąd na krok - szepnął Filomen. Spojrzał na niego ze złością. - Ty głupcze, patrz, w co nas wpędziłeś! - Zatrzymał się jeszcze na chwilę. Podeszedł do Lucjusza i pierwszy raz od bardzo wielu lat przytulił go do siebie. - Siedź tu i pozwól mi wszystko odkręcić, może zdołam ocalić nasze głowy.

Filomen był pewny, że najjaśniejszy pan wzywa go w sprawie nagłego porwywu uczuć księżniczki. Z ciężkim sercem podążył za strażnikiem w kierunku zamku. Gdy wyszli ze świątyni na zewnątrz, poczuł dreszcze. Chłód nocy przeszywał go do szpiku kości.

Było bardzo późno. W komnacie prywatnej króla Henryka znajdowali się jeszcze tylko Grzegorz, rycerz Gniewko z Horlicy, którego królewicz prosił o pomoc i za którego dyskrecję ręczył, oraz Filomen. Z obecności tego ostatniego następcy tronu nie był zadowolony, bowiem od dawna żyli w nieprzyjaźni. Król jednak ufał mu, i to nawet bardziej niż samemu archisolisowi Prochorowi. Henryk nie mówił nic. Relacja, której powtórzenie na jego oczach Gniewko wydusił z Dobrochny, wstrząsnęła nim. Jego żona i jego lojalny doradca. Popęłnił błąd, nie pozbywając się Lokrydza od razu po powrocie z wojny. Przecież wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że jego żądza władzy nie zna granic. Ale że posunął się aż tak daleko? Aż do tego, by uwieść królową? Romans mógł trwać od wielu lat. Przecież ta dwórka wyraźnie mówiła, że odkąd służy królowej, zdarzały się sytuacje, gdy Lokrydź zostawał z Ofką sam na sam. Na Wielkiego Sola, to mogło trwać od lat! Coraz ciemniejsze myśli kotłowały się w głowie króla. „Jak długo?! – Król próbował się doliczyć. Przecież na wojnach spędziłem blisko dziesięć wiosen... – przewijało mu się w myślach. Henryczek... Henryczek ma dopiero ponad pięć...”

Nie mógł nawet tak pomyśleć, to sprawiało tak wielki ból. Z całej siły walnął pięścią w blat stołu. Przeszedł kilka kroków po komnacie i powiódł wzrokiem po zebranych. Światło rzucane przez kilka świec drgało na ich twarzach. Oczekiwali w milczeniu na jego rozkaz.

– Jeśli cokolwiek z tego, co się wydarzy tej nocy, kiedykolwiek zostanie ujawnione, znajdę was – zwrócił się do Gniewka i Filomena. – Choćby i na tamym świecie, pamiętajcie! – Obaj skinęli głowami. – Gniewku, weź trzech najbardziej zaufanych ludzi, tylu wystarczy. Przykaż im, że nie wolno im nic rzec z tego, co dziś nakażę czynić. Pójdziecie do komnaty kanc... – zatrzymał się w pół słowa – tego zdrajcy i pochwycicie go. Nie będzie sądu ani przesłuchań. Weźcie ze sobą sznur, ma zawisnąć natychmiast.

Gniewko pochylił głowę i uderzył prawą dłoń w pierś, po czym wymaszerował z komnaty.

– Ty, Filomenie, zbudź królową – kontynuował Henryk. – Chcę, by to widziała.

Filomen również pospiesznie udał się wykonać królewski rozkaz. Bardzo trudno było mu skupić się na skandalu, o którym właśnie usłyszał. Idąc przez pogrążony w nocnej ciszy zamek, dziękował w duchu wszystkim Dwunastu, licząc, że to wydarzenie pozwoli przykryć inną aferę, również związaną z porywem uczuć.

Król tymczasem został sam na sam z Grzegorzem. Oparł się dłońmi o blat stołu. Królewicz przez chwilę obawiał się, że jego ojciec słabnie, ale król zaraz odezwał się całkiem przytomnie.

- Okazałeś się lojalnym synem, Grzegorzu - spojrzał mu prosto w oczy - ale i ciebie dotyczy przysięga milczenia w tej sprawie.

- Jakże miałbym rozgłaszać cokolwiek, co godzi w honor mego pana i ojca - odparł cicho królewicz. - Przysięgam na wszystkich Dwunastu.

Król podszedł do niego i objął go ramieniem.

- Chodźmy - nakazał. - Czyńmy, co należy czynić.

Gwałtowny hałas rozbudził Leonela Lokrydza, który późno się tego wieczora położył i dopiero niedawno zasnął naprawdę. Zanim na dobre się ocknął i uświadomił, co się dzieje, do jego komnaty wpadło już czterech rycerzy ze straży królewskiej.

- Aresztować tego człowieka! - nakazał Gniewko z Horlicy, który najwyraźniej nimi dowodził.

Kanclerz zerwał się na równe nogi.

- Jakim prawem?! - wykrzyknął, gdy trzech gwardziści chwytały go pod ramiona. - Cóż ma znaczyć ta napaść?! Odpowiedcie przed królem! - Szarpał się i wygrażał. - Do wszystkich czortów, każę was stracić!

- Jesteś, panie, oskarżony o przywłaszczenie władzy królewskiej, zdradę stanu i kilka pomniejszych zbrodni - oznajmił Gniewko. - Pójdiesz z nami.

Leonel, którego zdążyli już wywlec z komnaty, poczuł nagle dreszcz. Natychmiast uświadomił sobie, że przyczyną tego nie było chłodne powietrze jesiennej nocy.

Królowa Ofka niewiele rozumiała z tego, co się dzieje. Bogna obudziła ją,

informując, iż solis Filomen przybył z królewskim wezwaniem do natychmiastowego stawiennictwa. Otuliła się tylko jakąś narzutą. W towarzystwie Filomena i dwórki ruszyła przez pogrążony w nocnej ciszy zamek. Nie doszli do komnaty króla, spotkali go na krużgankach. Stał z rękami założonymi za plecami. Z tyłu pod ścianą stał Grzegorz, którego twardy, nieustępliwy wzrok podpowiadał Ofce, że dzieje się coś niedobrego.

- Henryku, mężu - szepnęła. - Cóż się stało, że wzywasz mnie o takiej porze?

- Patrz, żono - nakazał król.

Spojrzała i zamarła. Po przeciwległej stronie dziedzińca zamkowego, również na piętrze krużganków, trzech rycerzy gwardii królewskiej wlekło ubranego w nocną koszulę Leonela, który miał skrępowane ręce. Zatrzymali się dokładnie naprzeciwko króla. Czwartym, przewodzącym im strażnik, założył teraz wrzeszczącemu Leonelowi pętlę na szyję.

- Dranie! - krzyczał dalej tamten. - Dajcie mi mówić z królem! - domagał się. - Psy, puszczajcie mnie!

Strażnicy przywiązali mocno koniec sznura do jednej z kolumniek podtrzymujących sklepienie krużganków, po czym wypchnęli wciąż wrzeszczącego Leonela za balustradę. Jego krzyk ucichł w jednej sekundzie, razem z trzaskiem łamanego kręgosłupa. Ofka stała oniemiała. Król odwrócił się twarzą do niej. Odnotował, że po jej policzku spłynęła łza.

- Przyjrzyj się temu uważnie - szepnęła lodowatym głosem Henryk. - Tak kończą wszyscy, którzy mnie zdradzą.

Przełknęła ślinę. Czuł, jak cała drży.

- Królu, nie wiem, o czym mówisz - szepnęła. - Jestem twoją lojalną żoną.

- Nie. - Pokręcił przecząco głową. - Przykro mi, ale w moim królestwie kurwa nie może być żoną króla.

Zadrzała ponownie i spuściła głowę. Wiedziała już, że znał całą prawdę.

- Będziemy musieli pomyśleć, jak to rozwiązać - dodał jeszcze

Henryk.

Przymknęła oczy, oczekując na jego wyrok. Przez głowę przemknęła jej myśl, że ją też każe natychmiast obwiesić na dziedzińcu. Potem myślała już tylko o dzieciach, zwłaszcza o Henryczku. O małym, pięknym Henryczku, co do którego sama nie była pewna, czyim był synem.

Jonka,

3 listopada roku 2087

Wieść o upadku wszechwładnego kanclerza Leonela Lokrydża wstrząsnęła królestwem. Nic bowiem nie zapowiadało, że popadł u króla w niełaskę. Ledwie na miesiąc przed swoją kaźnią prowadził przecież negocjacje z posłami z Alwery. Dla wielu więc wiadomość o śmierci kanclerza była zaskoczeniem. Panowie Starej Jonki od dawna przypuszczali, że między królem a kanclerzem dojdzie w końcu do rozłamu.

- A ostrzegałem ja pana Leonela, ostrzegałem. - Jakub Jacobson pokiwał głową. - Wyśmiał mnie, gdy mówiłem, że będzie potrzebował nas dla ochrony przed Henrykiem. Oznajmił wówczas, że gdy zechce, może zmiażdżyć króla - dodał, wzdychając. - No i się doczekał.

Jacobson pociągnął łyk grzanego wina. Zazwyczaj nie lubił łączyć wina i polityki, uważając, że w tak ważnych sprawach należy zachować trzeźwy umysł. Wieczór był już jednak chłodny i tym razem hrabia Bytowa pozwolił sobie wypić coś rozgrzewającego. Szaruga, typowa dla miesiąca opadających liści, dotarła już do stolicy i zdawało się, że każdy kolejny dzień będzie bardziej mokry i chłodny od poprzedniego. Rozejrzał się po komnacie, bo znów zrobiło mu się zimno. Dostrzegł uchylone okno i strzelił palcami, dając sługom znać, by natychmiast temu zaradzili.

- Pamiętam tę rozmowę - rzucił w międzyczasie Marius z Elwina. - Lokrydż wzgardził wtedy nawet ręką mojej córki. Pies lirwelijski...

- Szczurzy pomiot - dodał Gunter z Mikołajewa. - Nie żał mi go, druhowie. Powiadam wam, że dostał to, na co zasłużył. Zawsze wynosił

się ponad nas, jakby co najmniej z lepszego rodu pochodził.

- Ostatnio zamarzyło mu się nawet wynosić ponad króla. - Jakub uśmiechnął się.

- Jak myślisz, Jakubie, co zrobi teraz Henryk? - spytał po chwili Marius.

- Ma dwa wyjścia. Albo przejmie rządy osobiście i nie wyznaczy nowego kanclerza, co jest o tyle prawdopodobne, że może nie chcieć znów hodować rywala, albo też mianuje kanclerza, a wtedy musi sięgnąć po kogoś z nas. Wszak w Lirwelii już chyba zbrakło wielkich ludzi. Cokolwiek Henryk postanowi, będzie z korzyścią dla nas, bo jego samodzielne rządy też nie będą raczej cieszyć poddanych.

- Prawda, Henryk niewiele musi wiedzieć o sprawach królestwa po tak długiej nieobecności - przytaknął Gunter. - Wątpliwe wszak, by Lokrydź zdążył przekazać mu obowiązki.

- Nie, panowie, na to dostojny kanclerz z pewnością nie miał czasu. - Na twarz Jacobsona wypłynął dziwny uśmiech. - Swoją drogą osobliwie postąpił Henryk. Skazał go sam, bez sądu dwunastu równych, do którego Lokrydź miał przecież prawo. Dałbym beczkę przedniego wina slawińskiego temu, kto by mi wyjaśnił, o co naprawdę się powadzili.

**Okolice Sandyszowa,
północna Lirwelia,
7 listopad roku 2087**

Dafne nie posiadała się ze szczęścia, gdy tamtego dnia solisowie wypuścili jej matkę na rozkaz młodej córki króla Henryka. Całą drogę powrotną do domu przyzywała wszystkie znane sobie dobre duchy, prosząc, by los odpłacił księżniczce za okazaną łaskę.

Nie zostały w swoim dotychczasowym domu. Choć dziewczyna przekonywała, że ochrona królowny wystarczy, to jej matka pozostała nieugięta. Jeszcze tego samego dnia spakowały swój skromny dobytek i ruszyły przed siebie.

Wędrowały przez wiele dni, pomimo pogody, która z każdym dniem się pogarszała. Jesienne deszcze i chłód coraz bardziej dawały się we znaki. W końcu dotarły w okolice Sandyszowa, który był najdalej na północny zachód wysuniętą kasztelanią podległą hrabiemu Lirwelii. Deszcz padał tego dnia wyjątkowo obficie i zdążył już przemoczyć obie kobiety do suchej nitki. Zmierzchało, gdy dostrzegły przed sobą wątłe światło z chaty na skraju lasu.

- Czego tutaj? - Gospodarz, który otworzył drzwi, przywitał je chłodno.

- Szukamy schronienia przed deszczem - oznajmiła matka. - Wędrujemy z córką od wielu dni...

- Precz stąd - warknął. - Nie potrzebujemy tu włóczęgów.

Miały już odejść, gdy z wnętrza chaty wysunęła się kobieta.

- Mężu, nie godzi się. Kto odmawia gościny potrzebującym, ten gniewa Dwunastu - upomniała go łagodnym tonem. - Wejdźcie, proszę. Nie mamy wiele, ale chętnie się z wami podzielimy.

Pod wpływem jej wzroku mężczyzna skapitulował. Rozwarł szerzej drzwi i wpuścił kobiety do środka. Zrzuciły z siebie całkowicie przemoczone płaszcze i usiadły przy ogniu. Po chwili gospodyni podała im jakiś ciepły napitek. Jej mąż łypał na nie spode łba, ale nic nie mówił.

- Wybaczcie, ale muszę doglądać synka - oznajmiła po chwili gospodyni. - Jest chory.

- Co dolega twojemu dziecku? - spytała matka Dafne.

- Przemókł, gdy wracaliśmy z miasta i od trzech dni ma gorączkę. Podaję mu zioła, ale nie działają, a na medyka nas nie stać.

- Czy mogę do niego zajrzeć? - zaproponowała matka, wstając. - Znam się nieco na sztuce uzdrawiania.

Gospodarz chciał zaprotestować, ale jego żona znów go uciszyła.

- Naprawdę zdołasz pomóc mojemu synowi? - spytała z nadzieją.

- Żono, co czynisz?! - wtrącił się w końcu. - To na miłą pachnie magią. Od razu widać, że to czarownice.

- Zapewniam cię, dobry człowieku, że w mojej sztuce nie ma magii - odparła matka Dafne.

Gospodyni podeszła do męża i położyła mu dłoń na ramieniu. Spojrzeli po sobie i po chwili mężczyzna skinął głową.

- Pomóż nam, jeśli potrafisz - szepnął.

Przeszły do oddzielonej zasłoną części izby. Na łóżku leżał około dziesięcioletni chłopak, obficie pocąc się od gorączki.

- Przynieś mi wody i przygotuj zioła, Dafne - nakazała córce.

Dziewczyna wykonała polecenie, podczas gdy jej matka, mruczając pod nosem inkantacje w języku Starej Lirwelii, podeszła do paleniska i uniosła dłoń ponad ogniem.

- Co robisz? - spytała z niepokojem gospodyni.

- Nie bój się, spójrz. - Kobięcina podeszła do niej i pokazała jej swoją dłoń, na której wewnątrz tańczyły maleńkie ogniki. - Każdy żywioł tego świata ma swoją moc. Podziękuj Matce Ziemi za jej dary. Za ogień, który daje siłę. - Pomiedzy wypowiedzianymi w jonkijskim zdaniach, wtrącała także zaklęcia w starej mowie. - Za wodę, która orzeźwia. Za wiatr, który niesie życie. I za ziemię, która rodzi. A potem zaczerpnij ich mocy i daj jej tym, którzy potrzebują. - Przyłożyła dłoń do policzka kobiety.

- Czuję to...

- Mówiłem, że to wiedźma! - jęknął mężczyzna. - Żono, jeśli ktoś doniesie solisowi, wszyscy trafimy na stos!

- Ciii - uciszyła go matka Dafne. - Zaufaj mojej wiedzy.

Wróciła do łóżka chłopca, po cichu szepcząc jakieś formuły, i położyła mu rozgrzaną ogniem dłoń na głowie i piersi. Potem skropiła jego ciało wodą przyniesioną przez Dafne. Aż do rana siedziała przy chorym, kilkakrotnie powtarzając rytuał i pojąc go różnymi naparami.

Gdy słabe jesienne słońce wzniosło się ponad ciemną ścianą lasu, malec otworzył oczy, a po gorączce nie było już śladu.

- Dziękuję wam, kimkolwiek jesteście - szepnął gospodarz, spuszczać z obawą wzrok. - Musicie mi wybaczyć, ale wiele złego słyszeliśmy o ludziach, którzy znajdują się na mocach żywiołów przyrody.

- Nie trzeba się nas obawiać - odparła spokojnie matka Dafne.

- Będzie jednak lepiej, jeśli nikt nie dowie się o tym, co zaszło tej nocy w waszym domu - dorzuciła szybko Dafne. - Nie chcemy kłopotów.

- Macie na to moje słowo - przyrzekł. Miały się już z nim pożegnać i ruszyć w dalszą drogę, ale on jeszcze raz się odezwał: - O trzy mile w górę strumienia, na leśnej polanie jest opuszczona chata. Trochę zniszczona, ale da się ją zagospodarować. Jeśli nie macie dokąd pójść, mogłybyście się tam zatrzymać - zaproponował. - Za kilka dni, gdy mój syn wydobrzeje, przyjdę tam i pomogę naprawić dach.

Podziękowały mu z uśmiechem i zrobiły tak, jak radził. Wkrótce jednak okazało się, że wieść o zdolnościach matki Dafne rozeszła się po okolicy i potrzebujący zaczęli schodzić się do ich nowego domu.

Berleujście, 12 listopada roku 2087

Ofka przebywała pod strażą w swoich komnatach. Nie miała prawa poruszać się po zamku ani widywać z dziećmi. Liczbę dwórek ograniczono do trzech, a i one zresztą były narzucone przez króla, obce. Jej dziewczęta odprawiono bądź przydzielono im inne zajęcia. Księżniczkom powiedziano tylko, że matka nieco choruje i wymaga teraz wypoczynku. Żanna źle to znosiła. Łada natomiast, choć oczywiście codziennie modliła się o rychły powrót matki do zdrowia, cieszyła się, że może nadal bezkarnie pomagać ojcu w sprawach państwowych albo spędzać czas w towarzystwie Grzegorza, o co Ofka od dawna czyniła jej wyrzuty.

Zapadł wieczór, gdy dwórka królowej zaanonsowała wejście Gniewka z Horlicy z wiadomością od króla. Gwardzista nie był zadowolony z roli, jaka mu przypadła w ostatnim czasie. Cóż, rozkaz był rozkazem, a tym razem brzmiał tak, a nie inaczej i w efekcie Gniewko był jedynym łącznikiem między uwięzioną w komnatach królową Ofką, a światem zewnętrznym.

- Najjaśniejsza pani - powitał ją zwięźle i ukłonił się. - Pójdź ze mną, proszę.

Ofce serce mocniej zabiło. Czegóż tym razem mógł chcieć od niej

król Henryk? Zatliła się w niej nadzieja, że może choć na chwilę pozwolą jej zobaczyć się z dziećmi. Wstała i powoli ruszyła za rycerzem. Gdy przechodzili przez krużganki, rozglądała się po zamkowym dziedzińcu. Było tak spokojnie i cicho, a mimo to jej serce drżało. Wciąż miała przed oczyma scenę śmierci ukochanego Leonela. Gniewko wprowadził ją do izby niedaleko komnat prywatnych króla. Strażnicy otworzyli przed nią drzwi. Weszła i serce w jej piersi zamarło. W komnacie stało kilkoro ludzi, jednak ledwie ich zauważyła. Jej uwagę przykuwał mały Henryczek leżący na łożu, blady, z zamkniętymi oczyma. Powolnym krokiem podeszła i dotknęła dłonią główki dziecka. Jego czoło było zimne, tak bardzo zimne. Oderwała gwałtownie rękę, po czym spróbowała potrząsnąć chłopcem za ramiona. Jego bezwładne ciało nie zareagowało.

- Henryczku! - wyrwało się jej z gardła, choć głos, który usłyszała, był obcy, jakby nie należał do niej. - Synku! Co oni ci zrobili?!

Zaczęła szlochać. Po chwili podniosła wzrok i powiodła oczami po zebranych. Odnotowała obecność trzech królewskich medyków, archisolisa Prochora i króla Henryka. Króla, jej męża, który domyślał się wszystkiego. Groził jej i odebrał dzieci. Musiał zatem być winien tego, że jej syn, jej ukochany Henryczek leżał teraz martwy! Podeszła do męża i bez słowa wymierzyła mu policzek.

- Pani! - krzyknął Prochor. - Nie godzi się!

- Milcz, starcze! - warknęła. - To nie twoje dziecko zamordowano! Jak mogłeś to zrobić?! On był niewinny! - zwróciła się znów do Henryka, zalewając się łzami.

- Nasz syn zapadł na gorączkę i od niej umarł - odparł tylko głucho król.

- To prawda, królowo - włączył się ponownie Prochor. - Niestety, tak się czasem dzieje...

Potrząsnęła głową.

- Wszyscy jesteście przekłęci! - krzyknęła. - Bogowie was ukarzą za tę zbrodnię!

Słaniając się na nogach, wyszła z komnaty i powlokła się z powrotem w kierunku swojego więzienia. Tuż przed wejściem do jej pokoi czekał na

nią Grzegorz. Stał z podniesioną głową i wlepił w nią wzrok. Zdawało się jej, że na jego ustach zagościł na chwilę lekki uśmiech.

- Czego chcesz? - przywitała go chłodno.

- Przekazać ci wyrazy współczucia, królowo - odparł spokojnie. - Jedyne dziecko. Wszystkie twoje marzenia. Wszystkie plany...

Chciała podejść i uderzyć go, ale Gniewko chwycił ją za ramię.

- Ty to zrobiłaś, psie, prawda? - syknęła Ofka do gwardzisty. - Na jego rozkaz, mam rację?

Żaden z nich nic nie odpowiedział. Grzegorz zbliżył się do niej i znów się odezwał:

- Nie wiem, o czym mówisz, macoch. Nie jestem winien śmierci brata - zapewnił. - Choć muszę przyznać, że jego odejście przyniosło mi pewną ulgę. - Patrzyła na niego z nieskrywaną nienawiścią. - Jeśli ktoś tu jest winien, to ty sama, pani - dodał cicho. - Posłużyłaś się własnym synem. Nie wiń mnie, że zło, które chciałaś mi wyrządzić, obróciło się przeciw tobie.

Mierzyła go twardym, pełnym złości wzrokiem.

- Wygrałeś. Raduj się, póki możesz - syknęła po chwili. - Korona, którą pewnego dnia założysz, przygniecie cię. Tron, na którym zasiądziesz, spłynie krwią - ciągnęła, patrząc mu prosto w oczy. - Krew za krew. Śmierć za śmierć. Niech Antres przeklnie ciebie i wszystkich, którzy dybią na życie moich dzieci! - jej głos przerodził się w krzyk. - Niech oni wszyscy też zaznają gorzkiej straty swojego potomstwa!

Nie spuścił wzroku, na jego twarzy nadal gościł ten sam pogardliwy grymas.

- Powinnaś zacząć uczyć się na własnych błędach, pani - odezwał się po chwili chłodnym tonem. - Przykład Henryczka pokazuje, że kara za twoje słowa może spaść na tych, którzy są ci najbliżsi.

Odwrócił się i nieśpiesznie oddalił, zostawiając ją samą z jej gniewem i żalem.

Lensburg,

15 listopada roku 2087

Po powrocie do Lensburga Wilhelm mógł bez końca opowiadać o swoim pojedynku. Krzysztof krzywił się, twierdząc, iż nazywanie tych kilku starć turniejem było na wyrost, a Wilhelm wygrał tylko dlatego, że przeciwnik był już zmęczony albo dał mu fory. Młodzieniec odgrażał się więc bratu, ale w końcu doszedł do wniosku, że bicie go nie ma sensu, bo żaden z niego przeciwnik. Paplanina Wilhelma także Gotfryda doprowadzała do szału. Starszy o rok kuzyn raz po raz wypominał, że turniejowa walka to niewiele więcej niż zwykłe ćwiczenia i dla czternastoletniego rycerza żadna w tym chwała, by wygrać taką potyczkę. Przez kilka dni boczyli się o to na siebie.

W końcu jednak obaj doszli do wniosku, że mając tyle lat, ile mają, należy wreszcie zaznać prawdziwej przygody i jeśli nie od razu wyruszyć na jakąś wojnę, to chociaż wyrwać się z zamku i poznać okolicę. Tego dnia, o poranku, korzystając z tego, że książę Jerzy von Kolbie miał pilną naradę, osiodłali swoje konie i wyjechali za bramy zamku jak gdyby nigdy nic. Gdy opuścili miasto, puścili się galopem po traktcie w kierunku Wysokiej Hazeńskiej.

Konie zdążyły się już zmęczyć, a i oni poczuli lekki głód, więc zatrzymali się na popas na jakiejś polance. Zjedli z zapałem prowiant wykradziony z zamkowej kuchni, a później znów pojechali dalej, śmiejąc się i żartując. Było już dobrze po południu i mieli świadomość, że ujechali od Lensburga sporo mil. Nagle zza zagajnika wyłoniła się biegnąca postać. Była to kobieta, ubranie miała w nieładzie, a wzrok dziki. Spojrzeli po sobie, niewiele rozumiejąc. Dziewczyna wyglądała na młodą, choć z pewnością miała od nich o parę lat więcej.

- Dobrzy rycerze! - krzyknęła na ich widok. - Młodzi panowie! Ratujcie mnie! Ratujcie, zbójcy mnie ścigają! Porwali mnie i siłą chcieli zniewolić!

Spojrzeli znów jeden na drugiego. Nie potrzebowali nic mówić. Wiedzieli przecież, że żaden rycerz, a już na pewno nie taki, o którym będą kiedyś układać pieśni, nie mógł odmówić pomocy niewieście

w potrzebie. Zanim zdawali cokolwiek wyjaśnić, zza zagajnika, z którego nadbiegła owa nieszczęsna, wyłoniło się czterech mężczyzn uzbrojonych w pałki. Każdy z nich starszy, i roślejszy od Wilhelma oraz Gotfryda. Zatrzymali się kilka metrów przed nimi. Młodzieńcy zeskoczyli już z koni i dobyli mieczy, które mieli przy pasach. Dziewczyna przezornie schroniła się za końmi.

- Odejdźcie stąd, a nie uczynimy wam krzywdy! - zawołał Wilhelm, chcąc dodać sobie odwagi.

Odniosło to jednak wręcz przeciwny skutek. Jego głos, wciąż jeszcze nie do końca zmieniony, zabrzmiał w tej chwili wyjątkowo dziwnie i wywołał tylko ogromną radość napastników.

- Kurwa, synku, zejdź nam z drogi, bo nie chcemy zabijać dzieci! - zawołał jeden, gdy już przestali się śmiać.

- Zostawcie dziewczkę nam, my przynajmniej wiemy, co z nią zrobić - dodał drugi.

Ich zaczepki wywołały odwrotny skutek. Kuzyni poczuli w sobie przypływ odwagi i ruszyli na oprychów. Wilhelm uderzył jednego w ramię, zanim ten zdołał zamachnąć się pałką. Drugi jednak zdołał wyprowadzić atak i tylko szybki unik uratował chłopaka przed rozbiciem czaszki. Czuł, że znalazł się w niebezpieczeństwie. Odparował kolejne dwa uderzenia, po czym pierwszy raz w swoim życiu, zadał prawdziwy cios, dźgając zbira w brzuch. Również i Gotfryd właśnie kończył swoją walkę, wbijając miecz w gardło jednego z napastników. Trzech z nich leżało teraz na ziemi bez ducha. Czwarty jęczał z rozplataną przez Wilhelma ręką.

- Uciekaj stąd zaraz, a cię nie dobiję! - powiedział chłopak, stając nad nim w pozie zwycięzcy.

Tym razem zbój już nie śmiał się z jego głosu. Otarli potem broń z krwi, tak jak powinien uczynić po walce każdy wojownik. W końcu przyszedł też czas na podziękowanie z rąk uratowanej niewiasty. Powiedziała im, że nazywa się Gulhilda i że mieszka z ojcem, matką i trzema braćmi w młynie o kilka mil dalej. Odwieźli ją więc do domu. Z początku ojciec i bracia patrzyli na nich spode łba. Wizyty młodych

rycerzy nie wróżyły bowiem z reguły nic dobrego dla jakiegokolwiek ojca mającego młodą córkę. Gdy jednak opowiedziała im, co ją spotkało i jak dzielnie ci młodzi rycerze stawali w jej obronie, gospodarz podszedł do nich i zaprosił na skromną wieczerzę. Oprócz jedzenia dano im też dzbanek miodu, który szybko zaszumił w głowach. Zwłaszcza Wilhelmowi. Poszli więc szybko spać, śniąc o swoim pierwszym wielkim zwycięstwie.

Rano podziękowali gospodarzom za gościnę i ruszyli z powrotem w kierunku Lensburga. Gdy po południu wjeżdżali do miasta, padał drobny, siekący deszcz, a oni obaj byli zmęczeni i przemarznięci. Mimo tego czuli się wspaniale. Przez te dwa dni zdołali udowodnić sobie i całemu światu, że są już prawdziwymi rycerzami. I nawet świadomość niechybnej kary, jaka z pewnością ich spotka za samowolne opuszczenie zamku, nie psuła im nastroju.

Berleujście,

2 prośnia roku 2087

Filomen odetchnął z ulgą, opuściwszy królewskie komnaty. Henryk był zasepiony przez co rozmowa z nim nie należała do przyjemności. Cały czas mówił cichym głosem, nie pozwalając nikomu wtrącić ani słowa. Mimo wszystko solis mógł zaliczyć ten dzień do udanych. Monarcha potrzebował zaufanych ludzi do realizacji swojego planu i Filomen podsunął mu osobę młodszego brata. Prosto z narady udał się do Lucjusza, by przekazać mu dobrą wiadomość.

- Zatem jednak opuszczę dwór. - Młody gwardzista westchnął.

- Jeszcze miesiąc temu o niczym innym nie marzyłeś - przypomniał Filomen. - Raduj się, awansujesz. Król obdarzył cię łaską, mianował cię dowódcą osobistej gwardii królowej.

- W tej sytuacji raczej jej strażnikiem więziennym - poprawił go Lucjusz.

Filomen rozejrzał się wokół, upewniając, czy nikt ich nie

podśłuchuje.

- Nie nam oceniać królewskie decyzje - odezwał się znowu. - Dam ci na koniec braterską radę: nigdy nie kwestionuj rozkazów, wykonuj je z ochotą i uśmiechem, a potem wyciągaj korzyści dla siebie. Jeśli się tego nauczysz, zajdziesz równie wysoko, jak ja. - Poklepał młodszego brata po ramieniu. - A teraz przygotuj się, o świcie wyruszasz.

- Dokąd w zasadzie mamy jechać? - spytał jeszcze Lucjusz.

Filomen uśmiechnął się tajemniczo i przyłożył palec do ust.

- Król zabronił mi mówić - szepnął. - Dowiesz się jutro o świcie.

Od dnia śmierci syna Ofka przebywała w innym świecie. Prawie nie jadła, nie myślała się, nie odzywała. Nic już jej nie obchodziło. Ukochany Henryczek nie żył i nic nie mogło tego zmienić. Wszystkie plany na przyszłość, wszystkie marzenia, którymi żyła, związane były z jej synem. I wszystkie umarły wraz z nim.

Tego wieczora Henryk w końcu się u niej pojawił. Nie wstała nawet na jego powitanie. Patrzyła tylko z nienawiścią płynącą prosto z rozerwanego serca. Po chwili, która zdawała się wiecznością, odezwał się w końcu:

- Nie chcę cię na moim dworze - oznajmił pozbawionym emocji tonem. - Oddam ci do dyspozycji twierdzę w Wiśniczu - mówił, a ona wciąż patrzyła na niego beznamiętnie, jakby chcąc mu pokazać, że nic, co uczyni, nie może jej już bardziej dotknąć. - Spędzisz tam resztę swoich dni, przyrzekam, że niczego ci nie braknie. Możesz też wziąć z zamku, co zechcesz. Mam tylko jeden warunek: masz czas do wschodu słońca. Gdy Wielki Sol wyjedzie swoim ognistym rydwanem na nieboskłon, masz opuścić mój dwór. Nie chcę nigdy więcej w życiu cię oglądać. To wszystko.

Henryk odwrócił się i ruszył w stronę swoich komnat. Czowała się tak, jak może się czuć tylko ktoś, komu cały świat zwał się na głowę. Z potwornego chaosu myśli nagle jedna przebiła się do jej świadomości: miała okazję stąd uciec, wyjechać, a to oznaczało, że może istnieje szansa, by wyrwać choć dziewczynki! W komnacie pojawiły się dwórki,

by pod czujnym okiem straży spakować jej rzeczy. Odnalazła Bognę, jedną z dziewcząt, które wcześniej były jej oddane, i po cichu, tak by nie wzbudzić podejrzeń gwardzistów obserwujących ich poczynania, pomiędzy rozkazami dotyczącymi zgromadzenia najistotniejszych przedmiotów przemyciła kilka poleceń. Dziewczyna wyszła z komnat pod pozorem przyniesienia jakichś rzeczy. Pobiegła wprost do sąsiadujących z sobą sypialń dziewczynek.

- Panienko, zbudź się! - Łada usłyszała nad sobą głos swojej dwórki i przyjaciółki, Przeclawy. - Matka cię wzywa!

- Co znowu? - jęknęła zaspana księżniczka. - Przecież nawet jeszcze nie świta.

- Coś się stało na zamku, panienko - oznajmiła cicho Przeclawa. - Wzmocnili strażę. Teraz jacyś ludzie pakują rzeczy w komnatach twojej pani matki, a Bogna przybiegła z wiadomością, że i ty masz się do świtu spakować.

- Spakować? - pisnęła zaskoczona Łada. - O co tu chodzi? Przecież matka jest chora. Pogorszyło się jej po śmierci Henryczka.

- Nie wiem nic więcej, panienko.

Łada wstała, narzuciła na koszulę nocną cokolwiek, co znalazła pod ręką, i wymknęła się z pokoju. Przebiegła przez krużganki, chcąc zajrzeć do matki i dowiedzieć się więcej. Przed progiem jej izby zobaczyła Gniewka z Horlicy.

- Przepuść mnie! - nakazała mu z podniesioną głową.

- Wybacz, księżniczko, ale nie możesz tam wejść - odparł. - Rozkaz króla!

- Zatem natychmiast prowadź mnie do ojca! - odparła mu hardo.

- Wróć do siebie i czekaj, aż najjaśniejszy pan sam cię wezwie - nakazał jej Gniewko.

Łada patrzyła na niego z mieszaniną złości i zaskoczenia. Gniewko wiedział, jak królewicz Grzegorz lubi tę właśnie swoją siostrę i przez zażyłość z nim chciał również i jej jakoś pomóc w tej strasznej dla całej rodziny chwili.

- Zaklinam cię, księżniczko - powiedział łagodniejszym tonem - dla

własnego bezpieczeństwa wróć do swoich komnat i nie wpuszczaj nikogo.

- Ale moja matka kazała mi się przygotować do drogi - szepnęła zaskoczona Łada.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Nie, księżniczko, ty nigdzie nie wyjeżdżasz - wyjaśnił krótko. - Tylko królowa opuszcza zamek.

Łada nic już nie rozumiała. Gniewko nie mógł poświęcić jej więcej czasu. Wiadomość, jaką mu bowiem niechętnie przekazała, zmuszała go do podjęcia dalszych działań. Nie mógł przecież pozwolić królowej na wywiezienie córek, a ona najwyraźniej zamierzała to uczynić. Przeclawa, która przed chwilą przybiegła, objęła Ładę i odprowadziła ją do komnat.

Niebo poróżowiało już, zwiastując rychły wschód słońca, gdy królowa Ofka zeszła na dziedziniec. Szła dumnym krokiem. Zanim wsiadła do przygotowanego dla niej powozu, omiotła wzrokiem cały orszak. Jej karoca, wóz, na który załadowano dobytek i ośmiu zbrojnych do eskorty, czy może raczej straży. Tym, co naprawdę ją zaniepokoiło, był brak dzieci. Aż do tej chwili była niemal pewna, że dwórkom udało się bezpiecznie ukryć gdzieś córki.

- Pani - ponaglił ją Gniewko z Horlicy.

- Jeszcze chwilę - odparła, po czym zwróciła się po cichu do Bogny. - Gdzie księżniczki?

- Nie udało się, pani - szepnęła dziewczyna. - Ten tutaj się domyślił - wskazała na Gniewka. - I postawił strażę pod ich komnatami.

- Ty zdradziecki psie! - huknęła na niego królowa, znów tracąc nad sobą panowanie. - Jak śmiesz! Zabiłabym cię za to! - uderzyła go pięścią w okrytą kolczugą pierś. - Odbierasz mi córki, niegodziwcze!

- To rozkaz króla, najjaśniejsza pani - odpowiedział spokojnie Gniewko.

- Mam to w dupie! - wrzasnęła. - Oddajcie mi moje dzieci!

Lucjusz, dotąd stojący przy koniach, podszedł do niej.

- Królowo, proszę - szepnął łagodnym tonem. - Nie pogarszaj swojej

sytuacji.

Ofka próbowała powstrzymać łzy. Patrzyła tylko hardo na swoich oprawców. Miała już wsiąść do powozu, gdy nagle z drugiego końca dziedzińca dał się słyszeć krzyk księżniczki Żanny.

- Mamo! - piszczła dziewczynka, biegnąc przez dziedziniec. -
Poczekaj, mammo!

Nikt nie umiał później wyjaśnić Gniewkowi, jak to się stało, że dwunastoletnia księżniczka zdołała się wydostać z komnaty.

- Najjaśniejsza pani, wsiądź do powozu! - nakazał królowej Lucjusz ostrzejszym niż poprzednio tonem.

Ofka jednak nawet się nie poruszyła. Patrzyła na biegnącą córkę. Żanna już prawie dopadła do matki, gdy w pół kroku pochwycił ją Gniewko i podniósł na ręce. Dał znak Lucjuszowi. Jego ludzie siłą wprowadzili Ofkę do powozu, zamykając jego drzwiczki. Królowa wychyliła tylko głowę i krzyczała.

- Żanno, córeczko! Kocham cię! Wrócę po ciebie!

Gniewko ruszył w kierunku sieni z księżniczką Żanną na ramionach. Nie zważał na to, że okładała go piąstkami, gryzła i kopała, chcąc wyrwać się i pobiec za matką, której, jak los pokazał, miała już nigdy więcej nie zobaczyć.

PIEŚŃ III

Noc ognisk

**Okolice Sandyszowa,
północna Lirwelia,
2 trawnia roku 2089**

Zbliżał się świt i Poranica wyjechała na nieboskłon, zapowiadając rychłe pojawienie się rydwanu Wielkiego Sola. Sen w końcu zmorzył oczy kobiety, lecz zamiast odpoczynku przyniósł wizję, w której zawarte były zarówno zdarzenia przeszłe jak i przyszłość. Śniąca zobaczyła swoją córkę Dafne, która błagała księżniczkę o życie dla matki, tak jak tamtego dnia na Ostrowi Miśniowickiej. Potem zobaczyła ją biegnącą przez ciemny las. Widziała też córkę króla, która z początku uśmiechała się promiennie. Szybko jednak jej uśmiech zastąpiły łzy. Sceny z udziałem jej córki mieszały się z wizjami dotyczącymi królowny. Śniąca zrozumiała, że los w jakiś sposób splótł ich przeznaczenie.

Potem w wizji kobiety pojawił się ogień. Nigdy się go nie bała, umiała bowiem korzystać z jego mocy. Tym razem nie był to znany jej, pełen mocy ogień, który oczyszczał i przywracał siły. Płomień, który zbliżał się do niej, wydawał się złowrogi, nieubłagany. Odgrodził ją od innych ludzi, pochłaniał, pozbawiał tchu. Parzył.

- Matko! - usłyszała nad sobą głos córki.

Ocknęła się po chwili i zamrugała oczami. W izbie wciąż było szaro.

Słońce jeszcze nie wzeszło.

- Co się stało? - zapytała.

- Znow mówiałś przez sen - Dafne uśmiechnęła się ciepło.

- Co mówiłam?

- Coś o mnie i o tej księżniczce, która wtedy nam pomogła - odparła dziewczyna. - Nie zrozumiałam co.

Kobieta usiadła na łóżku i zatopiła twarz w dłoniach. Sny, w których splatały się losy Dafne i królowny, nawiedzały ją, odkąd uciekły z okolic Berleujścia. Wiedziała, że zaciągnięty dług kiedyś trzeba będzie spłacić, choć nie umiała przewidzieć jak ani kiedy.

- Dobrze się czujesz? - spytała córka, wyrrywając matkę z rozmyślań.

Kobieta nie odpowiedziała. Wstała powoli i zaczęła się krzątać po izbie.

- Przynieś wody - nakazała spokojnym głosem.

Dafne poczuła lekki zawód. Od pewnego czasu wyczuwała, że matka odsuwa ją od swoich spraw, jakby nie chciała dzielić się brzemieniem trosk, które zatruwały jej sny. Starając się nie pokazać przed nią rosnącej irytacji, chwyciła wiadro i ruszyła leśną ścieżką w kierunku rzeki.

Słońce powoli wynurzyło się ponad horyzont, rozpraszając mrok zalegający w lesie. Śpiew ptaków niósł się pomiędzy liśćmi. Poranna rosa zwilżała bose stopy dziewczyny. Wszystko to poprawiło jej humor. W duchu pozdrowiła Matkę Ziemię, dziękując za tak piękny początek dnia.

W drodze powrotnej podśpiewywała radośnie. Ucichła, gdy z oddali usłyszała jakieś krzyki. Ludzie czasem przychodzili do ich skromnego domostwa - a to po wróżbę, a to po zioła. Tym razem musiało ich być wielu. Nagłe ukłucie strachu chwyciło ją za gardło mocnym uściskiem. Ich głosy słyszała coraz wyraźniej, w miarę, jak zbliżała się do chaty. W końcu zobaczyła ich. Szli z ogniem, tak jak widziała to we śnie jej matka.

Dafne skryła się w krzakach, obserwując z pewnej odległości rozwój wydarzeń. Z przerażeniem patrzyła, jak wywlekli kobietę z chaty. Ktoś

z odwiedzających musiał ich zdradzić. Dafne od dawna przekonywała, że zbyt wielu ludzi wiedziało o ich zdolnościach. Kobieta nie stawiała oporu, mówiła coś tylko po cichu. Przewodzący im mężczyzna nie słuchał jej, a kiedy znów się odezwała, uderzył ją w twarz. Potem odwrócił się do swoich i głośno zawołał. Jego słowa dobiegły do uszu Dafne, wywołując przerażenie.

- Zabieramy tę czarownicę! Odpowie za swoje zbrodnie!

Związali matce ręce za plecami, po czym kazali iść ze sobą w kierunku miasteczka. Ich przywódca wyrwał jeszcze żagiew z ręki któregoś z towarzyszy i cisnął ją na pokryty słomą dach chaty. Splunął, nim ruszył za nimi.

Sparaliżowana strachem Dafne potrzebowała jeszcze krótkiej chwili, by dojść do siebie. Wybiegła zza krzaków i nie zważając na dym, który coraz szczelniej wypełniał wnętrze chaty, wpadła do środka. Zebrała w pośpiechu kilka najpotrzebniejszych rzeczy i krztusząc się, wybiegła na zewnątrz.

Nie odwracając się już za siebie, ruszyła śladem ludzi, którzy zabrali jej matkę.

Zamek w Berleujściu, 3 trawnia roku 2089

Król Henryk długo starał się zjednać sobie ościennych władców, by zapewnić królestwu pokój. Edgar z Alwery początkowo się wahał. Powszechnie mówiono, że na rękę mu chaos w Jonce, więc póki Henryk walczył z opozycją, Edgar dawał mu do zrozumienia, że traktuje jego obecność na tronie jako stan przejściowy. Ale w końcu Henryk stał się jedynym aktorem na scenie politycznej. Gdy Leonel Lokrydż popadł w niełaskę i stracił życie, wymieniono kolejne poselstwo z Alwerą, potem jeszcze kilka następnych. Wreszcie archisolis Marcjon zaprzysiągł w Alwerze traktat w imieniu Henryka. Wieść o tym wydarzeniu dotarła na dwór poprzedniego dnia. Dlatego król kładł się spać w świetnym

nastroju, a przemyślawszy przez noc korzyści, jakie płynęły z takiego zabezpieczenia północnej granicy, wstał w jeszcze lepszym. Zażył sobie śniadanie w swoich pokojach w towarzystwie dzieci. Dzieci, które, jak sam sobie z pewnym ukłuciem w sercu uświadamiał, były już właściwie dorosłe.

Gdy pokojowi uwijali się przy stole, do komnaty wszedł Grzegorz. Liczył sobie dwadzieścia dwie wiosny i Henryk musiał przyznać, że wyrósł na wspaniałego młodzieńca. Sprawnie radził sobie w walce, nieźle polował, a umysł miał tak bystry, iż nawet króla niekiedy zaskakiwał. Piastując godność kasztelana w Pilźnie, dał się też poznać jako dobry administrator. Gdyby jeszcze tak często nie widywano go w podejrzanych spelunach podgrodzia...

- Witaj, synu! - Henryk poklepał potomka po ramieniu i Grzegorz zrozumiał, że tym razem nie wezwano go na połajankę.

- Cóż to wprawiło naszego królewskiego rodzica w nastrój tak dobry, że aż zaprosił nas na śniadanie? - spytał od razu.

- Nic się przez tobą nie ukryje, prawda? - Król uśmiechnął się promiennie. - Marcjon wrócił z Alwery, pisze że Edgar zaprzysiągł warunki. Mamy z nimi pokój. Nareszcie!

- Gratuluję, ojczu. - Grzegorz skinął głową. - Ponad dwa lata pracy nie poszły na marne. Kiedy jego posłowie przyjadą, by zaprzysiąc traktat przed tobą?

- Niebawem, jak tuszę. - Spojrzał na syna i postanowił go sprawdzić: - A wiesz Grzegorzu, dlaczego ta sprawa była dla mnie tak ważna?

- Bo Alwera od dawna miała chrapkę na Hazenię - odparł bez chwili namysłu. - Pokój z Edgarem daje nam nadzieję, że zabezpieczyliśmy północną granicę, choć ja bym Edgarowi do końca nie ufał, to lis.

Królowi spodobała się odpowiedź Grzegorza. Korytarz tymczasem napęłnił się nagle dziewczęcym śmiechem i po chwili do królewskiej komnaty prywatnej wpadły jak wichura dwie panienki. Starsza była wyższa, miała szesnaście wiosen i od dawna uważała się za całkiem dojrzałą. Miała silny charakter, ale ojciec uwielbiał ją i - jak sam jedynie przed sobą przyznawał - pobił ją we wszystkim.

- Łado... - Uśmiechnął się czule, gdy podeszła go uściskać.

Druga była od siostry o półtora roku młodsza. Choć miała już kobiece kształty, jej twarz wciąż była jeszcze dziecinna. Była też mniej śmiała.

- Żanno... - Przywitał ją, gdy podeszła i pocałowała go w rękę. - Usiądźcie!

- Nasz ojciec zaprosił nas, bo zaprzysiągł traktat z Alwerą - poinformował je Grzegorz. - Przynajmniej w Alwerze, teraz jeszcze tylko ich posłowie muszą zrobić to samo przed naszym królem.

- Kiedy przyjadą? - spytała Łada.

- Im szybciej, tym lepiej - odparł król.

- Mam pomysł, zaprosimy ich na Letnie Przesilenie - zaproponowała.

- Zaprosz też wszystkich baronów i urządź turniej!

- Turniej? - Król się roześmiał. - Bogowie...

- Och, ot tak dawna nie było tu żadnej rozrywki - jęknęła Łada.

Henryk zauważył, że w oczach Żanny też rozbłysły ogniki.

- Przesilenie jest już za niecałe dwa księzyce - zauważył monarcha. - To wcale nie tak dużo czasu, a taki turniej to wielkie wydarzenie.

- Właśnie! - Łada przytaknęła. - Zatem wydaj rozkazy i roześlij wieści jeszcze dzisiaj, ojcze!

Król westchnął tylko i pokręcił głową. Grzegorz wiedział już, że nie zdoła jej odmówić.

Po południu król nakazał jeszcze raz wezwać starszą córkę, tym razem tylko ją. Łada pojawiła się dość szybko. Ukłoniła się zdawkowo i od razu podbiegła, by po prostu uściskać ojca.

- Posłałem wieść o turnieju i nakazałem czynić przygotowania - oznajmił jej.

- Och, ojcze! - Klasnęła w ręce. - Jakże się cieszę! Jestem ci taka wdzięczna!

Henryk pogłaskał jej włosy.

- Usiądź koło mnie na chwilę - poprosił, wskazując miejsce na leżance, na której czasami popołudniami wypoczywał. - Musimy pomówić o czymś ważnym.

Usiadła obok, czekając, aż zacznie mówić.

- Jesteś już dorosłą kobietą, córko. Księżniczką - podkreślił. - Myślisz o turniejach, zabawach, ucztach i to dobrze. Masz prawo. Pamiętaj też jednak, czego cię uczyłem. Córka króla ma swoje obowiązki.

- Och, ojciec, oczywiście! - Uśmiechnęła się. - Zrobię, co zechcesz, mogę powitać z tobą gości, mogę nadzorować dwór, tylko może nie każ mi zajmować się księgami rachunkowymi, proszę!

- Nie o to mi chodziło, córko - odparł lekko ubawiony, nabrał więcej powietrza. - Wiesz, jak trudno było mi przekonać Edgara do tego traktatu, prawda? - spróbował podjąć temat od innej strony. - Nie ufa mi. Zażądał, abyśmy zwiążali swoje słowo dodatkowym przyrzeczeniem.

- Dodatkowym? - przyjrzała mu się uważnie.

- Mażeńskim...

- Edgar chce ożenić cię z jakąś swoją krewną?

- Edgar chce ożenić swego syna - poprawił ją - z tobą.

Łada wyszarpnęła rękę z dłoni ojca.

- Ze mną?! - pisnęła.

- I gdy jego posłowie tu przybędą, ja się na to zgodzę.

Wstała gwałtownie.

- Nie! - krzyknęła. - Nigdy! Nie wyjdę za niego!

- Wyjdiesz za jego syna, jest dwa lata starszy od ciebie, to dobry związek - zapewniał.

- Nigdy! Przysięgam! Nigdy za niego nie wyjdę!

- Córko, posłuchaj proszę...

- Nigdy! Ucieknę! Rzucę się z okna! Wstąpię do solaru! Ale za Alwerczyka nie wyjdę!

Wybiegła z izby, jakby wilk ją ścigał. Henryk pokiwał tylko głową, postanowił dać córce nieco czasu.

Jonka,

4 trawnia roku 2089

Archisolis Marcjon liczył już blisko osiemdziesiąt lat i choć umysł wciąż

miał ostry jak brzytwa, jego ciało powoli odmawiało posłuszeństwa. Podróż morską z Jonki do Alwery i z powrotem nadwyczerpała siły kapłana. Siedział właśnie na tarasie pałacu archisolisów Jonki, z którego rozciągał się widok na Nowy Port położony u stóp Wzgórza Natreusza, najdawniej zamieszkanego z dziewięciu wzgórz stolicy. Krzyki mew wybijały się ponad inne odgłosy miejskiego zgiełku dochodzące z portu. W nozdrza wcinał się zapach morza zmieszany z wonią ryb, tworząc w ciepłym wiosennym powietrzu dość ostrą mieszankę. Mimo że było naprawdę ciepło, sędziwy kapłan siedział w fotelu nakryty lekkim kocem. Gładził właśnie swoją długą siwą brodę i uważnie przyglądał się szachownicy z rozstawionymi nań figurami. Najwyraźniej planował kolejny ruch.

- Grasz sam ze sobą, czcigodny ojcze? - usłyszał nad sobą znajomy głos.

- Och, Jakubie, nie słyszałem, że cię wprowadzono. - Archisolis uśmiechnął się i podał bogato ubranemu mężczyźnie w średnim wieku dłoń do ucałowania.

Niewielu ludzi poza Marcjonem mogło bezkarnie zwrócić się po imieniu do Jakuba Jacobsona, hrabiego Bytowa, pana na Miastku, Rozgardzie, Leopolu i kasztelana tyczyńskiego, który wśród najprzedniejszych synów Starej Jonki wiódł prym.

- Wybacz, że zakłócam twój odpoczynek, ojcze - odezwał się hrabia, siadając na krześle, które podał mu wijący się w ukłonach służący.

- Zawsze rad jestem cię gościć, Jakubie. Przez wzgląd na moją matkę, która była siostrą twojej babki, twój ród jest mi zawsze bardzo drogi. Nigdy się go nie wyrzekłem, nawet gdy wszedłem na drogę wskazaną przez Dwunastu. No ale dość uprzejmości, mów, co cię do mnie sprowadza.

- Czyż to nie oczywiste? - Jakub uśmiechnął się. - Przyszedłem spytać, jak udało ci się przekonać Edgara do zawarcia przymierza z naszym Henrykiem?

- Musiałem wyjść nieco ponad królewskie pełnomocnictwa i poczynić dalsze ustępstwa, ale i tak niewiele nas to będzie kosztowało.

- Jakież to ustępstwa? - dopytywał Jakub.

- Henryk musi zrezygnować z pretensji do zwierzchnictwa nad Ewingią. Zresztą i tak ich nie rości, bo nawet księżęta Hazenii nie wymieniają jej już w swoim tytule - odparł. - Oprócz tego Edgar zażądał dla swojego syna małżeństwa z córką Henryka.

- To ciekawe - zauważył Jacobson. - Zgodziłeś się na ten warunek?

- Tak, wielce liczę, że Henryk okaże rozwagę i potwierdzi złożoną przeze mnie obietnicę. - Marcjon skinął głową.

- Hm... Cóż, pewnie i potwierdzi, ale czy do małżeństwa dojdzie, to inna kwestia - powiedział Jacobson z szyderczym uśmiechem.

- Czemu tak sądzisz?

- Henryk bardzo folgował swojej córce. Wierzył w te głupie przepowiednie, które usłyszał przy jej narodzinach, i w efekcie hrabianka wyrosła na rozkapryszoną panienkę.

- Księżniczka, Jakubie, księżniczka - poprawił go archisolis. - Chcesz tego czy nie, Henryk to twój król.

- Jak zwał, tak zwał - mruknął tylko Jakub. - Istotne jest to, że Henryk poczuł się na tronie na tyle pewnie, że teraz zamarzyło mu się wydać córki na zagranicznych dworach. Rozstawia swoje dzieci, jak ty figury w tej swojej dziwnej zamorskiej grze. - Wskazał na szachownicę rozłożoną na stoliku.

- Dlaczego dziwnej, Jakubie? - Archisolis uśmiechnął się. - To bardzo pouczająca gra. Jeśli znajdziesz kiedyś dla mnie czas, chętnie ci zaprezentuję.

Trant,

10 trawnia roku 2089

Miasto Trant położone było na morskim cyplu z trzech stron oblany wodami Morza Słonecznego. Sama osada i port rozłożyły się na południowym krańcu cypla, pod wysoką białą skałą. Na szczyt wiodła tylko jedna droga dochodząca do bram potężnej twierdzy. Twierdzą, miastem i okolicznymi ziemiami sięgającymi od Malwina na północy aż

po Rebruk na południu, władała od trzech stuleci dumna rodzina del Pescare. Choć inne rody o dłuższej historii wypominały jej członkom pochodzenie od prostych rybaków, to del Pescare mogli się poszczycić największą flotą wojenną w całym królestwie i prowadzeniem najbardziej lukratywnych interesów w handlu zamorskim. Wartość obrotu przewyższała nawet transakcje dokonywane w porcie stołecznej Jonki.

- Przyszły wieści? - spytał książę, wchodząc do kancelarii, gdzie przy pulpicie notował coś archisolis Porcjusz.

Książę Laurenty del Pescare postarzał się nieco. Dobiegał ledwie pięćdziesiątki, ale dokuczająca mu już podagra i w czasie częstych w tej okolicy gwałtownych zmian pogody z trudnością chodził.

- Nawet dwie - uśmiechnął się Porcjusz. - Jedna ważniejsza od drugiej, mości książę.

- Bogowie! - Laurenty splótł ręce i spojrzał w górę, po czym się uśmiechnął. - Nie trzymaj mnie zatem w niepewności!

- Po pierwsze baron Kollinowski zgadza się na twoją propozycję w sprawie małżeństwa waszych dzieci - oznajmił.

- Nareszcie! - Laurenty klasnął w ręce.

- Hrabianka Iwetta przybędzie do nas najpóźniej jesienią - ciągnął archisolis. - Po drugie mamy wieści z dworu.

- O, Henryk sobie o mnie przypomniał! - Książę pokiwał głową.

- Organizuje wielki turniej i zaprasza cię, panie.

- Bogowie... - jęknął znów książę. - Ani podróż do Berleujścia, ani tym bardziej turnieje nie są już na moje zdrowie. Co też temu Henrykowi przychodzi do głowy?

- Król zapewne cieszy się, że zawarł w końcu przymierze z Edgarem z Alwery.

- A zawarł je? - zapytał del Pescare ze zdziwieniem. - Tego mi nie mówiłeś, lisie.

- Dwa dni temu dotarły wieści z Jonki: archisolis Marcjon wrócił z dobrymi informacjami - streścił Porcjusz.

- No cóż, niech i tak będzie! - Książę rozłożył ręce. - Zatem czas nam jechać na dwór. Filip zapewne się ucieszy, może powiedzie mu się

w turnieju, a i ja z przyjemnością spotkam się z Henrykiem. Kiedyś był mi druhem, gdyby nie ja, nie zasiadałby dzisiaj na jonkijskim tronie.

Porcjusz pokiwał głową.

- Myślę jednak, że tego nie powinienesz mu, mości księżę, zbyt często przypominać - poradził, a Laurenty roześmiał się głośno.

Lensburg,

11 trawnia roku 2089

Nad miastem rozłożonym na szerokiej równinie w zakolu rzeki Lainy górował potężny kasztel z szarego kamienia. Rozrośnięty w wielu bocznych gałęziach ród von Kolbiech władał ziemiami hazeńskimi od dwóch stuleci. Raz nawet, za Baldwina Szlachetnego, udało mu się przejąć pieczę nad całością Hazenii i od tego czasu przyjął się tytuł „księcia Obojga Hazenii”, to jest Hazenii Górnej i Dolnej. Głową rodu i panem lensburskiego zamku był nadal Jerzy von Kolbie. Odrobinę tylko młodszy od króla, średniego wzrostu i potężnej postury, o krótko przystrzyżonych czarnych włosach, lekko przyprószonej już siwizną. Stał właśnie na krużgankach swego zamku w towarzystwie o dwa lata młodszego brata, Cecyla. Obserwowali zmagania na miecze między synem Jerzego, Wilhelmem, a synem Cecyla, Gotfrydem. Kuzyni walczyli nie na żarty. Gotfryd, choć o rok starszy i nieco wyższy, z trudem parował ciosy krewniaka, który radził sobie, jak na swój wiek, wyjątkowo dobrze.

- Słyszałeś już wiadomości z dworu? - zagadnął brata Jerzy.

- Archisolis Wilfried pokazał mi, jak tylko przyjechałem - mruknął Cecyl. - Powiem ci prawdę, bracie: bardziej spodziewałem się śniegu na Letnie Przesilenie niżli tego, że Henryk uładzi Edgara.

- Przyznasz, że to dla nas dobrze? Przystaniemy w końcu czuć na plecach oddech Alwery.

- Czasem mam wątpliwości, czy aby nie bliżej nam do nich, niż do Lirwelijczyka.

- Daj już temu pokój - ofuknął go Jerzy.

- Tak, pamiętam, bracie, że to twój druh. Tak bardzo się z nim drużyłeś, że aż pomogłeś mu zasiąść na tronie Jonki. Do dziś co prawda nie do końca wiem po co, ale mam choć nadzieję, że i on o tym pamięta.

Kolejny celny cios Wilhelma zdołał przebić się przez gardę Gotfryda, który jeszcze na dodatek lekko się potknął i w efekcie klapnął na ziemię. Obaj stojący na krużgankach ojcowie zanieśli się śmiechem. Wilhelm podał kuzynowi rękę, by pomóc mu wstać. Po chwili odłożyli miecze i żartując po cichu, ruszyli w kierunku schodów.

- Pomogłem Lirwelijczykowi zasiąść na tronie Jonki, bo sądziłem, że zajmą go sprawy południa o wiele bardziej niż Hazenia i zyskamy dzięki temu więcej swobody niż za Roberta Prawego - kontynuował Jerzy, wracając do przerwanej rozmowy. - I nie pomyliłem się! Dziesięć lat Henryk wojował w Sławinii i mieliśmy tutaj spokój, mogąc robić swoje bez królewskiego nadzoru.

- Ale wrócił, rozprawił się z opozycją. Nawet z Lokrydżem - przypomniał Cecyl.

- Zostawmy to! - Jerzy machnął ręką zmęczony rozmową z bratem, z którym rzadko zgadzał się w sprawach księstwa. - Musimy przygotować się do wyjazdu.

- Jedziesz do... - miał już powiedzieć „do stolicy”, ale przypomniał sobie, że król od lat nie rezydował w stołecznej Jonce - na dwór?

- Henryk zarządził turniej - oznajmił Jerzy. - Niepolitycznie byłoby się tam nie pojawić.

- Turniej?! - podchwycili jednocześnie obaj młodzieńcy, którzy zdążyli już wyjść na krużganki.

- Musisz mnie zabrać, ojcze! - jęknął Wilhelm. - Muszę tam pojechać!

- Nie ma mowy, synu. - Jerzy pokręcił głową. - Szesnaście wiosen to zbyt mało, abys stawał w szranki.

- Ależ ojcze! - oburzył się Wilhelm, który miał się już za dorosłego i nie znosił, gdy ojciec wciąż traktował go jak dzieciaka. - Widziałeś, jak sobie radzę? Nie zawiodę cię, przyrzekam!

- Chłopak powinien nabrać ogłady - szepnął Cecyl do Jerzego. - Na zbyt wiele pozwalasz synowi, bracie.

- Dobrze, Wilhelmie, pojedziesz z nami - zgodził się Jerzy, chyba bardziej po to, aby dopiec Cecylowi. Zdecydowanie nie lubił pouczeń młodszego brata. - Poznasz dwór i zobaczysz króla. Może uda mi się pomówić z nim o twojej przyszłości.

Wilhelm uradował się i skłonił przed ojcem. Szturchnął stojącego obok Gotfryda, który objął go przyjaźnie ramieniem. Obaj młodzieńcy odeszli. Jerzy spostrzegł, że Cecyl patrzy na niego z dezaprobatą.

- Chciałeś rzec mi coś jeszcze, bracie? - spytał.

Wiśnicz,

18 czerwca roku 2089

Kasztel w Wiśniczu najlepsze czasy miał już za sobą. Niegdyś należał do dumnego i potężnego rodu Wiśnickich. Potem, wraz z ręką Augusty, starszej córki ostatniego męskiego przedstawiciela rodu, trafił w ręce Lokrydźów. W końcu po upadku dostojnego kanclerza Leonela, przypadł koronie.

Okrutnym żartem ze strony króla Henryka wydawało się to, że swoją wiarołomną żonę osadził w zamku, który skonfiskował wraz z całym majątkiem jej kochanka. Ponad półtora roku minęło, odkąd Ofka została wygnana z dworu. Szeptano tu i ówdzie, że żona Henryka postradała rozum po tym, jak zmarł nagle jej ukochany synek. Niewiele osób znało prawdę. Ci zaś, którzy wszystko wiedzieli, jak na przykład Lucjusz, na tyle cenili sobie swoją pozycję na dworze króla, że nie wazyli się mówić o skandalu związanym z ujawnieniem jej romansu z wszechwładnym kanclerzem Lokrydżem.

W jednym król Henryk dotrzymał słowa: Ofce niczego nie brakowało. Początkowo wydawało się jej, że wszystkie te klejnoty i suknie, które wraz z nią przybyły do Wiśnicza, nie będą potrzebne. Wkrótce, z braku lepszych zajęć, stały się jedyną pociechą i troską. Nie było już bowiem

w jej sercu ani miłości, ani nadziei, ani zwykłej dobroci. Straciła nawet wiarę, bo czy można było wierzyć w bogów, którzy pozwolili zamordować jej niewinne dziecko?

Z biegiem dni spędzanych w samotności ta trzydziestoczteroletnia kobieta zaczęła przeobrażać się w kapryśną, przedwcześnie postarzałą damę. Wymagania wobec kilkunastoosobowej zaledwie służby rosły z miesiąca na miesiąc. Wyszukane potrawy, kosztowne stroje, wystawna biżuteria stały się codziennością. Godzinami potrafiła przymierzać suknie albo przeglądać zawartość szkatuł z kosztownościami.

Henryk nie szczędził monet na jej utrzymanie, szastała więc na lewo i prawo. Potrafiła obdarować całą sakiewką złota służącego, który podał jej wieczerzę. A gdy złoto się kończyło, tygodniami nie płaciła służbie. Gdy było naprawdę źle, posyłała na dwór Lucjusza, by wyjednał kolejną zapomogę. Traktowała go inaczej niż swoją służbę. Przeważnie zachowywała się wobec niego opryskliwie albo drwiąco. Przypuszczał, że wiedziała o comiesięcznych relacjach, które pisał do swojego starszego brata, przekazując tym samym na dwór informacje o wszystkich jej poczynaniach. Tylko w jednej sytuacji bywała dla niego miła. Kiedy wracał z dworu, a ona chciała dowiedzieć się czegoś o losie swoich córek. Później wyładowywała na nim swój gniew za to, że odmawiał jej tych informacji, tak samo jak wówczas, gdy nie zgadzał się na przesyłanie tajnych listów.

Tym razem nawet nie przyjęła go osobiście. Wysłała do niego Bognę, swoją najbardziej zaufaną dwórkę.

- Królowa życzy sobie, abyś jak najszybciej wyruszył na dwór - oznajmiła dziewczyna.

- Niestety nie mogę tego uczynić - odparł, nie dając jej nawet dokończyć. - Mam wyraźne pisemne rozkazy od króla. Przyjmuje zagranicznych gości i nie życzy sobie, by zawracano mu teraz głowę - streścił jej wiadomość, którą kilka dni wcześniej otrzymał od Filomena wraz z kolejną skrzynią złota przesłaną przez władcę.

- Miłościwa pani nie przyjmie łatwo odmowy - zauważyła spokojnie Bogna. - Jest zdeterminowana, by wysłać cię do jego wysokości...

- A jakąż to prośbę do najjaśniejszego pana ma tym razem nasza miłościwa królowa, hm? - Utkwił w niej znudzone spojrzenie.

- A jak ci się wydaje, panie dowódco? - Bogna uśmiechnęła się znacząco. - Nawet taki głupiec, jak ty powinien się domyślić. Po co z reguły królowa Ofka posyła kogoś na dwór?

Lucjusz zmarszczył czoło, po czym westchnął przeciągle.

- Nie mówisz chyba poważnie, dziewczyno! - fuknął. - Chcesz powiedzieć, że miłościwa pani wydała już całą sumę?

- Caluską... - Bogna skinęła kształtną główką.

- Trzy tysiące złotych monet?!

- W cztery dni - potwierdziła Bogna.

- Psia mać! - warknął Lucjusz.

Po chwili opanował się, zdając sobie sprawę, iż nie wypada przeklinać w obecności damy. Bogna nie wyglądała na oburzoną. Patrzyła na niego z lekkim ubawieniem na twarzy.

- To co? Rozumiem, że mam przekazać jej miłości, że przygotowujesz się do wyjazdu i za kilka dni wrócisz z dobrymi wieściami? - spytała po chwili, nie przestając się uśmiechać.

Zamek w Berleujściu, 19 czerwca roku 2089

Od lat Berleujście nie widziało takiej fety. Barwny korowód przy dźwięku piszczałek i bębnów posuwał się powoli naprzód głównym traktem od rzeki w kierunku zamku. Z niewielkiej komnaty u szczytu stołpu widok był najlepszy. Dzieci króla wybrały to miejsce, aby obserwować przemarsz orszaków zdążających na zamek.

- Przesuń się! - Grzegorz warknął na młodszą z siostr i odepchnął ją od wykusa okiennego. - Teraz moja kolej!

Żanna zwiesiła nos na kwintę i gotowa była wybuchnąć płaczem. Łada nie dawała za wygraną. Chwyciła oparty o ścianę ćwiczebny drewniany miecz i dźgnęła brata w pośladek.

- Aaaaa! - krzyknął. - Nie możesz tak robić! Nikt nie może tak traktować następcy tronu!

- A następca tronu powinien zachowywać się po rycersku! - odparła.

Szelmowski uśmiech, który pojawił się na twarzy dziewczyny, sprawił, że młodzieniec też się roześmiał, po czym skłonił dwornie przed siostrami, zapraszając do okna.

- Spójrz, widzisz sztandar z krukiem trzymającym pierścień w dziobie? - Grzegorz wskazał palcem na orszak, który mijał właśnie kramy garncarzy. - To baron Tarnawy, najwięcej zyskał na tym, że jako pierwszy w Sławinii poparł naszego ojca.

- I popadł w taką pychę, że teraz kroczy przed książętami - mruknęła Łada.

- Och, patrzcie, za nimi sztandary księcia Trantu! - pisnęła Żanna.

W istocie kolejny poczet poprzedzał chorąży dzierżący błękitną chorągiew z okrętem kołyszącym się na falach, co podkreślało morski charakter lenna.

- Syn księcia, Filip, jest taki przystojny! - Łada klasnęła w rękę.

- I rycerski! - zawtórowała jej Żanna. - Nie to, co niektórzy! - Puściła oko do starszego brata.

- W jutrzejszym turnieju mnie nie pokona. Przysięgam na Tarrisa, że zwalę go z konia.

Obie siostry roześmiały się.

- A to kto? - spytała po chwili Żanna, wskazując na następną chorągiew, czarną z trzema złotymi lampartami.

- Jerzy von Kolbie - odparł Grzegorz. - Książę Hazenii Dolnej i, jak sam twierdzi, Górnej, choć tej drugiej, w przeciwieństwie do swego dziada, do końca nie ujarzmił. No, no! - Młody książę cmoknął. - Z licznym dworem przybył. Jakby panował co najmniej nad trzema księstwami.

- Czemu go nie lubisz? - Łada trafnie odczytała drwinę w ustach brata. - To przyjaciel ojca.

- Kolbie to wielka rodzina, ciągle między sobą walczą, dzięki czemu w Hazenii wciąż mamy zamieszanie - odparł. - A na tym korzysta tylko

Alwera.

Łada chciała coś odpowiedzieć, ale jej uwagę przykuł młodzieniec jadący tuż za koniem hazeńskiego księcia.

- Poznajesz go? - spytała brata.

- Pewnie któryś z synów albo bratanków Jerzego - wzruszył tylko ramionami. - Już ci mówiłem, von Kolbiech jest jak wróbli, gdzie kamieniem rzucisz, tam jakiegoś trafisz. Chodźcie na dół, za chwilę ojciec powita baronów w wielkiej sali.

Żanna od razu ruszyła za bratem. Łada jeszcze przez moment obserwowała orszak von Kolbiech, który właśnie zbliżał się do bramy zamku. Młodzieniec jadący za księciem spojrzał nagle w górę, prosto w wykusz, w którym stała Łada. Zrobiła krok do tyłu i lekko zawstydzona uśmiechnęła się pod nosem, po czym ruszyła za rodzeństwem.

- Witam was, dostojni panowie! - W wielkiej sali zabrzmiał gromki głos Henryka. - Witam was chlebem i winem, jak każe tradycja. - Skinął na sługi i natychmiast do sali weszło dwunastu podczaszych, z których każdy niósł na srebrnej tacy puchar z winem i pajdę świeżego chleba. - Rad jestem, że przybyliście dziś, by wraz ze mną powitać poselstwo króla Edgara - mówił dalej władca, podczas gdy baronowie przyjmowali symboliczny poczęstunek. - Dziś o zachodzie słońca będziemy ucztowali na cześć gości z Alwery. Jutro o poranku odbędą się rozmowy. Następnie zaś turniej.

Henryk wstał z tronu i zszedł z podwyższenia, by powitać swych najbardziej zaprzyjaźnionych baronów. Jako pierwszego uścisnął serdecznie Jerzego von Kolbie.

- Wasza królewska wysokość! - Książę Jerzy ucałował pierścień króla, po czym padł mu w objęcia. - Radość to wielka widzieć cię, panie, w zdrowiu!

- I moje serce się raduje, widząc tak dobrego przyjaciela - odparł Henryk. - Podejdź do mnie podczas uczy, tyle mam ci do opowiedzenia, druhu.

Jerzy skłonił się przed królem, który witał już kolejnego spośród

możnych. Sam nie mógł się doczekać chwili, gdy będzie mógł wymienić ze starym przyjacielem więcej niż jedno kurtuazyjne zdanie. Gdy więc uczta rozpoczęła się na dobre i gdy wszyscy wychylili już po dzbanie wina, Kolbie wstał ze swego miejsca i kłaniając się, zbliżył do stołu u szczytu wielkiej sali, gdzie na podwyższeniu zasiadał król z rodziną.

- Jeśli to właściwa chwila, pozwól, panie, że przedstawię ci mego syna. Podejdź tu, Wilhelmie, szybko. - Wskazał na młodzieńca, którego wcześniej dzieci króla obserwowały jadącego w orszaku u boku ojca.

Wilhelm skłonił przed królem głowę, uderzając prawą dłoń w pierś, a gdy Henryk podał mu dłoń, ucałował jego królewski pierścień.

- Bogowie! - Król roześmiał się. - Ależ ci wyrósł wspaniale, drogi Jerzy! Pamiętam cię, synu, gdyś był dziecięciem. Kładłem na tobie rękę, gdy archisolis Lensborka nadawał ci imię. Ileż to lat, Jerzy?

- Przed miesiącem minęło szesnaście, mój królu - odparł.

- Szesnaście, racja. Wszak Wilhelm rodził się w tym samym roku, co i moja Łada - przypomniał sobie, wskazując na córkę, która siedziała po prawej od niego, zaraz za Grzegorzem. Księżniczka spłonęła rumieńcem.

- Tak, szesnaście wiosen. - Jerzy westchnął. - I dlatego ten nicpoń uparł się, by przybyć wraz ze mną. Wyobraź sobie, mój panie, zamarzyło mu się stanąć w turnieju.

- Za waszym pozwoleniem ojczy, i waszym, najjaśniejszy panie - przerwał im chłopak. - Ja wygram ten turniej!

Król i księżę von Kolbie jednocześnie wybuchli gromkim śmiechem.

- Wątpię - wtrącił Grzegorz, który dotąd bawił się pucharem wina. - Ja też stoję w szranki. Chyba nie spodziewasz się mnie pokonać?

- Wybacz mi, dostojny królewiczu. - Wilhelm złożył przed następcą tronu nienaganny ukłon. - Jeśli Tarris pozwoli nam spotkać się w walce, zmuszony będę cię pokonać.

- Zanim się obejrzyysz, zrzucę cię z konia! - zaperzył się Grzegorz.

- Jak dzieci, słowo daję - roześmiała się Łada.

- Dzieci?! - prychnął Grzegorz. - Mów za siebie, siostrze. I za niego. - Utkwił palec w Wilhelmie. - On ma szesnaście wiosen, jak ty. Ja dwadzieścia dwie. Potykałem się już w turniejach i nigdy nie spadłem

z konia – przechwalał się. – Zobaczysz, że tym razem będzie tak samo!

- Nie zobaczę – mruknęła zniesmaczona.

- Nie będziesz oglądać turnieju, pani? – zdziwił się Wilhelm.

- Nie lubię walk kogutów. Zwyczajnie mierzą mnie konni głupcy tłukący się drągami – odparła z uśmiechem. Wstała z miejsca i pogładziła włosy starszego brata. – Najwyższy czas na tańce, nie sądzisz, Grzeszku? – zawołała głośno. – Minstrele, zagrajcie coś skoczniego!

Kilka innych młodych dam ruszyło za nią. Grzegorz i Wilhelm stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem.

- Musisz wybaczyć mojej córce, Jerzy – odezwał się król. – Łada jest dość swawolna. Solisowie chyba mieli rację, gdy radzili, by czasem dać jej lekcję różgą.

Następnego poranka, gdy tylko złożono przysięgi, opieczętowano pergaminy i wymieniono tradycyjne podarki, Henryk zaprosił dostojnych posłów króla Edgara na turniej. Nie zorganizowano go na dziedzińcu zamku, zbyt wielu było chętnych, by go obejrzeć. Wszystkie orszaki udały się więc na pole turniejowe zlokalizowane za murami miasta, przy trakcie wiodącym do wsi zwanej Piotrowicami. Pomniejsi rycerze potykali się już od rana, walcząc o mniej cenne nagrody. Trybuny przygotowane dla zwykłych śmiertelników pękały w szwach. Trefnisie i kuglarze zabawiali widzów. Sprzedawcy piwa, miodu i przekąsek zacierali ręce. Tu i ówdzie kręciły się także i drobne złodziejzki, korzystając z chwili nieuwagi gapiów.

Dopiero z przybyciem króla i dostojnych gości wszystko miało zacząć się na dobre. Monarcha zasiadł na trybunie honorowej w otoczeniu starszych baronów, którym nie wypadało osobiście startować w potyczkach i zostawiali ten przywilej młodszym członkom rodów.

- Gdzie twoja siostra? – spytał Henryk młodszą córkę, gdy już wszyscy zajęli miejsca. Wtedy bowiem dopiero odnotował nieobecność Łady.

- Nie wiem, ojcze, może zrobiła, jak się odgrażała na uczie, i nie przyjechała oglądać turnieju? – odparła Żanna.

- Dość tych fochów - jęknął król. Przywołał stojącego na straży Gniewka: - Rusz, co koń wyskoczy na zamek i sprowadź tu moją drugą córkę! Pozwalam ci nawet użyć siły.

Gniewko skłonił się przed władcą i pobiegł, by wykonać jego polecenie. Tymczasem w szrankach stanęli naprzeciw siebie Filip del Pescare, syn księcia Trantu i Franz von Baldstein z orszaku hazeńskiego. Na znak króla ruszyli przed siebie. Filip z impetem uderzył przeciwnika w pierś i choć ten się zachwiał, nie spadł z konia. Publiczność nagrodziła scenę głośnymi okrzykami i wreszcie brawami. Potyczkę wygrał oczywiście Filip, jednakowoż młody Baldstein, jako że utrzymał się w siodle, mógł stanąć do kolejnych walk.

Zaraz po nich zapowiedziano Pawła z Powiłańców, jednego z pomniejszych lordów lirwelijskich, i Wilhelma von Kolbie. Wilhelm siedział wyprostowany na koniu, jego pięknie kuta kosztowna, turniejowa zbroja odbijała promienie słońca. Był spięty, wszak to jego pierwsza walka przed tak dostojną publicznością. Wiedział, że jeśli od razu spadnie z konia, przyniesie hańbę swemu rodowi. Było jednak coś, czego bał się bardziej niż utraty czci: księżniczka z pewnością znów by z niego drwiła. Powiódł wzrokiem po honorowej trybunie i z ulgą, choć i z pewnym rozczarowaniem, odnotował, że jej miejsce było puste. Król tymczasem znów wznosił rękę, dając znak. Trębacz zagrał i rycerze ruszyli pędem przed siebie. Uderzenie było bardzo silne. Kopia zwycięzcy dosłownie wysadziła przeciwnika z siodła. Biedny śmiałek przeleciał kilka metrów w powietrzu, zanim uderzył plecami o turniejowy piach. Publiczność jęknęła z przestachu o los przegranego, jak i z podziwu dla zwycięzcy. Ten tymczasem uspokoił konia, rzucił okiem na honorową trybunę i nie bacząc, iż nawet król go oklaskuje, zjechał z pola walki.

- Wilhelmie! - usłyszał, gdy tylko zeskoczył z konia. - Ależ to był cios, kuzynie! - Gotfryd von Kolbie podbiegł do niego z gratulacjami. - Nie spodziewałem się, że wygrasz pierwszą walkę w takim stylu. Biedny Lirwelijszyk, ponoć muszą posłać po medyka!

- Odchrzań się! - burknął wściekły Wilhelm, rzucając hełm giermkowi.

- O co się dąsasz? - zdziwił się Gotfryd. - Wygrałeś walkę! I to jak! Słyszysz, jak wiwatują na twoją cześć?!

- Niech sobie wiwatują - warknął. - Jej tam nie było. Naprawdę nie przyjechała na pole turniejowe, jak mogła?! To... to... - zabrakło mu słów.

- Kuzynie - odezwał się Gotfryd - wszak to królewna, czego się spodziewałeś? Gdybyś był królem Werocji albo chociaż księciem Tirdżji, może by na ciebie spojrziała...

- Jestem synem księcia Obojga Hazenii, pana na Lensburgu! - prychnął rozsierdzony.

- Wiem, ale obawiam się, że to nie wystarczy dla córki króla. - Syn Cecyla spuścił wzrok. - Chodź, pomożesz mi dosiąść konia, jeszcze jedna walka i potem moja kolej.

Wilhelm ze spuszczoną głową ruszył za kuzynem w kierunku stajni.

- A wiesz co, jak już wygrasz ten turniej, to pójdziemy do miasta, do karczmy. Upijemy się i może weźmiemy jakieś dziewczki? - zaproponował po chwili Gotfryd, chcąc pocieszyć młodszego kuzyna.

Gotfryd również wygrał swoją walkę. W kolejnej nie poszło mu już tak dobrze, ale nie dał się zrzucić z konia. Świetnie radził sobie także Wilhelm, który pokonał jeszcze trzech śmiałków i także utrzymał się w siodle. Słońce już niemal zachodziło i postanowiono wyłonić zwycięzcę. Podliczono punkty uzyskiwane za każdy cios i wtedy okazało się, że młody von Kolbie oraz następca tronu uzyskali taki sam wynik. Mistrz ceremonii szeptał przez chwilę z królem Henrykiem i zarządził:

- Jako że dostojny królewicz Grzegorz i dostojny panicz Wilhelm von Kolbie mają równą ilość trafień, uznajemy, że rozstrzygnąć, który z nich dziś zwyciężył, nie sposób. - Tłum jęknął z wyraźnym zawodem, a obaj rywale spojrzeli na siebie groźnie. - Dlatego też najjaśniejszy pan Henryk nakazuje, aby śmiałkowie stanęli ze sobą w szranki, który zwycięży tę potyczkę, ten wygra turniej! Niech bogowie mają ich w opiece!

Tłum oszalał z radości i ekscytacji.

Po kilku chwilach Grzegorz i Wilhelm stali naprzeciw siebie w polu

turniejowym. Słońce chowało się już za horyzont i nad polem powoli zaczynało zmierzchać. Wilhelm, zanim opuścił przyłbicę, spojrzął w kierunku honorowej trybuny. Tym razem księżniczka Łada siedziała na swoim miejscu z nastroszoną miną. Odnotowała chyba jego spojrzenie, bo ostentacyjnie odwróciła głowę w drugą stronę. Król podniósł rękę, trębacz dał znać. Ruszyli. Wilhelm spiął konia, poganiając go do przodu tak, jak już to robił kilka razy wcześniej. Tym razem serce waliło mu jak młotem. „Czy ona patrzy?” – przemknęło mu przez głowę. „Skup się!”, napomniął siebie natychmiast.

Zbliżał się już do przeciwnika, ale wciąż jedna myśl nie dawała mu spokoju: czy księżniczka na pewno patrzy. Machinalnie odwrócił na chwilę wzrok w stronę trybuny honorowej, ale zanim cokolwiek zobaczył, poczuł potężne uderzenie. Z trudem zmienił środek ciężkości w siodle, by z niego nie spaść. W lewym barku pulsował ostry ból. Próbował opanować konia, ale czuł, jak się zsuwa. Sam nie wiedział, jak udało mu się dojechać do końca pola. Giermek i stajenny podbiegli do niego, zaraz za nimi dopadł ich także Gotfryd. Pomogli mu zsunąć się na ziemię.

Kuzyn złapał go za ramię, co Wilhelm skwitował tylko okrzykiem bólu. Zanim zdjęli mu napierśnik i uwolnili obolały bark, zdołał obrócić głowę i spojrzeć w kierunku trybun, które wiwatowały na cześć zwycięskiego następcy tronu. Wszyscy wznosili radosne okrzyki. Absolutnie wszyscy. Z jednym wyjątkiem. Księżniczka Łada stała uczepiona beli drewna podtrzymującej konstrukcję trybuny honorowej i z malującym się na twarzy niepokojem wpatrywała w niego. Westchnął i uśmiechnął się szeroko.

- Baran z ciebie, kuzynie - jęknął Gotfryd. - Zwyczajny osioł!

Wielki Solar w Berleujściu, 21 czerwca roku 2089

Przesilenie Letnie było jednym z największych świąt w kalendarzu, zaraz po uczczeniu Niezwyciężonego Sola w przesileniu zimowym. Choć tej

nocy, upojeni emocjami wczorajszego turnieju, dostojni goście niewiele spali, o świcie zgromadzili się w archisolarze na zamku, by uczcić początek najdłuższego dnia w roku. Jak każe obyczaj, o wschodzie słońca archisolis odśpiewał hymn ku czci słonecznego boga. Gdy tylko pierwszy promień światła wpadł do świątyni przez specjalną szczelinę w murze, w którą wpadał o świcie tylko tego jednego dnia, zapalił wielką świecę. Inni kapłani odpalali mniejsze i podawali ogień wiernym. Najpierw swoją świecę odpalił król Henryk, który przekazał światło Grzegorzowi i Żannie. Król zbliżył się także do drugiej córki, ale zauważył, że ktoś go ubiegł. Łada spojrzała zaskoczona i spostrzegła, że światło podał jej Wilhelm. Uśmiechnęła się pod nosem, udając, że nie widzi zaskoczenia na twarzy ojca. Potem odśpiewali jeszcze kilka hymnów ku czci Sola, jego żony, pani Luny i ich Dwanaściorga Dzieci.

- Powiniennem cię przeprosić, pani - odezwał się Wilhelm do Łady, gdy przy wyjściu ze świątyni pozwoliła mu podać sobie dłoń, aby zejść po schodkach. - Nie zachowałem się godnie podczas uczyty i wczoraj...

- To ja zachowałam się niewłaściwie - odparła cicho. - Drwiłam z ciebie. Gdybym nie stroiła fochów, może nie przegrałbyś turnieju.

- To nieważne. - Wilhelm uśmiechnął się. - Cały turniej przestał się liczyć, gdy zobaczyłem, że jednak na mnie spojrzałaś.

Serce mocniej jej zabiło. Nagle poczuła się jak jedna z dam, bohaterek dawnych eposów, które z lubością czytywała. Poszukiwała w myślach jakiejś godnej odpowiedzi, gdy jeden ze sług ojca ponaglił ją, informując, że król wzywa. Wilhelm uklonił się dwornie, a ona odwróciła się i odeszła w kierunku bramy zamku.

Wilhelm czuł się tego dnia o wiele lepiej. Kilka słów, które zamienił z księżniczką, odmieniło jego nastrój. Łada tymczasem ze ściśniętym żołądkiem szła na kolejną rozmowę z ojcem. Nie wracał do tematu od tygodni, licząc, że czas złamie jej opór. Ona zresztą też odsunęła sprawę od siebie. Przygotowania do turnieju, powitanie gości, wreszcie sam turniej i święto. I ten młody Hazeńczyk, taki przystojny i rycerski. Ale ojciec najwyraźniej znów chciał popsuć jej humor. Weszła do komnaty, oczekując, co ma do powiedzenia.

- Witaj, córko - powitał ją. - Podobał ci się turniej?

- Był wspaniały - odpowiedziała, lekko się uśmiechając.

- Przemyślałaś moją decyzję? - spytał w końcu wprost. - Posłowie byli tobą zachwyceni.

- Oglądali mnie jak klacz do kupienia - mruknęła. - Nie wyjdę za niego, nie wyjadę stąd! Już ci mówiłam!

- A ja mówiłem ci, że musisz poślubić następcę tronu Alwery, czy tak?

- Ojczy, ale dlaczego? Rozejrzyj się! Choćby dzisiaj jest tu ze stu młodzieńców: tylu rycerzy i baronów. Są wśród nich tacy, których, jak czuję, mogłabym pokochać. Dlaczego nie mogłabym wybrać sobie któregoś?

- Wybrać sobie... - Henryk uśmiechnął się pod nosem na ten dość osobliwy pomysł.

- Może zorganizujemy kolejny turniej: kto wygra, ten będzie mógł liczyć na moje względy?

- Dość! - Król trzasnął w końcu dłonią o blat stołu. - Nie jesteś nagrodą turniejową, tylko córką króla Jonki, a korona potrzebuje cię w Alwerze, zrozumiałaś?! Pogódź się z tym! Zanim Góry Kamienne pokryją się śniegami, wyruszysz na północ.

Wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami.

- To się jeszcze okaże - rzuciła.

Zwiesiła nos na kwintę i pomaszzerowała do siebie. Naprawdę liczyła w swojej naiwności, że uda się jeszcze wszystko zmienić, że wystarczy o tym nie mówić i ojciec zapomni, tak jak wiele razy zapominał ją ukarać. Bardzo bała się wyjazdu do obcego kraju leżącego gdzieś daleko na północy, za Kamiennymi Górami, jeszcze o wiele mil za Hazenią, która wydawała się wystarczająco daleka i zimna.

Hazenia... No i właśnie, jeszcze na dodatek ten młody książę zapatrzony w nią jak w obrazek i taki śmieszny! Najpierw chciał dla niej wygrać turniej, a potem omal nie spadł z konia, walcząc z jej bratem. Tak, czuła, że jego mogłaby polubić. Weszła do komnaty i usłyszała chichot dwórek. Ucichły nagle i zaczęły szybko chować coś za plecami.

- Co robicie? - spytała. - Co tam chowacie?

- Nic, pani. - Jedna z dziewcząt wzruszyła ramionami.

- Pokaż! - nakazała jej Łada.

Dziewczyna wyjęła zza pleców niewielki wianek spleciony z kwiatów.

- Po co to? - zdziwiła się Łada.

- Dziś Przesilenie Letnie - odparła dwórka, choć inne posykiwały, szturchały ją i rzucały wiele mówiące spojrzenia.

- Przesilenie? - powtórzyła Łada i nagle doznała olśnienia.

Znała tę starą legendę! Słyszała ją niegdyś od bony. W najkrótszą noc w roku dawni Lirwelijczycy palili na polanach ognie, a młodzi, którzy szukali pary bądź chcieli być razem, lecz nie mogli z uwagi na wolę rodzin, mieli szansę się tej nocy połączyć. Ach, jakże piękne, dawne dzieje! Móc pójść z ukochanym, zatańczyć przy ognisku, choćby raz w życiu. Jeden raz. Może potem już byłoby łatwiej pogodzić się z wolą ojca. A może wcale już by nie trzeba?

- Zabraniam wam brać udziału w takich pogańskich rytuałach! - oznajmiła donośnym głosem. - Wieczorem macie być na zamku, jeśli którejś nie zobaczę, zostanie ukarana!

Dwórki dygnęły przed nią i niepokieszone zaczęły wychodzić. Została tylko Przeclawa, ulubiona przyjaciółka Łady.

- Surowa dziś jesteś, księżniczko - ośmieliła się odezwać. - To tylko niewinna zabawa.

- Wiem - szepnęła Łada - ale dziś one nie mogą tam być...

- Dlaczego? - Przeclawa zdziwiła się.

Łada podeszła do niej i chwyciła za rękę.

- Moja Przecko kochana! Musisz mi pomóc! - szepnęła z błyskiem w oku. - Zamierzam zrobić coś zupełnie szalonego i nikt poza tobą nie może o tym wiedzieć!

Najdłuższy dzień roku okazał się słoneczny i skwarny. Do zachodu słońca zostały jeszcze dobre cztery godziny. Wilhelm niespokojnie przestępował z nogi na nogę, stojąc przy Bramie Czerwonej biorącej swą nazwę od koloru cegieł, z których ją wzniesiono. Tak jak mu przykazano w liściku,

który ukradkiem dostarczyła mu w południe dwórka, był ubrany zwyczajnie. Nie wziął ze sobą broni ani sług. Autorka wiadomości spóźniła się i zaczął już myśleć, że znów z niego zadrwiła. Po chwili zbliżyła się do niego jakaś dziewczyna.

- Jesteś - szepnęła. - Bałam się, że nie uda ci się wymknąć.

- To ty... - wybąkał, uważnie się jej przyglądając. Miała na sobie lekką szarą pelerynę z kapturem okrywającą ją prawie w całości. - Nie poznałem cię...

- To dobrze. - Uśmiechnęła się spod okrycia. - Nie powinnam rzucać się w oczy. Gdyby wyszło na jaw, że córka króla włóczy się samopas po mieście, wybuchłby skandal. - Teraz ona obrzuciła go uważnym spojrzeniem. - Ty za to wyróżniasz się aż nadto. Pisałam ci, że masz się ubrać zwyczajnie.

- I to zrobiłem - odparł, nie rozumiejąc.

- Za twoje buty każdy z tych biedaków mógłby kupić jedzenia dla całej rodziny na kwartał - wyjaśniła. - Nie wspomnę o reszcie. Zdejmij przynajmniej to. - Wskazała na złotą broszę z lampartem, którą miał przypiętą do skózanego kaftana narzuconego na lnianą koszulę.

Zrobił, jak kazała, i ruszył za nią przez bramę miejską.

- Nie wiedziałem, że interesujesz się biednymi - zagadnął, gdy zobaczył, jak wrzuca kilka miedziaków jakiemuś żebrakowi siedzącemu w przejściu.

- Królowie są ustanowieni, aby chronić swój lud - odparła. - Jeśli król nie rozumie potrzeb ludu, to jakimż jest władcą? Chcesz zostać rycerzem?

- Oczywiście - odparował bez namysłu. - Mam nadzieję, że już wkrótce. Ojciec mój obiecał pomówić z twoim o jakiejś kasztelanii dla mnie, na przykład w Łęgnicy - opowiadał. - To u nas w Hazenii, na trakcie do...

- Wiem, gdzie leży Łęgnica - przerwała. - Jej kasztelani mają w herbie lwa, który trzyma skrzyżowane miecze, a tamtejsi rzemieślnicy słyną z produkcji znakomitych skór. Tylko że na te skóry jest wysokie myto, jeśli na przykład chcą je wysłać do...

- Dużo wiesz jak na...

- Jak na dziewczynę? - Nie dała mu dokończyć.

- Jak na tak młodą osobę - poprawił się szybko.

- A ty zaskakująco mało - zganiała go.

- Mało?

- A wiesz, czego będą potrzebować od swego kasztelana mieszkańcy Łęgnicy?

- No... Oochrony, sprawiedliwości... - wyliczał pod nosem.

- Rycerzu, jak chcesz bronić swój lud, jeśli nie wiesz, czego się lęka?

Roześmiała się i pobiegła przed siebie. Ruszył za nią. Uszli około mili od miasta w kierunku zachodzącego słońca, gdy Łada skręciła z traktu w boczną, polną dróżkę. Dopiero tutaj zdjęła z siebie narzutkę. Pod spodem miała tylko prostą, białą suknię z lnu przepasaną zwykłym sznurem, a jej długie złote włosy kaskadami loków spływały na ramiona i plecy.

- Dokąd ty mnie prowadzisz, Ledo? - spytał po chwili.

- Nie mów tak do mnie, proszę.

- Wybacz, księżniczko...

- Nie, nie tytułuj mnie! - Rozejrzała się wkoło, upewniając, czy na pewno nikt ich nie usłyszał.

- Jak więc mam do ciebie mówić?

- Po imieniu - zaszczebotała.

- Ale kiedy powiedziałem „Ledo”...

- Jak ty naprawdę niewiele wiesz! - zezłościła się w końcu. - Nie nazywam się Leda, tylko Łada. U was na północy mówi się Leda, ale w Lirwelii każdy powie Łada, a ja jestem Lirwelijką. I nazywam się Łada.

- Jak sobie życzysz, księ... - Zganiała go wzrokiem. - Łado - poprawił się od razu. - Zatem gdzie mnie prowadzisz, Łado?

- Wczoraj na turnieju zaofiarowałeś mi swoje uczucia zgodnie z twoimi zwyczajami - odparła. - Dziś ja okażę ci moje zgodnie z naszymi.

Weszli na niewielką polankę. Łada schyliła się i zerwała jakiś polny kwiat. Zaraz potem następny. Zaskoczony Wilhelm przypatrywał się, jak płaśała po łące, zrywając kwiaty i nucąc pod nosem w jakimś śpiewnym,

szeleszczącym języku.

- Powiesz mi w końcu, o co tutaj chodzi? - spytał, gdy ruszyli dalej.

- Cierpliwości...

- Nie pójde ani kroku dalej, jeśli nie powiesz mi, dokąd idziemy. - Zaperzył się. - Jeśli to kolejna twoja kpina, to nawet fakt, że jesteś wyżej urodzona ode mnie...

- To nie drwina, nie bądź taki przeczulony. Już cię przeprosiłam za swoje wcześniejsze zachowanie. Oberwało się tobie, choć po prawdzie nie na ciebie byłam zła - odparła, ale on wciąż patrzył na nią spode łba. - No dobrze, idziemy na wielką polanę, na ceremonię ognia.

- Ceremonię ognia? - powtórzył zaskoczony.

- To pradawne zwyczaje naszych przodków.

- Nigdy o nich nie słyszałem, solisowie nie mówili nigdy...

- Tej legendy nie usłyszysz od ludzi poświęconych Dwunastu - odparła. - Choć Lirwelia od wieków uznaje zwierzchność królów Jonki, to dopiero sto lat temu nasz przodek Zbysław Szczerbaty przyjął na żądanie króla Marka Mocnego waszą wiarę. Zgasły wtedy ognie, obalono święte gaje, a w ich miejsce wzniesiono solary.

- Ta ceremonia jest pogańska? - spytał zaskoczony, a w jego głosie dało się słyszeć pogardę.

- Nie pogańska, tylko dawna - poprawiła go. - Nie traktuj ludu Lirwelii jak dzikusów. My również czciliśmy słońce, ale robiliśmy to inaczej. Oprócz tego mieliśmy też innych bogów.

- Powinniśmy chyba wracać. Jeśli nie będzie nas na wieczornych modłach w archisolarze...

- Przeclawa powie ojcu, że zaniemogłam na kobiecą przypadłość - objaśniła, a on wbił wzrok w czubki swoich skórzanych butów. - A jakie kłamstwo powtórzy twemu ojcu kuzyn Gotfryd?

Poszła przed siebie, znów śpiewając coś w nieznanym mu języku. W końcu zebrała dość kwiatów i uwiła z nich wianek. Słońce zniżało się już nad horyzontem i na leśnym dukcie robiło się ciemnawo. Wilhelm obliczył w myślach, że uszli dobre sześć mil od miasta.

- Nie wrócimy przed zamknięciem bram. - Chłopak znów się

zawahał.

- Mówisz tak, jakbyś spodziewał się, że rano ich z powrotem nie otworzą. - Łada roześmiała się głośno.

- Zamierzasz tu zostać na noc? - spytał już całkiem zbity z tropu.

- Naprawdę, jak ty nic nie rozumiesz... - powiedziała i pokręciła głową.

Zmierzchało już, gdy weszli na obszerną polanę. Na jej środku znajdował się osadzony na kole od wozu stos chrustu. W różnej odległości od niego stały zbite w grupki panny lub kawalerowie. Wszystkie dziewczęta miały białe lniane suknie, takie jak Łada i wianki na głowach. Teraz Wilhelm zrozumiał, czemu kazała mu się ubrać zwyczajnie. W porównaniu do synów prostych mieszczan bądź ratajów faktycznie wyróżniał się ubiorem, choć przecież włożył najskromniejszy strój, jaki mógł wybrać. Zebrani zaczęli śpiewać w tym samym języku, który słyszał już od Łady podczas zbierania kwiatów. Jakiś celebrans, może to był kapłan pradawnego obrządku, chwycił brzozowy kijek i wbił go jak piastę w środek koła. Młodzieńcy zaczęli kręcić nim z taką wprawą, że już po chwili tarcie roznieciło ogień.

Gdy dorzucono drewna i stos zapłonął na dobre, odpalono od niego mniejsze, po bokach polany. Wtedy zebrane panny zaczęły tańczyć i śpiewać. Mężczyźni zebrali się z tyłu. Szturchali się, uśmiechali, dodawali sobie odwagi. Czasem wypijali coś z przyniesionych z sobą bukłaków. Łada dołączyła po chwili do innych panien i zaczęła tańczyć wokół ognia. Wilhelm stał samotny, nieco osłupiały nieznanym mu rytuałem. Po chwili jakiś chłopak podszedł do niego i podał mu bukłak. Wilhelm skinął mu głową, sam zaskoczony, że pozdrawia kogoś z niższego stanu, i pociągnął łyk. Miód był słodki, ale o wiele mocniejszy niż te, które podawano na dworze jego ojca. Oddał butlę i uśmiechnął się szeroko. Poczuł, jak ciepło rozchodzi się po jego ciele. Dziewczęta wciąż tańczyły wokół ognisk. Z biegiem czasu niektóre odłączały się i zachęcały do tańców młodzieńców. Obserwował uważnie Ładę. Odeszła w końcu od ogniska. Jej twarz i szyja lśniły kropelkami potu, tak rozgrzana była tańcem i żarem ognia. Zbliżyła się do niego jakaś inna dziewczyna, ale on

nawet jej nie zauważył, chłonąc wzrokiem księżniczkę. Łada podeszła do niego spokojnym krokiem. Dotknęła jego twarzy i pocałowała. Położyła mu rękę na piersi, po czym przesunęła ją niżej. Odsunął się gwałtownie.

- Co ty robisz, pani? - spytał zupełnie zaskoczony. - To jest...

- Przecież oboje tego chcemy - szepnęła. - Kochasz mnie, a ja pokochałam ciebie. Mój ojciec nie pozwala mi wybrać sobie męża. Obiecał mnie synowi króla Alwery, to część układu. Ale ja mu się nie oddam, bo pokochałam ciebie od chwili, gdy cię zobaczyłam, jak wjeżdżałeś do miasta. Tylko tak możemy być razem - mówiła. - Tym pradawnym rytuałem połączymy się jak mąż i żona.

Objął ją i pocałował. Czuł jej ciepło. Po chwili jego organizm zareagował. Za pierwszym razem wziął ją szybko, łapczywie, jak puchar wina po długiej walce. Potem ponownie: spokojnie, delikatnie, czule. I znowu.

Świtało już. Kończyła się najkrótsza noc roku. W solarach wkrótce miały rozpocząć się modły i znów solisowie będą zapalać świece ku czci Wielkiego Sola. A oni leżeli na trawie przytuleni do siebie, pośród wielu innych par.

- Dawniej, gdy młodzi nie chcieli się poddać swatom ich rodziców, przychodzili tutaj - szepnęła, widząc, że się przebudził. - Jeśli panna złączyła się z ukochanym podczas tego rytuału, żaden ojciec nie mógł się temu przeciwstawić.

- Myślisz, że to nam teraz pomoże? - Uśmiechnął się lekko.

- Kocham cię, Wilhelmie - zapewniła. - Choćby mnie obdarli ze skóry, nie wyrzeknę się ciebie.

- Ani ja ciebie. - Pocałował ją po raz kolejny.

- Jest jeszcze jedno, co musimy zrobić - powiedziała. - Zanim ogień dogasną, musimy przeskoczyć przez ognisko.

- Zróbmy to zatem. - Podniósł się powoli, szukając swojej koszuli i kaftana.

Kilka chwil później stali już za dwiema innymi parami. Gdy nadeszła ich kolej, chwycili się za ręce i rozpędziwszy, przeskoczyli nad dogasającym ogniem.

Lasy w Lirwelii, 26 czerwca roku 2089

Kilka dni po uroczystościach związanych z Przesileniem Letnim król zarządził wyjazd na polowanie. Udali się w jego ulubione lasy na zachód od Berleujścia. Wiele delegacji zdążyło się już rozjechać, co ucieszyło Henryka. Zostali bowiem przy nim tylko najbliżsi druhowie. Liczył więc, że z dala od dworu będą mogli w spokoju porozmawiać. Jednym z tych przyjaciół monarchy z dawnych lat był Laurenty del Pescare, ksiązę Trantu, a drugim Jerzy von Kolbie.

Jadąc tego poranka u boku króla, ksiązę Hazenii martwił się nieco. Jego syn, Wilhelm, nie chciał bowiem udać się z nimi na polowanie i wolał zostać w zamku. Zdziwiło to Jerzego. Chłopak dotąd uwielbiał łowy i niewiele rzeczy sprawiało mu większą przyjemność. Jerzy liczył też, że zdoła pokazać Henrykowi swego syna od jak najlepszej strony, co zapewne ułatwiłoby władcy podjęcie decyzji o przyznaniu Wilhelmowi kasztelanii.

- Twój syn nie chciał nam towarzyszyć? - zagadnął Jerzego król, jakby czytając w jego myślach.

- Sam się temu dziwię, Henryku. - Gdy przebywali w zaufanym gronie, wciąż mówili do siebie po imieniu. - Wolał zostać w zamku. Od kilku dni jest jakiś nieobecny. Chodzi z głową w chmurach. Nie wiem, co się dzieje z tym młodzieńcem.

- Nie wiesz, druhu, doprawdy? - Laurenty del Pescare ryknął śmiechem. - Twój syn zapewne zapatrzył się w jakąś dwórkę albo szlachciankę. Sprawił się na turnieju tak dobrze, że niejedna za nim oczami wodzi.

- Może i prawda. - Jerzy uśmiechnął się. - Ech, skończył już szesnaście wiosen, a ja wciąż myślę o nim jak o dzieciaku.

- Cóż, my się starzejemy, a nasze dzieci dorastają. - Henryk westchnął i zatrzymał konia. - Cieszy mnie, że po tylu latach znów

jesteśmy tu razem, moi przyjaciele. Wiele to dla mnie znaczy, że wciąż mam was po swojej stronie.

Wieczorem usiedli przy ognisku jak za dawnych lat, ciesząc się miodem i pieczystym. Odśpiewali już chyba wszystkie znane sprośne piosenki i zanosząc się śmiechem, rozlali do kubków kolejną porcję napitku.

- Ech, zupełnie jak wtedy, gdyśmy za młodu jechali na turniej do króla Roberta Prawego. Ile to lat minęło? - Jerzy zamyślił się głęboko.

- Miałeś o rok więcej niż twój syn teraz - przypomniał mu Laurenty. - I nie trzymałeś się w siodle tak sprawnie, jak on.

Roześmiali się.

- Ech, wierzcie mi, druhowie, że tęsknię za tamtymi dniami - powiedział Henryk. - Wtedy wszystko przychodziło łatwiej. A teraz? Dla dobra korony muszę się układać z takim Alwerczykiem - prychnął. - I jeszcze oddać mu córkę - wyliczał król. - Słowo daję, gdybym nie musiał oddawać moich dziewczynek obcym dla spokoju królestwa, wydałbym je za waszych synów.

- Z moim i tak już nic by z tego nie było - uśmiechnął się Laurenty. - Zaręczyłem go z Iwettą, córką hrabiego Kollinśkiego. Dobra partia...

Znów więc rozlali miód do kubków i wypili zdrowie przyszłej synowej Laurentego del Pescare.

Berleujście,

27 czerwca roku 2089

Lucjusz opierał się przez kilka dni, nim spełnił rozkaz Ofki i ruszył na dwór. Jechał, oszczędzając konia. Zdawał sobie bowiem sprawę, że jego misja jest z góry skazana na porażkę. Przynajmniej w podróży miał chwilę czasu na odpoczynek i przemyślenia. Nie pasowała mu rola strażnika królowej. Idąc za radą starszego brata, nie analizował ani nie komentował sytuacji swojej pani. Starał się jedynie wykonywać swoje obowiązki.

Na berleujski zamek wjechał z ciężkim sercem, domyślając się, iż Henryk nie będzie zachwycony z najnowszych osiągnięć małżonki. Odetchnął lekko, uzyskawszy informację, iż król wyjechał na polowanie. W jego zastępstwie spotkał się z nim Filomen.

- Najjaśniejszy pan coraz gorzej znosi prośby królowej o pieniądze - mruknął solis, wysłuchawszy opowieści młodszego brata. - Ofka powinna powściągnąć swoją rozrzutność.

- Obawiam się, że to nie jest wykonalne - odparł szybko Lucjusz. - Miłościwa pani znajduje radość w tym, że kupuje nowe precjoza i stroje. Ciężko będzie przekonać ją, żeby z tego zrezygnowała.

- Zawsze można odciąć ją od dostaw - rzucił Filomen.

- Niby jak?

- A kto dba o jej bezpieczeństwo jak nie dowódca gwardii zamkowej? Przecież możesz zakazać dostępu do niej kupcom i bankierom.

- Wtedy rozpęta się piekło - Lucjusz dziwnie się uśmiechnął.

- Posłuchaj mojej rady, braciszku - odparł twardo Filomen. - Lepiej jeśli usłyszysz to ode mnie niż od Henryka: twoim zadaniem jest sprawować pieczę nad osobą królowej zgodnie z wolą jej pana męża. I lepiej będzie dla nas obu, aby jego wysokość był z ciebie zadowolony. Nie chcę stracić jego łaski.

- Ja również - zapewnił Lucjusz. - Zrobię, jak mi radzisz, choć obawiam się, że to niewiele pomoże. Póki co daj mi choć kilkaset sztuk złota, inaczej za parę dni królowa nie będzie miała co jeść. Nie mówiąc już o nas.

- Dostaniesz dodatkowe trzy tysiące - obiecał Filomen. - Jutro wszystko przygotuję. Na razie odpocznij, spotkamy się na wieczerzy. - Poklepał brata po ramieniu i wrócił do swoich obowiązków.

Okolice Berleujścia, tego samego dnia

Łada i Wilhelm wiedzieli, że ich ojcowie wrócą niebawem, polowanie

mogło potrwać najwyżej tydzień. Księżniczka słyszała bowiem, że sprawy państwowe naglą jej ojca, a i młody von Kolbie wspominał, że jego rodzic chce czym prędzej wracać do Lensburga. Spędzali więc ze sobą każdą wolną chwilę. Tego poranka odwiązali konie i w eskorcie kilku przybocznych wyjechali z miasta Bramą Katarzyńską. Katarzynów był biedną i nieciekawą osadą podmiejską, pełną podłych spelun o wiadomej reputacji, w których różni synowie ciemnych gwiazd zawsze szukali zaczepki. Przejechali więc pędem i ruszyli w otwarte łąki w kierunku południowym. Poranek był kojąco rześki, ale z biegiem dnia robiło się coraz goręcej. Na początku nie rozmawiali prawie wcale. Wystarczyło im, że jechali obok siebie, że mogli chłonąć się wzrokiem, wymienić uśmiechy. Później Wilhelm powiedział coś o swoim koniu, przechwalając się, jak wiele na nim ćwiczy i co już potrafi, ale nie wzbudził tym jej większego entuzjazmu. Zbrojni, którzy jechali z nimi dla ochrony, trzymali pewien dystans. Zupełnie jakby ktoś im wytłumaczył, że nie są tu po to, aby słuchać. Po paru chwilach okazało się, że księżniczce nawet taka ich obecność przeszkadza.

- Umiesz jeździć szybko?

- Oczywiście, potrafię świetnie radzić sobie w siodle. Widziałas przecież na turnieju. - Wilhelm wykorzystał kolejną okazję, aby się pochwalić.

- Sprawdźmy!

Spięła konia i pogalopowała przed siebie. Ruszył za nią. Zanim strażę zorientowały się, co się dzieje, oni pędzili już stokiem pagórka w stronę zagajnika. Przesadzili niewielki strumień, rozbryzgując wodę naokoło. Gnali przez szeroką polanę, wspinając się na kolejne wzgórze. Gdy już zjeżdżali z niego po przeciwnym jego stoku, Wilhelm prześcignął konia Łady, po czym obrócił się prawie w miejscu i ruszył na nią. Roześmiała się radośnie, co tylko ośmieliło go do kolejnych popisów. Unosił się w strzemionach, balansował ciałem, puszczając wodze, zwalniał i przyspieszał, krążąc wokół niej. Raz po raz zerkał na nią, chcąc upewnić się, czy obserwuje jego wyczyny. Nie zauważył, że zbliżył się zanadto do rozłożystego dębu rosnącego na polanie opodal i w efekcie uderzył

w konar. Łada krzyknęła i zacięła konia. Zeskoczyła na ziemię i rzuciła się ku niemu. Wyglądało to na groźny wypadek, bo Wilhelm leżał w trawie bez ducha i oczy miał zamknięte.

- Miły! - jęknęła, dotykając jego twarzy.

Pewnie droczyłby się z nią jeszcze chwilę, ale nie wytrzymał i roześmiał się, otwierając oczy. Objął ją w pól i przewrócił na trawę. Pacnęła go dłonią po ramieniu, jakby chciała dać mu znać, że dąsa się na niego za to, że tak ją wystraszył. Po chwili jednak po prostu go pocałowała. Ich eskorty nadal nie było nigdzie widać. Uwiązali więc konie i usiedli na ziemi, mając pień drzewa za plecami. Chwycił jej dłoń w swoją.

- Nie chcę wyjeżdżać, kochana - odezwał się, przerywając ciszę. - Nie wiem, jak wytrzymam bez ciebie.

- To nie potrwa długo, miły - odparła pewnie. - Porozmawiam z tatą, zrozumie. Twój ojciec był mu druhem od tak dawna. Z pewnością uzgodnią warunki i najdalej na zimę będziemy już razem.

Jej naiwna pewność dała mu nadzieję, że może naprawdę wszystko ułoży się po ich myśli.

- Żono. - Uśmiechnął się i pocałował ją.

- Mężu...

Siedzieli oparci o pień dębu, w cieniu jego rozłożystych konarów, które chroniły ich przed spiekotą letniego przedpołudnia. Oboje marzyli o tym, żeby nigdy nie musieli wracać do rzeczywistości.

Lasy w okolicy Sławna, 20 pajęcznika roku 2089

Dafne nie bała się lasu, był jej domem, odkąd pamiętała. W swoim lesie znała każde drzewo, każdą ścieżkę i każdą polanę. Wkrótce miały minąć dwa lata, odkąd opuściły to miejsce wraz z matką. Przeniosły się na północ, na pogranicze Lirwelii i ziem Starej Jonki. Tam wszystko było obce, ale przynajmniej przez ponad rok znów mogły się czuć bezpiecznie.

Aż do owego poranka, gdy jacyś ludzie przyszedli po jej matkę i zabrali ją do miasteczka, do miejscowego kasztelana. Kasztelan zaś oddał ją solisom. Te wydarzenia wciąż pozostawały w niej żywe. Straszne wspomnienia wracały, ile razy zamykała oczy. Nachodziły ją nieproszone, gdy siedziała nocami, czuwając przy ogniu.

Potem było wiele dni wędrówki. Tygodnie, podczas których samotnie przemierzała las. Słońce i gwiazdy wskazywały jej kierunki świata. Szła na północ, potem zoczyła na zachód. Radziła sobie nieźle. Łuk, który zabrała z domu, pozwalał polować na drobną zwierzynę. Owoców było pod dostatkiem. Las szczerze dzielił się z nią swymi darami. Rozpalanie ognia również nie stanowiło dla niej problemu. Wszak matka nauczyła ją, jak korzystać z mocy żywiołów.

Dafne nie wiedziała, dokąd dotarła, gdy tamtego dnia znalazła przypadkowo niewielką karczmę przy trakcie. Z początku wycofała się na tyle szybko, by nikt jej nie zauważył. Przez kilka dni wracała w to miejsce, z ukrycia przyglądając się gospodarzowi. W końcu ciekawość, potrzeba rozmowy z innymi ludźmi i tęsknota za świeżym chlebem zwyciężyły obawę. O świcie upolowała parę zajęcy i ruszyła do karczmy. Gospodarz przyjął ją nieufnie, ale ucieszył się ze świeżego mięsa. Poczęstował polewką. Nie wypytywał zbyt, co bardzo ją ucieszyło. Z jego twardego akcentu, tak innego od mowy ludzi w jej rodzinnych stronach, wyczytała, że musiała już opuścić Lirwelię.

- Dokąd prowadzi ten trakt? - spytała w końcu.

- Na zachód do Sławna, to ledwie o dzień drogi - odparł. - Na wschód prowadzi do Kalińca i dalej na Kamieńsk albo Różyn. Tak przynajmniej przyjezdni gadają.

- A do Berleujścia to stąd daleko?

- Berleujścia? - wybałuszył oczy. - Tego w Lirwelii?

- No tak...

- Dziewczyno, bliżej ci do Jonki niż do Lirwelii! - odparł. Przyglądał się jej przez chwilę, ale jej pytania tylko go rozbawiły, nie drażyły więc tematu jej pochodzenia. Tego dnia Dafne zrozumiała, jak daleko od domu się znalazła. Wieczorem, gdy wróciła do swojej samotni w zapadlisku pod

korzeniami starego buka, przemknęło jej przez myśl, że powinna ruszyć z powrotem w rodzinne strony. Odsunęła od siebie tę myśl, gdy uświadomiła sobie, jak wiele bólu ją kosztuje. Lepiej było zostawić przeszłość za sobą. Kolejnego ranka upolowała kilka ptaków i znów ruszyła do karczmy.

Zamek w Berleujściu, 28 pającznika roku 2089

Wbrew życzeniom Łady i Wilhelma rzeczywistość szybko sobie o nich przypomniała. Co gorsze miała wobec każdego z nich osobne plany. Mimo zapewnień, jakie sobie składali, żadne z nich nie przyznało się rodzicom do małżeństwa zawartego potajemnie, w starym rytuale. Ile razy dziewczyna widziała ojca, tyle razy obiecywała sobie, że zaraz mu powie. Niestety jej odwaga pryskała, zanim zdołała otworzyć usta. Zdawała sobie sprawę, że nie chodzi o zwykłe przewinienie, jakich wiele miała na sumieniu i które niemal zawsze uchodziły jej na sucho. Łada doskonale znała wagę traktatu z Alwerą i miała świadomość, że jej zachowanie może zniszczyć kilkuletnie starania ojca. Wszystko to mogło doprowadzić nawet do wojny. W rzadkich chwilach, gdy dopuszczała rozum do głosu, czuła, że postąpiła lekkomyślnie i egoistycznie.

Uczucia wciąż w niej szalały. Z początku zdecydował strach przed nieznanym, przed opuszczeniem rodzinnego domu, przed mężczyzną, którego jej przeznaczono. Chęć buntu przeciw decyzji ojca. A potem naprawdę polubiła Wilhelma. Czas, który z nim spędziła, pozwolił jej utwierdzić się w uczuciach. Kochała go. Im dłużej byli rozdzieleni, tym mocniej tęskniła. Za jego głosem, dotykiem, za siłą ramion, kiedy ją obejmował. Myślała o nim każdego wieczoru i coraz pewniejsza była tego, że nie żałuje niczego.

Niedawno zaczęło do niej docierać, że prawdy nie da się dłużej ukrywać. Nie chodziło nawet o to, że ojciec coraz wyraźniej dawał do zrozumienia, że powinna szykować się do wyjazdu do Alwery. W trzy

księżycy po owej nocy, kiedy poślubiła swojego ukochanego i oddała mu się podczas ceremonii ognia, Łada miała podstawy, by przypuszczać, że jest brzemienna.

Kolejny wieczór spędzała w alkowie, bijąc się z myślami i układając w głowie słowa, którymi mogłaby uładzić ojca. W końcu poczuła jakiś dziwny ból w podbrzuszu. Starła się rozluźnić, ale skurcz się nasilał. Nie wytrzymała i jęknęła głośno.

- Źle się czujesz, pani? - spytała obecna w komnacie dwórka Przeclawa.

Łada chciała ją zapewnić, że wszystko jest w porządku, ale nie zdołała. Ból był zbyt silny.

- Księżniczko, co z tobą? - Dziewczyna nachyliła się nad nią.

- Nic takiego - pisnęła, wskazując na podbrzusze. - Minie.

- Wezwę medyka! - powiedziała Przeclawa.

- Nie! - jęknęła Łada. - Nie wzywaj... Nie możemy...

- Pani?

- Nie możemy, jeśli ojciec się domyśli...

- Księżniczko... - Przeclawa uważnie przyglądała się Ładzie. - Kiedy ostatnio krwawiłaś? - spytała przytomnie.

Łada nie odpowiedziała. Po chwili skinęła głową, potwierdzając przypuszczenia Przeclawy.

- Musimy wezwać medyczkę. - Dwórka rozłożyła ręce.

Wściekły Henryk z głośnym stuknięciem odłożył srebrny puchar na stół.

- Chcesz mi powiedzieć, że moja córka spodziewa się dziecka?! - ryknął, podchodząc do kobiety.

- Najjaśniejszy panie, królowna Łada jest brzemienna. Nie mam wątpliwości - potwierdziła medyczka.

- Zrób z tym coś! Natychmiast! - polecił. - Nikt nie może wiedzieć. Przed zimą Łada wyjedzie do Alwery. Jeśli coś pójdzie nie tak, cały sojusz upadnie!

- Wasza królewska mość, ale...

- Co znowu?! - ryknął Henryk. - Przecież wiem, że znasz zioła, mikstury, a może i zaklęcia! Nie obchodzi mnie, czego użyjesz. Masz to zrobić!

- Dziecię jest w niej około trzy księżyce. Jeśli teraz to zrobię, ona może nawet umrzeć. Jest też ryzyko, że więcej nie będzie rodzić - poinformowała króla. - Taką ją oddasz władcy Alwery, wasza wysokość?

Henryk spojrział na nią wściekle. Przemierzył komnatę w tę i z powrotem.

- Na Dwunastu! - wykrzyknął. - Wszystko na nic!

Wypadł z komnaty jak rażony piorunem. Przeszedł korytarze, nie zważając na gwardzistów skłaniających przed nim głowy i wparował do komnaty córki. Siedziała na swoim łóżu. Podniosła na niego wzrok i już wiedziała, że żadne słowa nie będą w stanie ugasić jego gniewu.

- Czyj to bękart? - spytał.

- To nie bękart - odparła cicho. - To dziecko mojego męża.

- Co ty mówisz, córko?! - ryknął. - Ty nie masz męża! Twoim mężem będzie następca alwerskiego tronu! Sam go dla ciebie wybrałem!

Potrząsnęła głową.

- Mówiłam ci! Mówiłam, że za niego nie wyjdę, choćby i bogowie mieli mnie przekląć - jęczała. - Nie wyślesz mnie na północ, do ludzi, którzy żyją w śniegach i jedzą w pół surowe mięso!

- Czyjego bękarta nosisz pod sercem? - powtórzył Henryk.

- Noszę dziecko mojego męża - odparła, podnosząc się z łóża. - Kiedy świętowaliście w solarze uroczystość Letniego Przesilenia, poszliśmy na ceremonię ognia. Połączyliśmy się i przeskoczyliśmy przez żarzące się drwa! - oznajmiła, stojąc przed nim. - Teraz nawet ty nie możesz nas rozdzielić! Złączyliśmy się według starego obrządku.

Bardzo chciała mu powiedzieć, wykrzyzczeć w twarz, że jej mężem jest Wilhelm von Kolbie, syn jego druha. Jakiś impuls w głowie podpowiedział, żeby na razie milczała. Musiała być pewna, że ojciec ochłonie. Inaczej Wilhelm mógłby znaleźć się w niebezpieczeństwie. Henryk istotnie był wściekły jak nigdy dotąd. Czuł, że gniew pulsuje mu w skroniach. Zacisnął prawą dłoń w pięść i z całej siły uderzył ją w twarz.

Krzyknęła i upadła na dębową podłogę. Poczwała potworny ból w szczęce, po chwili krew wypełniła jej usta. W uszach słyszała tylko świst, a serce biło jej jak oszalałe. Wypluła mieszaninę krwi i śliny, i powoli wsparła się na rękach.

- Stało się - wycedziła w końcu przez zęby. - Jestem jego żoną i teraz tylko śmierć nas może rozdzielić.

- Uważaj, córko - powiedział, próbując opanować furję. -Uważaj, bo gdy dowiem się, kto to był, zabiję go, nim słońce trzy razy zajdzie.

Henryk szybkim krokiem wyszedł z komnaty. Łada usiadła i zaczęła szlochać. Służki, widząc, że król opuścił komnatę ich pani, weszły i zobaczywszy ją w tym stanie, ruszyły ku niej. Powstrzymała je dumnym gestem dłoni. W miarę jak łzy płynęły z jej oczu, duma opadała. Opuściła rękę i pozwoliła się przytulić Przeclawie.

**Zamek Kollin,
siedziba rodu Kollieńskich,
29 pajęcznika roku 2089**

Iwetta była córką hrabiego Ulryka Kollieńskiego, jednego z ważniejszych baronów Starej Jonki. Była to dziewczyna tyleż piękna, co inteligentna. Od dziecka rywalizowała ze swym o dwa lata starszym bratem w jeździe konnej i podobnie jak brat bardzo chciała się uczyć. Szybko jednak przekonała się, że o ile jej brat zdobywał wiedzę z zakresu historii, arytmetyki, sztuki wojennej, jej wkładano do głowy co najwyżej zasady dworskiej etykiety. Nigdy nie przekonywało ją tłumaczenie solisów, którzy twierdzili, że tak już się przyjęło. Wszyscy uczeni uważali, że umysł dziewczynki nie jest tak chłonny, jak umysł chłopca, i nie można go nadwyręzać zbyt dużą dawką wiedzy. Odpowiadała nieustannie, iż owi uczeni sami przecież byli mężczyznami, więc skąd mogliby wiedzieć, jak działa kobiecy umysł. Zawsze kończyło się tym, że otrzymywała na polecenie ojca kilka razy różgą za impertynencję. W końcu Iwetta przestała się buntować i wyrosła na pannę, której nie powstydziliby się

żaden możliwy ojciec. Posłusznie przyjęła wiadomość o planowanym wydaniu ją za następcę księcia Trantu, Filipa del Pescare.

Nadszedł w końcu dzień wyjazdu. Iwetta po raz ostatni pożegnała znane jej kąty zamku w Kollinie położonego w zakolu szerokiej rzeki Twilii. Choć powozy czekały już na nią, po raz ostatni przespacerowała się po ogrodach, które dotąd były miejscem jej zabaw.

- Córko, już czas! - Ojciec ponaglił ją po raz kolejny.

Iwetta, ociągając się lekko, ruszyła w kierunku sieni, która prowadziła na zamkowy dziedziniec. Hrabia Kollński kontynuował tymczasem:

- Zobaczysz, moja piękna córko, w Trancie mają jeszcze śliczniejsze ogrody. Jest tam też cieplej. Nawet brzoskwinie i cytryny tam rosną. Sam widziałem! - starał się ją pocieszyć.

Zatrzymała się na moment.

- Tatku, czy ja muszę tam jechać? - zadawała to pytanie niemal codziennie od kilku miesięcy.

Ulryk Kollński ujął dłoń dziewczyny i poprowadził do kamiennej ławeczki, gdzie na chwilę usiedli.

- Tyle wieczorów już o tym rozmawialiśmy. - Uśmiechnął się pocziwie. - Masz już prawie siedemnaście lat, nie godzi się byś dłużej pozostawała panną.

- Dlaczego sama nie mogę o tym zdecydować? - Wykorzystując dobry humor ojca, postanowiła raz jeszcze wrócić do tematu. - Skoro jestem na tyle dojrzała, by wychodzić za męża, może powinnam sama wybrać męża i wyjść za tego, kogo będę miłowała.

Roześmiał się lekko.

- Miłowanie, ech, młodzięcze marzenia. - Ulryk pokręcił głową ubawiony. - Uwierz mi, córeńko, to byłoby wręcz dziwaczne tak od razu miłować. Wiesz, ile lat ja i twoja matka, oby bogowie karmili ją miodem, pracowaliśmy na swoją miłość? Z początku też się nie znaliśmy, a przecież pamiętasz, jacy potem byliśmy szczęśliwi - przekonywał.

Wspomnienie o matce, która kilka dobrych lat temu zmarła, wydając na świat jej młodszą siostrę, roztkliwiło ją. Przez chwilę milczała, myśląc

o niej. W końcu znów jej myśli powróciły do bieżących spraw.

- A jeśli ja i księżę Filip nie będziemy szczęśliwi? - spytała, wyrażając wprost swoje obawy.

- Jeśli oboje będziecie na to pracować, z pewnością bogowie wam wynagrodzą. - Poklepał jej dłoń. - Pani Karsa zawsze nagradza dobrych małżonków, zsyłając im miłość i dzieci.

Podniósł się i podał jej ramię, zachęcając, by ruszyła za nim. Czas już bowiem nagiął, aby ruszyli w podróż do Trantu.

Lensburg,

3 winnika roku 2089

Od powrotu z dworu królewskiego Wilhelm był markotny. Mniej przykładał się do ćwiczeń, co cieszyło Gotfryda, który dzięki temu miał częściej okazję okładać kuzyna mieczem. Wilhelm wciąż był myślami na owej polanie opodal Berleujścia albo podczas krótkiego pożegnania w stajniach zamkowych. Cały czas jego myśli krążyły wokół Łady, jej złotych włosów, delikatnych piersi, uśmiechu. W uszach brzmiał jej głos. Nawet złośliwości, które czasem mu prawiała, drwiąc bezlitośnie z braków w jego wiedzy, przyprawiały go teraz o uśmiech.

Nie pisali do siebie listów. Wspólnie doszli do wniosku, że przesyłanie wiadomości przez nawet najbardziej zaufanych gońców zbyt narażało na odkrycie ich sekretu. Umówili się, że poczekają na odpowiedni moment, gdy Łada poinformuje ojca i przekona go, by zgodził się na ich związek. Każdego dnia młodzieniec oczekiwał listu o takiej właśnie treści.

Niestety, adresowana do Wilhelma wiadomość, która tego dnia przybyła z Berleujścia, nie napawała optymizmem. Na dodatek pech chciał, że trafiła wraz z pozostałą korespondencją do rąk ojca chłopaka. Jerzy von Kolbie stał oparty o balustradę krużganków. Obserwował, jak jego synowie i bratanek ćwiczą w otoczeniu innych synów rycerskich. Z niepokojem wpatrywał się w swego pierworodnego.

- Wzywałś mnie, książę. - Usłyszał za sobą głos archisolisa Wilfrieda.

- To dziś rano przyszło z dworu. - Jerzy podał mu pergamin. - Nie zawiera pieczęci króla ani jego kancelarii i jest skierowane do mojego syna. Na dodatek treść wiadomości...

Archisolis przebiegł pismo oczyma i uniósł brwi, co świadczyło o zaskoczeniu.

Miły, król się dowiedział, jego gniew jest wielki. Musimy być ostrożni.

- Najwyraźniej Wilhelm dostał od kogoś z dworu list, który świadczy o zażyłości z jakąś panną.

- Mniejsza o pannę, ale dlaczego mój syn miałby narazić się na gniew Henryka? - dopytywał Jerzy.

- Tej odpowiedzi powinienes, książę, oczekiwać od Wilhelma - odparł kapłan.

Jerzy przywołał jednego z gwardzistów.

- Przyrowadź mi tego durnia - wskazał na starszego syna. - Niech natychmiast przyjdzie do mojej komnaty.

Wilhelm wszedł, kłaniając się na powitanie. Zastał ojca stojącego przy oknie. Z kolei archisolis siedział na krześle, poprawiając fałdy swojej granatowej sukni.

- Wytlumacz mi to. - Jerzy nie zaszczycił syna wzrokiem, wskazał tylko palcem na kawałek pergaminu leżący na stole.

Młodzieniec podszedł i wziął wiadomość do ręki. Przeczytał ją i aż pobladł.

- Kto jest autorem tego listu i przed czym cię ostrzega? - wypytywał Jerzy.

- To... prywatna sprawa - wybąkał tylko. - Nie dotyczy ciebie ani rodu.

- Trzy księżyce temu prosiłem króla, by mimo twego młodego wieku nadał ci kasztelanię. Nie dostałem odpowiedzi z jego kancelarii, a teraz

dowiaduję się, że nasz władca jest na ciebie tak wściekły, że powinieneś obawiać się jego gniewu. Nie mów więc do mnie, że ta sprawa nie dotyczy naszego rodu! – podniósł głos. – Jak śmiesz robić cokolwiek bez mojej wiedzy?!

Jerzy patrzył na syna wyczekująco.

– Ten list napisała Łada – oznajmił w końcu Wilhelm.

– Jej królewska wysokość, księżniczka Leda – poprawił go archisolis.

– To córka twego króla.

– Łada – powtórzył Wilhelm. – Moja żona...

Książę i kapłan wymienili spojrzenia, jakby podejrzewali, że młodzieniec oszalał.

– Co ty bredzisz, synu?! – huknął Jerzy.

– To musi być kłamstwo. Żaden solis nie dałby ślubu córce króla bez jego wiedzy i zgody – wtrącił Wilfried.

– Nie stanęliśmy przed solisem – odparł. – Połączyliśmy się przed dawnymi bóstwami Lirwelii podczas ceremonii ognia w noc przesilenia.

– Słodka Pani Luno... – Archisolis ze świstem wypuścił z płuc powietrze.

– Co to jest ceremonia ognia? – spytał Jerzy.

– Chłopcze, czy wiesz, coś uczynił? – szepnął kapłan. – Jak straszny grzech popełniłeś?

– Czy ktoś wreszcie powie mi, co to za ceremonia? – powtórzył swoje pytanie książę.

– Obrzydliwy pogański rytuał dzikusów z południowych krain – wycedził archisolis. – Plemiona, które określały się ludźmi tego samego słowa, to jest podobnego języka, a wśród nich Lirwelijczycy, mieli ongiś swoich bogów i podobnie ohydne obyczaje. Sądziłem jednak, że to już przeszłość. Fakt, że córka króla bierze udział w takich plugastwach...

– To nie są plugastwa! Nie mów o niej jak o dzikusce! – wykrzyknął Wilhelm.

– Te obrzędy miały magiczny charakter – powtórzył dobitnie archisolis. – Czy wiesz, jak dzisiaj karana jest magia?

Wilhelm spojrział na ojca, który stał, jakby grom go poraził.

- Wiesz? - ponowił pytanie kapłan.

Chłopak skinął głową.

- Źle postąpiłeś, synu, bardzo źle - wyszeptał w końcu Jerzy - naraziłeś ród na potworną hańbę. Wstyd mi za ciebie. Bardzo mnie zawiodłeś.

- Ojczy...

- Zamilcz, Wilhelmie - przerwał mu. - Pójdiesz teraz do swojej komnaty i nie wyjdiesz stamtąd, dopóki po ciebie nie poślę.

- Ojczy, proszę...

- Choć raz zrób bez gadania to, co ci kazałem! - krzyknął na niego. - I pozwól mi wymyślić sposób, który ocali twoje życie...

- Życie? - powtórzył zdziwiony.

- Zgodnie z prawem ojciec panny, która została zhańbiona, ma prawo zabić delikwenta, który dopuścił się tego występku - wtrącił Wilfried.

- A my nie mówimy o zwykłym ojcu, tylko o królu - dodał książę.

Wilhelm spuścił wzrok, skłonił się i wyszedł. Słowa ojca dźwięczały mu w uszach.

Zamek w Berleujściu, tego samego dnia

Podobnie jak Jerzy, król Henryk był strapiony. Łada zamknęła się w sobie i za nic nie chciała wyjawić ojcu imienia swego tak zwanego męża. Nie pomagały ani prośby, ani groźby. Król rozprawiał właśnie o tej sprawie z Filomenem oraz królewiczem Grzegorzem.

- Zgodzę się, to było głupie, ale cóż, jest młoda, zakochała się w nim... - Grzegorz starał się bronić siostry.

Henryk spojrzał na niego surowo.

- Nie mogę tego tolerować, synu. I tak zbyt długo folgowałem jej zachciankom - powiedział. - Racja stanu korony nie pozwala, by córki króla kierowały się porywami serca. Nie wiem, jak wytłumaczę się przed Edgarem i czy przekonam go, by nie zrywał naszego sojuszu. Na razie

zagram na czas, informując, że Łada jest chora i nie może wyruszyć przed zimą - mówił. - Mam nadzieję, że uda się ukryć całą sprawę przed dworem i baronami. Musimy jeszcze pomyśleć, co zrobić z Ładą. Niebawem jej stan zacznie być widoczny, więc jeśli chcemy utrzymać rzecz w tajemnicy, powinniśmy odesłać ją z dworu.

- Mógłbyś po prostu wydać ją za mąż - wszedł mu w słowo Grzegorz.
- Skoro tak bardzo chce z nim być...

Król zmierzył go chłodnym wzrokiem.

- Jest inny sposób. - Filomen poruszył się na krześle, wtrącając cichym głosem: - Czasem tak się postępuje w przypadku dziewcząt z wysokich rodów, które wpadły w podobne kłopoty. Królowna Łada może udać się do solaru, spędzi kilka miesięcy w odosobnieniu i odda się pokucie. Tam urodzi w dyskrecji.

Henryk pokiwał przez moment głową. Ukrycie całego skandalu miało dla niego duże znaczenie, gdyż pozwalało zachować nadzieję, że uda się zachować tajemnicę przed Alwerczykami i ocalić sojusz.

- Dobrze, niech tak się stanie - odezwał się w końcu, po czym gestem ręki dał znać, że rada skończona.

Filomen opuścił komnatę. Henryk podniósł dzban z winem i napełnił sobie puchar. Grzegorz stał nadal przed ojcem. Po chwili spytał:

- Dlaczego tak bardzo nie chcesz pozwolić, by Łada naprawdę wyszła za niego za mąż?

- Mam pozwolić córce poślubić jakiegoś hołysza? Nawet nie wiem, czy to któryś z tych rycerzyków przybłędów, którzy przybyli na turniej, czy wręcz jakiś... plebejusz - ledwo wycedził przez zęby.

- Zatem ty naprawdę nie wiesz, z kim Łada poszła w noc ognisk? - spytał Grzegorz zaskoczony.

- A ty wiesz? - odpowiedział pytaniem równie zdziwiony król.

- Nie złapałem ich za rękę, ale przypomnij sobie, ojcze, kto podczas turnieju wodził za moją siostrą oczyma tak, że nieomal spadł z konia podczas potyczki ze mną. Z kim to moja siostrunia wybierała się na konne przejażdżki lub chichotała podczas spaceru po krużgankach... - wyliczał.

- Dość! - Henryk spurpurowiał na twarzy. - Nie wolno ci tego powiedzieć absolutnie nikomu! - przykazał mu surowo.

Królewicz skinął tylko głową, a Henryk wypadł z komnaty jak poparzony.

- Filomenie! - krzyczał, sunąc przez krużganki, a gdy tylko przestraszony nieco solis podbiegł do niego, nakazał mu: - Poślij natychmiast umyślnego do Lensborka! Każ księciu Hazenii bezzwłocznie przybyć na dwór. Daję mu siedem dni od otrzymania wiadomości! Pojąłeś?!

- Jak każesz, mój królu. - Filomen ukłonił się i odszedł.

Wiśnicz,

6 winnika roku 2089

Mimo zabiegów dowódcy straży zamkowej mających na celu ograniczenie rozrzutności królowej, nie udało się osiągnąć sukcesu. Ofka najpierw wściekała się przez kilka dni, uprzykrzając życie Lucjusza awanturami. W końcu przyjęła inną metodę. Za radą Bogny przekupiła służebne dziewczęta, a nawet kilku gwardzistów, którzy odtąd pomagali wprowadzać kupców bocznymi wejściami.

Wieści o chorobliwej wręcz rozrzutności królowej szybko rozeszły się po okolicy. Od tej pory zjeżdżali do Wiśnicza kupcy z całej Lirwelii, słono każąc sobie płacić za sukna czy klejnoty, które kupowała bez opamiętania. Do zawyżonych cen należało jeszcze doliczyć łapówki dla dwórek i strażników, którzy przymykali oko na zakazy dowódcy straży. Raz na jakiś czas Lucjusz przyłapywał kogoś na szmuglowaniu luksusowych towarów do komnat królowej. Kończyło się to dla delikwenta wydaleniem ze służby. Niewiele to dawało, bo na jego miejsce natychmiast zjawiali się nowi beneficjenci królewskiej hojności i w efekcie proceder trwał w najlepsze.

Bogna wyprowadziła właśnie boczną bramą zamku dwóch kupców sukiennych. Pożegnała ich i starannie zamknęła za sobą stalowe drzwi,

gdy nagle, jak spod ziemi, wyrósł przed nią Lucjusz.

- Dobra pani Luno! - jęknęła dziewczyna. - Aleś mnie wystraszył, panie dowódcu.

- Kim byli ci ludzie? - spytał bez zbędnych wstępów.

- Jacy ludzie? - Udała zdziwienie. - Nikogo tu nie było, wysłałam na chwilę do miasteczka, królowa prosiła...

- Bogno, nie kłam, proszę - przerwał jej zmęczonym tonem. - Dobrze wiem, że to ty zawiadujesz całym interesem. To ty sprowadzasz do miłościwej pani kupców i bankierów. - Bogna uśmiechnęła się szeroko. Lucjusz poczuł lekką irytację, widząc jej rozbawienie. - Wiesz, że mogę wydalić cię za to ze służby i wygnać z zamku! - podniósł głos.

- Tylko spróbuj - odparowała. - Natychmiast zaleję się łzami i pobiegnę błagać jej wysokość o ratunek. Kto wie, co mogłabym jej jeszcze powiedzieć? Może że mnie uderzyłeś albo że chciałeś zniewolić? - Odnotowała zmieszanie na jego twarzy. Przybliżyła się do niego i położyła dłoń na jego piersi. - Kiedy odmówiłam przez wzgląd na przyzwoitość, ty tylko chwyciłeś mnie za nadgarstek - mówiąc, przesunęła dłonią po jego zarumienionej twarzy - i przyparłeś do muru...

- Wystarczy! - Dowódca odsunął się zmieszany. - Jak długo chcesz ciągnąć tę komedię? Wiesz, że królowa wyda wszystko do ostatniego miedziaka. I co wtedy? Będziemy głodować?

- Ja się tego nie obawiam. - Pokręciła głową, szczerząc w uśmiechu równe ząbki. - Odłożyłam trochę na czarną godzinę. Ty nie, dowódcu?

Lucjusz spojrział na nią z dezaprobatą, po czym wyciągnął rękę.

- Oddaj przynajmniej klucz do bramy - nakazał.

- Zdajesz sobie sprawę, mam nadzieję, że posiadam klucze do innych bram? - spytała przekornie.

Nie odpowiedział. Jego wyciągnięta dłoń nie pozostawiała jej wyboru. Wyjęła z rękawa klucz i podała mu.

- Dziękuję - mruknął.

Miał się już odwrócić, gdy jeszcze raz się odezwała:

- Dziwny z ciebie człowiek, Lucjuszu, mógłbyś też wiele skorzystać na łasce naszej pani.

- Jestem wierny swoim rozkazom - odparł zwięźle.

- Wierny jak pies. - Uśmiechnęła się ponownie. - Pamiętaj tylko, że rzadko który pan docenia swoje ogary. Prędzej doczekasz się kopniaka niż nagrody.

Trant,

7 winnika roku 2089

Miasto położone na morskim cyplu, u stóp zamku wzniesionego na wysokiej, wapiennej skale, zrobiło na Iwecie duże wrażenie. Gdy jechała stromym traktem wiodącym do zamkowej bramy, myślała tylko o tym, jaki będzie ten książę Filip, u którego boku miała kiedyś władać księstwem i miastem. Wysiadła na dziedzińcu i rozejrzała się wkoło. Delegacji powitalnej przewodniczył książę Laurenty del Pescare, jej przyszły teść. Nie był jeszcze stary, przynajmniej jego twarz sprawiała takie wrażenie. Mimo to szedł, ledwo szurając nogami i podpierając się laską. Słyszała, iż cierpiał na podagrę, ale nie wiedziała, że tak mu się ostatnio pogorszyło. Za nim pośpieszył ku niej wysoki, barczysty kawaler w kosztownych szatach. Zza pleców wyjął bukiet pięknych róż.

- Moja pani - uśmiechnął się, wręczając jej kwiaty. - Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że nareszcie do nas przyjechałaś.

Na jej policzkach pojawił się rumieniec. Spuściła na chwilę wzrok. Wszystkie słowa, które na tę okazję przygotowywała sobie przez całą podróż, nagle wyparowały. Uśmiechnęła się po prostu i wtedy on również się roześmiał. Podał jej ramię. U jego boku ruszyła przez zamek.

Pierwsze wrażenie, jakie wywarł na narzeczonej Filip del Pescare, było więcej niż korzystne. Obawy żywione przez hrabiankę Iwettę przed wyjazdem z domu opuściły ją. Kiedy dwa dni po przybyciu do Trantu stanęła wraz z narzeczonym przed archisolisem Porcjuszem, aby wypowiedzieć słowa małżeńskiej przysięgi, była przekonana, że ma za co dziękować pani Karsie opiekującej się małżeństwami. Utwierdziła się w tym, że ojciec miał rację, mówiąc, iż można pokochać z początku

całkiem sobie obcego mężczyznę. Dwórki ostrzegały, że noc poślubna może wiązać się z pewnym bólem, ale Filip był tak delikatny i czuły, że zupełnie nie rozumiała, o co mogło im chodzić. Rano, gdy się obudziła, czekały na nią świeże kwiaty i prezent w postaci wspaniałej broszy ze srebra w kształcie statku żaglowego, herbu rodu del Pescare. Zrozumiała wówczas, iż na dobre weszła do rodziny męża. Pierwsze dni małżeńskiego pożycia utwierdziły ją w przekonaniu, że szczęście przypadło jej w udziale.

Tego popołudnia nie mogła się wprost doczekać, aż znów zobaczy swego Filipa. Obrady rady książęcej trwały od wielu godzin i jej mąż się spóźniał. Zniecierpliwiona jego nieobecnością ruszyła ze swoich pokoi do części zamku, gdzie mieściły się komnaty oficjalne.

- Czy mój mąż, dostojny pan Filip, jest jeszcze u swego ojca? - spytała strażnika stojącego przed drzwiami komnaty rady książęcej.

- Pani, wybacz, ale dostojny pan Filip nie był dzisiaj u księcia - odparł nieco zaskoczony gwardzista.

- Musiałam zatem coś pomylić... - Zdziwiona odwróciła się i ruszyła z powrotem. Idąc kruzgankami, zauważyła że Filip w towarzystwie dwóch przybocznych wjechał właśnie konno na dziedziniec. Zeszła więc na dół i podeszła do niego w chwili, gdy przekazywał swojego konia służbie. Miał wypieki na policzkach, jego kubrak i koszula były porozpinane, a włosy miał w nieładzie.

- Iwetto, miła, co tutaj robisz? - zdziwił się na jej widok.

- Chyba to ja powinnam cię spytać, co robisz? - odparła pytaniem.

Przez jego twarz przebiegł nagle grymas. Powstrzymał się jednak i uśmiechnął.

- Musiałem pojechać do miasta w pewnych sprawach - rzucił tylko.

- I dlatego czuć od ciebie winem? - odnotowała.

Uśmiech znów znikł na moment z jego twarzy.

- Przywieziono z okolicy beczki z młodym winem - odparł spokojnie, choć chłodno. - Nie sądzisz chyba, że nie sprawdziłbym, co podamy naszym poddanym na festynie z tej okazji?

Zniecierpliwiony sposobem, w jaki go wypytywała, ruszył przed

siebie. Iwetta postanowiła póki co nie drążyć tematu.

Lensburg,

8 winnika roku 2089

List, który tego dnia przywiózł do siedziby rodu von Kolbiech królewski posłaniec, zaniepokoił Jerzego. Henryk z Lirwelii był druhem księcia Obojga Hazenii od wielu lat. Poznali się wkrótce po tym, jak lirwelijski rycerz przybył na dwór w Jonce. To było tamtego pamiętnego roku, gdy Robert Prawy wydawał starszą córkę Blanę za brata króla Gentu. Zorganizowano wówczas turniej, na który zjechali nobilowie i rycerze z całego królestwa. Henryk tak bardzo chciał zdobyć przyjaźń baronów. Jerzy polubił go niemal od razu, zaprosił do swojego obozu, przyjął do orszaku hazeńskiego, a nawet przedstawił kilku możnym, którzy potem ułatwili mu karierę.

Jak dziwnie potoczyło się życie, myślał dostojny książę von Kolbie. Henryk, który przed blisko już trzydziestu laty błagał protekcji, szlifując progi możniejszych od siebie, teraz wzywał go na dwór. Był wszak monarchą. Jerzy sam walnie przyczynił się do jego wyniesienia. I, na wszystkich Dwunastu, nigdy nie przypuszczał, że przyjdzie mu pożałować udzielanej przez lata pomocy.

Przemyślując wszystkie te minione sprawy, Jerzy przeszedł przez zamek w kierunku komnat syna. Wilhelm wstał, gdy jego ojciec wkroczył do izby. Chłopak był blady, lekki, młodzieńczy zarost rysował się na jego szczęce, ciemne włosy miał w nieładzie.

- Król wzywa mnie pilnie na dwór - oznajmił bez zbędnych wstępów Jerzy. - Nie przysłał nawet listu, jak zwykł to czynić, tylko wezwanie przez swoich podkanclerzych. - Rzucił na stół kawałek pergaminu z pieczęcią korony. - Nie wygląda to dobrze.

- Naprawdę sądzisz, że mnie ukarze? - spytał cicho młodzieniec.

- A sądzisz, że puści płazem to, że zhańbiłeś jego córkę?

- Nie zrobiłem tego! - upierał się Wilhelm. - My naprawdę się

pobraliśmy...

Jerzy podniósł rękę, nakazując mu zamilknąć.

- Nigdy więcej nie chcę słyszeć o tych zabobonach - rzekł surowym tonem. - Dość się nasłuchałem od Wilfrieda. Cały tydzień głądził mi o obrazie bogów. Wiesz, ile złota musiałem wyłożyć na ołtarz, by go udobruchać? - uśmiechnął się lekko.

Wilhelm znów spuścił wzrok.

- Przykro mi, naprawdę ją pokochałem...

- A mnie przykro, że muszę ci powiedzieć, że to nie ma najmniejszego znaczenia - odparł Jerzy. - To córka króla. Jest obiecana innemu władcy, a ty, chociaż pochodzisz z rodu o wiele starszego i zacniejszego niż ród jej ojca, musisz zrozumieć, że masz jej służyć, a nie uwodzić ją. Królowa ma obowiązki wobec korony. Taki jest zwyczaj.

- Ale przecież sam król Henryk pojął za żonę córkę króla Roberta Prawego...

- Właśnie - zauważył Jerzy. - I spłodził z nią następcę tronu, którego miejsce przy pierwszej okazji zajął, zagarniając koronę dla siebie - przypomniał. - Byłem przy tym i widziałem. Henryk doskonale wiedział, co czyni. Nie było w tym miłości. Po prostu wyczuł, jakie możliwości otwierały się przed nim wraz z tym małżeństwem. Nie zaryzykuje i nie pozwoli, by ktokolwiek w królestwie dostał podobną szansę. Nigdy nie odda ci ręki córki.

- Zabije mnie? - spytał Wilhelm, spoglądając ojcu w oczy.

- Przysięgam na Wielkiego Sola, Panią Lunę i ich Dwanaścioro Dzieci, że zrobię wszystko, aby tak się nie stało - zapewnił Jerzy.

- Niech bogowie cię prowadzą, ojczy - szepnął Wilhelm.

**Wolęcin,
stolica Wysp Kameńskich,
15 winnik roku 2089**

Wyspy Kameńskie leżały na Morzu Słonecznym, na południowy zachód

od wybrzeży jonkijskich. Położone były na ważnym szlaku handlowym. Składały się z kilku dużych wysp, wśród których prym wiodły przedzielone wąską cieśniną Seima i Himmira, a także położona na północ od nich Laużycja. Wolęcin, stołeczny gród z górującą cytadelą, w której rezydował król Ludwik z rodu Achuma, leżał na wyspie Seima, nad samą cieśniną. Po przeciwnej zaś stronie przesmyku położony był Reclaw, największy port handlowy i słynące w całym świecie miasto kupców i rzemieślników. W Reclawiu znajdowała się również najważniejsza świątynia poświęcona Turunalowi, kameńskiemu bogu mórz.

W świątyni odbywało się nabożeństwo żałobne. Król Ludwik i książę Laużycji, Emeryk, stali po przeciwnych stronach katafalku, od czasu do czasu puszczając sobie pełne nieufności spojrzenia ponad leżącym na marach ciałem kobiety. Nawet teraz, gdy śmierć wyostrzyła jej rysy, wyglądała szlachetnie. Wszyscy wiedzieli, że w jej żyłach płynęła Stara Krew. Królowa Ingeborga, zmarła żona Ludwika i siostra lorda Emeryka, była bowiem w jednej czwartej elfem. Jej zaślubiny z monarchą przed jedenastu laty pieczętowały sojusz tronu z ostatnim z wielkich rodów Wysp, który mógł szczyścić się takim pochodzeniem. Ten pakt był widomym znakiem polityki dworu w Wolęcinie: idei pojednania między ludźmi, a Starą Krwią, jak zwano elfów. Przez całe stulecie Wyspy Kameńskie były ostatnim bezpiecznym przyczółkiem starszej rasy. Jedyne królestwem, które choć w pewnym zakresie zapewniało im swobody, w przeciwieństwie do prześladowań, jakie czekały w państwach stałego lądu.

Wraz ze śmiercią Ingeborgi i widoczną wrogością narastającą między Ludwikiem a jego szwagrem wszystko znów zawisło na włosku. Wielu mieszkańców Starej Krwi, stojąc przed świątynią Turunala, zadawało sobie tego dnia pytanie: czy skończył się czas pokoju i bezpieczeństwa? Czy teraz także i tutaj nadejdą bezlitosne prześladowania, które spowodowały, że na kontynencie elfy były już tylko niezbyt chętnie powtarzaną legendą?

Gdy ucichły modły, ciało zmarłej królowej wyniesiono ze świątyni i w

ciszy odprowadzono do portu. Wniesiono je na statek, który miał wypłynąć na pełne morze i tam oddać zwłoki morskim głębinom, jak nakazywał kameński obyczaj. Dla elfów znaczący był sam fakt, iż panią Ingeborgę, która wyznawała za życia religię Starego Ludu, chowano według kameńskiego obrządku.

Ludwik stał na nabrzeżu, patrząc na statek opuszczający port. Jego oblicze było poważne. Obok niego stał, pochlipując lekko, dziesięcioletni chłopak, jedyny syn króla: Andreasz. Miał takie same jak matka jasne, złote włosy i pociągłą twarz o delikatnych rysach. Statek oddalał się powoli od brzegu i ludzie zaczynali się już rozchodzić. Ludwik powiódł wzrokiem po zebranych na nabrzeżu. Nie odezwał się ani słowem do stojącego tuż za nim Emeryka.

- Lotarze! - przywołał innego lorda, który natychmiast zbliżył się i pokłonił władcy. - Twoje statki nadal pływają do Trantu, mam rację?

- Tak, królu - potwierdził Lotar z Lemańca, zaskoczony nieco, że Ludwik zainteresował się tematem w tej właśnie chwili.

Ludwik był pragmatycznym monarchą i z każdej, najgorszej nawet sytuacji umiał wyciągnąć jakieś korzyści. Stojąc przy marach zmarłej żony, też już układał sobie w głowie, jak powinien dalej postąpić.

- Przyjdź do mnie jutro w porze wieczery - rzucił monarcha. - Będę miał dla ciebie zadanie.

- Cokolwiek rozkażesz, królu. - Lotar skłonił się głęboko.

Zanim pan na Lemańcu odszedł z nabrzeża, spojrzawszy na Emeryka, jakby chciał podkreślić swój tryumf. W duchu raz jeszcze podziękował Turunalowi za śmierć królowej, wierząc, iż jej zgon pozwoli zakończyć czas owej obrzydliwej tolerancji wobec rasy elfów.

Zamek w Berleujściu,

16 winnik roku 2089

- Nigdzie nie pojedę - powtórzyła jeszcze raz Łada. - Nie zmusicie mnie!

Siniec na jej twarzy zdążył zblednąć. Oczy też nie były już tak spuchnięte od płaczu.

- Księżniczko, to dla twojego dobra - wyjaśniał po raz kolejny Filomen. - Ufasz mi, wiesz, że nie zrobiłbym niczego dla twojej zguby - zapewniał.

- Dlaczego nie mogę być z moim mężem? - dopytywała.

- Bo on nie jest twoim mężem - odparł. - Zgodnie z prawem bogów mężem jest tylko ten, komu przysięgłabyś przed solisem.

Do komnaty wszedł Grzegorz.

- Zostaw nas samych - rozkazał.

- Panie, król polecił mi, abym... - Filomen próbował się zasłonić nakazem władcy.

- Jestem następcą tronu i mówię ci, abyś zostawił mnie sam na sam z moją siostrą - powtórzył, patrząc mu prosto w oczy.

Solis niechętnie się skłonił i powoli wyszedł. Grzegorz odczekał, aż zamknęły się za nim drzwi komnaty, po czym upewnił się, że słyszy jego kroki na kamiennej posadzce korytarza.

- Nie ufaj mu, to wąż - powiedział. - Nie wiem dlaczego tak bardzo chce się dowiedzieć o tobie i Wilhelmie, ale...

- A skąd ty o tym wiesz?! - pisnęła.

- Nie jestem ślepy, siostrzyczko. Widziałem, jak się do ciebie przymilał, a i ty nie byłaś mu niechętna mimo początkowych kpin - odparł. - Nie obawiaj się, chcę wam pomóc.

- Jak możesz pomóc? - spytała zasmucona. - Mnie wysyłają do solaru, gdzieś na północy, a jeśli ojciec się dowie, że to Wilhelm, to gotów jest go zabić...

- Nie robi tego - zapewnił. - Nie odważyłby się zerwać sojuszu z von Kolbiem w obawie przed reakcją Jacobsona i reszty. Zbeszta Jerzego i na tym sprawa się skończy, zobaczysz - pocieszał. - Zapewne po to po niego posłał.

- Posłał po Jerzego? - zdziwiła się nagle. - To znaczy, że ojciec wie?

- Tak, wie - potwierdził. - Sam mu powiedziałem.

Łada aż usiadła.

- Bogowie! Jak mogłeś?! - krzyknęła. - Czy wiesz, co uczyniłeś?!

- Być może uratowałem mu głowę - odparł spokojnie. - Jeśli ojciec nie kazał mu jej urznąć natychmiast po tym, jak się dowiedział, to znaczy że przeżyliśmy najgorsze. Wiesz, że jest popędliwy. Teraz miał kilka dni na przemyślenie sprawy. Zapewne zmusi Jerzego do jakichś ustępstw tak, aby wyciągnąć z tej całej afery swoją korzyść.

- Chciałabym w to wierzyć... - mruknęła posępnie. - Oboje wiemy, że ojciec nie wybacza łatwo. Ile to już, odkąd odesłał matkę? - przypomniała. - Ona także sprzeciwiła się jego woli. Nie wybaczył jej.

- Uderzyła w jego honor...

- Tak jak i ja.

Henryk siedział w swojej komnacie audiencyjnej, przeglądając dokumenty przygotowane przez kancelarię. Niektóre sygnował osobiście, inne przerzucał tylko na sąsiedni stos.

- Najjaśniejszy panie, przybył książę Hazenii - oznajmił strażnik.

- Niech wejdzie - powiedział głucho król.

Jerzy wszedł do komnaty i złożył głęboki ukłon. Milczał. Stał przed Henrykiem ze spuszczonego wzrokiem, oczekując huraganowej awantury.

- Co mi powiesz? - spytał sucho Henryk. - Jak usprawiedliwisz syna?

- Na to, co zrobili mój syn i twoja córka, nie ma usprawiedliwienia, mój królu. - Od razu zdecydował się zaznaczyć, że Wilhelm nie był jedynym winowajcą zamieszania.

Henryk przyjrzał mu się uważnie, chyba pojął aluzję.

- Powiedziałem ci kiedyś, że nie ma na tym świecie męża, któremu chętniej oddałbym córkę niż jednemu z twoich synów, książę. Z ciężkim sercem musiałem przysiąc jej rękę obcemu władcy. Tego wymagał interes korony. Dlatego w obliczu wszystkich Dwanaściorga Dzieci Wielkiego Sola i pani Luny przysiągłem ją następcy Edgara. A twój synalek ją uwiódł! - Henryk podniósł głos. - Wziął ją z mojego domu bez mojej zgody! Czy wiesz, że mam prawo go za to zabić?!

- Masz takie prawo, najjaśniejszy panie - odpowiedział spokojnie Jerzy. - Wierzę jednak, że mój król, któremu służyłem od samego

początku, a nawet wcześniej, gdy jeszcze nawet nie był królem, postąpi sprawiedliwie.

- Jeśli pragniesz mi przypomnieć, że to ty poparłeś mnie jako pierwszy, gdy starałem się o koronę, to wiedz, że o tym pamiętam. - Henryk uśmiechnął się pod nosem, odczytując jego intencje. - Tylko dlatego, że pamiętam, pchnąłem do ciebie posła z wezwaniem, a nie kata z toporem. Każdemu innemu, który tak by postąpił, bez wahania uciąłbym głowę i kazał wystawić ją nad główną bramą mego zamku.

W komnacie zapadła chwila ciszy. Jerzy poczuł w duchu powiew nadziei.

- Jednak to nie dług, który mam wobec ciebie, powstrzymuje mnie przed wydaniem nakazu egzekucji tego narwańca, twojego syna - odezwał się znowu król. - Sojusz między nami musi trwać. Tego wymaga interes korony - oznajmił, wlepiając wzrok w Jerzego.

- Jestem ci wierny, najjaśniejszy panie - zapewnił księżę Hazenii. - Głęboko wierzę, że nieporozumienie między naszymi dziećmi da się rozwiązać bez szkody dla naszej przyjaźni i dla interesów królestwa.

- Nie było żadnego nieporozumienia, zrozumiałeś? - przerwał mu władca. - Twój syn nigdy więcej nie zobaczy się z moją córką. Nie chcę go widzieć na swoim dworze. Pamiętam o twojej prośbie o kasztelanie dla niego. Znajdę dla niego coś na południu, byle wystarczająco daleko od dworu - dywagował król.

- Póki co wolałbym, aby Wilhelm został pod moją opieką - zaznaczył od razu Jerzy.

Henryk uśmiechnął się pod nosem.

- Widzę, że darzysz krewnych dużym zaufaniem - zauważył. - Ja na twoim miejscu wolałbym trzymać syna z daleka od nich.

Księżę Hazenii przyjrzał się uważnie Henrykowi. Nie był pewny, czy słowa króla były tylko stwierdzeniem faktu, czy też wyrażały ukryte pragnienia władcy.

- To już wszystko, co miałem ci do powiedzenia, mój drogi przyjacielu - oznajmił król, odprawiając go gestem ręki.

Jerzy von Kolbie ukłonił się i skierował do wyjścia. Wyszedł

korytarzem w kierunku krużganków.

Na dziedzińcu trwało zamieszanie. Księżniczka Łada wsiadała właśnie do powozu. Towarzyszyły jej dwie dwórki i skaczący wokół królowy solis. Jerzy musiał przyznać, że córka Henryka w istocie była piękną dziewczyną i można było dla niej stracić głowę.

- Księżniczko - skłonił się, gdy stanął przed nią.

- Dostojny panie - pozdrowiła go smutnym głosem.

Książę Jerzy zatrzymał się przy niej na chwilę i dodał po cichu:

- Nie smuć się, księżniczko. Nadzieja nie umarła. Król nie zamierza stracić mego syna.

Podniosła na niego oczy i dostrzegł w nich błysk radości.

- Pewnego dnia wszystko się ułoży, pani, bądź silna.

Łada skinęła przed nim głową i nieco raźniejszym krokiem ruszyła w kierunku czekającego na nią powozu.

Tilbork,

17 winnika roku 2089

Gotfryd zeskoczył z konia i podał wodze stajennemu, który wybiegł na powitanie panicza. Tilbork był niedużym zamkiem. Cecyl von Kolbie otrzymał go od starszego brata po śmierci ich ojca. Główną zaletą tego miejsca było to, że leżało zaledwie o pół dnia drogi od Lensburga.

- Wzywałeś mnie, ojcze. - Młodzieniec wszedł do jadalni, gdzie jego rodzic spożywał właśnie wieczerzę. - Ruszyłem natychmiast, gdy tylko twoja wiadomość dotarła do Lensburga. Coś się stało?

Cecyl był wysokim, krzepkim mężem o ciemnych, lekko przerzedzonych włosach. Zbliżał się do pięćdziesiątki. Był drugim z kolei synem Gotfryda I von Kolbie. Dlatego właśnie takie imię nadał pierworodnemu. Łypnął na chłopaka i wskazał mu miejsce przy stole. Gotfryd usiadł i natychmiast zabrał się do jedzenia.

- Myślałem, że zostanę w Lensburgu do powrotu stryja - odezwał się, nalewając sobie wina. - Chciałem dotrzymać towarzystwa Wilhelmowi,

bardzo się tym wszystkim trapi.

Cecyl odłożył nóż i chwycił w dłoń puchar. Łyknął nieco i dopiero przemówił:

- Właśnie dlatego cię wezwałem, synu. Od tej chwili nie wolno ci spędzać czasu z kuzynem.

- Ale ojcze, przecież Wilhelm jest mi bratem...

- I dla mnie był jak rodzony syn - przerwał mu Cecyl. - Wiele się po nim spodziewałem. Słowo daję, że myślałem o nim, jako o przyszłym księciu: dobrze robił mieczem, był gładki w słowie, gdyby jeszcze poznał trochę świata, otrząsał się na dworze. Cóż, może dorównałby memu dziadowi, Baldwinowi Szlachetnemu, oby bogowie karmili go miodem. - Cecyl zadumał na wspomnienie przodka. - Ale stało się, co się stało i nic już tego nie zmieni. Wilhelm nigdy nie będzie księciem Hazenii i lepiej byłoby dla całego naszego rodu, gdyby król oddał go katu. Obawiam się jednak, że tego się niestety nie doczekamy. Jerzy zrobi wszystko, by go uratować, nie bacząc na konsekwencje.

- Nie mówisz poważnie, ojcze...

- A jak ty sobie to wyobrażasz? - Cecyl utkwiał w nim chłodne spojrzenie. - Załóżmy, że Henryk wybaczy Wilhelmowi zamiast urządzić mu łeb albo wygnać z królestwa. I co potem? Pewnego dnia odejdzie Jerzy, odejdę ja. I co? Sądzisz, że król lub jego syn z radością odda Hazenię w lenno baronowi, który dopuścił się takiego czynu? Że będzie go podejmował na dworze? A nasi wasale? Desteinowie, de Vittmore'owie i cała reszta? Zegną kolano przed księciem, który splamił honor, pohańbił córkę króla i ponoć wyparł się wiary? - Gotfryd patrzył na ojca zdziwionym wzrokiem. Nie myślał o tego rodzaju konsekwencjach ani przez chwilę. Cecyl tymczasem kontynuował: - Jerzy może i ocali życie Wilhelma, ale cały nasz ród zapłaci za to wielką cenę. Niełaska króla, którą z pewnością ściągnął na nas twój kuzynek, może zniszczyć wszystko, na co pracowali nasi przodkowie od pokoleń.

Gotfryd siedział, patrząc na przemian na ojca i na swój pełny talerz. Nagle apetyt go opuścił. Znał swojego ojca na tyle, by wiedzieć, że nie lubił próżnego narzekania. Nagle Gotfryd poczuł dziwny ucisk w żołądku.

- Ojczy, wybacz mi to pytanie, ale co zamierzasz? - spytał cicho. Cecyl patrzył tylko na niego twardo i Gotfryd zrozumiał, że nie doczeka się odpowiedzi. Dodał jeszcze tylko: - Wybacz, nie powinienem pytać...

- Masz rację, nie powinienem - zgodził się ojciec.

Trant,

21 winnika roku 2089

Tym razem Filip del Pescare naprawdę siedział aż do wieczora w komnacie oficjalnej ojca, debatując z nim i archisolisem Porcjuszem o sprawach księstwa. Zdziwili się, gdy nagle strażnik im przeszkodził, anonsując dostojną panią Iwettę. Weszła i skinęła im głową. Laurenty i Porcjusz wymienili spojrzenia.

- Miła? - spytał zaskoczony Filip. - Coś się stało? Jesteś może niezdrowa?

- Nie, dlaczego... - odparła, nie rozumiejąc. - Chciałam tylko spytać, czy wszystko jest w porządku, długo cię nie było.

Laurenty uśmiechnął się dziwnie. Filip tymczasem odparł:

- Rozmawiamy o sprawach portu, to jeszcze trochę nam zajmie.

- Może mogłabym jakoś pomóc... - zaproponowała nagle

Porcjusz z trudem powstrzymał śmiech, zakrywając się kawałkiem pergaminu i udając kaszel.

- Droga synowo, wybacz, ale nie sądzę, że sprawy wysokości ceł na towary z Wysp Kameńskich albo skargi gildii kupców pandańskich mogłyby być dla ciebie zajmujące - powiedział protekcjonalnie Laurenty del Pescare.

- Czasem służyłam radą swemu ojcu - odparła Iwetta.

Laurenty westchnął, puszczając wymowne spojrzenie synowi. Filip wstał tylko i chwytając ją za ramię, wyprowadził z komnaty.

- Co z tobą, żono?! - warknął na nią, gdy już stali na korytarzu.

- Wybacz, sądziłam...

- Nie wiem, co sądziłaś, ale zapamiętaj sobie jedno: sprawy księstwa

nie należą do twoich, tylko do moich obowiązków! -powiedział twardo. -
Wróć do swoich komnat i czekaj, aż do ciebie przyjdę!

- Nie traktuj mnie, proszę, w ten sposób, miły - zaprotestowała. -
Jestem twoją żoną...

- Właśnie! Żoną! - podniósł głos. - Nie doradcą!

Filip odwrócił się i wrócił do komnaty. Iwetta zamrugła oczyma.
Odnotowała spojrzenie, jakim obdarzali ją pilnujący komnaty gwardziści.
Podniosła dumnie głowę i ruszyła przed siebie. Nie chciała, aby widzieli,
jak płacze.

**Wolęcin,
stolica Wysp Kameńskich,
22 winnika roku 2089**

Lotar z Lemańca z radością przyjął wezwanie do królewskiego stołu.
Jeszcze bardziej ucieszyła go nowina, którą usłyszał od monarchy.
Ludwik rozkazał mu wyprawić się z tajną misją na dwór króla Henryka
z Jonki. Poleciał też nikogo nie informować o powierzonym zadaniu, które,
jak sam powiedział, wymagało całkowitej dyskrecji. Lotar śpieszył się, jak
mógł. Raz, że król chciał jak najszybciej wcielić swój plan w życie, a dwa,
że trzeba było wypłynąć z portu, zanim pogoda się popsuje i nastanie
okres niedobry dla żeglugi.

Tak, jak rozkazał mu władca, Lotar nikomu nie powiedział o celu
swojej misji. Mimo tego szybko okazało się, że tajemnica rozniosła się po
zamku i dotarła do lorda Emeryka. Był wieczór i Lotar pakował do kufra
ostatnie rzeczy, które następnego poranka miał zabrać ze sobą w podróż,
gdy usłyszał pukanie do drzwi przydzielonej mu komnaty.

- Wejść! - krzyknął i ku swojemu zdziwieniu zobaczył szczupłą,
wysoką postać Emeryka. - Księżę. - Lotar skłonił głowę, choć okazywanie
szacunku temu półkrwi odmieńcowi napawało go wstrętem. - Czemu
zawdzięczam sobie twoją wizytę?

- Przychodzę do ciebie, Lotarze, bo doszły do mnie ciekawe nowiny -

zaczął wprost Emeryk. – Powiedz mi, przyjacielu, czy prawdą jest, że na dniach wypływasz do Jonki?

Lotar uśmiechnął się pod nosem.

– Mogę ci jedynie potwierdzić, że król nakazał mi wypłynąć z Reclawia w ważnej sprawie – odparł. – Niczego więcej ujawnić mi nie wolno.

– Zatem naprawdę Ludwik wysłał cię z misją na dwór Henryka Lirwelijczyka. – Emeryk westchnął. – Na Turunala! Ciało mojej siostry nie zdążyło jeszcze ostygnąć, a nasz król już roił sobie, skąd by tu nową żonkę wytrzasnąć!

– To tylko twoje domysły, książę...

– Nie bierz mnie za głupca, Lotarze – odparł Emeryk, patrząc mu prosto w oczy. – Lepiej od ciebie znam sprawy dworu. Znam Ludwika od czasu, gdyśmy byli dziećmi i wiem, co myśli, zanim sam to wypowie.

– Nawet jeśli król chce wziąć sobie nową żonę, to czemuż tak cię to martwi? – spytał w końcu Lotar.

– Bo wiem, jakie skutki przyniesie małżeństwo z księżniczką zza morza – odpowiedział Emeryk. – Wiem, dlaczego doradzacie mu sojusze z władcami na stałym lądzie. Wiem, że solą w oku jest dla was prawo o tolerancji. – Lotar skrzywił się bezwiednie na samą myśl. – Czy wiesz, co się stanie, jeśli zdołasz sprzedać królowi tę lirwelijską dziewczkę, a wraz z nią poparcie Henryka z Jonki? Wyspy spłyną krwią.

Lotar podszedł do niego bliżej i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– I dobrze – rzekł. – Najwyższy czas, aby utoczyć krwi odmieńców i oczyścić to królestwo z plugastwa.

Splunął księciu Emerykowi pod nogi. Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami.

– Płyn po naszą nową królową, Lotarze. Niech Turunala ześle ci pomyślne wiatry – odezwał się po chwili Emeryk. – Powiedz jednak tej dziewczynie, że jeśli tu przybędzie, gorzko będzie tego żałowała.

Emeryk wyszedł z komnaty. Lotar przez chwilę zastanawiał się, jak rozumieć ostatecznie zdanie księcia. Potem po prostu dokończył pakowanie.

Lensburg, 23 winnika roku 2089

Jerzy i Wilhelm spacerowali po kruzgankach. Powrót ojca i wiadomości przez niego przywiezione przyniosły młodzieńcowi pewną ulgę. Wszak król nie zamierzał najwyraźniej go zabić.

- Na razie zostaniesz w Lensburgu. Dopóki cała sprawa nie ucichnie, nie możesz opuszczać zamku - pouczył go ojciec. - Cecyl i reszta radzili mi, bym cię odesłał, ale sądzę, że przy mnie będziesz bezpieczniejszy.

- Skoro król obiecał, że mnie nie ukarze, to co jeszcze może mi grozić? - spytał Wilhelm, nie rozumiejąc do końca swojej sytuacji.

Jerzy westchnął tylko. Ciężko było mu powiedzieć synowi wprost, iż to nie gniew Henryka był teraz najbardziej niebezpieczny, ale intrygi, jakie mogli podjąć Cecyl i pozostali krewni chcący z całej afery wyciągnąć własne korzyści. Wilhelm na szczęście zmienił szybko temat.

- A Łada? - spytał. - Widziałeś się z nią, ojczu?

- Tak. - Skinął głową Jerzy. - Ode mnie usłyszała o decyzji króla w twojej sprawie. Nawet nie wiesz, jak jej oczy rozbłysły, gdym jej powiedział.

Wilhelm uśmiechnął się szeroko. Raptem wszystko inne przestało mieć dla niego znaczenie.

Krzysztof von Kolbie, młodszy syn Jerzego, bardzo różnił się od brata i kuzynów. O ile oni spędzali czas na ćwiczeniu się w walce, jeździe konnej lub polowaniu, o tyle Krzysztof coraz więcej przesiadywał w solarze. Jerzy zastanawiał się poważnie nad wysłaniem syna do kolegium w Jonce, gdzie mógłby zgłębiać tajniki religii, aby później zostać solisem. Pochodzenie z możnego rodu dawało mu spore szanse na osiągnięcie w przyszłości godności archisolisa. Wilfried początkowo popierał te plany. Odkąd wybuchła cała sprawa z Wilhelmem i obrazą honoru, jakiej dokonał, w myślach archisolisa pojawił się inny plan.

Krzysztof klęczał na kamiennej posadzce świątyni, od dłuższego

czasu zanosząc w myślach modlitwy do Wielkiego Sola i Dwunastu. Wilfried podszedł i stanął nad nim. Odchrząknął, wrywając chłopaka z zamyślenia.

- Och, czcigodny ojczy, wybaczy, nie zauważyłem cię. - Krzysztof wstał od razu, z szacunkiem pozdrawiając kapłana.

- To ja przepraszam, że przerwałem ci twoje medytacje - uśmiechnął się archisolis. - Chciałem z tobą porozmawiać. Słyszałeś już, jakie nowiny przywiózł twój ojczy z dworu?

- Tak. Słyszałem, że król nie straci Wilhelma - odparł cicho Krzysztof.

- Byłem ciekaw, co ty o tym sądzisz? - sondował go Wilfried.

- Mój brat postąpił bardzo źle, uwodząc córkę naszego króla - odparł chłopak. - Nawet jeśli jest piękna i nawet jeśli odwzajemniała jego uczucie. To, co uczynił, splamiło honor całego naszego rodu. Tak mówi stryj Cecyl - relacjonował chłopak. - Stryj powiedział też, że kiedyś Wilhelmowi będzie trudno objąć tytuł ojca. W końcu król w zasadzie wyjął go spod prawa.

- Twój stryj jest mądrym człowiekiem, Krzysztofie - zgodził się Wilfried. - Jest jednak coś, co pominął, a co jest nawet gorsze niż uwiedzenie córki króla, i co plami honor twego ojca i całego rodu o wiele bardziej - Krzysztof zmarszczył czoło, próbując odgadnąć myśli kapłana. - Twój brat brał udział w pogańskich obrzędach, czym obraził bogów i naraził twój ród na ich gniew.

- Nie myślałem o tym w ten sposób... - szepnął Krzysztof, trawiąc słowa Wilfrieda.

- Nawet jeśli Henryk przebaczy twemu bratu i wasz ojczy przekona Cecyla, że nie należy karać Wilhelma, to obawiam się, mój chłopczy, że nie wystarczy to, aby przebłagać bogów. - Pokręcił głową, udając strapienie. - Prawo bogów przewiduje tylko jedną karę za takie przewinienia.

- Zatem uważasz, że Wilhelm powinien oddać życie? - spytał Krzysztof. - Ale przecież on jest dziedzicem ojca.

Wilfried położył mu dłoń na ramieniu i uśmiechnął się przyjaźnie.

- Odkąd to wszystko się wydarzyło, każdy dzień rozpoczynam i kończę, dziękując Wielkiemu Solowi za to, że twój ojciec ma jeszcze jednego syna.

Krzysztof spojrział na niego zdziwiony. Nigdy, aż do tej chwili, nie postrzegał siebie jako potencjalnego dziedzica książęcego tronu w Lensburgu. Ta myśl wydała mu się jednak kusząca i niepokojąca. Archisolis Wilfried tymczasem przemyślał już korzyści płynące z takiego rozwiązania. Wiedział jedno: cokolwiek się wydarzy, nie należy posyłać Krzysztofa do kolegium w Jonce.

Wiśnicz,

25 winnika roku 2089

Tak, jak przewidywał Lucjusz, długi zamku w Wiśniczu rosły w zastraszającym tempie. Już w miesiącu żniw Ofka musiała wziąć pożyczkę pod zastaw przyznanych jej dochodów z dóbr w Lipnicy i Żurawnie. A kiedy po jesiennym zrównaniu dnia z nocą nie było z czego spłacić zobowiązań, wierzyciele zapukali do bram zamku w Wiśniczu.

- Pani, twój dług wobec mojej kompanii przekroczył już dwadzieścia tysięcy sztuk złota - oznajmił bankier, który tego dnia pojawił się w jadalni Ofki. Siedziała za stołem, obżerając się pasztetem z zająca. - Termin spłaty umówionej raty minął dwa księżyce temu.

- I cóż mnie do tego? - burknęła, popijając posiłek winem.

- Wybacz, pani, ale przybywam, by spytać, jak zamierzasz uregulować swoje długi? - spytał wprost.

- Skąd pomysł, że zamierzam? - odparła z rozbijającą szczerością.

- Pani, jeśli nie spłacisz raty, będę zmuszony zwrócić się do najjaśniejszego pana - zagroził bankier.

- Tylko tyle? - uśmiechnęła się, znów pociągając parę łyków wina. - Świetnie. Jedź więc do Berleujścia i zażądaj spłaty od króla Henryka.

Bankier uklonił się przed Ofką i opuścił jej jadalnię. Królowa odłożyła puchar na stół i westchnęła.

- Wybacz, najjaśniejsza pani, ale czy to rozsądne? - spytała po cichu dwórka Bogna stojąca za krzesłem Ofki. - Nie powinniśmy drażnić najjaśniejszego pana.

- Doprawdy? - zachnęła się Ofka. - Nie dyskutuj ze mną, tylko znajdź tego głupca Lucjusza i rzeknij mu, żeby napisał do swojego przemądrzałego brata.

Kwatery gwardzistów znajdowały się w starszej i bardziej zaniedbanej części zamku. Bogna rzadko zapuszczała się w te rejony. Pod wieczór zapukała do izby dowódcy.

- Wejść! - odpowiedział jej twardy głos Lucjusza.

Nacisnęła klamkę i weszła do środka. Dowódca siedział przy niewielkim stoliku. Do tej pory zawsze widywała go w kolczudze z mieczem przy boku. Bez uzbrojenia wyglądał mniej groźnie. Wstał na jej widok.

- Królowa przysłała mnie, by cię powiadomić, że trzeba znów napisać na dwór - oznajmiła. - Wierzyście grożą, że udadzą się bezpośrednio do najjaśniejszego pana.

Lucjusz roześmiał się i potrząsnął głową.

- Co cię tak bawi? - spytała zaskoczona.

- Kiedy mówiłem ci, że ta cała zabawa skończy się bankructwem, nazwałaś mnie psem - przypomniał.

Spuściła wzrok i Lucjuszowi zrobiło się głupio.

- Skoro już tu jesteś, usiądź, proszę. - Wskazał jedyne krzesło znajdujące się w izbie.

Przeszła powoli kilka kroków i niepewnie usiadła. Rozejrzała się wkoło. Prostota jego komnaty uderzała w porównaniu do bogatego wyposażenia otaczającego ją w królewskich apartamentach.

- Myślałam, że dowódca gwardii ma lepsze warunki niż zwykli żołnierze - odezwała się cichym głosem.

- Nie potrzebuję niczego więcej - odparł spokojnie. Bogna odnotowała, że jego twarz przeciął krótki, wątyły uśmiech. - Jestem zadowolony z tego, co mam dzięki łasce króla. Nawet jeśli kiedyś inaczej wyobrażałem sobie swoje życie.

- To trochę tak, jak ja... - wyszeptała bez namysłu. Z początku zawstydziała się tych słów. Jego wzrok zachęcił ją jednak, by mówiła dalej.
- Ja też kiedyś inaczej wyobrażałam sobie swoje życie. Nie sądziłam, że zostanę dwórką wygnanej królowej w zamku zapomnianym przez bogów i ludzi.

Lucjusz uśmiechnął się szerzej. Pokiwał głową. Zawsze widziała w nim tylko surowego dowódcę straży. Po raz pierwszy przemknęło jej przez myśl, że było w nim coś ujmującego. Podniosła się i, niewiele myśląc, wyciągnęła dłoń. Pogładziła jego twarz. Wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Przez chwilę odwzajemnił jej pieśczętę.

- Przepraszam - szepnęła, odsuwając się delikatnie, po czym szybkim krokiem opuściła jego izbę, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

Lensburg,

29 winnika roku 2089

Za oknem padał rzęsy deszcz. Książę siedział za biurkiem i zastanawiał się nad tym, co powinien zrobić. W ciągu kilku ostatnich dni udało mu się nawet uładzić nieco Cecyla, który dotąd najgłośniejszemu domagał się ukarania Wilhelma. W całą sprawę wplątał się jednak archisolis Wilfried. Siedział teraz przed Jerzym i powołując się na prawa boskie, sugerował coś, co księciu nie mieściło się nawet w głowie.

- Wybacz mi, mój książę, takie jest prawo - upierał się Wilfried. - Wszyscy ci to powiedzą. Nawet twoi bracia.

- Powiedz mi tak, bo ich podburzyłeś. - Jerzy wstał, głośno odsuwając krzesło. - Myślisz, że nie wiem, co kładziesz do głowy Krzysztofa?

- Wilhelm nie może pozostać bezkarny - orzekł archisolis, chcąc zakończyć dyskusję.

- To jest mój syn! - krzyknął Jerzy. - Mój pierworodny! Mam sam poderżnąć mu gardło?! Czego ode mnie żadasz, kapłanie?!

- Tylko tego, czego cały lud żąda od swojego suwerena - odparł cicho

Wilfried. – Sprawiedliwej decyzji. Książę, powiem to wprost: jeśli nadal będziesz chronił Wilhelma, stracisz tron.

– Jak śmiesz tak do mnie mówić? – Jerzy poważnie się wściekł. – Zapominasz, że nawet będąc sługą Dwunastu, jesteś tylko moim doradcą?

– Jestem przede wszystkim sługą prawdy, bo tej żądają bogowie – sprzeciwił mu się kapłan. – A prawda jest taka, że twój syn zasłużył na śmierć. Jeśli ty nie wymierzysz mu kary, zrobią to inni.

Jerzy spurpurowiał na twarzy. Groźba, którą usłyszał, była aż nadto czytelna. Z trudem powstrzymał się, aby nie sięgnąć po sztylet i nie rzucić się na archisolisa.

– Wyjdź stąd – wysyczał przez zęby. – Opuść moją komnatę w tej chwili. Jeśli usłyszę, że dalej jątrzysz przeciwko mnie i mojemu synowi, to przysięgam na Antresa, że to twoja głowa ozdobi bramę zamku!

Wilfried opuścił komnatę, nawet nie kłaniając się swemu księciu. Jerzy usiadł powtórnie za biurkiem i sapnął. Zatopił twarz w dłoniach. Nie umiał dokonać wyboru.

Gospoda przy trakcie opodal Sławna, 30 winnika roku 2089

Dafne zadomowiła się w karczmie. Regularnie polowała, przynosząc gospodarzowi drobną zwierzynę. Pomagała też przy sprzątanii i obsłudze gości. Tak odpłacała się za wikt i kąt do spania. Jesień nadeszła już w pełni i noce stawały się chłodne. Dach nad głową był więc tym cenniejszy. Karczmarz odnosił się do niej przyjaźnie. Nie przeszkadzało mu, że była Lirwelijką, nie wypytywał też o przeszłość.

Jego żona nie miała w sobie tyle sympatii w stosunku do obcej. Dafne przemknęło przez głowę, że może po prostu czuła zazdrość o młodszą kobietę, choć przecież ona nigdy nie okazała gospodarzowi żadnej zachęty ani też w jego zachowaniu nie znalazło się nic niestosownego. Mimo to między panią domu a dziewczyną istniało wyczuwalne napięcie.

Dafne zaprzyjaźniła się natomiast z ich córką, kilkuletnią dziewczynką o imieniu Rigel. Mała była żywym dzieckiem, wszędzie było jej pełno. Dafne w jakiś dziwny sposób zdobyła zaufanie i posłuch u dziewczynki, co nie przysporzyło jej wdzięczności gospodyni.

Nieszczęście nagle spadło na rodzinę gospodarza. Pewnego popołudnia Rigel, jak to miewała w zwyczaju, pobiegła bawić się przed karczmą. Z lubością przyglądała się gościom, ich koniom i wozom. Nagle jej krzyk wypełnił całą karczmę. Rodzice wraz z wieloma gośćmi wybiegli przed gospodę zobaczyć, co się stało. Rigel leżała na ziemi bez ducha.

- Wybaczcie, dobrzy ludzie! - Jakiś woźnica stał nad dziewczynką. - Wybiegła zza węgła. Zanim ją zobaczyłem, już była pod wozem...

Matka Rigel wpadła w histerię. Ojciec był przytomniejszy, nakazał służebnemu chłopcu posłać do miasta po doktora. Dafne tylko raz dotknęła dziewczynki, by wiedzieć, jak mało miała czasu.

- Doktor nie zdąży - oznajmiła głośno. - Rigel nie dożyje do rana.

- Odejdź od mojej córki, przybłędo! - ofuknęła ją gospodyni. - Nie chcę cię przy niej widzieć.

Matka siedziała przy córeczce do późnego wieczora. Stan Rigel pogarszał się z godziny na godzinę. Kiedy gospodyni zasnęła na krześle, Dafne wślizgnęła się do izby i obejrzała dziecko. Potem wróciła po swoją torbę i sięgnęła po zioła, które zawsze miała przy sobie. Roztarła je w moździerz i sporządziła napar. Wróciwszy do izdebki, raz jeszcze dokładnie obejrzała posiniaczony bok dziecka. Palcami wymacała pęknięte żebra.

- Zioła tu nie wystarczą - szepnęła do siebie.

Zerknęła na pogrążoną w głębokim śnie żonę karczmarza, po czym podeszła do ognia. Zdawała sobie sprawę z ryzyka, ale nie mogła zostawić dziewczynki bez pomocy. Dafne, szepcząc pod nosem inkantacje w dialekcie Starej Lirwelii, zbliżyła rękę do ognia. W myślach chwaliła jego moc, dziękowała dawnym bóstwom za jego dar. Potem zanurzyła dłoń w palenisku, pozwalając płomieniom liznąć skóry. Odwróciła się i podeszła z powrotem do łóżeczka Rigel. Rozgrzaną dłonią dotknęła jej sonej skóry, ponownie szepcząc coś w dawnym języku. Charczący oddech

Rigel uspokoił się i Dafne uśmiechnęła się do siebie.

- Nic ci nie będzie, dziecko - szepnęła.

Gospodyni poruszyła się na krześle i chrząknęła.

- Co ty robisz, przecież kazałam ci się trzymać z daleka! - zganiła ją, gdy tylko otworzyła oczy.

- Chciałam tylko dorzucić do ognia, aby nie zagaśł - odparła Dafne, po czym po cichu opuściła izbę.

Uczony doktor ze Sławna przybył dopiero wczesnym popołudniem następnego dnia. Obejrzał dziewczynkę, pocmokał nad jej stanem i pokręcił swoją mądrą głową.

- Mała powinna leżeć - zalecił. - A my możemy tylko czekać. Jeśli Panna Virgis okaże jej łaskę, wróci do zdrowia. Jeśli nie... Cóż, wszystko w rękach Dwunastu!

Stojąca z tyłu izby Dafne rzuciła mu pełne pogardy spojrzenie. Doktor wziął za swoją pracę srebrną monetę, a na dokładkę zjadł na koszt karczmarza obfity obiad. Przenocowawszy, wsiadł na konia i ruszył z powrotem do Sławna.

Przez kilka kolejnych wieczorów Dafne zaglądała do Rigel, korzystając z drzemki gospodyni albo z krótkich chwil, gdy ta opuszczała izbę. Za każdym razem powtarzała rytuał życiodajnego ognia mający przywrócić rannej siły.

Również tego wieczora Dafne położyła nagrzaną mocą ognia dłoń na ranach Rigel, szepcząc swoje zaklęcia. Jasne smugi rozchodziły się spod jej palców po skórze dziewczynki. Dafne niemal już skończyła i odetchnęła głęboko, widząc, jak napięta twarz dziecka się uspokajała.

- Wiedziałam! - Nagły krzyk gospodyni poderwał Dafne na równe nogi. - To czarownica! Mężu! Mężu, prędko! Łapać wiedźmę! - wydzierała się najgłośniej, jak mogła. Karczmarz wpadł do izby zwabiony jej wrzaskiem. - To czarownica, wiedziałam. Odprawiała swoje gusła nad Rigel, chciała odebrać jej życie i wyssać duszę! Łapmy ją, trzeba oddać ją solisom!

Karczmarz uważnie przyglądał się Dafne, która stała spokojnie. Był już chyba gotów ulec histerycznym żądaniom żony, gdy nagle mała Rigel

poruszyła się na łóżku i otworzyła oczy. Gospodarz przepchnął tylko Dafne i podbiegł do córeczki. Jej matka również zajęła się dzieckiem, które nagle odzyskało przytomność.

Dafne uśmiechnęła się jeszcze pod nosem, po czym chwyciła swoją torbę z ziołami i zbiegła po schodach do karczemnej izby. Złapała wiszący przy wejściu płaszcz i otworzyła drzwi. Ruszyła w ciemność nocy. Gonila co sił w nogach, byle tylko dopaść czarnej ściany lasu. Dopiero gdy wpadła między drzewa, poczuła się bezpiecznie.

Trant,

31 winnika roku 2089

Od momentu pierwszej kłótni małżeńskiej, Iwetta i Filip nie spędzali ze sobą zbyt wiele czasu. Owszem, przyszedł do niej następnego wieczoru z naręczem kwiatów i kolejnymi klejnotami, które podarował w ramach przeprosin. Oczywiście przyjęła go i spędzili bardzo miły wieczór. Mimo to coraz mocniej odczuwała, że jego gładkie słowa są tylko maską, za którą nie kryją się jakiegokolwiek uczucia. Przez kilka kolejnych dni nie widziała męża w ogóle. Podobno wyjechał z jakąś sprawą do kasztelanii w Salentyń. Gdy tego popołudnia usłyszała, że wrócił, spodziewała się, że odwiedzi ją wieczorem. Jednak gdy Wielki Sol zjechał już z nieboskłonu swoim ognistym rydwanem, a kolejne godziny wieczora mijały, jej nadzieja zaczęła przygasać. Siedziała ubrana w piękną suknię w błękitnej barwie jego rodu, wpatrując się w płonący na kominku ogień. W końcu wstała i nie tłumacząc nic dwórkom, wyszła ze swoich komnat.

- Gdzie dostojny pan Filip? - spytała gwardzistów pilnujących komnat oficjalnych. - Jest tutaj?

- Nie, pani - usłyszała tylko w odpowiedzi.

- Zatem gdzie jest? - dociekała.

Strażnicy nic więcej nie powiedzieli. Obeszła krużganki i wróciła do swojej komnaty. Nakazała dwórkom pomóc w wieczornej toalecie. Było już bardzo późno i Iwetta kładła się spać, gdy w końcu Filip pojawił się u

niej. Znów miał potargane włosy, a jego ubranie świadczyło dobitnie o tym, że zakładał je w pośpiechu.

- Słyszałem, że mnie szukałaś, żono? - spytał z dziwnym uśmiechem.

- Miałam nadzieję, że do mnie zajrzysz po powrocie z Salenty, ale, jak widzę, wolałaś iść na dziewczki, mój panie - odparła.

Filip spojrzał na nią ostrym wzrokiem. Podszedł blisko i ujął jej podbródek dłonią. Przez chwilę przestraszyła się, że ją uderzy.

- To, gdzie wychodzę i co robię, nie jest twoim zmartwieniem - oświadczył lodowatym tonem. - Zrozumiałaś, miła?

Puścił ją i wyszedł z komnaty. Przymknęła oczy, starając się zatamować łzy ciskające się do oczu.

Lasy opodal Wysokiej Hazeńskiej, 4 listopada roku 2089

Jechali przez las w towarzystwie zaledwie pięciu służących. Prawie nie rozmawiali. Choć oficjalnie udali się na polowanie, to żadnemu z nich: ani ojcu, ani synowi, nie było w głowie tropić zwierzyny. W myślach Jerzego wciąż krążyły otrzymywane niemal codziennie raporty dotyczące kolejnych posunięć Wilfrieda. Kapłan zaczął jawnie rozgłaszać, że to Krzysztof powinien być dziedzicem książęcego tytułu.

- Krzysztof... - Jerzy westchnął, po czym spojrzał na jadącego obok starszego syna. - Szkoda, że twój brat nie stanął po naszej stronie, tylko wolał dać się wciągnąć w intrygi archisolisa.

- Mój brat nie rozmawia ze mną, odkąd wróciłeś z dworu - odparł smutno Wilhelm. - Tak samo Gotfryd ani Maksymilian. Ani stryj Cecyl. Nikt ze mną nie rozmawia.

- Synu, musisz zrozumieć, minie trochę czasu, nim...

- Rozumiem, ojczy - przerwał. - Oni mają rację. Popełniłem wielką zbrodnię i nawet nie mam prawa, by prosić o wybaczenie, zwłaszcza że...
- zamilkł, ale wzrok ojca zachęcił go, by mówił dalej: - ja nie żałuję tego, co się stało. Gdybym miał zrobić to powtórnie, ani chwili bym się nie

wahał. Kocham ją.

Jerzy zasepił się jeszcze bardziej. Zbliżyli się właśnie do niewielkiej polany, na której stał szałas wykorzystywany przez myśliwych.

- Wiem, że nie to chciałeś usłyszeć, ojcze, przykro mi - odezwał się Wilhelm, gdy już mieli zsiąść z koni.

Księżę chciał coś odpowiedzieć, ale zanim zdołał otworzyć usta, nagle usłyszeli świst i po chwili jeden z towarzyszących im zbrojnych spadł z siodła ugodzony strzałą w szyję. Kolejna strzała trafiła księcia Jerzego w pierś poniżej obojczyka. Wilhelm przywarł do końskiego grzbietu i chyba tylko to uratowało mu życie. Nie zdążył sprawdzić, co z ojcem, bo zza drzew wyłoniła się grupa około dziesięciu jeźdźców z obnażonymi mieczami. Jerzy krzyknął na Wilhelma, każąc mu uciekać, ale chłopak wyjął swój miecz i podjechał do rannego. Zbili się w ciasną grupę, gotując się do odparcia ataku. Jerzy chwycił włócznię i cisnął w jednego ze zbliżających się napastników, zwalając go z konia. Po chwili dopadli ich pozostali. Wilhelm z trudem sparował pierwsze uderzenie. Miał świadomość, iż tym razem stawką naprawdę było jego życie. Przed nim wyrosło nagle dwóch przeciwników. Tego z prawej ciął potężnym uderzeniem miecza. Tego z lewej, nim zdążył on doskoczyć do Wilhelma, staranował koniem jeden z przybocznych ojca. Na miejsce zabitego natychmiast pojawił się przed nimi kolejny. Zamachnął się potężnie trzymanym w dłoniach mieczem, ale ciął tylko powietrze, bo Wilhelm skulił się i przywarł do końskiego karku. Zobaczywszy, że wróg znów podniósł swoje ostrze, gotując się do uderzenia, chłopak odczekał, choć zdawało mu się, że ta sekunda trwa w nieskończoność. W chwili, gdy uzbrojone ręce napastnika uniosły się wysoko, Wilhelm wbił miecz pod jego odsłoniętą nagle pachę. Broń wysunęła się z jego dłoni i ciężko upadła na ziemię. Wtedy Wilhelm poczuł mocne szarpnięcie i zdał sobie sprawę, że ktoś chwycił go za łydkę, próbując zrzucić z konia. Wyszarpnął nogę i, zginając się ponad grzbietem zwierzęcia, pchnął zbója ostrzem miecza w ramię.

- Litości, panie! - jęknął tamten.

Zanim sens jego słów dotarł do Wilhelma, chłopak zamachnął się

kolejny raz i uderzył go w głowę, pozbawiając życia.

W końcu szczęk żelaza ustał i w lesie znów zrobiło się cicho. Tylko zawodzenie jednego z rannych przerywało tę ciszę. Wilhelm zeskoczył z konia i podbiegł do ojca, który chwiał się w siodle. Jerzy z trudem zsiadł ze swojego wierzchowca. Krwawił w miejscu, z którego wystawała strzała i ciężko oddychał. Powoli, z mieczem w ręku, podszedł do jednego z rannych napastników. Mężczyzna jęczał, leżąc na ziemi.

- Łaski, książę... - wyszeptał.

- Kto was nasłał? - spytał tylko Jerzy, nachylając się nad nim. - Mój brat?

- Nie, panie - Bandyta ledwo składał słowa. - To był Wilfried i ...

- I kto jeszcze?

- Książę Krzysztof.

Jerzy spojrzał na niego jak rażony gromem. Wilhelm odwrócił tylko głowę. Dotarło do niego, że brat polecił go zabić.

- Zlituj się, książę... - jęknął znowu ranny.

Von Kolbie chwycił za miecz, wbijając ostrze w gardło leżącego napastnika. Rozejrzał się wokół. Tylko dwóch jego przybocznych stało na nogach, z czego jeden krwawił z rany w boku. Jerzy podjął błyskawiczną decyzję. Podszedł do syna i oznajmił:

- Musisz stąd wyjechać. Tylko tak uratujesz życie. Jeśli naprawdę przeklęty Wilfried zatruł umysł twemu bratu, to nie zdołam cię dłużej ochronić - przekonywał. - Nie jedź na południe, w królestwie Henryka też nie będziesz bezpieczny. Wyjedź daleko, najlepiej na wschód. Kupcy wożący towary nad Smocze Morze zawsze potrzebują ochrony. Poznasz inne kraje, zapomnisz, może zdobędziesz sławę. A przede wszystkim zachowasz życie, synu.

Wilhelm patrzył na ojca z zaskoczeniem malującym się na twarzy. Miał świadomość tego, co się wokół niego działo. Zaczynał rozumieć, że to naprawdę jedyne wyjście.

- Zabierz tyle rzeczy, ile uda ci się tutaj zebrać: broń, prowiant, monety.

Wilhelm stał przez chwilę nieruchomo. Jerzy doskoczył do niego

i chwyciwszy za ramiona, potrząsnął nim.

- Nie rozumiesz, synu? Oni przyślą kolejnych łotrów i nie spoczną, póki nie uwierzą, że jesteś martwy!

Chłopak pokiwał głową. Z pomocą jednego ze sług zebrał trochę potrzebnych rzeczy, pakując je do juków przy koniu, którego miał ze sobą wziąć jako luzaka. Potem Jerzy przyniósł mu jakieś futro i skórzany kubrak, nakazując się przebrać. Wilhelm nie do końca rozumiał, dlaczego ma zostawić własne ubrania, ale wykonał polecenie ojca. Podał mu swoje okrycie. Jerzy odpiął broszę z lampartem, symbolem ich rodu i oddał ją z powrotem Wilhelmowi.

- Zachowaj ją - polecił mu. - Nadal i na zawsze jesteś moim synem. Jesteś księciem von Kolbie, choć być może przez długi czas nie będziesz mógł posługiwać się tym nazwiskiem.

- A co z tobą, ojczy? - spytał po chwili Wilhelm. - Jesteś ranny.

- Nic mi nie będzie - odparł tylko Jerzy. - Ważne, żebyś ty był bezpieczny.

Uścisnęli się mocno.

- Jeśli będziesz mógł, przekaż księżniczce Ładzie, że nigdy nie wyrzeknę się miłości do niej, tak jak jej przysiągłem - poprosił jeszcze Wilhelm. - I nie myśl o mnie źle.

- Przyrzekam - uśmiechnął się ojciec. - A ty obiecaj, że wrócisz dopiero, gdy będziesz pewny, że jest bezpiecznie. I że wrócisz żywy.

- Przyrzekam.

Wilhelm wskoczył na konia i samotnie przez las ruszył przed siebie.

Gdy już Wilhelm odjechał, Jerzy poczuł, że słabnie. Rana zadana przez strzałę dawała o sobie znać. Czuł, że jego oddech staje się coraz płytszy. Nasilający się ból w klatce piersiowej sugerował, iż może mieć zgruchotane żebro. Słudzy chcieli go opatrzyć, ale powstrzymał ich. Nakazał tylko wnieść ciała swoich ludzi do stojącego na polanie szałas i rozpalić ogień w palenisku. W międzyczasie obszedł jeszcze raz pobojuwisko. Wskazał na jednego z napastników, młodego chłopaka mniej więcej wzrostu i postury Wilhelma. Słudzy zaczęli chyba domyślać

się, co planuje dostojny pan Jerzy, gdy polecił im ubrać trupowi skórzany kaftan i futro, które zostawił Wilhelm. Jerzy stał nad nimi, gdy wykonywali rozkaz. Oddychał ciężko, czując krew w ustach. Siły opuszczały go coraz szybciej. Kazał przybocznemu podać sobie bukłak z miodem. Chłopak wyszedł więc na chwilę z szałas, by przynieść księciu napitek. Wówczas Jerzy wyjął z pasa swój sztylet i bez słowa wbił w kark temu z przybocznych, który był z nim w chacie. Mężczyzna zacharczał i zwał się na polepę. Gdy wrócił drugi służący, oniemiał, widząc księcia von Kolbie stojącego z zakrwawionym nożem nad trupem swojego człowieka.

- Co tu zaszło, panie? - spytał niepewnie.

- Wybacz, ale jeśli oni mają w to uwierzyć, to nie mogę zostawić żadnych świadków.

Jerzy gwałtownym ruchem sięgnął po swój miecz i jednym ciosem powalił zaskoczonego sługę. Ten wysiłek wiele go kosztował. Wsparł się na moment na swoim mieczu i jęknął głośno. Ból stawał się coraz silniejszy. Wiedział, że ma już niewiele czasu. Schylił się i wyjął bukłak z miodem z ręki martwego służącego. Pociągnął spory łyk, po czym resztą oblał trupy, ławę i tobołki. Zanim wyszedł na zewnątrz, z płonącego w palenisku ognia odpalił żagiew i cisnął ją na polepę. Płomień buchnął szybko, zajmując wszystko, co tylko stało mu na drodze. Stojąc przed szałasem, książę Obojga Hazenii dłuższą chwilę obserwował piekło, które sam stworzył. Znów poczuł ostry, pulsujący ból pod żebrami. Ponownie chwycił swój sztylet, odwrócił ostrzem do siebie i zanurzył we własnej piersi, aż po samą rękkojeść.

Berleujście,

13 listopada roku 2089

Z szybkością gromu wieść o potwornej śmierci księcia Hazenii i jego syna obiegła królestwo. Jedni twierdzili, iż to słudzy zabili swoich panów na zlecenie któregoś z licznych członków zhańbionego rodu. Inni

zapewniali, że był to napad na zlecenie króla. Tego poranka wieść dotarła do rąk następcy tronu. Grzegorz wypadł jak poparzony ze skryptorium i roztrącając sługi, parł przez krużganki. Jednym pchnięciem ramion rozwarł szerokie dębowe drzwi komnaty ojca i wpadł do środka. Henryk siedział na fotelu pod oknem, podczas gdy balwierz właśnie przystrzygał królewską brodę.

- A cóż to ma znaczyć, synu?! - Zdumiony monarcha spojrział na Grzegorza.

- To ja przyszedłem spytać, co to ma znaczyć?! - Wskazał na trzymany w ręku pergamin.

- Jak śmiesz wpadać tutaj bez zapowiedzi i przepytować swego króla?!

Henryk wstał tak gwałtownie, że przewrócił zarówno fotel, jak i stolik z przyborami balwierza. Przestraszony człowiek, kłaniając się władcy i następcy tronu, pośpiesznie opuścił komnatę.

- Wybacz, ojcze. Tego, co chcę powiedzieć, nie umiem ubrać w zgrabne słówka - zaczął Grzegorz. - Spytam więc całkiem bez ogródek: czy kazałeś zamordować Jerzego von Kolbie i jego syna?

- Co takiego?! - huknął Henryk.

Podbiegł do syna i wyrwał list z jego ręki. Przebiegł wzrokiem tekst wiadomości.

- Miłosierna Luno, chroń nas przed gniewem Wielkiego Sola - szepnął.

Poblady Henryk stał przez moment, trawiąc przeczytaną właśnie informację. Po chwili odzyskał rezon.

- Naprawdę podejrzewasz, że zleciłbym coś tak ohydneho?! - krzyknął. - Ośmielasz się mnie o to pytać?!

- Tak, mój królu, ośmielam się ciebie pytać: czy kazałeś ich zgładzić w ten sposób? - Grzegorz patrzył wprost w czerwoną ze złości twarz ojca. - I bardzo się boję, że już znam odpowiedź.

- Nie masz prawa tak do mnie mówić! Nie masz prawa niczego oceniać! - pieklił się król. - Na wszystkich bogów! - ryczał. - Wraz z tą diabelską koroną mam na głowie całe królestwo, kilka milionów

poddanych, dziesiątki lordów, baronów i archisolisów, którzy tylko patrzą, by wydrzeć mi władzę! Tylko czekają, aż odwrócę wzrok, by wciąż drwić ze mnie i kwestionować moje prawo do tronu! Oni wszyscy czekają na chwilę mojej słabości! A twoja siostra i ten chłopak zmusili mnie, bym okazał słabość! Wiesz, co to znaczy?! – krzyczał. – Nie masz o tym pojęcia, więc dopóki sam nie zasiądziesz na tym diabelskim tronie, nie waż się mnie oceniać!

– Zatem zrobiłeś to... – szepnął Grzegorz.

– Nie, nie zrobiłem! – wykrzyczał w końcu. – Może czyni mnie to słabym, ale nie potrafiłbym w tak podstępny sposób zabić własnego przyjaciela.

Henryk odwrócił się i podszedł do okna. Grzegorz uklonił się tylko i ruszył do wyjścia. W drzwiach dodał jeszcze.

– Jadę do Czerwieńska – oznajmił. – Nie próbuj mnie powstrzymać, ojciec. Ktoś powinien być przy Ładzie, kiedy ta wiadomość do niej dotrze.

Czerwieńsk, tego samego dnia

Początkowo Łada wątpiła, czy zdoła się zaaklimatyzować w posępnym sanktuarium wzniesionym ponad brodem na rzece, ale już po tygodniu miała pełne ręce roboty. Matka przełożona i inne mniszki traktowały ją z początku nieufnie, jak jedną z rozkapryszonych pańienek z wysokich rodów, które wpadały w podobne kłopoty i dla pokuty lub ratowania honoru domu trafiały do takich miejsc. Szybko królewska córka okazała się zupełnie inna. Nie życzyła sobie lepszej stawy ani nie stroiła się w kosztowne szaty. Przywiezione precjoza oddała na kuchnię dla biednych, gdy tylko odkryła, że mniszki wspomagają w ten sposób potrzebujących. Matka przełożona, solissa Virginia, w jakiś sposób polubiła księżniczkę, choć za nic w świecie nie mogła wymóc na niej przyznania się do grzechu i potwierdzenia nieważności owego rzekomo zawartego małżeństwa. W tym Łada była nieugięta.

Mimo wszystko Virginia współczuła jej szczerze, gdy tego popołudnia przywieziono wieści z miasta, a wśród nich wiadomość o tragicznej śmierci księcia Jerzego von Kolbie i jego dziedzica. Z ciężkim sercem ruszyła na poszukiwanie dziewczyny. Zastała ją w pracowni zielarskiej, gdzie solissy właśnie kruszyły zioła, z których później przygotowywały lekarstwa, napary i maści dla chorych. Tej wiedzy księżniczka uczyła się również bardzo chętnie.

- Do czego to służy? - dopytywała Łada, uważnie przyglądając się jakiejś roślinie.

- To zwykły krwawnik, u was zwą go także tysiąclist - odparła solissa Gertruda, która często rozmawiała z księżniczką, ucząc ją nieco o sztuce sporządzania leków. - Pomaga goić się ranom.

Księżniczka z kolei zdjęła z półki jakąś fiolkę zawierającą liście o dziwnym kształcie. Wyjęła korek i powąchała.

- Nie, nie wachaj tego panienko! - Gertruda wyrwała jej fiolkę z ręki. - Może zaszkodzić.

- Co to jest?

- Żagloziele. Działa wykrztuśnie, dobrze robi, gdy ktoś zapadnie na płuca - wyjaśniała mniszka. - Należy stosować tylko jako napar, palony staje się trucizną. Kto wdychałby woń płonącego liścia przez dwa wieczory, mógłby umrzeć od krwawienia z płuc.

- Żagloziele - powtórzyła nieznaną dotąd nazwę.

Chciała spytać o coś jeszcze, ale matka Virginia postanowiła w końcu przerwać ich rozmowę.

- Wasza miłość, pozwól ze mną - wywołała królową i kazała iść za sobą.

- Czy coś się stało, matko? - Łada uśmiechnęła się. Coraz częściej znów zdarzało się jej uśmiechać.

- Przyszły wieści z wielkiego świata - oznajmiła Virginia bez zbędnych wstępów.

- Mam nadzieję, że na dworze nie wydarzyło się nic złego? - spytała zaniepokojona.

- Na dworze wszystko w porządku, oby Regul chronił naszego króla.

Chodzi o księcia von Kolbie. – Łada przyglądnęła się jej badawczo. – Powinnaś to przeczytać, księżniczko.

Matka podała Ładzie pergamin, jaki godzinę wcześniej otrzymała od gońca. Dziewczyna przeczytała tekst. Odsunęła od siebie kartkę, aby spojrzeć na nią z innej perspektywy, jak ktoś, kto z bliska niedowidzi. Potrząsnęła głową.

– To nieprawda! – pisnęła. – On nie umarł! Nie mógł!

– Przykro mi, księżniczko – szepnęła tylko Virginia.

Dziewczyna odwróciła się i pobiegła przed siebie. Wpadła do swojej komnaty i rzuciła się na łóżko. Zaczęła szlochać.

Minęły trzy dni, w czasie których Łada nie rozpoznawała ani dnia, ani nocy. Nie jadła ani nie wychodziła z izby. Virginia zaczęła martwić się o jej zdrowie. Dlatego wieść o przyjeździe dostojnego gościa z dworu ucieszyła ją. Podziękowała w duchu bogom, że sprowadzili na miejsce brata księżniczki i wyszła mu na spotkanie.

– Dostojny księżę, dobrze, że przyjechałeś – powitała Grzegorza.

– Jak ma się moja siostra? – spytał bez zbędnych wstępów. – Wie już?

– Wie. Od trzech dni nie wychodzi ze swojej celi. Nie przyjmuje nikogo ani nie je – wyjaśniła matka przełożona. – Boimy się o zdrowie jej i dziecięcia.

– Prowadź mnie do niej – polecił, nie wdając się w dalszą rozmowę.

Nie pukał nawet, po prostu wszedł. Leżała skulona na łóżku, z potarganymi włosami i spuchniętymi od płaczu oczyma. Przysiadł obok na brzegu i położył dłoń na jej policzku, pogładził po włosach.

– Słodka siostró – szepnął – jestem przy tobie.

Minęła chwila, która obojgu wydawała się wiecznością, zanim się odezwała.

– Kochałam go – wyszeptała spierzchniętymi wargami. – Naprawdę go kochałam.

– Wiem.

– Zabili go – szepnęła cicho. – To był ojciec, prawda?

– Nie wiem. Też tak sądziłem, ale teraz nie jestem pewny, czy to on,

czy raczej brat i stryjowie Wilhelma - wyjaśnił.

Opuściła wzrok, w kącikach oczu błysnęły łzy.

- Musisz być teraz silna - poradził. - Walcz o dziecko. Nie pozwól, by stała mu się krzywda - mówił, gładząc jej włosy. - Kiedy urodzisz i wrócisz na dwór, znajdziemy sposób i pomścimy twojego Wilhelma.

- Przysięgasz? - spytała cicho.

- Na Antresa! Siostrzo, nie spoczniemy, póki ci, którzy podnieśli na nas rękę, nie będą gorzko żałować, że zdobyli się na tę śmiałość. - Wstała powoli i objęła go.

Trant,

16 listopada roku 2089

Wieści o wydarzeniach w hazeńskich lasach dotarły również na dwór Laurentego del Pescare. Książę Trantu przyjął tę straszną nowinę ze smutkiem. Jerzy von Kolbie był również i jego przyjacielem z dawnych lat. Tego wieczora zaprosił na wieczerzę swojego syna i synową. Nie chciał bowiem być sam. Liczył, że spędzając czas z rodziną, uda mu się uciec od żałoby po dawnym druhu. Atmosfera przy stole była jednak ciężka.

- Powiedz mi, ojcze, jest co z prawdy w tym, co ludzie gadają o śmierci księcia Jerzego? - spytał Filip, przerywając ciszę.

- A co powiadają? - zapytał Laurenty.

- Że zabili go bracia za to, że nie chciał oddać głowy syna pod topór za obrazę honoru rodu - poinformował go Filip.

- Też to słyszałem. Nie wiem, czy tak było.

- A cóż takiego zrobił syn księcia, że miałby zhańbić swój ród? - wtrąciła Iwetta, podając podczasemu kielich do ponownego napełnienia.

- Mówią, że uwiódł córkę króla Henryka - odparł Filip.

- Widziałem ją w Berleujściu tego lata - dorzucił Laurenty. - Ty również ją pamiętasz, prawda Filipie? - Jego syn potwierdził skinieniem głowy. - Nie wierzę, że dałaby się łatwo uwieść. Wręcz odwrotnie. O tej

królowie powiadają, że ma rogatą duszę. Henryk zawsze miał do niej słabość i zbyt jej pobłażał - mówił. - Założyłbym się o bojowego rumaka, że jeśli naprawdę między młodymi do czegoś doszło, to ona uwiodła syna Jerzego, a nie na odwrót.

Iwetta upiła znów kilka łyków wina.

- A jeśli nawet, to cóż by w tym było strasznego?

Laurenty spojrział na nią z ukosa, po czym puścił wymowne spojrzenie synowi. Obaj byli tak osłupiali jej wyznaniem, że żaden nie znajdował słów, by jej odpowiedzieć.

- Mój mąż wszak każdego prawie wieczoru wybiera sobie dziewczkę, z którą spółkuje i nie ma w tym nawet uczucia - kontynuowała tymczasem Iwetta, popijając dalej wino. - Cóż zatem złego jest w tym, że tych dwoje było ze sobą, skoro się miłowali? Jeśli karą za ich winę miałyby być jego śmierć, to jaką karę należałoby wymierzyć tobie, mój mężu?

- Filipie... - syknął Laurenty. - Nie życzę sobie czegoś takiego przy moim stole...

Młody del Pescare patrzył na żonę morderczym spojrzeniem.

- Upiłaś się moja miła - powiedział po chwili. - Wino ci szkodzi.

- Nie jestem pijana - odparła spokojnie. - Po prostu chciałabym zrozumieć...

- Straż! - ryknął Filip.

Po chwili stojący na zewnątrz gwardziści weszli do jadalni księcia Trantu.

- Moja ukochana żona źle się poczuła - oznajmił im Filip. - Pomóżcie jej wrócić do komnaty, niech dwórki się nią zajmą.

Iwetta odłożyła kielich z niedopitym winem, wstała i powoli wyszła z jadalni.

**Archisolar w Lensburgu,
17 listopada roku 2089**

Gotfryd von Kolbie pojawił się w świątyni przed wszystkimi. Od razu przeszedł do bocznej nawy i stanął nad świeżą płytą z piaskowca nakrywającą ledwo wczoraj zamknięty grób. Poprzedniego dnia też tu był. Jako jedyny z całego rodu przyszedł, aby pożegnać swego kuzyna, z którym przez wiele lat pozostawał nierozłączny. Rozumiał, że Wilhelm popełnił straszne błędy, że ciężko splamił honor rodu. Nie mógł wszakże pogodzić się z tym, że musiał własną śmiercią okupić swoją winę. Potrzebował jeszcze dobrych kilku chwil, by powiedzieć kuzynowi, jak bardzo żałuje tego, że nie wsparł go wcześniej, zanim to wszystko się wydarzyło. Zabrakło mu odwagi, by przeciwstawić się żadnemu zemsty ojcu. Myśli ciężko przetaczały się w jego obolałej głowie. Poprzedniego wieczoru, po pośpiesznym i pozbawionym celebry pogrzebie Wilhelma, tego bowiem popił, chcąc zagłuszyć własne sumienie.

W końcu rozejrzał się, słysząc coraz głośniejsze szmery w świątyni. Żałobnicy gromadzili się na pogrzeb jego stryja, księcia Jerzego von Kolbie, którego ciało spoczywało na katafalku pośrodku głównej nawy. Gotfryd podszedł do stojących w pierwszym rzędzie ojca, Cecyla von Kolbie, i brata, Maksymiliana.

- Krew zmyła hańbę - szepnął Gotfryd. - Tak, jak chciałeś.

Cecyl wyczuł od starszego syna wciąż silny zapach przetrawionego alkoholu.

- Mój brat zginął w walce, jak przystało na syna tak wielkiego rodu, oby bogowie nakarmili go miodem - powiedział ze spokojem Cecyl.

- Teraz ty dostaniesz tytuł? - spytał Maksymilian.

- Kto wie, co postanowi król - mruknął enigmatycznie Cecyl.

- Nie za bardzo ci śpieszno do tytułu, ojczy? - spytał drwiąco Gotfryd. - Stryj Jerzy miał jeszcze jednego syna.

- Krzysztof ma czternaście wiosen.

- Prawie piętnaście - poprawił go Gotfryd.

- Wolałbym już chyba widzieć na hazeńskim tronie tego głupca i zdrajcę Wilhelma - szepnął Cecyl, spoglądając w kierunku świeżo ułożonej płyty nagrobnej w bocznej nawie świątyni.

- Dlaczego? - zdziwił się Maksymilian.

- Bo Wilhelm, pomimo całej swojej głupoty i braku honoru, miał umiejętności przydatne władcy - objaśnił. - A Krzysztof ma tylko wiarę. Jak myślisz, dlaczego stoimy tu jak durnie od ponad godziny zamiast mieć to już z głowy? - Jego synowie potrząsnęli głowami. - Bo wasz bogobojny kuzynek odbiera instrukcje od tego capa Wilfrieda. Powiadam wam, jeśli Krzysztof otrzyma tytuł książęcy, to Hazenią Górną i Dolną rządził będzie Wilfried.

- Może warto było o tym myśleć, zanim zacząłeś nastawać na życie Wilhelma? - mruknął Gotfryd.

Cecyl otwierał już usta, by odpowiedzieć coś na impertynencje starszego syna. Zamilkł jednak, bo nareszcie w świątyni pojawił się Krzysztof ze zboląłą miną. Za nim kroczył ubrany w szaty pontyfikalne archisolis Wilfried, posyłając innym członkom rodu Kolbiech dumne spojrzenia.

Kasztel w Pilźnie, 25 listopada roku 2089

Negocjacje przedłużały się, niemiłosiernie nużąc następcę jonkijskiego tronu. Co chwilę spoglądał w wąskie okno komnaty, przez które można było dojrzeć tak bliski jego sercu widok: gród w Pilźnie. Spędził tu trzy lata życia. Wesołe lata, jak sam to oceniał. Z czułością wspominał kurwy, z którymi nawiązał wówczas bliskie kontakty. Zamiast słuchać słów, jakie od swego monarchy przekazywał zamorski poseł, Grzegorz zastanawiał się nad tym, czy Luba albo Złotka wciąż pracowały w tawernie przy Bramie Lirwelijskiej.

W końcu poseł kameńskiego króla pokłonił się władcy Jonki oraz towarzyszącym mu doradcom i wyszedł.

- Co właściwie wiemy o tych Wyspach Kameńskich? - spytał od razu król Henryk. - Synu?

Grzegorz zamrugał oczyma. Pytanie ojca padło w chwili, gdy wyobrażał sobie już wieczorną powtórkę z czasów owej rozkosznej

młodości.

- To dziwaczne miejsce - wtrącił tymczasem Filomen. -Dość powiedzieć, że tolerują tam obecność elfów...

Grzegorz zarechotał nagle, ściągając na siebie surowy wzrok ojca.

- Żartujesz chyba, solisie? - rzucił królewicz. - Elfy?!

- Tak, księżę - potwierdził Filomen. - Przez ostatnie lata zjechało ich tam całkiem sporo, diabli wiedzą skąd. Oczywiście nie wolno im obejmować urzędów ani posiadać ziemi, tym niemniej parają się rzemiosłem i handlem, a nawet prowadzą banki. Mówi się, że król Ludwik zadłużył się u nich na ładnych parę tysięcy sztuk złota.

- To wyjaśniałoby, czemu nagle stracili jego łaskę - odparł Grzegorz.

- Monarchowie lubią pożyczać, znacznie mniej chętnie oddają swoje długi. - Królewicz poczuł drapanie w gardle. Niezawodny znak, że należało je czymś przepłukać. Wstał i podszedł do stołu, nalewając sobie sążnisty kielich wina. - Elfy. - Pokręcił głową i znów się uśmiechnął. - Też pomysły, naprawdę osobliwe. W końcu u nas zrobił z nimi porządek bodajże Pierwszy Robert, prawda, solisie?

- Jego pradziad, Krzesimir - poprawił go były nauczyciel. - Za to, jak się z nimi rozprawił, historia uhonorowała go przydomkiem Walecznego.

- Faktycznie, trzeba było nie lada waleczności, by wybić kilkadziesiąt tysięcy bezbronnych istot. Zwłaszcza kobiet i dzieci - odparł Grzegorz, pociągając łyk.

- Ogień i żelazo były najlepszymi sposobami rozwiązania kwestii Starej Krwi - powiedział Filomen. - Inaczej nigdy Wielki Sol nie zdołałby zatryumfować na naszych ziemiach.

- Czy moglibyśmy wrócić do sedna sprawy? - przerwał im zniecierpliwionym tonem król. - Pomijając te dziwne opowieści o odmieńcach i długi Ludwika, czy są jakieś przeciwwskazania, aby oddać Żannę królowi Kamenii?

- Na przykład Żanna - rzucił z uśmiechem Grzegorz. -Spytaj ją, ojczy, czy chciałaby być królową jakichś wysepek zamieszkałych pospołu przez dziki lud i przez elfy. Moja siostra, choć w herbie ma lwa, ma mniej odwagi niż mysz - drwił. - Z pewnością zatem będzie...

- Dość! - ryknął w końcu Henryk. - Nie zamierzam pytać Żanny o zdanie! Wystarczy mi, że przez lata pozwalałem Ładzie, by robiła, co jej się żywnie podobało! - Król sapnął, chcąc się uspokoić, po czym znów zwrócił się do solisa: - Powiedz temu kameńskiemu lordowi, że się zgadzam. Sojusz w zamian za rękę mojej córki.

- Zdrowie młodej pary - mruknął pod nosem Grzegorz, dolewając sobie wina.

Wiśnicz,

5 prośnia roku 2089

W ciągu ostatnich kilku tygodni Bogna parę razy odwiedzała kwatere dowódcy zamkowej straży. Zawsze znajdowała jakiś pretekst. Najczęściej mówiła, że przychodzi z rozkazu królowej. Lucjusz udawał, że przyjmuje te wyjaśnienia. Zdawało się jej, że potrzebował takiego udawania. Mimo wszystko jego zachowanie wobec niej z każdą wizytą stawało się mniej oficjalne. Bogna zauważyła też, jak za każdym razem zmieniał się wygląd jego izby. Zaczęło się od tego, że dołożył drugie krzeselko, aby oboje mogli siedzieć podczas wieczornych rozmów. Potem uporządkował swoje rzeczy. Tego wieczora zaskoczyło ją, że na stoliku stał dzbanek i dwa kubeczki.

- Co to? - spytała od progu.

- Korzenne wino - odparł cicho. - Wieczór jest dość chłodny i pomyślałem, że...

- Gdybym cię nie znała, panie dowódco, mogłabym pomyśleć, że czekasz na specjalnego gościa - mruknęła żartobliwie.

Spuścił oczy i uśmiechnął się pod nosem. Lubiła z nim igrać w ten sposób. W jakiś sposób bawiło ją, że ten dojrzały, odpowiedzialny mężczyzna zachowywał się w jej obecności jak speszony chłopiąs.

- Jeśli naprawdę na kogoś czekasz, to ja sobie pójdę - droczyła się z nim dalej.

- Bogno, proszę... - Patrzyła na niego, udając zagniewaną. - Masz

rację, czekałem na kogoś. – Odważył się w końcu i spojrzał jej w oczy. – Na ciebie.

– Na mnie? – szepnęła, podchodząc bliżej.

Lucjusz pokiwał głową.

– To miłe. Nie sądziłam, że lubisz, kiedy do ciebie przychodzę.

– Myślałem, że wiesz.

– Może wiem – uśmiechnęła się delikatnie – może nie wiem. A może po prostu potrzebuję to usłyszeć. – Przez chwilę stał i patrzył na nią wzrokiem onieśmiałego młodzika. – Lucjuzu...

– Wybacz. Chciałbym powiedzieć ci teraz coś mądrego albo romantycznego. Coś obiecać. – Dowódca straży wreszcie poczuł przypływ odwagi. – Ale nie mogę przyrzec niczego, bo tak naprawdę nic w moim życiu nie zależy ode mnie.

– Nie prosiłam cię o żadne przysięgi – przerwała spokojnie. Podniosła dłoń i położyła na jego policzku. Zbliżyła usta i pocałowała go. – O nic nie prosiłam. Chciałabym tylko czasem nie czuć się tak samotnie...

Objął ją, odwzajemniając jej pieśczoły. Kiedy tej nocy kochali się w jego izbie, nie przysięgali sobie dozgonnej miłości. Wystarczyło im ciepło i bliskość, którą sobie nawzajem dawali.

Berleujście,

14 prośnia roku 2089

Kilka tygodni trwały rozmowy w sprawie inwestytury hazeńskiej. Choć Cecyl von Kolbie zabiegał o tytuł dla siebie, to dwór skłaniał się ku Krzysztofowi. Król kończył właśnie śniadanie w towarzystwie dwójki swoich dzieci.

– Wolno spytać mego królewskiego rodzica, dlaczego jeszcze nie raczył rozstrzygnąć kwestii nadania lenna hazeńskiego któremuś z von Kolbiech? – zagadnął ojca Grzegorz. Władca miał tego poranka dobry humor, dlatego następca tronu pozwolił sobie spytać bezpośrednio.

– Twój królewski rodzic nie do końca wie, jak ma rozstrzygnąć tę

sprawę. - Henryk westchnął, pociągając łyk piwa. - Wilhelm obraził nas i wielka to szkoda, bo byłby przednim księciem. Jego brat ulepiony jest z innej gliny. - Odkroił sobie plaster szynki. - Ciągłe tylko głądzi o bogach. Z kolei jeśli mam wybrać Cecyla, to muszę się liczyć z utratą lojalności Hazenii. To szczwany lis. Nie był mi przyjacielem jak Jerzy, nigdy nie mogłem liczyć na jego słowo. A kogo ty byś wybrał, synu?

- Wybrałbym tego, którym łatwiej sterować i posłał mu do Lensborka kogoś, kto by nim manipulował zgodnie z moją wolą - odparł bez cienia wątpliwości Grzegorz, wprawiając ojca w zakłopotanie. - Powiadasz, że Krzysztof miłuje bogów. To racja. Ćwiczyłem z nim wczoraj na miecze i, po prawdzie, nie jest nawet złym szermierzem, choć daleko mu do brata, oby bogowie karmili go miodem. Ale przysięgam, w życiu nie widziałem rycerza, który przed każdą walką tyle by się modlił! - Grzegorz roześmiał się, podnosząc kufel.

- Twój pomysł ma sens - zgodził się król - ale też i jedną wadę. Krzysztof kocha bogów tak bardzo, że jedynym, którego będzie słuchał, jest archisolis, a Wilfried nie jest moim szczególnym przyjacielem. Zawsze uważał mnie za lirwelijskiego dzikusa. Gotów jestem oddać zamek pod zakład, że to on przyczynił się do tej tragedii, podburzając baronów Hazenii, by nie wsparli Jerzego.

- Każdy mężczyzna, najbardziej nawet bogobojny, w końcu spotyka na swojej drodze niewiastę - uśmiechnął się Grzegorz. - Zeswatajmy Żannę z Krzysztofem. - Wskazał ręką na siostrę. - Ona owinie go sobie wokół palca i po kłopotcie.

- O, nie! Nie! - zaprotestowała natychmiast. - Nie wyjdę za niego!

- Mam co do Żanny inne plany, ważniejsze. - Król pokręcił głową.

- Nie wyjdę za króla Kamenii. Nie chcę wyjeżdżać - wtrąciła znowu Żanna.

- Ależ wyjedziesz, córko - napomniał ją Henryk. - Nie sprzeciwiaj mi się, jak uczyniła to twoja siostra. Dość miałem przez to kłopotów.

- Chciałabym mieć jej odwagę - mruknęła tylko Żanna, wstając od stołu. - Za pozwoleniem, ojcze.

Ukloniła się i wyszła z komnaty. Henryk przez chwilę siedział

nieruchomo, kalkulując w myślach słowa syna.

- Twój pomysł nie jest taki całkiem głupi - odezwał się w końcu. - Gdybyśmy tak wydali za Krzysztofa Ładę...

Grzegorz odstawił głośno kufel z piwem, oparł się na krzesło i roześmiał krótko.

- Wyjaśnij mi, dostojny ojczy, bo nie pojmuję. Dlaczego upierałeś się, by nie wydać Łady za biednego Wilhelma, niech bogowie karmią go miodem, skoro teraz tak łatwo jesteś gotów oddać ją jego świętoszkowatemu bratu, którego z pewnością nie polubi? - spytał chłodno.

- Po pierwsze zmieniła się sytuacja - odparł król. - Latem nie miałem potrzeby silniej wiązać Hazenii ze swoją rodziną, bo była mi bezapelacyjnie lojalna. Teraz wszystko się odwróciło, właśnie dzięki postępkom twojej siostry i tego zuchwałego chłopaka.

- Sądzisz, że teraz Łada będzie mniej zdesperowana? - drążył Grzegorz. - Nie sądzę, by po śmierci Wilhelma zapalała uczuciem do jego brata.

- Przekonaj ją, ufa ci - poradził ojciec.

- A co z dzieckiem? - wtrącił jeszcze Grzegorz. - Sądzisz, że Krzysztof zgodzi się wychowywać bękartą po bracie? Jeśli go uzna, splami honor rodu i zaprzepaści szansę dziedziczenia własnych synów...

Henryk znów się zasepił. Westchnął smutno i po chwili dodał:

- Teraz, kiedy młody Wilhelm nie żyje, to dziecko i tak jest bękartem. Najlepiej byłoby zapewnić mu dobre życie u jakiejś porządnej rodziny.

- Łada nigdy go nie odda - mruknął Grzegorz zaskoczony pomysłem ojca.

Henryk nie odpowiedział. Wstał od stołu i wyszedł z komnaty. Tak, jak się spodziewał, Krzysztof von Kolbie oczekiwał już w sali audiencyjnej.

- Najjaśniejszy panie! - Chłopak skłonił się przed Henrykiem, gdy tylko ten wszedł do komnaty. - Życzę ci, panie, dobrego poranka. Oby Regul obdarzył cię dziś łaskami.

Maniery miał nienaganne, trzeba mu to było przyznać. Brakowało

mu zuchwałości brata, ale jednocześnie nużył Henryka swoim ciągłym odwoływaniem się do bogów. Władca usiadł za stołem i przyjrzał się uważnie młodzieńcowi.

- Chcesz więc od swego króla tytuł po ojcu? - spytał wprost.

- Prawo bogów mówi, że syn powinien objąć dziedzictwo ojca.

- Po pierwsze to moje prawo - poprawił go monarcha. - Po drugie o to, czego życzą sobie bogowie, pytam archisolisa. Od ciebie żądam odpowiedzi na pytanie: o co ty mnie prosisz?

- Najjaśniejszy panie, chcę objąć władztwo moich przodków i władać nim sprawiedliwie - odrzekł. - Pragnę przywrócić memu rodowi honor, który odebrał nam mój brat...

- Twój brat poniósł karę surowszą, niż zasłużył. Nie wracajmy do tego - przerwał mu król. - Powiedz mi, czy sądzisz, że mając niecałe piętnaście wiosen, jesteś gotów, by władać lennem tak rozległym, jak Hazenia?

- Oczywiście - zapewnił. - Widziałem, jak rządził mój ojciec. Wiele się nauczyłem. Mam też dobrych doradców. Archisolis Wilfried to mądry i oddany człowiek. Wielce cenię sobie jego rady.

- Nie wątpię - mruknął Henryk niezbyt zadowolony z odpowiedzi.

Krzysztof chciał coś jeszcze powiedzieć, ale Henryk podniósł prawą dłoń i oznajmił.

- Podjąłem decyzję. Dostaniesz ode mnie ziemie twego ojca. - Krzysztof już chciał chwycić dłoń władcy i ją ucałować, ale Henryk znów nie dał mu szansy na jakikolwiek krok. - Dostaniesz ode mnie Hazenię Górną i Dolną, ale pod jednym warunkiem: poślubisz moją córkę.

Krzysztof miał zgodzić się i na to, gdy ku jego zaskoczeniu król dodał:

- Poślubisz Ładę.

W komnacie zapadła krępująca cisza.

- Najjaśniejszy panie, nie mogę ożenić się z księżniczką Ładą - wybąkał w końcu Krzysztof. - Ona...

- Czyżbyś znał jakąś przeszkodę w zawarciu tego małżeństwa? - Monarcha świdrował młodzieńca wzrokiem. - Ja nie znam żadnej. To

piękna dziewczyna, zapewniam.

- Nie o to chodzi, królu - jęknął Krzysztof. - Archisolis Wilfried nigdy nie pobłogosławi tego związku.

- To także nie jest kłopot. Ślub weźmiecie w świątyni na moim zamku. Archisolis Prochor z radością przyjmie wasze słowa - zapewnił Henryk. - A następnego dnia złożysz mi przysięgę i otrzymasz lenno. - Krzysztof znów chciał zaoponować, ale król dokończył: - Jeśli nie, wówczas będziesz patrzył, jak archisolis Prochor pobłogosławi moją córkę i któregoś z twoich kuzynów. Rozumiesz, młodzieńcze?

Krzysztof skinął głową. Król uśmiechnął się i podał mu dłoń do ucałowania.

Trakt opodal Virnante w Królestwie Jomsborga, 21 prośnia roku 2089

Wilhelm był zziębnięty. Mrozy zaczęły poważnie dawać się we znaki. Od kilku dni podróżował niemal bez przerwy i chciał jak najszybciej dotrzeć do portu. Czuł jednak, że siły go opuszczają i gdy zobaczył szeroką polanę, na której stała karczma, zamarzył mu się ciepły posiłek i kąt do spania, najlepiej blisko paleniska. Wyjął spod futra mieszek, by policzyć monety. Miał ich jeszcze wystarczająco, by móc się najeść, a potem wynająć coś w mieście i w końcu opłacić statek płynący na drugi brzeg Zatoki Długiej, tak jak sobie zaplanował. Podjechał więc i przywiązał swego konia oraz luzaka, na którym wioził większość skromnego dobytku. Wszedł do karczmy. W środku było kilka osób.

- Macie wolne miejsce na nocleg i coś na ząb? - spytał karczmarza.

- Na długo panicz zostaje?

- Na noc, rano ruszam dalej - odparł.

- Dwa srebrne i dostanie panicz, co potrzeba - poinformował karczmarz.

Wilhelm schował większość pieniędzy, jakie dał mu ojciec głęboko do juków przy koniu, a tylko kilka monet wziął ze sobą. Wyjął teraz mieszek

i podał karczmarzowi. Usiadł blisko ognia. Po chwili dziewczyna służebna podała mu kufel ciemnego piwa.

- Jeśli chcesz i mnie, paniczu, musisz dać jeszcze dwie monety - szepnęła.

Uśmiechnął się, ale potrząsnął przecząco głową.

- Mam żonę - odparł krótko.

Łapczywie napił się piwa i odetchnął. Po kilku chwilach na ławie przed nim postawiono talerz z pieczystym i kilkoma pajdami chleba. Zaczął pochłaniać jedzenie i zamówił jeszcze drugi kufel piwa. Kiedy najadł się i napił, poczuł, jak bardzo był zmęczony. Przyjemne ciepło, które z pełnego żołądka rozlewało się po jego ciele, rozleniwiało i pozbawiało jego zmysły ostrości. Strach też jakoś dziwnie go opuścił. Poczul się swobodniej. W końcu był już daleko. Daleko od brata, stryja i kuzynów, którzy dybali na jego życie. Daleko od króla, który wyjął go spod prawa. Ale i daleko od swojej ukochanej i ojca, który tak wiele naraził, by go ratować. Nie zdążył głębiej zanurzyć się w marzeniach, bo jakiś mężczyzna przysiadł się do niego.

- Dokąd to zdążasz, młody rycerzu? - spytał nieznajomy. Był o dobre dziesięć lat starszy, mniej więcej jego wzrostu, z paskudną szramą na twarzy.

- Do Virnante - odparł szczerze Wilhelm.

- Tak, jak ja. - Tamten się uśmiechnął. - Wołają na mnie Ernst, a na ciebie?

- Wi... - miał już na końcu języka, ale w ostatniej chwili postanowił nawet tutaj nie ujawniać swego imienia. - Jestem Ledo.

- Powiedz mi zatem, Ledo, co cię sprowadza w taki ziąb pod Virnante?

- Mam tam pewną sprawę.

- Pewnie panna? - Ernst roześmiał się. - My mamy interes, jeśli nam pomożesz, to może i ty skorzystasz.

- Co to za interes? - spytał Wilhelm, zdradzając zainteresowanie.

- Postaw kolejkę, a ci opowiem.

Minęły dobre dwie godziny, a Wilhelm wymienił kolejne srebrne

monety na cztery dzbany miodu dla siebie i kompanów. Okazało się bowiem, że Ernst ma jeszcze dwóch druhów: Jobbiego i Maldorfa. Podróżowali do Virnante, by zakupić korzystnie towary ze wschodniego wybrzeża, a potem z zyskiem sprzedać w miastach Jomsborga.

- Dziwny pomysł jak na rycerzy - roześmiał się mocno już rozluźniony Wilhelm.

- A to jakiś dyshonor, Ledo? - odparł lekko urażony Jobbi. - Sam powiedz: co robić, gdy brak zajęcia dla uczciwych rycerzy. Nasz król, psia jego mać, na wojnę iść nie chce, a mógłby. Na przykład królowi Jonki skórę przetrzepać. Ech, wtedy mielibyśmy zajęcie dla naszych mieczy.

- Nie widzę, byście nosili miecze - znów szczerze wybełkotał Wilhelm.

- Ech, Ledo, spostrzegawczy ty jesteś. - Maldorf poklepał go po ramieniu i puścił oko do swoich towarzyszy.

- Czas się odlać... - mruknął Ernst.

Wstał i chwiejnym krokiem ruszył do wyjścia z karczmy. Wilhelm też nagle poczuł, że dawno już powinien był pozbyć się nadmiaru wypitego trunku. Podniósł się ociężale. Świat mocno mu się kołysał. Dotąd zdarzało się, że pohulał nieco z kuzynami, ale nigdy jeszcze jednego wieczoru nie wypił aż tyle. Nigdy też nie był przy tym tak zmęczony. Wyszedł na świeże, zimne powietrze. Odetchnął głęboko, licząc, że uda mu się otrzeźwieć. Nagle poczuł na szyi chłodne dotknięcie stali.

- A teraz, drogi druhu, oddasz nam swój miecz, swoje dwa konie i jeszcze buty na dokładkę. - Usłyszał głos Ernsta. - A my w zamian może nie poderżniemy ci gardła, co ty na to?

- Pieprz się, gnoju! - warknął Wilhelm.

- Nieładnie, Ledo. Niegrzeczny paniczyk. - Ernst zaniósł się szyderczym śmiechem. Nieco głębiej docisnął sztylet do szyi Wilhelma, nacinając mu skórę. Von Kolbie czuł, że ma jedną szansę na sto. Musiał ją wykorzystać. Musiał zdążyć sięgnąć po broń.

- Poczekaj - wysapał - oddam ci miecz!

Ernst zwolnił uścisk. Wilhelm powoli wysunął odrobinę broń

z pochwy, dziękując w duchu Tarrisowi, że wcześniej, w karczmie, powstrzymał się przed pokusą jego odpięcia. Ernst schylił się do jego pasa, by chwycić rękojeść i w tym momencie Wilhelm walnął go z całej siły łokciem w nos. Trzask pękniętej kości i tryskająca krew na chwilę spowolniły napastnika, który klnąc, zamierzył się sztyletem, ale zdołał tylko przejechać nim po rękawie futra swojej niedoszłej ofiary. Wilhelm odskoczył do tyłu i dobył miecza. Ciął nim szybko i na oślep. Zbyt był zdezorientowany i podpity, by wymierzać ciosy precyzyjnie. Trafił jednak i Ernst jak długi padł w marznące błoto przed karczmą. Maldorf i Jobbi stali kilka kroków dalej, oddzielając Wilhelma od koni. Nie ruszyli na chłopaka, widząc ostrze w jego rękach.

- Morderca! - wrzasnął po chwili Jobbi. - Zadźgał Ernsta! Luuuudzie!

Maldorf przyłączył się do jego krzyku. Wilhelm wiedział, że miał mało czasu. Zaraz ktoś wyskoczy z karczmy i zobaczy go z zakrwawionym mieczem nad trupem łotra. Nie zastanawiając się wiele, ruszył na krzyżącego Jobbiego i w chwili, gdy kilka osób, odpowiadając na podniesione larum, właśnie wychodziło z karczmy z bronią w ręku, ciął go mieczem w szyję. Jobbi, tryskając krwią, zagulgotał jeszcze i padł martwy na ziemię. Maldorf cofnął się i to dało Wilhelmowi szansę, by dopaść konia. Wskoczył na niego szybko i mieczem odciął lejce, którymi go uwiązał. Chciał jeszcze chwycić luzaka, ale tłum biegł już ku niemu, a jeden spośród ludzi stanął i zaczął napinać kuszę. Wilhelm krzyknął tylko, zaciął konia i pędem ruszył w kierunku ciemnej ściany lasu.

Pędził tak szybko, jak się dało. Po pół mili zdał sobie sprawę, że na trakcie łatwo go dościgną. Zjechał więc w bok i odtąd przedzierał się przez las. Po kilkunastu minutach zaczął padać śnieg i po raz pierwszy w życiu Wilhelm podziękował za to bogom. Miał nadzieję, że opady zatrą ślady ucieczki. Chłopak dziękował również za to, że nie odpiął pasa, i że wychodząc z karczmy, narzucił na siebie futro. Inaczej albo by się nie obronił, albo zamarł do rana w tej głuszy.

Zaczęło już świtać, gdy dotarł do miejsca, w którym las nieco się przerzedzał. Pojechał w kierunku, skąd przezierało światło rozpoczynającego się dnia. Wolnym stępem wkroczył na polanę położoną

na szczycie pagórka pobielonego pierwszym tej zimy śniegiem. Stwierdził, że znajduje się o dobrych kilka mil na północ od traktu. Słońce, które o tej porze roku wschodziło na południowym wschodzie, podnosiło się z wody Zatoki Długiej dokładnie nad lśniącem w jego promieniach miastem. Virnante było przed nim. W duchu odmówił poranną modlitwę do Wielkiego Sola i ruszył w stronę grodu. Nie był pewny, czy na trakcie nie spotka ścigających go rzezimieszków ani czy przypadkiem nie odważyli się udać do miasta i powiadomić konstabla, który teraz mógłby go pochwycić i powiesić za rzekomy rozbój. Nie miał innego wyjścia. Musiał dojechać do Virnante, by móc ruszyć dalej. Uświadomił sobie nagle, że oprócz kilku monet, które zostały mu w mieszkaniu, nie miał już pieniędzy. Niemal wszystko, co zdołał zabrać, opuszczając ojca tamtego dnia w lesie pod Wysoką, zostało przy drugim koniu.

Gdy dotarł do Virnante, spróbował zatrzymać się w wyglądającym przyzwoicie zajeździe.

- Spływaj chłystku, bo ci dupę przetrzepię - obsobaczył go tylko właściciel, słysząc, że Wilhelm nie ma pieniędzy.

W pierwszej chwili chłopak pomyślał, że gdyby był w Hazenii i podał swoje nazwisko, pokazując znak rodu, każdy karczmarz przyjąłby go, pewien że w ciągu kilku dni któryś z dostojnych panów von Kolbie ureguluje dług młodzika. Ale Wilhelm nie był w Hazenii. Nie mógł też tytułować się już dostojnym paniczem von Kolbie. Był wyrzutkiem o imieniu Ledo, który musiał utrzymać się przy życiu. Dlatego przełknął resztki dumy.

- Mogę pracować, znam się na koniach - zapewnił. - Jeśli masz konie, panie, chętnie o nie zadbam.

- Stajniami zajmuje się mój syn - odburknął tylko tamten.

- Jestem silny, mogę robić cokolwiek! - Gospodarz patrzył na młodzieńca spode łba i Wilhelm miał już odejść. - Wybacz, że zająłem twój czas - dorzucił jeszcze, zanim się odwrócił.

- Poczekaj! - zawołał karczmarz. - Jak cię zwa?

- Ledo - powtórzył wymyślone kilka dni wcześniej imię.

- Skąd jesteś? - dopytywał.

- Z...

- No dobrze, mniejsza o to, pomożesz mi przez kilka dni w zamian za jedzenie i miejsce do spania - zgodził się gospodarz. - Ale jeśli zginie mi choćby drewniana miska, to oddam cię konstablowi, pamiętaj!

- Nie jestem złodziejem - zapewnił Wilhelm.

Berleujście,

5 brzeźnia roku 2090

Lody na rzekach ustąpiły dość wcześnie i przynajmniej w Lirwelii czuło się powiew wiosny. Klimat był tu łagodniejszy niż na przykład w Hazenii. Henryk stał zamyślony w oknie komnaty, w której zwykł pracować i przyjmować mniej uroczyste delegacje. Niewiele docierało do niego z tego, co relacjonowali mu doradcy.

- Przyszła w końcu odpowiedź z Wąlecina - oznajmił Filomen, przechodząc do kolejnej sprawy.

- Wolęcina - poprawił go Grzegorz z nieskrywaną satysfakcją. Zawsze sprawiało mu radość, gdy udało mu się przyłapać byłego nauczyciela na jakiejś pomyłce. - Stolica Wysp Kameńskich i siedziba króla Ludwika zwie się Wolęcina.

- Z Wolęcina - powtórzył już poprawnie solis. - Król Ludwik pozdrawia cię, najjaśniejszy panie, i oświadcza, że akceptuje przekazane przez lorda Lotara z Lemańca warunki, na których gotów jesteś oddać mu za żonę swą córkę.

- A to się Żanna uraduje - mruknął Grzegorz.

Król skwitował jego żart głośnym chrząknięciem, po czym spytał:

- A są już wieści z Gentu?

- Czcigodny Don Godros z Gentu również odpisał, najjaśniejszy panie - pośpieszył z informacją Filomen. - Jest gotów oddać twemu synowi rękę swej córki. Uważa to za wielki honor.

- Tylko żąda niebotycznej ilości złota, którego i tak mamy jak na

lekarstwo - wtrącił skarbnik królewski Syriusz.

- Chce dobrze sprzedać swoją klaczkę - rzucił wesoło Grzegorz.

- Nie kpij. Ta dziewczyna będzie twoją żoną, choćbym miał zastawić własne berło - warknął Henryk. - Don Godros to najpotężniejszy z sąsiadów Alwery. Pokoju z Edgarem mieć nie będę. Dzięki twojej siostrze. Muszę więc znaleźć sposób, by trzymać go w szachu na wypadek, gdyby wciąż marzyła mu się wyprawa na Hazenię.

Przez chwilę w komnacie zapadła cisza.

- Kupcy przynieśli informację, że towary, które zamówiłeś na wschodzie, najjaśniejszy panie, są już w drodze - podjął dalej Filomen. - Nasi faktorzy twierdzą, że mają wiadomości z kantoru w Chyllonii, ponoć już tam dotarły.

- Jeśli są w Chyllonii, to prawie tak, jakby dotarły w granice naszych ziem - zapewnił archisolis Prochor.

- Mamy szczęście - wtrącił znów Grzegorz. - Mówią, że na wschód od Tirdzji jest coraz niespokojniej.

- To skutki zmiany na tronie zażnickim. Młody król Czcibor tak bardzo chce się okryć chwałą zwycięzcy, że szuka zaczepki ze wszystkimi sąsiadami - zauważył Prochor.

- Mniejsza o wschód, mamy ważniejsze problemy bliżej - powiedział cicho Henryk. - Na dziś mi wystarczy, dziękuję wam, możecie odejść. - Zebrani wstali i kłaniając się wychodzili. - Filomenie, ty zostań.

Kiedy inni, włącznie z dość zaskoczonym Grzegorzem, opuścili komnatę, Filomen wciąż stał, oczekując instrukcji od króla.

- Wiem, że regularnie pisujesz do Czerwieńska - zaczął Henryk. - Chciałem wiedzieć, jak miewa się moja córka?

- Dobrze, najjaśniejszy panie - odparł solis. - Doszła już do siebie. Obecnie oczekuje na rozwiązanie, które zapewne nastąpi już bardzo niedługo.

- W tej właśnie sprawie cię zatrzymałem - powiedział król. - Jak może już wiesz, niebawem planuję wydać córkę za mąż.

- Tak, za króla Ludwika z Wysp Kameńskich - odparł szybko.

- Żanę owszem, ale teraz mówimy o Ładzie - poprawił go król.

- Łada ma wyjść za mąż? - spytał zbity z tropu solis. - Ale najjaśniejszy panie!

- Co z tobą, Filomenie? - Henryk przyjrzał mu się uważnie. - Skup się, mówię do ciebie!

- Wybacz mi, najjaśniejszy panie - wybąkał. - Po prostu sądziłem, że będziesz chciał pozostawić Ładę w solarze w Czerwieńsku. Ona sama chyba też tego sobie życzyła - zasugerował z nadzieją w głosie.

- Sytuacja się zmieniła - rzucił oschle król. - Łada musi wyjść za mąż, jak już mówiłem. Musimy się do tego przygotować, dlatego pojedziesz do niej i zostaniesz tam aż do rozwiązania - polecił. - Kiedy dziecko się urodzi, dopilnujesz, by trafiło do pewnej rodziny z południowej Slawinii. To panowie nad Żurominem, bardzo mi pomogli podczas wojny wiele lat temu. Teraz też są gotowi coś zrobić dla swojego króla. Zawieziesz tam niemowlę jak najszybciej po porodzie. Łada nie może o niczym wiedzieć. Zostawiam tobie, jak to zorganizujesz. W każdym razie nikt nie może wiedzieć. Tę tajemnicę zarówno ty, ja, jak i państwo na Żurominie zabierzemy do grobu. Zrozumiałeś?

- Najjaśniejszy panie, nie ma innego sposobu? - spytał cicho.

- Nie ma. - Król pokręcił głową. - Jeśli Łada zabierze to dziecko ze sobą na dwór swego męża, ono zginie i to bardzo szybko, a to w końcu mój wnuk. To jedyny sposób, by zapewnić mu szczęśliwe życie, jeśli bogowie pozwolą.

Filomen skinął głową na znak, że się zgadza.

Trant,

15 brzeźnia roku 2090

Zima w Trancie była łagodniejsza niż na północy i szybciej nawet ustąpiła. I choć dni stawały się coraz cieplejsze, to atmosfera na dworze książęcym nadal była chłodna za sprawą ustawicznych konfliktów, jakie wybuchały między Filipem a jego żoną. Iwetta niełatwo godziła się na los, który jej przypadł. Od kilku miesięcy znajdowała przyjemność w picu

wina, pochłaniając całkiem spore jego ilości. Jej twarz powoli nabierała rumianego koloru, typowego dla osób nadużywających trunków, a język stawał się coraz bardziej cięty. Nie obawiała się już, że Filip ją uderzy. W zasadzie było jej wszystko jedno. Odwiedzał ją coraz rzadziej zmęczony awanturami, jakie wszczyniała przy każdym ich spotkaniu.

Akurat przyszła do jego komnat. Straż z początku nie chciała jej wpuścić, informując, że księcia nie ma, ale przepchnęła ich i po prostu wtargnęła do środka. W izbie faktycznie go nie zastała. Podeszła do stolika, chwyciła dzban z winem i napełniła sobie kryształowy puchar aż po brzegi. Kończyła już, gdy Filip w końcu się zjawił.

- Co ty tu robisz? - spytał zaskoczony.

- Przyszłam zobaczyć się z mężem - odparła.

Oczy miała już nieco szkliste. Lekko się zachwiała, wstając.

- Gdzie znowu byłeś, hm? - dopytywała.

- Ile razy mam ci powtarzać, że nie będę się tłumaczył! - syknął. - Jesteś pijana, wyjdź stąd!

Ruszył w kierunku drzwi, chcąc poprosić straż, by ją odeskortowano. Iwetta zamachnęła się pucharem trzymany w ręku i rzuciła w niego. Była już na tyle otumaniona wypitym winem, że chybiła i kryształowe naczynie rozprysło się na ścianie.

- Co czynisz, żono?! - krzyknął.

- Nie mów do mnie żono! - odparła, również podnosząc głos. Chwyciła w rękę dzban z winem i cisnęła w jego kierunku. - Nie masz prawa nazywać mnie żoną, kiedy wracasz od swoich kurew, mój panie!

- Uspokój się!

- Nienawidzę cię! - Ruszyła na niego z wrzaskiem. - Nienawidzę cię! - krzyczała, okładając piąstkami.

Chwycił ją mocno, starając się opanować jej szał.

**Virnante w Królestwie Jomsborga,
21 brzeźnia roku 2090**

Minęły ponad dwa miesiące, odkąd Wilhelm von Kolbie, syn księcia Obojga Hazenii, rozpoczął pracę w karczmie na przedmieściu. Właściciel był słownym człowiekiem i młodzieńcowi nigdy nie brakowało ani kawałka słomy do posłania, ani strawy. Wilhelm z kolei pracował, jak mógł najlepiej, nigdy się nie skarżył.

- Ledo! - karczmarz zawołał go pewnego popołudnia imieniem, którego chłopak teraz używał. - Ledo! - Chlebodawca Wilhelma był mocno podenerwowany. W mieście szykowało się akurat jakieś święto i zjeżdżało do Virnante mnóstwo gości, więc ruch w karczmie przypominał targ w Lensburgu. - Musisz pomóc mi nalewać piwa i miodu, mam tylko dwie ręce.

- Dobrze. - Skinął głową.

- Masz czyste dłonie? - spytał gospodarz. - Dobra, stań tu. Moja córka będzie podawała do stolików. - Wskazał ręką dziewczynę. - Powie ci, ile do którego. Wpisuj tutaj kreski.

Wilhelm znów skinął głową. Pracował tak większość popołudnia i wieczoru. W końcu na kawałku pergaminu zaczęło się kończyć miejsce, odwrócił więc kartę i narysował nowe kratki symbolizujące stoły, wpisując w puste miejsca zsumowane dotąd kreski.

- Co to jest? - spytał go jakiś czas później karczmarz, zauważywszy, że zamiast kresek zanotował liczby.

- Miejsce się kończyło i...

- Nie o to pytam - przerwał mu. - Ty umiesz rachować? - Wilhelm skinął głową. - I pisać? - Chłopak ponownie potwierdził. - Skąd?

- To dłuższa opowieść...

Karczmarz przyglądał mu się podejrzliwie, ale Wilhelm nic już nie powiedział. Ostatnią bowiem rzeczą, na jaką miał ochotę, było wyjawienie swojej przeszłości. Zresztą czy gospodarz uwierzyłby, że jego pomocnik jest synem dostojnego księcia Obojga Hazenii uciekającym przed zemstą króla Henryka, którego córkę uwiódł i potajemnie poślubił? Tak czy owak Wilhelm wolał nie ryzykować. Postanowił tego wieczoru, że nadszedł czas, by zmienić miejsce. W nocy, gdy wszyscy już spali, zebrał swoje rzeczy, odwiązał ze stajni konia i ruszył przez śpiące miasto

w stronę portu. O poranku zaczął rozpytywać kapitanów, który z nich dokąd wypływa. W końcu znalazł okręt o dumnej nazwie Królowa Syren, którego kapitan poinformował, że płynie do Nerridy w Werocji.

- Czy mógłbym płynąć z wami? - spytał.

- Jak cię zwa?

- Ledo - odparł. - Ledo z Willemsburga.

- Pływałeś już kiedyś?

- Nie... - przyznał.

- To co mi po tobie? - Kapitan wzruszył ramionami.

- A jeśli zapłacę? - spytał.

- Ile?

- Tyle, ile dostanę za swojego konia - odparł chłopak.

Kapitan podszedł do zwierzęcia i obejrzał je. Po chwili skinął głową.

- Wezmę twojego konia. Pod wieczór przyjdzie po niego mój brat.

Dam ci za niego kajutę na moim okręcie na czas podróży, jedzenie i jeszcze dziesięć sztuk srebra - odpowiedział. - To przedni wierzchowiec. Nie chcę cię oszukać, to by przyniosło pecha na morzu.

Wilhelm z radością uścisnął jego dłoń.

- Wyruszam za trzy dni o świcie - poinformował go jeszcze kapitan.

Solar w Czerwieńsku, 22 brzeźnia roku 2090

Solissa Gertruda wyszła właśnie z izby księżniczki Łady. O wyniku badania chciała poinformować jak najszybciej matkę Virginie. Pech chciał, że przechodząc przez wirydarz natknęła się na Filomena. Bawił w solarze już drugi tydzień, wściubiając nos we wszystko, co tylko go zainteresowało. Virginia, pochodząca z rodu jonkijskiego, nie przepadała za Lirwelijczykami. O ile Ładzie udało się szybko zjednać serce matki przełożonej, o tyle Filomen wzbudzał jej nieodpartą niechęć. Pouczyła więc wszystkie siostry, by na niego uważały i nie mówiły nic, co mogłoby mieć jakiegokolwiek znaczenie.

- Piękny dziś mamy dzień, nieprawdaż, siostró? - zagadnął Gertrudę, mimo że bardzo starała się udawać, jakoby go nie zauważyła. - Byłaś u księżniczki? Jak się dziś miewa? Rozwiązanie już chyba blisko?

- Och, ciężko powiedzieć... - mruknęła Gertruda, chcąc go wyminąć.

- Przecież ją badałaś - zauważył przytomnie.

- Wybacz, śpieszę się, matka Virginia mnie wzywa. -Próbowała przejść dalej.

Przesunął się tak, by zastawić ciałem wejście do sieni. Zmrużył oczy i wpatrywał się w nią, dając do zrozumienia, że oczekuje głębszej informacji.

- Dziecko jest już poprawnie ułożone - szepnęła, wiedząc, iż narazi się na gniew matki Virginii. - Poród powinien nadejść lada dzień.

- Dziękuję. - Filomen uśmiechnął się. - Wracaj do swoich obowiązków, siostró. Sam przekażę matce przełożonej wiadomość.

Chcąc nie chcąc Gertruda odeszła, a solis ruszył w kierunku komnaty Virginii. Siedziała za stołem, skrobiąc piórem o pergamin.

- Matko... - Uśmiechnął się, wchodząc. - Dobre wieści! Ponoć rozwiązanie księżniczki już blisko.

- Pamiętasz jeszcze, czcigodny solisie, że to mój solar? - burknęła, nie podnosząc wzroku znad pisma. - To mnie powierzono księżniczkę pod opiekę. I uczynił to sam król Henryk, oby Regul dał mu długie panowanie.

- Oby, oby... - Filomen westchnął nonszalancko. - Masz znakomitą pamięć, matko, pamiętasz więc również zapewne, że to król przysłał mnie tutaj, abym doglądał porodu jego córki?

Podniosła oczy i utkwiała w nim wzrok.

- I skoro zbliża się rozwiązanie - odezwał się znowu, ścisząc głos - to chyba czas, byśmy porozmawiali o pozostałych życzeniach najjaśniejszego pana.

Bez zbędnych wstępów wyjaśnił matce Virginii, jaki jest plan króla. Wstała z wrażenia, splotła dłonie na piersi i podeszła do okna.

- Czy król i ty macie świadomość, co ta dziewczyna przeszła? - spytała, stojąc do niego plecami. - To, co chcecie zrobić, ją zabije.

- Zapewniam, matko, że księżniczka Łada jest silniejsza, niż sądzisz.
- Mężczyzna uśmiechnął się, a ona spojrzała na niego z nieskrywaną niechęcią.

Tego samego popołudnia solis wybrał się do odległego o niecałe dwie mile miasta i poprosił o rozmowę z kasztelanem. Pokazał królewskie pełnomocnictwa i zażądał najszybszego z posłańców. Kilkoma szybkimi ruchami pióra nakreślił list. Złożył pergamin i przyłożył pieczęć, po czym podał pismo kasztelanowi.

- Dokąd ma się udać mój człowiek? - spytał kasztelan.
- Do Wiśnicza. Niech przekaże list dowódcy straży zamkowej, nikomu innemu - pouczył go Filomen. - To sprawa najwyższej wagi państwowej.

Poród odbył się dwa dni później. Księżniczka zległa nocą i męczyła się dwanaście godzin. Ból, upływ krwi i zioła, które podawały jej siostry, stępiły jej zmysły. Słyszała jednak wyraźnie, że kiedy dziecko w końcu z niej wyszło, cicho kwiliło. Dwie doby leżała trawiona gorączką, ciągle słysząc płacz. A może tylko tak jej się zdawało? Dobięło też jej uszu, jak piastunki szeptały między sobą, że to chłopiec. Że słaby, ale śliczny. Mimo gorączki zaczęła płakać ze szczęścia. A może to wszystko były tylko wytwory jej trawionego maligną umysłu?

- Wilhelm... - szeptała w gorączce. - Niech on będzie Wilhelm. Po ojcu...

Potem znów siostry podały jej gorzki napar i zapadła w głęboki sen, w którym śniła o jasnej polanie, na której zbierała kwiaty, śpiewając lirwelijskie piosnki, a Wilhelm był przy niej. Obudziła się w końcu. Gdy podniosła powieki, z trudem przypominała sobie, gdzie jest i co się stało. Chciała się podnieść, ale zdołała co najwyżej unieść rękę. Tak była słaba.

- Leż, dziecino - szepnęła solissa Gertruda. - To był bardzo trudny poród. Dziękuj pani Karsie, że żyjesz.

- Wody... Proszę, podaj mi wody - jęknęła Łada.

- Wypij, to cię wzmocni. - Gertruda podała jej jakiś napar. Miał słodszy smak i gdy wypita kilka łyków, przyjemne ciepło rozeszło się od

żołądka aż po koniuszki palców.

- Byłam w pięknym miejscu - szepnęła.

- Byłaś bardzo daleko - stwierdziła Gertruda. - Wczorajszej nocy byliśmy już prawie pewne, że cię stracimy, ale gorączka odeszła. Wrócisz do życia, dziecko.

Łada uśmiechnęła się lekko. Po chwili dopiero dotarło do niej, co było przyczyną jej strasznej niemocy.

- Gdzie moje dziecko? - spytała głośniejszym głosem. - To syn, prawda? Słyszałam, jak mówiłyście.

Gertruda nie odpowiedziała. Wstała i wyszła z komnaty, a po chwili weszli do niej Filomen i matka Virginia.

- Przykro mi, księżniczko. - Kapłan się uklonił.

- Gdzie mój syn, solisie?! - podniosła głos, choć nawet nie spodziewała się, że znajdzie na to siłę. - Dajcie mi go! Przynieście go natychmiast!

- Przykro mi, ale twój synek był bardzo słaby, zbyt długo się rodził - mówił Filomen. - On odszedł...

- Nie, nie! Nie... Słyszałam, jak płakał... - zawodziła. - Słyszałam, jak mówiłyście, że wyżyje. Matko, ja to słyszałam! - Spojrzała błagalnie na Virginie, ale ta tylko spuściła wzrok. - Słyszałam przecież!

- To wszystko ci się tylko wydawało. Straciłaś mnóstwo krwi, potem leżałaś w gorączce - wyjaśniał Filomen. - Dziecko zbyt długo nie miało czym oddychać, nie płakało nawet, szybko umarło.

- To nieprawda! - krzyknęła. - Kłamiesz! Kłamiesz! Kłamiesz!

Nie wiedziała, skąd znalazła w sobie siłę, ale uniosła się na łokciach i usiadła na łóżku. Chciała wstać, ale zawroty głowy nie pozwoliły jej utrzymać równowagi. Znow wszystko, co widziała i słyszała, znalazło się za mgłą. Matka Virginia zawołała siostry, a te zawlekły Ładę do łóżka. Wlały jej do ust jakieś zioła, choć wcale nie chciała ich pić. Po chwili wszystko wokół niej ucichło. Zapadła się w ciemność, w której tym razem nie było miejsca na sny. Gdy po raz kolejny otworzyła oczy dwa dni później, rozumiała już, że ten koszmar był jawą. Jej dziecko nie żyło.

**Okręt Królowa Syren,
gdzieś na wodach Zatoki Długiej,
30 brzeźnia roku 2090**

Rejs przebiegał jak dotąd spokojnie. Wilhelm z radością uczył się sztuki żeglowania. Bystry, silny i chętny do nauki młodzian imponował kapitanowi. Płynęli już ponad tydzień i znaleźli się mniej więcej w połowie drogi, gdy pod wieczór niebo na południowym zachodzie pociemniało.

- Szykuje się sztorm - warknął kapitan i zaczął wydawać rozkazy, by przygotować okręt.

Po zachodzie słońca wiatr się wzmógł i zaczęło padać. W krótkiej chwili spokojną taflę morza, którą oglądali przez ostatnich kilka dni, zastąpiły spienione bałwany. Grzywy fal piętrzyły się na kilkanaście stóp, łącząc morze i niebiosa w jedną przerażającą ciemnogrnatową całość. Spienione wody uderzały w Królową Syren jeden po drugim, niemiłosiernie miotając potężnym okrętem, jak gdyby był tylko łupinką orzecha.

Sztorm nie słabł. Woda raz po raz przelewała się przez pokład. Niebo przecinały błyskawice, oświetlając twarze załogantów upiornym blaskiem. Wicher ryczał, zagłuszając krzyki i przekleństwa marynarzy. Dwóch majtków odniosło rany, próbując ratować resztki poszarpanych przez szkwał żagli.

Wilhelmowi zdawało się, że całą wieczność przedzierają się już przez te piekielne odmęty. Blady i całkowicie przemoczony młodzieniec siedział pod pokładem, ściskając swoje tobołki. Gotował się na śmierć za każdym razem, gdy statek unosił się i opadał wraz z kolejną falą. Drewniana konstrukcja łajby trzeszczała przeraźliwie, a każdy trzask wydawał się być tym ostatnim. Kapitan zachowywał względny spokój. Wykrzykiwał z siebie rozkazy przeplatane na zmianę modlitwami i przekleństwami. W pewnej chwili, mijając Wilhelma, krzyknął do niego:

- Co za lichy! Nie pamiętam tu tak silnego sztormu o tej porze roku!

Powiedz no, nie jesteś chyba przeklęty? Mam nadzieję, że to nie ty sprowadziłeś tę burzę?!

Wilhelm łypnął po pokładzie. Nie uważał się za przeklętego przez bogów, choć uczciwie mówiąc, nie mógł zapewnić, że jest ich pupilkiem ani też przykładowym czcicielem. „Słodka pani Askeo, wiem, że nie zasługuję na łaskę żadnego z Dwunastu, ale proszę, uratuj nas! – modlił się w duchu do bogini mór. Powstrzymaj tę burzę! Obiecuję, że jeśli cały i zdrowy zejdem na ląd, zaraz złożę ci ofiarę z jakichś morskich stworzeń!”

Nie poskutkowało od razu. Burza szalała jeszcze kilka godzin. Dopiero o świcie morze zaczęło się uspokajać. Kiedy podliczono straty, okazało się, że wiatr złamał jeden z masztów i zniszczył takielunek. Fale zmyły trzech marynarzy, kilku innych było mniej lub bardziej poranionych. Zielony na twarzy i wyczerpany Wilhelm wyszedł na pokład. Zadrzał, gdy podmuch chłodnego wiatru przeniknął jego mokre ubranie.

- Gratuluję, młodzieńcze. - Kapitan uśmiechnął się przyjaźnie. - Przeżyłeś swój pierwszy sztorm.

- Kiedy dopłyniemy do Nerridy? - spytał, nie mogąc się doczekać zejścia na ląd.

- Do Nerridy? - zdziwił się kapitan. - Zapomnij o Nerridzie, Ledo. Mamy zniszczone ożaglowanie i pozrywane liny. Musimy zawinąć do najbliższego portu, bo jeśli trafi nam się kolejna burza, to po nas. Wiatr zepchnął nas na południe. Płyniemy do Blakownika, teraz tam jest nam najbliżej - poinformował go. - Liczę, że dotrzemy tam najpóźniej za trzy dni.

Kolejne trzy dni Wilhelm spędził, zastanawiając się, gdzie, do wszystkich biesów, jest Blakownik. Pomagając w doraźnej naprawie Królowej Syren, modlił się, by nie trafiła im się kolejna burza.

Czerwieńsk,

31 brzeźnia roku 2090

Lucjusz niewiele zrozumiał z tego, co napisał do niego brat w liście, jaki przywiózł ślaniający się ze zmęczenia posłaniec z kasztelu w Czerwieńsku. Rozkaz był jasny. Filomen, powołując się na specjalne królewskie pełnomocnictwa, nakazywał mu natychmiast przybyć do Czerwieńska, polecając zostawić nawet na jakiś czas dotychczasowe obowiązki. Nie pytając o nic, Lucjusz wyznaczył więc zastępcę i surowo obligując go do rzetelnego wypełniania obowiązków, ruszył w drogę.

Czwartego dnia podróży po zmroku Lucjusz wjechał do miasta. Na wartowni zamku kazano mu czekać. Przynajmniej dostał strawę i napitek, które pozwoliły nieco ochłonąć ze zmęczenia. Filomen pojawił się w końcu. Lucjusz wstał na jego widok i bracia uścisnęli się serdecznie.

- Co takiego się stało, na wszystkich Dwunastu, że wezwałeś mnie aż z Wiśnicza, każąc rzucić wszystko inne? - spytał młodszy z rodzeństwa.

- Nie czas na wyjaśnienia, ruszajmy - rzekł tylko solis.

Przeszli uliczkami pogrążonego w mroku Czerwieńska. Lucjusza zaskoczyło, że Filomen zatrzymał się przed wejściem do podejrzanie wyglądającej gospody. Obeszli chatę i od tyłu weszli do środka. Solis szepnął słówko dziewczynie, która im otworzyła. Jej wygląd nie pozostawiał wątpliwości co do sposobu, w jaki zarabiała na życie. Lucjusz nie zdążył spytać brata, co to wszystko miało znaczyć, bowiem zjawiła się starsza kobieta, najwyraźniej zarządzająca przybytkiem.

- Och, czcigodny ojcze, dobrze, że wróciłeś tak szybko! - powitała ich.

- Nie tak głośno, kobieto! - ofuknął ją Filomen.

- Oczywiście, ojcze, oczywiście. - Szefowa uśmiechnęła się szeroko. - Doskonale rozumiem, twoja tajemnica wymaga dyskrecji! Trafiłeś we właściwe miejsce! W najlepsze! No, chodźmy, chodźmy, moi panowie.

Pchnęła ich w kierunku drewnianych schodków, które zaskrzypiały niemiłosiernie pod ich stopami. Weszli do niewielkiej izdebki. Młoda wątpa dziewczyna o kształtnych piersiach leżała na niezbyt czystym łóżku. Przy jej boku spało spokojnie niemowlę.

- No, jak widzisz, ojcze, twój syn ma się świetnie - zagruchała dumna z siebie właścicielka lokalu. - Nikt nic nie wie, nikt o nic nie pytał.

Rozumiem, że twój krewny zajmie się...

- Mój krewny zajmie się wszystkim - przerwał jej Filomen. - Twoja rola na tym się kończy. Jestem ci niezwykle wdzięczny, Malwinko. - Poufały ton brata zaskoczył Lucjusza chyba nie mniej niż sytuacja, którą powoli zaczynał rozumieć.

- Jeśli chodzi o twoją wdzięczność, ojcze...

- Oczywiście, moja droga. Nie zapomniałem przecież.

Filomen wyjął zza paska sporych rozmiarów trzosik i podał go kobiecie. Zerknął na brata i dostrzegł konsternację w jego oczach. Odezwał się znowu do właścicielki.

- Jeśli nie będzie to z mojej strony przesadą, to mam jeszcze jedną prośbę. - Wyjął kolejną monetę. - Mój krewniak jest zmęczony podróżą. Spraw, proszę, by miał miłą noc.

- Ależ z radością! - Klasnęła w dłonie Malwina. - Zaraz przygotuję najładniejszą z moich dziewcząt. Dostojny pan będzie zadowolony.

Ćwierkając pod nosem, opuściła izbę. Filomen odwrócił się do brata.

- Na Wielkiego Sola! - pisnął Lucjusz. - Ty masz syna?! Jesteś przecież kapłanem! - podniósł głos. - To dlatego wezwałeś mnie, powołując się na rozkaz naj...

- Ciszej! - Filomen chwycił go za ramię. - Nie każ mi nic wyjaśniać. Zrób, jak ci każę.

- Ale...

- Nie ma żadnego ale! - przerwał mu solis. - Pomogłem ci, kiedy nie miałeś dachu nad głową. Dzięki mnie masz intratną służbę i łaskę monarchy. Teraz pora, byś ty zrobił coś dla mnie. Zawieziesz dziewczynę i dziecko do pewnego kasztelu na południu. Tam się nimi zajmą. - Lucjusz przez chwilę trawił słowa starszego brata. Nie mógł mu odmówić. Skinął w końcu głową. - Dziękuję ci, bracie. - Filomen uściśnął go mocno. - Pewnego dnia wszystko ci opowiem, przyrzekam, ale teraz błagam, abyś nigdy nikomu o tym nie pisnął ani słowa.

- Przysięgam na Dwunastu - odparł bez wahania Lucjusz.

Berleujście,

3 kwietnia roku 2090

Żanna weszła do komnaty brata. Stał przy oknie i obserwował ruch na głównym trakcie miejskim, widocznym stąd na odcinku od kramów sukiennych aż po Kowalskie Przedmieście. Zajęci swoimi codziennymi sprawami ludzie jak mróweczki przesuwali się to w jedną, to w drugą stronę.

- Grzeszku? - spytała cicho Żanna i dopiero wtedy odnotował jej wejście. - Czy to prawda, co mówią, że dziecko Łady umarło?

- Tak napisał do ojca Filomen - odparł Grzegorz.

- I wierzysz mu?

- Chciałbym bardzo w to nie wierzyć - przyznał.

- Och, Grzeszku, to takie okropne - jęknęła. - Łada już tyle wycierpiała. Modliłam się, aby choć teraz jej się ułożyło.

- Lepiej módl się za siebie - burknął twardo.

Spojrzał na jej twarz i pożałował swoich słów.

- Przepraszam - poprawił się szybko. - Powinienem cię jakoś pocieszyć.

- Nie, masz rację, Grzeszku - pisnęła. - Ty jeden nie kłamiesz przede mną i mówisz mi prawdę. Wiem, co mnie czeka na Wyspach. To dzikie miejsce.

- Król Ludwik to twardy człowiek. Rządząc tyle lat ludem o twardych karkach, nie może być ckliwy i łagodny - potwierdził. - Ale nie nastawiaj się źle. Mówią, że to sprawiedliwy władca, że nie krzywdzi słabszych. - Żanna spuściła głowę. - Wiesz, jak jest, nie pokonamy naszego losu. Łada spróbowała i widzisz, jaką karę zgotowali jej bogowie.

- Naprawdę sądzisz, że bogowie aż tak nas nienawidzą?

Nie odpowiedział. Podszedł tylko do niej i cmoknął w czoło.

**Blakownik w Królestwie Zażnicji,
po drugiej stronie Zatoki Długiej,**

3 kwietnia roku 2090

Modlitwy Wilhelma do pani Askei chyba w końcu poskutkowały, bo trzeciego dnia po owej burzy około południa Królowa Syren zawinęła do portu w Blakowniku. Wilhelm pożegnał się z kapitanem i poszedł rozejrzeć po mieście. Miał przy sobie tylko dziesięć srebrnych monet, które dostał za konia i kilka miedziaków, które wcześniej zarobił u karczmarza. Cały jego dobytek stanowił miecz i niewielki tobołek, w którym miał kilka drobiazgów, w tym broszę z lampartem, pamiątkę po utraconej rodzinie. Prędzej oddałby życie, niż sprzedał ją za spanie lub jedzenie.

Tak jak przysiągł w swoich modlitwach, postanowił zacząć pobyt w mieście od złożenia ofiary Askei, dziękując za cudowne ocalenie z morskich bałwanów. Obszedł port, próbując porozumieć się z miejscowymi, ale mówili w nieznanym mu narzeczu, które przypominało szeleszczący język z piosenek, jakie Łada śpiewała w noc ognisk. To skojarzenie nie poprawiło mu humoru. W końcu spotkał w porcie kupca, który znał trochę jomsborski, który był podobny do dialektu hazeńskiego, więc zdołali się porozumieć. Wilhelm dowiedział się od niego, że wylądował w porcie należącym do Królestwa Zaźnicji, którym władał jakiś młody król Czcibor. Niewiele go to obeszło. Bardziej zainteresował się faktem, że miejscowi mieli zwyczaj składać swoim bogom ofiary z mew. Pomyślał, że mewa też jest morskim stworzeniem, przynajmniej w pewnym sensie, więc może z braku lepszych darów Askea przyjmie także i mewę jako wotum. Za srebrną monetę nabył zatem ptaka u miejscowego handlarza i z klatką w garści ruszył za miasto.

Wszedł na jedno ze wzgórz, bo zwyczaj nakazywał, aby bogini wód słonych składać ofiary na klifach lub w nadmorskich jaskiniach wyłobionych przez wodę. Rozpalił ogień i postanowił złożyć ptaka w ofierze. Przy pierwszej próbie otwarcia klatki mewa niemal mu uciekła, przy dwóch kolejnych podziobała palce. Wilhelm nie chciał kląć przy oddawaniu czci bogini, ale z trudem się powstrzymywał. Miał już

nawet ochotę po prostu dźgnąć ptaka nożem, choć tego zwyczaj również zabraniał. W końcu udało mu się złapać stworzenie tak, że zdołał skrócić mu kark. Odetchnął z ulgą.

„Przepraszam cię, Morska Pani, jeśli zrobiłem to źle”, zaczął w myślach swoją modlitwę.

Potem, aż do wieczora siedział na klifie, rozmyślając o swoim położeniu. Szeleszczący miejscowy język przypomniawszy mu o Ładzie i to wspomnienie boleśnie go ścisnęło. Co robiła? Czy miała się dobrze? Czy pamiętała jeszcze o złożonej przysiędze? A co działo się z ojcem? Czy zdołał wyleczyć się z rany, jaką odniósł w potyczce tamtego dnia w lesie? W końcu zmęczenie wzięło górę i zasnął na nadmorskiej wydmie. Po raz pierwszy od nocy przed burzą wyspał się porządnie. Śnił o swoim ojcu, który prosił go, by wrócił żywy. Śnił o Ładzie, która spletała kwiaty, śpiewając w szeleszczącym języku. W końcu przyśniła mu się bogini Askea, która powiedziała, żeby nie bał się więcej morza. Gdy o świcie senne wizje odeszły, obudził go głód.

**Reclaw,
Wyspy Kameńskie,
9 kwiecień roku 2090**

Dzielnica elfów zajmowała centralną część miasta. Z portu szło się szeroką ulicą zabudowaną kilkupiętrowymi, murowanymi kamienicami o bogato zdobionych fasadach. Na dolnych kondygnacjach z reguły znajdowały się sklepy i warsztaty rzemieślnicze. Znaleźć tu można było wszystko. Sklepy sukienników sąsiadowały z warsztatami krawców, jubilerzy oferowali swe kunsztowne wyroby. Barwny, wielojęzyczny tłum przewijał się ulicami grodu. Do Reclawia przybywali bowiem kupcy ze wszystkich stron świata. To właśnie tutaj wymieniano towary zarówno z krajów daleko za Morzem Zachodzącego Słońca, jak i z królestw kontynentu. Z tawern dochodziły zapachy egzotycznych potraw. Jeśli już zamówiło się tu wino, to dostawało się wyłącznie najlepszy trunek

z dalekiej Sonenii albo Qannikum leżącego wiele tygodni żeglugi na zachód. W składach i warsztatach dzielnicy elfów zaopatrywali się najbogatsi lordowie Wysp, a nawet zagraniczni monarchowie. Gospodarze przyjmowali jednak z równą uprzejmością i zainteresowaniem najzwyczajniejszych ludzi. Elfy nie znały bowiem ludzkiej pychy i maniery wyższości. U nich wszyscy byli sobie równi, a ten, któremu powodziło się lepiej, obowiązany był pomagać uboższym braciom.

Książę Emeryk Laużycki był jednym z częstych gości w tej części miasta. Lubił przechadzać się wąskimi uliczkami. Zatrzymywał się i gawędził z elfimi kupcami, choć, co przyznawał zawsze z przykrością, ich język znał zbyt słabo, by swobodnie się nim posługiwać. Nie przeszkadzało to przedstawicielom Starego Ludu, z reguły bowiem każdy z nich znał nie tylko kameński, ale także inne języki. Ich umiejętności lingwistyczne zasługiwały na pochwały i dorównywały dziełom kunsztownego rzemiosła.

Emeryk wyszedł z powrotem na główną ulicę Reclawia. Natychmiast tłum go porwał, tak że jego przybocznym trudno było za nim nadążyć. Po chwili dotarł do sporej wielkości placu, przy którym bogate kamienice sąsiadowały ze świątynią Turunala, najpotężniejszą budowlą miasta. Dalej zaczynała się już dzielnica ludzi.

Książę zatrzymał się przed wejściem do jednego z najbogatszych kantorów, który znajdował się dokładnie naprzeciw świątyni. Nakazał swoim sługom zostać na zewnątrz. Musiał poczekać, aż elf w kosztownych szatach skończy rozmowę z młodym piekarczykiem z sąsiedztwa. Potem dopiero, korzystając z zaproszenia, udał się od razu na piętro, do izby właściciela sklepu.

- Mae govannen - wszedł i pozdrowił gospodarza w mowie Starego Ludu, życząc mu dobrego dnia.

Znów pożałował, że tak słabo znał tę trudną mowę. Villegar był na szczęście wyrozumiały i z reguły śmiał się tylko, gdy Emeryk kaleczył język elfów.

- Witaj, drogi kuzynie - odparł Villegar po kameńsku, chcąc wybawić

swego gościa od kłopotliwej sytuacji. – Jakże rad jestem, mogąc znów cię gościć.

Wymienili kilka kurtuazyjnych uwag o pogodzie i stanie morza. Emeryk z troską zapytał Villegara, jak idą interesy. Tak bowiem nakazywał elfi obyczaj. Przejść od razu do sedna sprawy byłoby nietaktem.

– Cóż cię sprowadza do mojego kantoru? – spytał po dobrych kilku minutach Villegar.

– Chciałbym powiedzieć, że to tylko towarzyska wizyta, ale prawda jest taka, że przychodzę cię ostrzec – oznajmił.

Villegar uważnie przyjrzał się księciu. Emeryk pamiętał to spojrzenie od dziecka. Elf był bratem jego babki i od zawsze zarówno jego, jak i jego siostrę traktował bardzo przyjaźnie. Mężczyzna za każdym razem uświadamiał sobie, że szlachetne oblicze jego ciotecznego dziada nie zmieniło się przez te wszystkie lata ani odrobinę. Czas nie miał władzy nad Starą Krwią. Emeryk zastanawiał się niekiedy, czy właśnie nie to było przyczyną nienawiści, jaką wielu ludzi obdarzało rasę elfów.

– Zatem to prawda, że król Ludwik zdecydował się poślubić księżniczkę z Jonki? – Głos Villegara kazał księciu wrócić do rozmowy. – Doszły mnie już te plotki. Wielu moich pobratymców troska się tym, co dzieje się obecnie na dworze Ludwika. Osobiście nie wierzę, by było się czego lękać.

– Lotar z Lemańca jest teraz w łaskach – zauważył Emeryk. – Wiesz lepiej ode mnie, jaki jest jego stosunek do Starej Krwi.

– Kiedy pięć lat temu pożyczał ode mnie złoto na naprawę dachu w swojej hrabiowskiej rezydencji, moja krew mu nie przeszkadzała – odparł elf, uśmiechając się lekko. – Suknie, w które ubiera swoją żonę, także uszyto w pracowniach naszych rzemieślników. Lord Lotar może i jest kanalią, ale myśli pragmatycznie. Wie, że jesteśmy potrzebni Wyspom. Bez nas, naszego złota i naszych wyrobów Kamienia to tylko kilka skał wystających z morza.

– Lotar to fanatyk – poprawił go Emeryk. – A fanatycy mają to do siebie, że nie myślą o konsekwencjach swoich działań.

Villegar roześmiał się i potrząsnął głową.

- Nie przesadzajmy. - Machnął ręką. - Król nie jest głupcem, ceni sobie złoto, które mu zapewniamy. Na dodatek jego syn i następca jest w ósmej części z naszej krwi. To chyba wiele znaczy?

- Jeśli Ludwik ponownie się ożeni, a wszystko wskazuje, że rychło tak właśnie się stanie, to szybko możemy spodziewać się kolejnych książąt - odparł Emeryk. - Kto wie, co postanowi król, jeśli będzie mógł wybierać spośród kilku synów? Nowa królowa też zapewne nie będzie bierna, jeśli stawką w grze będzie dobro jej dzieci.

Villegar spoważniał i nachylił się do swego krewniaka.

- Odkąd przybyłem na Wyspy, widziałem już kilka pokoleń władców - powiedział. - Nigdy dotąd żaden z waszych królów nie ośmielił się złamać zwyczaju i odstąpić od zasady sukcesji najstarszego syna. Ludwik z pewnością także o tym wie - przekonywał. - A gdyby nawet pewnego dnia zapomniał, to, dziękować bogom, ty jesteś w pobliżu, by mu o tym zwyczaju przypomnieć. - Elf położył dłoń na ramieniu księcia i spojrzał mu głęboko w oczy. - Dopóki ty i ja chronimy księcia Andreasza, dopóty nie ma się czego lękać.

Emeryk pokiwał głową. W słowach kuzyna dostrzegł światło nadziei. Królewicz Andreasz był naprawdę jedyną pociechą. Należało zrobić wszystko, aby pewnego dnia zasiadł na kameńskim tronie.

Solar w Czerwieńsku, 26 kwietnia roku 2090

Matka Virginia starała się przeciągać rekonwalescencję księżniczki, jak tylko się dało najdłużej. Czuła, że dziewczynie potrzebny jest teraz spokój. Odkąd Łada nabrała sił na tyle, by wstać z łóżka i wyjść z komnaty, spędzała czas, przesiadując w ogrodzie zielarskim albo w pracowni sióstr. Pomagała przygotowywać wywary i maści. Odnajdowała w tej pracy ukojenie. W murach sanktuarium czuła się bezpiecznie. Modlitwy i praca nadawały mijającym dniom rytm. Nie

marzyła już o ucztach czy turniejach. Nie szukała nagłych porywów serca. Pragnęła tylko spokojnego miejsca w świecie, z którego uleciała wszelka radość.

Virginia rozmawiała właśnie z Filomenem, obserwując przez okno komnaty, jak Łada zbiera zioła w ogrodzie. Z niesmakiem słuchała słów solisa, który przekazywał najnowsze wiadomości z dworu. Od dnia śmierci niemowlęcia patrzyła na niego podejrzliwie, wyczuwając, że nie powiedział wszystkiego.

- Król chyba nie rozumie, w jakim stanie jest jego córka, jeśli żąda, by wracała już na dwór - skwitowała kwaśno to, co usłyszała przed chwilą.

- Najjaśniejszy pan z pewnością wie najlepiej, czego potrzeba księżniczce - poprawił ją Filomen. - Nie zamierzasz chyba kwestionować decyzji jego wysokości?

- Gdybym tylko mogła... - Virginia westchnęła. - Kiedy wyjeżdżacie?

- Jutro o poranku.

- Pozwól przynajmniej, że to ja przekażę księżniczce życzenie ojca - powiedziała twardo.

Virginia zeszła do ogrodu i poprosiła Ładę o rozmowę. Dziewczyna spojrzała na matkę przełożoną, ale nic nie powiedziała. Ostatnio w ogóle niewiele się odzywała. Jej blada twarz miała beznamiętny wyraz.

- Przyszedł list z Berleujścia od twego ojca, księżniczko - poinformowała zwięźle Virginia.

Łada podeszła do kamiennej ławeczki i przysiadła. Spojrzała gdzieś przed siebie pustym wzrokiem. Pomyślała, że zupełnie nie interesowało jej, czego chciał ojciec. Ostatnio miała wrażenie, że cały świat poza murami solaru już jej nie zajmował.

- Wzywa cię na dwór - poinformowała matka przełożona, czując, że tej wiadomości nie da się w żaden sposób złagodzić. - Filomen chce, byście wyjechali już jutro.

Łada skrzywiła się.

- Gdy tu przybyłam, marzyłam o takiej wiadomości - odezwała się po nieznośnie długiej chwili. - Wierzyłam, że ojciec zmieni zdanie i po mnie

pośle, ale teraz wołałabym nigdy więcej go nie oglądać.

- Księżniczko...

- Mówię poważnie - dodała cicho. - Wołałabym tu zostać. - Wstała i zerknęła na Virginie udręczonym wzrokiem. - Matko, proszę...

- Wiem, dziecko, ale co ja czy ty możemy zrobić wobec rozkazu króla? - spytała retorycznie.

Łada skinęła głową. Nie miała siły się buntować.

- Pamiętaj, że zawsze będę się za ciebie modlić, księżniczko, i że zawsze będziesz tu mile widziana. - Matka Virginia przytuliła ją i pocałowała w czoło.

- Jedźmy więc - szepnęła tylko Łada. - Jedźmy. I niech to wszystko diabli porwą.

Zanim Virginia zdołała coś jej odpowiedzieć, księżniczka odwróciła się i powoli ruszyła w kierunku zabudowań solaru.

Opodal Blakownika w Królestwie Zaźnicji, 1 trawnia roku 2090

Po śnie, w którym bogini Askea kazała mu się więcej nie bać, Wilhelm stwierdził, że nie jest tak całkiem przeklęty i że przynajmniej jedna z Dwunastu ma go w swojej opiece i przyjmuje jego ofiary. Postanowił też, że odtąd będzie postępował tak, aby zasłużyć na opiekę pozostałej jedenastki i że dopiero kiedy tak się stanie, zacznie myśleć o powrocie do domu. Póki co proza życia zmusiła go, by znów zszedł ze ścieżki cnoty. Wolał oczywiście uczciwą pracę, ale cóż, skoro jej nie znalazł, musiał radzić sobie inaczej. Głód szybko nauczył go, jak nie odróżniać jedzenia skradzionego od kupionego.

Tego dnia zapolował na zające. Na razie nie szło mu najlepiej. Nareszcie na polance pojawił się zając, a za nim kolejny. Były już blisko pułapki i Wilhelm poczuł w ustach smak świeżego mięsa, gdy nagle jeden szarak stanął słupka, nasłuchując zbliżającego się hałasu. Po chwili drugi również coś usłyszał i oba zniknęły w zaroślach. W pierwszej chwili

Wilhelm wściekł się, gdy również usłyszał z traktu nieopodal donośne głosy i śmiechy.

- I wyobraź sobie: on wchodzi, a tam ja leżę na jego żonie! - wydierał się ktoś. - Nie wiem, które z nas trojga było bardziej zaskoczone.

- A to ci historia! - ryknął śmiechem inny głos.

- Pytam ci ja kobietę, co jej mąż tu robi, skoro ponoć wyjechał do Bogalandu na targ, a ta do mnie, że widocznie dni jej się pomyliły!

Przez kilka sekund Wilhelm miał ochotę ich zamordować za to, że popsuli mu polowanie, zwłaszcza że żołądek znów zaczął mocniej przypominać mu o potrzebie ciepłego posiłku. Po chwili z ogromnym zaskoczeniem odnotował, że doskonale rozumie każde ich słowo. Nie mówili w tutejszym języku. Nie mówili nawet po jomsborsku. Oni mówili czystym, doskonale mu znanym jonkijskim! Wstał i nie myśląc o niczym, wybiegł na trakt tuż przed nich. Jego skórzany kubrak i buty były już podniszczone. Polepione, zmierzwione włosy zwisały mu za ramiona. Przez plecy miał przewieszony łuk skradziony kilka dni temu, przy pasie miecz, a za pasem sztylet.

- Do stu piorunów, rabusie! - krzyknął idący na przedzie człowiek, w którego głosie Wilhelm rozpoznał mężczyznę chwającego się przygodą z kochanką. - Do broni, panowie!

- Nie! - wrzasnął szybko Wilhelm, rozumiejąc, w jakiej znalazł się sytuacji. - Jestem sam! I nie mam złych zamiarów!

Podniósł ręce, ale to niewiele mu pomogło, bo jeden z pachołków już mierzył do niego z łuku.

- Przysięgam, nie chcę was okraść! - Wilhelm wyrzucał z siebie kolejne słowa. - Przybiegłem, bo usłyszałem...

- Wstrzymajcie się! On mówi po naszymu! - odezwał się do towarzyszy jeden z mężczyzn.

Najwyraźniej zrobił to o sekundę za późno, bo jakaś strzała wypuszczona przez kogoś za nim ze świstem przeleciała wzdłuż traktu i utkwiała w piersi Wilhelma nieco poniżej serca.

Wiśnicz,

7 trawnia roku 2090

Nagły wyjazd Lucjusza zmartwił Bognę. Gwardzista nie wyjaśnił jej niczego. Po prostu pewnego poranka dowiedziała się od zastępującego go zbrojnego, że Lucjusz wyjechał w pilnej sprawie wagi państwowej. Bogna poczuła ukłucie. Przez całą zimę ich stosunki stawały się coraz bardziej serdeczne. W końcu stali się sobie bliscy. Nikt na zamku nie wiedział, co ich łączyło. Oboje starali się zachować w tajemnicy jej wieczorne wizyty w jego kwaterze. Bognie zdawało się, że zaczęła coś dla niego znaczyć, dlatego jego zachowanie sprawiło jej przykrość.

Królowa Ofka natomiast nie posiadała się z radości. Dzięki nieobecności dowódcy gwardii miała więcej swobody, zwłaszcza, że wyznaczony przez niego zastępca od dawna przyjmował od niej łapówki. Mogła więc bezkarnie sprowadzać kupców i jubilerów.

Czar prysł, kiedy wierzyciele znów zapukali do bram zamku w Wiśniczu. Co prawda jesienią król zgodził się spłacić długi żony, ale w liście, jaki otrzymała z jego kancelarii podkreślono, iż czyni to po raz ostatni. Mimo tego Ofka nie zdołała powściągnąć swoich nawyków i nadal trwoniła majątek w trudny do uwierzenia sposób. W efekcie okazało się, że jest zadłużona po uszy.

- Jeżeli do Letniego Przesilenia nie spłacisz, pani, choć połowy długu, zmuszeni będziemy zażądać zajęcia twoich dóbr - zagroził w końcu bankier, który tego dnia znów stanął przed jej obliczem.

- Masz chyba świadomość, że mówisz do królowej? - odparła nonszalancko.

- Oczywiście, miłościwa pani. - Ukłonił się stosownie do jej rangi. - Tylko z uwagi na twój status do tej pory nie żądaliśmy licytacji. Niemniej dłużej czekać nie możemy.

Bankier ukłonił się przed Ofką i wyszedł. Królowa westchnęła przeciągle.

- Przyślij skrybę - nakazała Bognie. - Musimy napisać na dwór.

- Najjaśniejszy pan może nie chceć więcej spłacać twych długów, pani - odezwała się dwórka. - Już poprzednim razem wpadł w gniew, gdy bankierzy przedstawili mu twoje weksle, królowo.

- Tak sądzisz, moja duszko?

Ofka przyjrzała się uważnie dziewczynie. Przeszła się po komnacie. Przez chwilę namyślała się, po czym w końcu oświadczyła:

- Pakuj kufry, wyruszamy.

- Pani, wybacz, ale nie wolno ci opuścić Wiśnicza! - pisnęła Bogna.

- A kto mnie zatrzyma? Ten pies Lucjusz uciekł z podkulonym ogonem. - Ofka uśmiechnęła się pod nosem, nie zwracając nawet uwagi na smętny grymas, który przebiegł po twarzy dwórki. - Skoro Henryk nie chce płacić za moje długi, pokażę mu, jakie ma inne wyjście. Jedziemy na dwór.

- Królowo... - jęknęła Bogna. - Czy to rozsądne? Nie powinnyśmy drażnić w taki sposób jego wysokości!

- Kto jak kto, ale akurat ja nie muszę już obawiać się gniewu Henryka - odparła tylko.

Berleujście, tego samego popołudnia

Podróż z Czerwieńska do siedziby rodowej Henryka trwała z reguły cztery dni. Tym razem zajęła ponad tydzień. Ku utrapieniu Filomena księżniczka przeciągała ją, symulując, że źle się czuje. W końcu mimo wszystko dotarli na miejsce. Wjechali do miasta Bramą Czerwoną. Łada wyglądnęła przez okienko powozu, chcąc sobie przypomnieć tamto spotkanie sprzed niemal roku. Powóz wtoczył się na zamek bramą od strony głównego traktu. Wsiadając na dziedzińcu zamku, w którym się urodziła i wychowała, Łada czuła się nieswojo. Wydawało się jej, że jest już zupełnie inną osobą niż dziewczyna, która blisko rok temu, tamtego popołudnia postawiła wszystko na jedną kartę, wymykając się z ukochanym boczną bramą.

Z ulgą odnotowała, że wśród kilkorga oczekujących osób nie było ojca. Bez słowa powitała Zannę i Grzegorza. Trzymając ich za ręce, ruszyła powoli w kierunku swoich komnat. Później przeprosiła ich, tłumacząc, iż chce wypocząć po podróży. Leżała na łożu, wpatrując się w sufit i słuchając dochodzącego zza okna zgiełku miasta. Odczytywała się od niego. Bardzo brakowało jej ciszy czerwieńskiego solaru przerywanej jedynie śpiewem ptaków albo modlitwami soliss. W końcu usłyszała z korytarza wołanie gwardzisty.

- Jego królewska wysokość Henryk!

Wstała niechętnie, wygładziła fałdy sukni i stanąwszy na środku komnaty, wpatrywała się w drzwi, które otworzyły się powoli. Król wszedł do środka, odetchnął głęboko i delikatnie się uśmiechnął.

- Wasza królewska wysokość. - Łada skłoniła się nisko.

- Moje dziecko, jesteś znowu z nami - szepnął.

W pierwszej chwili nie odpowiedziała. Oczy miała spuszczone.

- Wierzyłam, że mój król pozwoli mi zostać jeszcze w solarze - odezwała się po chwili. - Gdyby najjaśniejszy pan rozważył raz jeszcze swoją decyzję i pozwolił mi tam wrócić.

- Łado, proszę... - przerwał jej Henryk. - Nie możesz dłużej ukrywać się przed światem, jesteś potrzebna tutaj.

- Potrzebna, panie? - spytała, podnosząc wzrok.

- Filomen nie mówił, dlaczego nakazałem ci wrócić?

Potrząsnęła głową.

- To i lepiej - powiedział król. - Usłyszysz to ode mnie. W Hazenii jest niespokojnie, odkąd umarł Jerzy...

- Oby bogowie karmili ich obu miodem - syknęła, przerywając ojcu.

Przez moment dojrzał w jej oczach dziwny błysk, patrzyła teraz na niego hardo.

- Oby. - Skinął głową, po czym wrócił do tematu: - Muszę nadać Hazenię jego synowi, temu młodemu Krzysztofowi, ale nie jestem go pewien. Dlatego należy poczynić pewne kroki, by związać go silniej z moim dworem. Z koroną. By być pewnym, że będzie postępował zgodnie z moją wolą i dlatego... - spodziewając się jej gwałtownej

reakcji, zrobił krótką pauzę, zanim dokończył – dlatego postanowiłem wydać cię za mąż za Krzysztofa.

Łada zamrugła oczami. Spuściła głowę, powoli odwróciła się do niego plecami i podeszła do otwartego okna. Przez jedną krótką chwilę królowi przemknęła przez głowę straszna myśl i zastanawiał się, czy nie zawołać strażników, którzy stali przed komnatą. Łada jednak znów stanęła twarzą do niego.

– Jak mój król rozkaże. – Skłoniła się przed ojcem.

Jej spokojna reakcja zaskoczyła go. Odetchnął z pewną ulgą. Lekko się uśmiechnął i postąpił krok naprzód, rozkładając ręce, jakby chciał ją do siebie przytulić. Odsunęła się od niego gwałtownie i znów dygnęła.

– Córko... – szepnęła.

– Wybacz, najjaśniejszy panie. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Jesteś moim królem i przyrzekam, że odtąd nie sprzeciwię się twojej woli. Nie chcę, by więcej inni płacili za moje winy – mówiła stanowczym tonem. – Lecz wiedz, że nie jesteś już moim ojcem. Rozkazałeś zabić mojego męża, moje dziecko umarło – wyliczyła. – Rozumiem, tak musiało się stać dla dobra interesów korony. Postąpiłeś jak król, ale nie jak ojciec.

Henryk stał jak porażony gromem, chyba nikt nigdy nie odważył się tak do niego mówić. Od słów jeszcze bardziej ranił go jej wzrok – nieustępliwy, pełen żalu i gniewu, a jednocześnie spokojny. Zaskoczyło go to o wiele bardziej niż myśl o samobójstwie starszej z córek.

– Za pozwoleniem, najjaśniejszy panie – odezwała się znowu. – Zbliża się wieczór, chciałabym jeszcze udać się do solaru na krótką modlitwę. – Ukłoniła się przed nim i powoli, dumnym krokiem opuściła komnatę, zostawiając go samego.

Blakownik w Królestwie Zażnicji,

8 trawnia roku 2090

Minęło osiem dni, odkąd na trakcie pod Blakownikiem przypadkowo wystrzelona strzała ugodziła Wilhelma. Sama w sobie nie zrobiła mu

wielkiej szkody, przebiła tylko kąt płuca pod żebrami. Mimo to chłopak stracił sporo krwi, a na dodatek po dwóch dniach zaczął gorączkować. Kupcy na tyle czuli się winni owego wypadku, że zajęli się nieznanym im młodzieńcem, który dziwnym trafem znalazł się w lesie w dalekim kraju i mówił płynnie w ich języku. Co więcej, jak sami sprawdzili, w jego bagażu znajdowała się ozdoba, którą kojarzyć można było tylko z herbem rodu książąt Hazenii.

Wilhelm leżał w karczemnej izbie w łóżku z obandażowaną piersią. Na stoliku stały fiolki z naparami, jakie miejscowa zielarka przygotowała dla niego, a które miały ostudzić gorączkę trawiącą go przez pięć minionych dni. Czasem wydawało mu się, że jest w domu i że matka gładzi jego czoło, tak jak robiła to, gdy jako dziecko zachorował na płuca i wszyscy oprócz niej myśleli, że nie przeżyje. Innym z kolei razem widział, jak nachyla się nad nim księżniczka Łada i zmienia mu kompres na czole, mówiąc coś w swoim dziwnym, szeleszczącym dialekcie Starej Lirwelii. Znów poczuł falę szczęścia, gdy przed oczami ukazały mu się obrazy ich wspólnej konnej przejażdżki. Potem przyśnił mu się, nie wiedzieć czemu, Taor, bóg handlu i opiekun kupców, do którego jako syn rycerza nigdy się nie modlił, i powiedział mu, że kupcy, którzy mu pomogli, potrzebują ochrony. Chwilę później odzyskał świadomość. Czuł, że gorączka opuściła jego ciało, choć był tak słaby, że nie mógł nawet podnieść powiek.

- Julius, myślisz, że on ma z tym coś wspólnego? - usłyszał nad sobą nieznaną głos.

- Nie wiem, ale skąd u chłopaka mówiącego po jonkijsku na samym końcu cywilizowanego świata taka ozdóbka? - odparł inny głos, który Wilhelmowi przypominał o człowieku opowiadającym na trakcie historię przyłapania przez męża kochanki.

- Jest zbyt młody, by można sądzić, że miał coś wspólnego ze śmiercią księcia, jego syna i kilkorga ich służących - przekonywał inny. - Sam by tego nie dokonał, gdyby był z kimś innym, to nie on miałby taki skarb.

- Może po prostu okradł trupy?

- Co za niedorzeczność, Urcjanie... I uciekłyby z tym na koniec świata zamiast spieniężyć u pasera w najbliższym mieście? - zdziwił się znów. - Ja mam inne wytłumaczenie.

- Jakie?

- Ciała były spalone, prawda?

- I co z tego?

- A to, że jak spalisz trupa, to go nikt nie rozpozna. Nie rozumiesz, druhu?

Wilhelm zupełnie nie rozumiał, o czym oni mówią, choć coraz bardziej był świadomy. Mruknął coś, poruszył się na łóżku i w końcu otworzył oczy.

- Ciszej, budzi się nareszcie. Wrócimy do tego kiedy indziej! - Julius kazał im zamilknąć, po czym zwrócił się do Wilhelma: - No i jak się masz, synku?

Kilka dni minęło, nim Wilhelm był na tyle silny, by wstać z łóżka. Kupcy okazali się faktorami jonkijskiej kompanii handlowej, prowadzili kantor w Blakowniku. Tamtego dnia wracali z Chyllonii, dokąd odtransportowali klejnoty, jakie zamówił daleko na wschodzie Henryk Lirwelijczyk. Mężczyzna, którego Wilhelm nazywał w myślach kochankiem, miał na imię Julius, a jego towarzyszami byli Urcjan i Wojcisz.

- A ty kiedy nam w końcu powiesz, co robiłeś na trakcie na skraju świata, młody Ledo? - spytał Julius, gdy wracali z kantoru do karczmy. - Chcielibyśmy wiedzieć coś o tobie, jeśli naprawdę zamierzasz z nami jechać w kolejną podróż.

- To długa historia - odparł tylko Ledo, który coraz częściej sam tytułował się tym wymyślonym imieniem, zwłaszcza w chwilach, gdy inni zwracali się tak do niego.

- Nawet nie pytasz o nowiny z ojczyzny? - zagadnął znów Julius.

- Z tego co mówisz, król Henryk żyje i ma się dobrze, niech Regul ma go w opiece. - Młodzieniec wzruszył ramionami.

- Ale ważne rzeczy się dzieją. Książę Obojga Hazenii nie żyje - oznajmił Julius, badawczo przyglądając się chłopakowi.

Wilhelmowi w jednej chwili znów przypomniało się, kim jest naprawdę. Zgubił krok i pobladł.

- Jak to nie żyje? - spytał cicho. W myślach aż mu się zakotłowało. „Zatem rana ojca była poważniejsza, niż się przyznawał. A może stryjowie zaplanowali kolejną zasadzkę?”

- Różnie ludzie gadają. Jedni twierdzą, że go dopadli bracia i bratankowie, inni, że sam zabił swego syna, a potem siebie przebił mieczem...

- Zabił syna... - powtórzył Wilhelm, nie rozumiejąc nic poza tym, że jego ojciec nie żył. - Czy o tym rozmawialiście, gdy się przebudziłem z gorączki?

- Słyszałeś?

- Co nieco - przyznał. - Proszę, opowiedz mi wszystko, co wiesz o śmierci Jerzego von Kolbie.

- Dobrze, dostojny panie. - Julius skinął głową, chcąc sprowokować młodzieńca.

- Nie! Ja nie jestem szlachetnie urodzony - zaprzeczył szybko Wilhelm.

- Więc kim ty jesteś? - spytał Julius. - Nie jesteś synem dostojnego pana Jerzego von Kolbie?

- Sam powiedziałeś, że syn księcia nie żyje - powiedział smutno Wilhelm i ruszył dalej przed siebie.

Nie dokończyli tej rozmowy. Wieczorem w izbie karczemnej, którą wciąż opłacał dla niego Julius, Wilhelm wyjął ze swojego tobołka broszę z symbolem rodu i na chwilę przypiął ją do podniszczonego kubraka.

- Ojczy... - szepnął, a łzy napłynęły mu do oczu. -Przysięgam ci, ojczy, że kiedyś zasłużę na to, co dla mnie zrobiłeś. Spłacę ten dług, przyrzekam. - Skulił się w sobie i zapłakał.

Berleujście,

9 trawnia roku 2090

Żanna przygotowywała się już do podróży do Trantu, skąd miała pożeglować na Wyspy Kameńskie. Czekał już na nią przyszły mąż, król Ludwik. Bardzo uradowało ją, że Łada zdążyła wrócić na dwór. Wierzyła, że starsza siostra znajdzie jakieś rozwiązanie problemów, z którymi przyszło się Żannie mierzyć. Niestety Łada, która wróciła z Czerwieńska, zdawała się inną niż ta, którą młodsza z sióstr pamiętała. Im bardziej się jej przyglądała przez minione dwa dni, tym bardziej dochodziła do wniosku, że wyglądała na wiele więcej niż jej niecałe siedemnaście lat. Choć wciąż była piękną młodą dziewczyną, to w jej oczach gościł smutek.

- Jesteś gotowa? - Wejście Łady przerwało rozmyślenia Żanny. - Powozy czekają.

Młodsza z sióstr spojrzała z wyrzutem na starszą.

- Kiedy usłyszałam, że wracasz, pomyślałam, że zrobisz coś takiego, bym nie musiała wyjeżdżać - poskarżyła się Żanna.

- Wbrew temu, co o mnie powiadają, nie mam magicznych mocy - odparła sucho.

Chłód, z jakim Łada wygłosiła to zdanie, poraził Żannę.

- Boisz się wyjść za tego Krzysztofa, prawda? - spytała wprost Żanna.

- Nie zadawaj mi takich pytań - prychnęła. - Powinnaś już chyba wiedzieć, że miłościwy pan nie bierze pod uwagę naszych uczuć, kiedy wybiera nam mężów.

- I dlatego, że sama nie zaznałaś szczęścia, życzysz mi tego samego losu? - spytała z wyrzutem.

Łada przeszła się po komnacie siostry.

- Zaznałam bardzo wiele szczęścia - odparła, patrząc w dal przez otwarte okno. - Zaznałam miłości mężczyzny, który mnie kochał i nosiłam pod sercem jego dziecko. Ale za każdą kroplę szczęścia płaci się wysoką cenę. Tamta dziewczyna, którą byłam, umarła. Ta, która żyje teraz, nie zna szczęścia i nie poszukuje szczęścia.

- Stałaś się zgorzkniała...

- Przede wszystkim stałam się silna - poprawiła siostrę. - Straciłam męża i dziecko. Wiem, że nic, co mi uczynią, nie będzie już gorsze, a to

czyni mnie bardzo silną. Tak silną, że pewnego dnia uderzę moich wrogów, tych, którzy odebrali mi Wilhelma, i ich ukarzę.

- To mogą tylko bogowie - szepnęła Żanna.

- Bogowie nie dbają o nas.

Łada podeszła do siostry i spojrzała jej w oczy, dostrzegając w nich obawę. Przytuliła ją mocno do siebie i dodała:

- Wyzbądź się strachu. Wtedy staniesz się niepokonana.

Długo siostry tuliły się do siebie. Potem Łada objęła Żannę ramieniem i poprowadziła ją na dziedziniec, gdzie czekały już powozy.

Czerwieńsk,

10 trawnia roku 2090

Dafne przetrwała zimę dzięki temu, że najęła się na służbę w bytowskim zamku dostojnego pana Jacobsona. Nie czuła się tam dobrze. Traktowano ją jak obcą. Akcent, kolor włosów, uroda - wszystko to zdradzało jej lirwelijskie pochodzenie. Nigdy wcześniej nie zdawała sobie nawet sprawy, jaką wagę ludzie przywiązywali do kwestii pochodzenia. Przecież mówili jednym językiem, może tylko trochę w inny sposób. Mieli tego samego króla. Formalnie wyznawali wiarę w tych samych bogów. Mimo tych wszystkich podobieństw tak chętnie podkreślali różnice. Nazywali ją przybłądą albo wręcz dziką. Bycie Lirwelijczykiem oznaczało bycie gorszym. Czasami miała ochotę wykrzyknąć innym posługaczkom, że przecież sam król pochodził z Lirwelii. Wtedy uświadamiała sobie, że wcale się z tym królem nie identyfikowała. Był w jej świecie jakimś obcym, odległym bytem, który wspierał solisów, sprawców jej nieszczęścia.

Nie lubiła zamku także z innego powodu. Wszystko tutaj było kamienne, chłodne. Owszem, kamień także skrywał swą moc, ale nie miał w sobie życia. Nie płynęły w nim życiodajne soki. Brakowało jej światła, zieleni, szumu wartkich strumieni i dźwięków lasu, jego zapachów. „Byle do wiosny”, powtarzała sobie, zaciskając zęby.

Zima okazała się zbyt surowa, by samotna dziewczyna mogła przetrwać w lesie. Nigdy nie lubiła zim. Las o każdej porze roku miał swoje dźwięki. Zimą śnieg tłumiał wszystkie odgłosy. Każda pora roku miała swoje kolory, oprócz zimy, która wszystko barwiła na biało. Należało przeczekać i dopiero wiosną wyruszyć dalej.

Gdy tylko mróz odpuścił, a śniegi stopniały, Dafne niepostrzeżenie wymknęła się z zamku pewnego poranka i ruszyła przed siebie. Tułała się przez blisko dwa księżyce, sypiając pod gołym niebem, korzystając z darów lasu i unikając ludzkich siedlisk. Nie chciała już ufać ludziom. Nie po tym, jak za ratunek dla córki odwdzieczyła się jej żona karczmarza. Mimo to nie żałowała, że użyła swego daru i uratowała życie małej Rigel. Matka wielokrotnie powtarzała, że daru należy używać, by pomagać, a nie by zyskać sławę czy pieniądze.

Był deszczowy, chłodny dzień, gdy Dafne stanęła nad brzegiem potężnej rzeki. Widywała Fiuminę w okolicach Berleujścia, lecz Fiumina w Lirwelii i Fiumina w dolnym biegu to były dwie różne rzeki. Dziewczyna nigdy dotąd nie widziała tak szerokiego koryta. Po wiosennych roztopach wody nieco wezbrały i nawet bród opodal Czerwieńska można było przekroczyć tylko promem. Dafne przeprowiła się na drugi brzeg, po drodze uważnie obserwując posępne gmaszysko sanktuarium, które czatowało nad rzeką jak drapieżny ptak nad ofiarą.

Minęło już wiele dni, odkąd ostatnio mijała jakieś miasto. Musiała uzupełnić zapasy i zarobić nieco monet. Udała się do miejscowego medyka, proponując mu sprzedaż ziół, ale przepędził ją. Poszła więc na targ, ale i tam nie dopisało jej szczęście. Miało się już ku wieczorowi, gdy głodna i zmęczona postanowiła opuścić miasto.

- A może masz na sprzedaż inny towar, hm? - usłyszała za sobą głos. Odwróciła się i dostrzegła mężczyznę w średnim wieku. Zdawało się jej, że wcześniej rozmawiała z nim, zapewne był jednym z kupców na targu. Teraz wyglądał, jakby już odwiedził karcznię. - No, mówię do ciebie, dziewczyno, chcesz zarobić?

- A co miałabym zrobić?

Mężczyzna zarechotał. Po chwili podszedł do niej.

- Nie udawaj, że nie wiesz - mruknął. - Taka ślicznotka z pewnością wie...

Swoją tłustą łapą złapał ją za pierś. Odepchnęła go.

- O, jaka dzika! - roześmiał się, jeszcze bardziej rozochocony jej zachowaniem.

Próbowała odwrócić się i uciec, ale złapał ją za płaszcz. Pisnęła, szarpiąc się z nim. Odpięła haftkę pod szyją i oswobodziwszy się z płaszcza, ruszyła pędem przed siebie. Słyszała tylko, jak wykrzykiwał za nią przekleństwa. W jej zielonych oczach zabłyśły łzy. Przebiegła jakąś boczną uliczką, po czym zatrzymała się, skuliła w sobie i zapłakała.

- Nie płacz, już wszystko w porządku, moje dziecko. - Ciepły, kobiecy głos zadziałał kojąco. Podniosła się i spostrzegła obok siebie dwie solissy. Starsza z nich uśmiechnęła się i dotknęła chusteczką twarzy Dafne. - Tak lepiej - stwierdziła spokojnie matka Virginia, otarłszy łzy z jej policzków. - Słyszałam, że chciałaś sprzedać zioła. W naszej pracowni właśnie skończyło się kilka gatunków. Gdybyś miała...

- Nic za darmo, solisso - odparła hardo Dafne. - Znam waszą pazerność. Liczcie, że ludzie przyniosą wam wszystko pod nos.

Rzadko odnosiła się tak do ludzi, ale tego popołudnia gorycz i zmęczenie wzięły górę nad dobrymi manierami.

- Oczywiście, że nie wezmę od ciebie nic za darmo. - Virginia uśmiechnęła się przyjaźnie. - Na początek zaproszę cię do nas na wieczerzę, a potem, przy grzanym miodzie, będziemy mogły omówić warunki naszej współpracy. To co: idziesz z nami czy wolisz spędzić noc na ulicy?

Virginia dłuższą chwilę stała, uśmiechając się delikatnie. W jej orzechowych oczach Dafne odczytała spokój i dobroć.

- Przepraszam, nie powinnam była tak do ciebie mówić - burknęła cicho.

Virginia objęła ją przyjaźnie ramieniem i poprowadziła w kierunku bramy miasta, za którą wiodła droga do sanktuarium.

Berleujście,

10 trawnia roku 2090

Wiadomość, którą tego popołudnia poblady dworzaniin przekazał najjaśniejszemu panu, sprawiła, że oblicze króla raptownie zmieniło barwę. Najpierw szkarłatna plama pojawiła się na jego szyi tuż nad krawędzią tuniki, by szybko objąć twarz monarchy. Krew zalewała policzki, pulsując wściekle w skroniach. Zebrany w komnacie audiencyjnej doradcom, z którymi omawiał szczegóły ceremonii zaślubin starszej córki, zdawało się, że jego wysokość zaraz dostanie ataku apopleksji.

- Do stu czartów! - ryknął władca.

Wstał i kilkoma potężnymi susami dopadł drzwi komnaty. Przyzwyczajeni do jego ataków furii służdy rozstępowali się, gdy zamaszystym krokiem parł w kierunku prywatnych komnat królowej, które podobno właśnie znów zyskały lokatorkę. Myśli szybko krążyły mu po głowie. Wizyta Ofki była mu bardzo nie na rękę. Pomijając już fakt, że złamała jego wyraźny rozkaz, król obawiał się plotek, których wolałby uniknąć. Gdy przebywała z dala od dworu, trudniej było zweryfikować oficjalną wersję o jej szaleństwie.

Wchodząc, odetchnął głębiej, próbując opanować gniew. Po chwili Ofka wychynęła ze swojej alkowy.

- Henryku - przywitała go spokojnym tonem.

Wlepił w nią spojrzenie swoich błękitnych oczu, w których wciąż błyskała złość. Odnotował, że wyglądała na więcej niż trzydzieści cztery wiosny, które sobie liczyła. Była też o dobre dwadzieścia funtów cięższa niż kiedy widział ją po raz ostatni.

- Wiesz, że nie jesteś tu mile widziana, pani - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Lepiej opuść to miejsce.

- Zapominasz, mężu, że to moje komnaty - odparła hardo.

- Ale zamek jest mój - przypomniał. - Już raz ci powiedziałem, że nie chcę cię gościć na moim dworze.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami.

- Czego tym razem chcesz? - spytał w końcu Henryk znużonym głosem.

- Chciałam tylko pożegnać córki, zanim opuszczą dwór. Ostatnim razem nie było mi to dane - oznajmiła.

- Spóźniłaś się - oznajmił. - Żanna wyjechała wczoraj.

- Zatem spotkam się chociaż z Ładą - upierała się królowa. - Przyznasz, że matka powinna udzielić córce kilku rad przed zamążpójściem?

- Łada obędzie się bez twoich wskazówek - warknął. - Nie waż się choćby do niej zbliżyć.

- Co jesteś mi gotów dać w zamian? - spytała spokojnie. - Jak wynagrodzisz mi ból matczynego serca?

Łatwość, z jaką gotowa była przehandlować spotkanie z córką, pozwoliła mu zrozumieć prawdziwy cel wizyty żony.

- Zatem tak naprawdę znów chodzi o złoto? - zapytał. - Ile tym razem długów narobiłaś?

- Trzydzieści tysięcy sztuk złota powinno wystarczyć - odparła bez cienia zażenowania.

- Bogowie! - prychnął Henryk. - Taniej byłoby mi odesłać cię do solaru. - Przemierzył komnatę w tę i z powrotem, analizując fakty. - Nie dostaniesz złamanego miedziaka - oznajmił w końcu.

- Henryku! - pisnęła.

- Cisza! - huknął na nią tak, że aż się skuliła. - Nie dam ci złota, za to dostaniesz ode mnie inny prezent - dodał po chwili spokojniejszym tonem. - Dam ci oddział łuczników, którzy wyjadą z tobą do Wiśnicza jako eskorta i będą mieli rozkaz pilnować, abyś nigdy więcej nie pomyślała o opuszczeniu zamku. Pozwoliłbym im nawet strzelać na wypadek, gdybyś spróbowała, ale obawiam się, że moi poddani źle by o mnie pomyśleli...

- To już przesada! - wtrąciła znowu.

- Przesadą byłoby, gdybym kazał powlec cię do Wiśnicza za końmi - warknął w odpowiedzi. - Choć nie ukrywam, że przemknęło mi to przez myśl.

Henryk odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi. Uśmiechnął się nagle, gdy nowy pomysł pojawił mu się w głowie.

- Jeszcze jedno, żono - zwrócił się do niej ponownie - utrzymanie łuczników zostawię na twojej głowie. Powinno ci wystarczyć z renty, którą co kwartał dostajesz, o ile oczywiście nieco powściągniesz inne wydatki.

- Henryku... - jęknęła błagalnie.

- Jeśli mogę coś ci po przyjacielsku doradzić, to nie spóźniaj się z płaceniem im żołdu - rzucił na pożegnanie król. - Oni bardzo tego nie lubią.

Ofka z wrażenia aż przysiadła.

Henryk pieklił się do samego wieczora. Swój gniew wyładował głównie na Filomenie, który był przecież bratem dowódcy straży zamkowej w Wiśniczu. Dopiero gdy solis wyjawiał przyczynę, dla której Lucjusz opuścił swój posterunek, monarcha zrezygnował z ukarania gwardzisty. Potem nie wracali już więcej do tej sprawy.

Mimo starań władcy wiadomość o przyjeździe królowej dotarła pod wieczór do Łady. Księżniczka wahała się przez chwilę. W końcu zwyciężyła chęć zobaczenia matki. Przecława próbowała ją powstrzymać, przestrzegając przed gniewem ojca, ale to tylko wzmocniło jej postanowienie. Idąc korytarzami zamku, zastanawiała się, co powinna jej powiedzieć. Potrzebowała zwierzyć się komuś ze swych uczuć. Przez chwilę pomyślała, że niespodziewane przybycie Ofki akurat w tym momencie jest znakiem od bogów.

Wprowadzono ją do apartamentów królowej. Od wyjazdu Ofki z dworu rzadko ktoś tu bywał. Łada rozejrzała się uważnie. Uderzyła ją pustka, wyposażenie komnaty wyglądało nader skromnie. Za to pod ścianami piętrzyły się kufry, których służba nawet nie rozpakowała. W końcu dziewczyna utkwiała wzrok w kobiecie siedzącej za suto zastawionym stołem. Matka zmieniła się bardzo, nie dało się tego nie zauważyć.

- Uwierzyć własnym uszom nie mogłam, gdy mi powiedzieli, kto mnie

odwiedził – burknęła Ofka, wycierając tłuste palce w obrus. – Kredą w kominie każę zapisać wizytę takiego gościa.

Opróżniła kilkoma łykami puchar z winem i ociężałym ruchem wstała. Miała na sobie kosztowną suknię i pas wysadzany szmaragdami. Łada przypomniawszy sobie, że na dwór od czasu do czasu przychodziły informacje o rozrzutności Ofki.

– Zbliź się, moje dziecko – nakazała królowa. Łada postąpiła kilka kroków w jej kierunku. – No proszę, wydorosłaś. Jesteś kobietą. Powiedz mi, córko, prawda to, co powiadają o tobie i tym książątku z Hazenii?

Łada wlepiła w nią wzrok. Nie odpowiedziała.

– No co, kot odgryzł ci język? – spytała znów matka. – Kiedyś nie byłaś taka milcząca. Zawsze miałaś coś do powiedzenia.

– Miłowałam Wilhelma – szepnęła. – Ojciec kazał go...

– Głupia... – parsknęła królowa. – Sądziłaś, że twój ukochany ojciec pozwoli ci na miłostki? Myślałam, że akurat ty masz więcej rozumu – mruknęła Ofka. Wróciła na swoje miejsce i rozparła się na krześle. Podniosła kielich, dając znak podczasem, że czas już ponownie go napełnić. Upiła spory łyk, gdy chłopak wykonał jej polecenie. – Widzisz, przypadł nam ten sam los, córko.

– Jak możesz?! – warknęła w końcu Łada. – Nie zasłużyłam na to! Nie zrobiłam tego, co ty.

– Nie? Doprawdy? – uśmiechnęła się dziwnie matka. – Wybrałaś miłość ponad lojalność wobec króla – stwierdziła po chwili. – Jesteś tak samo winna, jak ja. I tak samo, jak ja doświadczyłaś tego, jak nasz władca odplaca za miłość i oddanie. Przykro mi, że to właśnie ja muszę ci to powiedzieć, ale obawiam się, moja śliczna, że to nie koniec twojej kary. Najjaśniejszy pan z pewnością zadba o to, żebyś jeszcze długo pamiętała o swojej winie. Czyż nie po to postanowił wydać cię za brata tego nieszczęśnika?

Łada spojrzała na nią wzrokiem kogoś, kto patrzy na swój płonący dom. Dygnęła i szybkim krokiem opuściła komnatę matki. Wróciła do swojej izby. Spojrzała w okno, obserwując pustym wzrokiem zasypiające

powoli miasto u stóp zamku. Gorycz, jaką zaprezentowała Ofka, podziałała jak kubek zimnej wody. Czy ją także czekał ten sam los? Skuliła się na łożu, otulając ramionami. Przymknęła oczy, starając się powstrzymać łzy.

Następnego dnia, przechodząc przez krużganki, Łada spostrzegła matkę ponaglającą służbę. Kufry, które dziewczyna widziała poprzedniego wieczoru pod ścianą komnaty królowej, właśnie ładowano na wóz. Księżniczka zeszła na dziedziniec i podeszła do Ofki.

- Przemyslałam sobie to, co mi wczoraj powiedziałaś, matko - zaczęła, patrząc jej prosto w oczy - i sądzę, że jest jednak między nami spora różnica. Ja nie zapomniałam, czym jest miłość i nigdy nie zapomnę. Do końca życia będę z dumą nosiła w sercu uczucie, którym obdarzył mnie Wilhelm von Kolbie.

Ofka podeszła do niej bliżej i wyciągnęła rękę. Pogładziła ją po policzku.

- Nie poddawaj się, Łado - szepnęła. - Bądź sobą i oby świat obszedł się z tobą łagodniej.

Ludzki odruch ze strony matki wyzwolił w niej uczucia. Z trudem stłumiła płacz.

- Masz siłę - rzekła jeszcze Ofka. - Jesteś też mądrzejsza. Znajdziesz sposób. Nie wolno ci się poddać, pamiętaj.

Ofka ucałowała córkę w czoło, po czym krzyknęła coś, popędzając służbę i ruszyła w kierunku powozu.

Trant,

19 trawnia roku 2090

Żanna dotarła do Trantu po dziesięciu dniach od wyjazdu z Berleujścia. Przed bramą miejską oczekiwał na nią orszak złożony z dworzan księcia Laurentego del Pescare oraz miejskich rajców. Sam książę nie wyszedł na powitanie królowny, która z Trantu właśnie miała popłynąć na

spotkanie ze swoim zamorskim małżonkiem. Zdrowie Laurentego znów się pogorszyło i praktycznie nie pokazywał się już publicznie. Bóle stawów nie pozwalały mu samodzielnie się poruszać. Delegacji przewodniczył więc jego syn Filip.

- Witaj w naszych włościach, dostojna pani! - Powitał ją głębokim ukłonem, gdy tylko wysiadła z powozu. - Jest dla nas zaszczytem móc gościć córkę miłościwie nam panującego króla.

- Dziękuję, dostojny panie - odparła cichym głosem.

W miarę jak zbliżali się do końca tego etapu podróży, jej nastrój się pogarszał. Wiedziała, że każda upływająca godzina zbliżała ją nieuchronnie do momentu, kiedy opuści królestwo swego ojca.

- Dostojna pani, jesteś jeszcze piękniejsza niż kiedy widziałem cię na turnieju zeszłego lata - rzucił, pomagając jej zająć miejsce w siodle.

Spojrzała na niego z wysokości końskiego grzbietu i spłonęła rumieńcem.

- Jakże mogłabym pięknie wyglądać po tak długiej podróży? - wybąkała skromnie.

Przejechali przez miasto konno. Filip cały czas podążał u jej boku, raz po raz opowiadając jakieś zabawne anegdoty albo opisując mijane miejsca. W końcu znaleźli się w zamku na skale. Księżę Laurenty powitał ją w wielkiej sali. Siedział na specjalnym krześle przyniesionym przez czterech służących. Pamiętała go z zeszłorocznej wizyty na dworze i oczom nie mogła uwierzyć, jak bardzo posunął się w latach. Był przecież mniej więcej w wieku jej ojca, a wyglądał jak starzec.

- Wybacz mi, księżniczko, że nie wstanę na powitanie, ale nogi odmówiły mi już posłuszeństwa - oznajmił na wstępie.

- Przykro mi słyszeć, żeś niezdrów, księżę - odparła grzecznie. - Mego ojca z pewnością zmartwią wieści o twoim stanie.

- Dziękuję ci za miłe słowo, pani. - Uśmiechnął się serdecznie. - Lecz nie czas teraz na zmartwienia. Radosna to bowiem okazja, gdy córka naszego króla odwiedza nas w drodze do swego nowego domu.

Żannie przemknęło przez głowę, że dla niej ta chwila bynajmniej nie była szczęśliwa. Gdy tylko przypominała sobie o przyczynie swojej

podróży, miała ochotę płakać i błagać, by pozwolono jej wrócić do domu.

- Będziemy dziś biesiadować, aby uczcić twój przyjazd, księżniczko - mówił tymczasem Laurenty. - Za trzy dni odbędzie się turniej na twoją cześć. Póki jesteś u nas, pani, czuj się jak u siebie w domu.

- Dziękuję, dostojny książę - odparła szczerze. - Kiedy będę mogła wyruszyć w dalszą drogę? - spytała z niepokojem.

- Och, widzę księżniczko, że śpieszno ci do twego oblubieńca! - Laurenty roześmiał się.

Żanna spuściła tylko wzrok. Nie, zdecydowanie nie pośpiech kazał jej zadać to pytanie.

- Król Ludwik też z niecierpliwością wypatruje naszych żagli. Zapewniam, że dołożę wszelkich starań, byś mogła jak najszybciej wypłynąć. Gdy tylko wiatr pozwoli, okręty podniosą kotwice.

Kolejne dni upłynęły jej na ucztach, festynach i turniejach. Choć Laurenty, a przede wszystkim jego syn Filip, dwoili się i troili, aby uświetnić pobyt Żanny w Trancie, to nie zdołali poprawić jej ponurego nastroju. Przez cały czas modliła się do wszystkich Dwunastu, aby zesłali niepomyślne wiatry, tak by jak najdłużej mogła pozostać na ojczystej ziemi. Pewnego wieczoru, podczas uczy, Filip zaprosił ją do tańca. Zgodziła się, nawet nie odnotowując spojrzenia, jakim obdarzała ją jego żona. Kiedy kładł dłoń na jej ramieniu, poczuła dziwny dreszcz. Później, siedząc obok siebie przy stole, rozmawiali. Ośmielona jego bezustanną paplaniną, zwierzyła mu się ze swoich obaw. Nie dlatego, że aż tak mu zaufała. Po prostu potrzebowała kogoś to wyznać, a on był jedynym, który zdawał się słuchać z zainteresowaniem.

- Nie opuściłam nawet jeszcze królestwa mego ojca, a już czuję się tak samotna - żaliła się przed nim. - Po prawdzie powiem ci, mości książę, że nie ma przy mnie nikogo, kto chciałby mnie wspierać.

- Ależ to nieprawda, księżniczko - zaprzeczył bez wahania. - Ja jestem gotów cię wesprzeć. W czymkolwiek byś potrzebowała.

Przyjrzała mu się uważnie, chcąc się upewnić, czy mówił prawdę, czy też tylko udawał. Jego słowa wydały się szczerze, być może dlatego, że tak bardzo pragnęła spotkać choćby jednego przyjaciela.

Filip rzadko gustował w wysoko urodzonych pannach, mniej zachodu kosztowały go dziewczęta spośród zamkowej czeladzi. Na widok dziewczęcej urody tej drobnej księżniczki poczuł palącą żądzę.

- Nie powinnaś się lękać, księżniczko - szepnął po chwili. - Każdy król zachwycony twą urodą upadnie przed tobą na kolana i dziękować będzie swoim bogom, że taką mu żonę zesłali. - Odprężona szczerą jak jej się zdawało rozmową, roześmiała się serdecznie. - A jeśli twój królewski małżonek nie spełni twych oczekiwań, pani, zawsze znajdziesz wielu chętnych kochanków. Choćby tutaj.

Szorstka, pozbawiona dworności szczerść tych słów przestraszyła ją nagle. Spuściła skromnie wzrok i spłonęła rumieńcem. Aż do końca swojego pobytu w Trancie zastanawiała się, czy ostatnia wypowiedź Filipa była żartem czy propozycją.

Wiśnicz,

23 trawnia roku 2090

Przez kilka dni od powrotu z dworu Ofka prawie nie wychodziła z komnaty. Nierozwiązane kłopoty finansowe, przykra rozmowa z Henrykiem i spotkanie z Ładą - wszystko to przytłoczyło miłościwą panią. Bogna również chodziła po zamku jak struta. Reszta służby sądziła, że dwórcę udzielił się po prostu zły nastrój pani, ale dziewczyna miała również swoje powody, by czuć smutek i obawę.

Kiedy doniesiono jej, że Lucjusz wrócił do Wiśnicza, poczuła ukłucie. Wciąż była na niego zła, że wyjechał bez pożegnania. Przywitała go więc chłodno, choć widziała w jego oczach radość. Miał zamiar od razu chwycić ją w ramiona. Zmitygował się jednak na widok czeladzi krzątającej się po dziedzińcu.

- Wszystko w porządku? - spytał, próbując zapanować nad emocjami.

- Królowa jest w bardzo złym nastroju - odparła beznamiętnie Bogna.

- Pod twoją nieobecność złożyliśmy wizytę na dworze i najjaśniejszy pan okazał jej swą niełaskę...

- To był najgłupszy pomysł, o jakim słyszałem - mruknął Lucjusz, przerywając jej. - Król był podobno wściekły. Filomen pisał mi, że z trudem wytłumaczył władcy moją nieobecność w Wiśniczu. Mogłyście narazić mnie na nieprzyjemności - wyrzucał jej.

Odpowiedziało mu chłodne spojrzenie oczu dziewczyny.

- Coś jeszcze mnie ominęło? - zapytał, widząc jej minę. - Jesteś na mnie o coś zła, prawda? - domyślił się w końcu.

Nie zważając na ciekawskie spojrzenia innych ludzi, pociągnęła go za rękaw w stronę pomieszczeń gospodarskich.

- Mam ci coś ważnego do przekazania, Lucjusz - zaczęła ściszym głosem. - Po pierwsze wiedz, że o nic cię nie proszę...

- Co ty próbujesz mi powiedzieć? - spytał zaskoczony. Bogna nie odpowiedziała. Chwyciła tylko jego dłoń i położyła ją na swoim brzuchu. - Jesteś przy nadziei?!

- Nie bój się, nikt jeszcze nie wie - zapewniła. - Mam plan. Poproszę najjaśniejszą panią o pozwolenie na opuszczenie dworu i wyjadę do matki.

- Niech to diabli! - wykrzyknął. Spojrzał jej w oczy i roześmiał się serdecznie.

- Nie denerwuj się. Powiedziałam ci, nic od ciebie nie chcę...

- Przestań! - Westchnął, próbując szybko ułożyć sobie wszystko w głowie. - Nigdzie nie wyjedziesz. Mam lepszy pomysł.

Spojrzała na niego pytająco. Lucjusz tylko ujął jej twarz w swoje dłonie i pocałował.

Późnym wieczorem spotkali się w kaplicy zamkowej. Tylko ich dwoje, miejscowy solis i jeszcze jedna dwórka jako wymagany przez prawo świadek.

Berleujście,

12 czerwca roku 2090

W niewielkim solarze na zamku w Berleujściu panował nieopisany ścisk.

Przy okrągłym ołtarzu, nad którym wisiał złoty dysk mający uosabiać Wielkiego Sola, archisolis Prochor odprawiał wstępne modły. Pan młody, ledwie piętnastoletni chłopak, stał wyprostowany i dumny jak paw, starając się ukryć strach. Miał na sobie kosztowne ubranie w czarno-złoty barwach swojego rodu. Wąski diadem na ciemnych kędzierzawych włosach symbolizował jego książęcą godność. Panna młoda wkroczyła właśnie do świątyni prowadzona przez swego królewskiego ojca. Wyprostowana jak strzała sunęła w swej niebieskiej sukni przetykanej złotymi nićmi, z włosami wysoko upiętymi. Uparła się, by właśnie upiąć włosy, jak czyniły to wdowy wstępujące w ponowne związki, a nie rozpuścić je, jak obyczaj nakazywał panience. Stanęła obok dwa lata młodszego od siebie narzeczonego i wyniośle na niego spojrzała.

Musiał przyznać, że w jakiś sposób fascynowała go, choć i przerażała. Podniósł wzrok i po jego plecach przeszedł dreszcz. Archisolis Wilfried tyle razy ostrzegał, że to czarownica, która sprowadzi zgubę na cały jego ród i to też go podniecało. Jeszcze kilka godzin, zanim nadejdzie zmierzch, a wtedy wszystko to, co skrywała pod warstwami jedwabiu, będzie należało do niego. Posiądzie ją, żadne czary go nie powstrzymają. Zrobi to, poskromi jej dumę, tak jak poskramia się dzikiego konia. Wtedy stanie się mężczyzną.

Prochor odwrócił się twarzą do zebranych i nakazał młodemu podać sobie ręce. Położyła na jego dłoni swoją. Celebrans tymczasem przywołał Dwunastu, prosząc o błogosławieństwo dla obojga małżonków, każdego boga według jego specjalności. A potem kazał powtórzyć im słowa przysięgi o miłości, szacunku i posłuszeństwie. Kiedy Łada głośno i wyraźnie wypowiedziała rotę przed archisolisem, Henryk w myślach podziękował gorąco bogom. Aż dotąd był bowiem przekonany, że jego córka znów wywoła jakiś skandal.

- Założę się, że pierwszy ślub bardziej przypadł jej do gustu - mruknął Grzegorz, przerywając modły ojca.

Henryk spojrzał na niego z furią w oczach i syn zamilkł.

Choć w wielkiej sali wesele trwało w najlepsze, a i w mieście przy rozstawionych specjalnie na tę okazję stołach pospólstwo bawiło się przednio, wychylając puchary za zdrowie młodej pary, Łada szybko opuściła przyjęcie. Jak sama powiedziała, po to, by przygotować się do pokładzin. Zmierzch wkradł się już do komnaty i panna młoda nakazała służbie rozpaścić świece. Krzysztof wszedł właśnie do izby. Służba na jej polecenie zaczęła wychodzić. Za zamykającymi się drzwiami Łada słyszała szepty i śmiechy podpitych kuzynów swego świeżo zaślubionego męża.

Staął przed nią, lekko się skłonił. Wydawało się jej, że był trzeźwy. Gdzieś przed oczyma przeleciała jej twarz Wilhelma. Przypomniała sobie przysięgę, którą sobie złożyli, obiecując, że nigdy nie wyrzekną się swojej miłości. Ale Wilhelm już nie żył. Krzysztof zbliżył się do niej. Wciąż stała jak słup soli. Dumna i wyniosła patrzyła mu prosto w oczy. Dotknął dłonią jej policzka, nie zareagowała. Nachylił się i pocałował ją w usta. Odsunęła się i odwróciła twarz. Znow spróbował. Tym razem przygryzła jego wargę. Chwycił ją za ramiona, ale wyrwała się i wymierzyła mu policzek. Ruszył na nią i złapał ją za rękę, ale znow mu się wyrwała. Chwyciła leżący na stoliczku obok łoża sztylet i trzymając go wprawnie w dłoni, patrzyła mu w oczy, oczekując jego ruchu.

- Jesteś moją żoną! - syknął.

- Jeśli mnie tkniesz, przysięgam na Antresa, że skończysz jak twój brat, z gardłem rozerżniętym od ucha do ucha - szepnęła spokojnie.

- Przecież musimy dopełnić małżeństwa! - przekonywał. - Bogowie żądają, aby...

- Nie zasłaniaj się bogami. - Łada roześmiała się głośno. - Wiem, że mnie chcesz, wiem że tak, ale mnie nie dostaniesz.

Spojrzał zaskoczony, ale nie ośmielił się więcej sprzeciwić.

- Śpisz tam. - Wskazała mu niewielką leżankę, na której zwykła odpoczywać czasem po posiłku. - I jeśli przyjdzie ci do głowy niepokoić mnie w nocy, wiedz, że mam lekki sen i sztylet pod poduszką.

Trakt w kierunku Charny,

na wschód od Królestwa Zażnicji,
16 czerwca roku 2090

Ledo jechał na koniu z przodu karawany kupieckiej. Miał na sobie długą jasną tunikę. Włosy, które przystrzygł przed wyjazdem z portowego Blakownika, znów odrastały, jako że byli w podróży już trzeci tydzień. Wystawały spod jasnego zawoju noszonego tutaj na wschodnią modłę dla ochrony przed słońcem. Każdego dnia Ledo obserwował, jak zmieniał się krajobraz. Gdy opuścili granice Zażnicji, lasy poczęły ustępować zagajnikom, a te z kolei krzewiastemu buszowi. Jeszcze tydzień wcześniej krzewy dominowały w krajobrazie gorącej krainy, którą przemierzali. Im bliżej prastarej Charny, tym więcej było po prostu traw. Sięgające kolana rozciągały się aż po horyzont. Wozy – każdy zaprzężony w cztery woły – toczyły się powoli przed siebie. Raz po raz ciszę gorącego popołudnia przerywał trzask batów.

Od trzech tygodni każdego dnia Ledo doglądał karawany. Z mieczem u boku wraz z dwoma tuzinami innych pachołków pilnował dobytka swych nowych chlebobawców. Jechał z nimi tylko Urcjan. Ledo polubił go, bo w przeciwieństwie do Juliusa nie wypytywał o przeszłość. A Ledo nie chciał mówić o przeszłości. Bo w odróżnieniu od Wilhelma, Ledo nie miał żadnej. Nic, czym można by się chwalić. Tamtej nocy, gdy opłakiwał ojca, zrozumiał, że Wilhelm von Kolbie musi umrzeć. A może raczej, że naprawdę umarł spalony w szałasie w lasach Hazenii bądź od gorączki po zranieniu strzałą.

- I jak ci się podoba, Ledo? Zupełnie tu inaczej niż w naszych stronach, co? - Urcjan podjechał do niego, wrywając z zamyślenia. - Obyśmy mieli szczęście i nie natknęli się na koczowników.

- Jak na razie jest spokojnie. - Młodzieniec uśmiechnął się. - Sam zresztą wiesz najlepiej, czy w tych stronach napady są częste?

- Gdyby nie były, nie zatrudnialibyśmy aż tylu pachołków do ochrony - odparł krótko Urcjan.

Pojawili się na krótko przed świtem jak stado dzikich wilków. Z furią

natarli na karawanę. Około pięćdziesięciu bandytów na szybkich koniach. Zaatakowali z potwornym wrzaskiem. Zaskoczenie zawsze było ich bronią. Walka, która się wywiązała okazała się krótka, bo napastnicy wiedzieli, że tylko pierwsze uderzenie daje im szansę. Ubili trzech pachołków. Przewrócili jeden z wozów skupionych na noc w tabor. Nie zdołali ukraść zbyt wiele. Ledo i kilku konnych rzucili się za nimi w pogoń, kładąc kilkunastu trupem.

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy Ledo wrócił do obozowiska. Zdziwiło go, że ludzie nie zajęli się uprzątnięciem szkód, jakich dokonali napastnicy. Zeskoczył z konia i podbiegł do stłoczonych pachołków. Na noszach rozłożonych na trawie leżał Urcjan.

- Co z tobą? - spytał Ledo.

- Dostałem... - jęknął kupiec, wskazując na strzałę wystającą z jego podbrzusza.

- To nic - uśmiechnął się Ledo. - Ja też raz dostałem i jak widzisz, nic mi nie jest.

Przez cały dzień Ledo siedział w namiocie przy Urcjanie. Strzała utkwiała głęboko, na dodatek złamała się przy próbie wyjęcia. Grot został gdzieś w jelitach kupca. W upale szybko wdało się zakażenie. O zmierzchu było już pewne, że Urcjan umrze.

- Żałuję, że nie jestem w domu... - Kupiec zadumał się. - Tak niewiele czasu spędziłem z rodziną. Mam żonę, wiesz?

- Ja też - powiedział smutno Ledo.

- Dobry z ciebie chłopak, Ledo. Czy kimkolwiek jesteś...

- Nie - odparł. - Zawiodłem cię, przepraszam.

- To nie twoja wina...

- A jednak nie ochroniłem cię.

- Nie bierz tego do siebie - szepnął Urcjan. - Jak to mówią: ryzyko zawodowe.

Umarł przed kolejnym świtem. Ledo wyszedł z namiotu, wyminął pierścień taboru i ruszył przed siebie między trawy. Niebo powoli już różowiało i blask Poranicy zapowiadał rychłe pojawienie się rydwanu Wielkiego Sola.

- Taorze! - wykrzyknął nagle, patrząc w niebo. - Dlaczego kazałeś mi tu z nimi iść?! Czy to jakaś sztuczka? Próba? - krzyczał. - Czego wy ode mnie chcecie?! - Upadł na kolana. -Przepraszam... Znów zawiodłem...

Trakt w okolicy Lensburga, 27 czerwień roku 2090

Droga do Lensburga była dla Łady udręką. Krzysztof cały czas chciał jej towarzyszyć i bez końca zarzucał opowieściami o swoim, co nieustannie podkreślał, księstwie. Ani razu nie wymienił imienia brata, jakby ten w ogóle nie istniał. Chcąc nie chcąc słuchała jego bełkotu, z którego wywnioskowała, że małżonek nie miał o bieżących sprawach Hazenii zielonego pojęcia. Miał za to ogromną dozę zaufania do miejscowego archisolisa Wilfrieda, którego imię pojawiało się mniej więcej w co trzecim zdaniu.

- Archisolis musi być nadzwyczajną osobą - wtrąciła w końcu. - Mówisz o nim bez przerwy.

- Och tak, to wielki człowiek o niezwyklej mądrości i wybitnej wręcz intuicji - paplał dalej Krzysztof. - Bardzo wiele mu zawdzięczam. Wszystko w zasadzie. Gdyby nie on, nie byłbym księciem. To czcigodny Wilfried od początku mówił, że mój przeklęty zdradziecki brat tylko własną krwią musi zmyć hańbę, jaką na nas sprowadził...

- Doprawdy - mruknęła Łada, którą ta informacja nagle bardzo zainteresowała.

- Gdyby nie on, być może temu zdrajcy wszystko uszłoby na sucho - kontynuował Krzysztof. - To archisolis od początku mówił, że nie godzi się, by ksiązę, który tak obraził honor rodu, nadal do niego należał.

Twarz Łady poczerwieniała nagle. Czuła uderzenie krwi w skroniach. Zatem to przeklęty archisolis Lensborka zatruwał ich umysły tak długo, aż w końcu postanowili zabić jej umiłowanego Wilhelma. I zapewne zrobił to dlatego, że wiedział, iż księstwo przypadnie temu słabeuszowi, Krzysztofowi, który we wszystkim był mu uległy. W jednej chwili

postanowiła, że pokrzyżuje mu plany. Wilfried nawet nie spodziewał się, jakiego od teraz będzie miał rywala.

Gdy zatrzymali się na nocleg w gospodzie, zamknęła się w swojej izbie tylko z Przeclawą. Zgasiła wszystkie świece. Jedną zapaliła na nowo. Wyjęła z ręki dwórki niewielki nóż i ostrzem przebiła skórę na palcu lewej dłoni. Kilka kropli krwi popłynęło z nacięcia prosto w ogień świecy.

- Wzywam twego imienia, Antresie, panie słusznej zemsty - szepnęła.
- Jestem twoim narzędziem. Uczyń me serce twardym, uczyń mą rękę pewną i dopomóż mi osiągnąć cel. Krew za krew. Śmierć za śmierć. Przysięgam złożyć ci w ofierze plugawego archisolisa Wilfrieda, który odebrał mi mojego ukochanego Wilhelma.

Potem nakazała dziewczynie, by pomogła jej się wykąpać i ubrać. Wiedziała, że aby dokonać zemsty na Wilfriedzie, musi zjednać sobie Krzysztofa. Poszła do jego izby ubrana w lekką nocną koszulę. Zdziwił się na jej widok, dotąd bowiem trzymała go cały czas na dystans.

- Mężu - powiedziała cicho.

Podeszła i dotknęła lewą ręką jego twarzy. Chwycił ją w pól i zaczął całować. Kiedy mu się oddawała, myślała tylko o tym, żeby zrobić to tak, aby nigdy nie zapomniał tej nocy. Musiała zdobyć nad nim władzę.

Sanktuarium w Czerwieńsku, 1 lipnia roku 2090

Czas spędzany w Czerwieńsku płynął spokojnie. Dafne wychodziła o różnych porach dnia lub nocy, w zależności od potrzeb. Czuwała, aby zioła zbierać tylko przy odpowiedniej dla nich fazie księżyca. Zrywając liście lub odcinając kwiatostany, czyniła to z szacunkiem dla Matki Ziemi. Śpiewała przy tym w dialekcie Starej Lirwelii, choć nie była pewna czy tutejsze leśne duchy znały tę mowę. Nie chwaliła się tym matce Virginii, tak jak nie opowiadała jej o swojej przeszłości ani pochodzeniu.

Dziwna była więź, która połączyła te dwie kobiety różniące się wszystkim: wiekiem, pochodzeniem, religią, doświadczeniem życiowym. Virginia nie pytała o nic, czasem tylko wtrącała z uśmiechem jakieś zdanie. Dafne nic o sobie nie mówiła. Jeśli rozmawiały to o ziołach, o sposobach leczenia chorób albo o przyrodzie.

Dafne nie czuła się w sanktuarium w pełni swobodnie. Kamienne mury nadal ją ograniczały, choć nie tak, jak w bytowskim zamku. Nadal obcy jej byli bogowie Jonki. Czasem patrząc na kapiący złotem posąg Panny Virgis w świątyni, zastanawiała się, dlaczego bogini chciała zamieszkać w tej posępnej budowli zamiast pośród pól, łąk czy lasów. Dlaczego życzyła sobie nudnego powtarzania w kółko tych samych modlitw zamiast słuchać szumu drzew i śpiewu ptaków? I czy naprawdę jej i jej boskim braciom i siostram miłe było prześladowanie ludzi, którzy wierzyli inaczej? Czy miłość bogów naprawdę była aż tak zaborcza? Zadawała milczącej, kamiennej figurze te pytania, kiedy o wschodzie i zachodzie słońca przychodziła wraz z solissami do świątyni. One modliły się, mamrocząc w kółko zawołania do Panny Virgis, a Dafne stała z tyłu, przyglądając się niemej bogini. O wiele bardziej wolała swoich bogów, którzy mówili do niej szumem wiatru, wody i ognia.

- Wiem, że chciałabyś znów ruszyć w świat. - Po skończonej modlitwie matka Virginia podeszła do niej i zagadnęła, wyrывая z rozmyślań. Dafne zamrugła oczami. Zawsze zaskakiwała ją trafność spostrzeżeń solissy. Zupełnie jakby czytała w myślach. Dziewczyna czasem nawet zastanawiała się, czy może Virginia nie posiadała jakiegoś rodzaju daru.

- Zrobisz, jak uznasz za słuszne - odezwała się znów matka przełożona. - Tak jak ci przyrzekłam, możesz stąd odejść w każdej chwili, ale proszę tylko, byś się zastanowiła. - Dafne patrzyła na nią uważnie swoimi zielonymi oczami. - Masz wielką wiedzę, znasz się na ziołach i na leczeniu. Twoje ręce naprawdę pomagają chorym.

W oczach Dafne pojawił się cień strachu. Czyżby matka Virginia domyślała się prawdy? Ale solissa tylko pogładziła jej dłoń, mówiąc dalej:

- Wiem też, że nie wyznajesz naszej wiary...

- Matko, zapewniam, że...

Dawno temu matka nauczyła Dafne, że ludzi poświęconych Dwunastu bogom zawsze należy zapewniać o głębokiej wierze. Przeważnie słowa im wystarczały, niewiele bowiem wiedzieli o ludzkich sercach. Virginia położyła jej palec na ustach.

- Nie okłamujmy się przed obliczem Panny Virgis. - Solissa uśmiechnęła się tylko. - Wiem i nie przeszkadza mi to. Ważne jest dla mnie to, co robisz, bo czynisz wiele dobra. Chciałam, żebyś to wiedziała i wzięła pod uwagę, gdy będziesz decydować, czy zostać, czy odejść. Cokolwiek uczynisz, pamiętaj, że tu przynajmniej jesteś bezpieczna.

Matka Virginia oddaliła się po cichu. Dafne uśmiechnęła się pod nosem.

Wiśnicz,

3 lipnia roku 2090

Trudno powiedzieć, kto doniósł królowej Ofce o potajemnym ślubie pierwszej dwórki i dowódcy gwardii. Może solis, który udzielał im błogosławieństwa w imieniu pani Karsy? Może dwórka, która była świadkiem?

Posłyszawszy nowinę, Ofka wpadła we wściekłość. Ruszyła przez zamek, wyrzekając zdrajcom, którzy, jak twierdziła, zewsząd ją otaczali. W końcu znalazła Bognę krzątającą się w komnatach. Przyjrzała się jej uważnie. Dopiero teraz dotarło do niej, że przez ostatnie tygodnie dziewczyna mocno się zaokrągliła.

- Czy to prawda?! - pisnęła Ofka.

- Najjaśniejsza pani?

- No mówże, dziewczko! - krzyknęła królowa. - Czy to prawda, co gadają o tobie i tym psie Lucjuszu?!

- Tak, miłościwa pani... - odparła spokojnie Bogna.

- Ty suko! - Ofka rzuciła się na nią z pięściami. - Zdrajczyni przebrzydła! Jak śmiałaś?! - Uderzała dziewczynę na oślep. - Jak mogłaś

zrobić mi coś takiego?! Powinnaś była spytać mnie o zgodę, nim rozłożyłaś przed nim nogi, słyszysz?! – Szarpała dwórkę, nie zważając na służących, którzy zwabieni krzykami królowej coraz liczniej gromadzili się wokół. – No słyszysz czy nie, ladacznico?!

– Wasza wysokość! – Donośny głos Lucjusza przerwał lawinę jej złorzeczeń. – Proszę, zostaw moją żonę.

Ofka utkwiała w nim spojrzenie. Puściła Bognę, po czym doskoczyła do niego i z całej siły uderzyła go w twarz.

– Ty zdrajco! – wrzasnęła.

Rozejrzała się wokoło i dostrzegła zaciekawione twarze gawiedzi.

– Ten zdrajca uwiódł moją dwórkę! – zawołała. – Aresztujcie go! – poleciła gwardzistom.

Zbrojni spojrzeli na Lucjusza, po czym skłoniwszy się królowej, wycofali się z komnaty.

– Ta dziewczyna wyszła za mąż bez zgody królowej, to niedopuszczalne! – piekliła się dalej Ofka. – Natychmiast zwalniam cię ze służby!

– Pani! – próbował wtrącić Lucjusz.

– Nie jesteś już moją dwórką! – wykrzyczała królowa. – Wynoś się z zamku.

Bogna otarła łzy, po czym szybkim krokiem wyszła z izby.

– Wynocha, dziewczko! – krzyczała za nią Ofka. – Precz!

Tłumek gapiów powoli przeredzał się, tak że po kilku kolejnych chwilach w komnacie zostali już tylko czerwona od hysterii królowa i Lucjusz, który stał spokojnie, puszczając jej twarde, pełne gniewu spojrzenie.

**Wolęcin,
stolica Wyp Kameńskich i siedziba króla Ludwika,
28 zniwnia roku 2090**

Z powodu niespokojnej pogody Żanna musiała odczekać nieco, zanim

wsiadła na pokład statku flotyli księcia Trantu i wyruszyła na spotkanie swego przyszłego męża. Podróż była niespokojna i Żanna ciężko odchorowała ustawiczne kołysanie statku.

Gdy wreszcie zawinęła do Reclawia, zaskoczyło ją uroczyste powitanie, jakie zgotowali mieszkańcy swej przyszłej królowej. Miasto wydawało się spore, znacznie przewyższało Berleujście zarówno wielkością, jak i bogactwem. Wiele się też od Berleujścia różniło. Przede wszystkim wszędzie pachniało morzem i rybami, a tego zapachu miała chwilowo dosyć. Obserwowała z uwagą tłum zgromadzony na nabrzeżu. Bardzo chciała potwierdzić owe dziwaczne plotki o tym, że na Wyspach wciąż mieszkały istoty Starej Krwi. Choć wokół dostrzegła wiele jasnowłosych, wysokich i szczupłych postaci, to nie umiała jednoznacznie stwierdzić, czy miała do czynienia z elfami.

Reclaw leżał na jednym końcu cypla nad wąską cieśniną. Po drugiej stronie, już na sąsiedniej wyspie, znajdował się Wolęcin, nad którym górowała cytadela króla Wysp Kameńskich. Po południu przepłynęła łodzią cieśninę, choć tak bardzo marzyła, by więcej nie podróżować morzem. Nie była pewna, czy żołądek znów zaczął boleć od lekkiego kołysania fal, czy z powodu strachu, jaki odczuwała na myśl, że oto zbliża się do miejsca przeznaczenia, do swojego nowego domu, który póki co zdał się raczej więzieniem.

Odprowadzono ją do obszernych apartamentów składających się z kilku połączonych, luksusowo wyposażonych komnat. Znalazła tam mnóstwo egzotycznych przedmiotów i urządzeń, których dotąd nigdy w życiu nie widziała. Umyła się i przebrała w najkosztowniejszą ze swych sukien w barwie czystego błękitu. Gdy już po zachodzie słońca schodziła do wielkiej sali, za nią szły dwórki i chorąży dzierżący sztandar ojca.

- Oto dostojna pani Żanna, córka jego królewskiej wysokości Henryka z Jonki - zapowiedziano jej przybycie.

W sali, z której dotąd dochodziły krzyki i gwar, nagle zrobiło się przerażająco cicho. Spojrzenia absolutnie wszystkich spoczęły na drobnej postaci księżniczki. Serce waliło jej jak młotem i bała się, że upadnie. Przypomniała sobie spokój i opanowanie, jakie ostatnio nabyła

siostra i starając się naśladować jej dumną wyprostowaną postawę, ruszyła naprzód. Za plecami słyszała szepty. Język zdawał się zaskakująco podobny do starego dialektu lirwelijskiego, którego nauczyły się jakiś czas temu z siostrą, więc nie miała problemu ze zrozumieniem znaczenia ich słów. Przez krótką chwilę skupiła uwagę na podobieństwie języka, zastanawiając się, skąd mogło się brać. Czy Kameńczycy też wywodzili się od plemion posługujących się niegdyś wspólnym słowem? Gdy dotarła do stołu ustawionego na podwyższeniu, przestało ją to nurtować. Oto bowiem zza stołu wstał i ruszył w jej kierunku potężny mężczyzna w wieku około czterdziestu wiosen z długimi rudawymi włosami i rozwichrzoną brodą. Miał na sobie kosztowną szatę i włochaty płaszcz przerzucony przez ramię, spięty ogromną, złotą broszą.

- Witaj, moja piękna królowo - zwrócił się do niej, a ona skłoniła się nisko. Podszedł i ucałował oba jej policzki. Pachniał alkoholem, czosnkiem i czymś drażniącym, co trudno było jej rozpoznać. Bardzo chciała go odepchnąć od siebie i czym prędzej stąd uciec.

- Ludu mój! - wykrzyknął król tak głośno, iż potężne ściany wielkiej sali zadrżały. - Oto moja przyszła żona, wasza pani i królowa!

Sala znów po chwili się zatrzęsa, tym razem od okrzyków, oklasków i potwornego rumoru, jaki obecni na uczcie mężowie czynili, uderzając kufłami miodu o drewniane stoły. Król tymczasem zwrócił się do nowo poznanej oblubienicy:

- Prawdę pisał twój ojciec, jesteś piękna! - uśmiechnął się, obnażając swoje brązowe zęby. - I masz szerokie biodra. - Dotknął jej talii. - To dobrze, takie kobiety dają synów, a ja potrzebuję synów.

Lensburg,

28 zniwnia roku 2090

Zamek w Lensburgu nie spodobał się Ładzie. Od chwili, gdy przybyła tu z mężem przed blisko trzema miesiącami, wszystko boleśnie przypominało jej Wilhelma. A jednocześnie pobyt tam sprawiał, że

łagodnie wkraczała w jego gwałtownie przerwane życie. Poznawała miejsca, w których się wychował. Nakazała służbie wydać sobie klucze do jego komnaty i czasem w nocy wymykała się tam, aby pomarzyć w otoczeniu jego rzeczy. Przez chwilę pozwalało jej to znów być płochą, pełną marzeń młodą dziewczyną. Poza tą komnatą była bowiem dostojną panią Ledą von Kolbie i nikomu nie pozwalała o tym zapomnieć. Traktowano ją jak obcego. Jak egzotyczne zwierzę, które trzeba doglądać, czesać, karmić, aby nie padło, ale jednocześnie nie wyciągać ręki zbyt blisko w obawie przed ugryzieniem. Tutejsi nie ufali jej. Nie dbała specjalnie o to, co myśleli o niej archisolis Wilfried albo stryj męża, Cecyl. Udawała, że nie zauważa, jak służba ukradkiem ją podgląda.

Tylko jedno zaprzętało jej myśli: zemsta. Całym sercem pragnęła, aby Hazenia zapłaciła za to, co spotkało Wilhelma. Wiele nocy spędziła, rozmyślając nad sposobem usunięcia archisolisa. Natchnienie przyszło niespodziewanie. Po prostu pewnego ranka nakazała sobie przygotować napar na kobiecie dolegliwości. Na zamku nie umieli go przyrządzić, więc musiała sama tym się zająć, korzystając z nauk, jakie odebrała w Czerwieńsku. I wtedy przypomniała sobie o żaglozielu, którego liście, płonąc, wydzielają ponoć zabójczy dym. Niezawodna Przeclawa obiecała zająć się wszystkim i Ładzie pozostało już tylko czekać.

W oczekiwaniu na zamówione zioła dość często odwiedzała miejscowy archisolar, głównie ze względu na skromny grób Wilhelma w bocznej nawie. Tak było i tego dnia. Wysiadła z powozu z pomocą służącego. Przed bramą świątyni stała gromadka biedoty. Łada pstryknęła palcami na dwórkę. Przeclawa podała jej mieszek ze srebrem.

- Dostojna pani, niech bogowie cię błogosławią za twą hojność - wyszeptała, kłaniając się, żebraczka, która jako pierwsza otrzymała od księżnej srebrną monetę.

- Bądź pozdrowiona, dostojna pani - wybełkotał bezzębny starzec, odbierając od Łady pieniądze.

- Odkąd z nami jesteś, to jakby nieba nam się otworzyły - pozdrowiła ją kolejna biedaczka.

Łada rozdała monety i ruszyła do bramy świątyni. Wchodząc, gestem

ręki nakazała przybocznym zostać na zewnątrz.

- Nie życzę sobie, by ktokolwiek mi przeszkadzał - rozkazała twardo.

Bramy zatrzasnęły się za nią. Jedyne słabe światło sączyło się przez wąskie wykusze okienne. W ciszy archisolaru jej kroki odbijały się echem od kamiennych sklepień. Skręciła w boczną nawę i podeszła do lekko poszarzałej płyty nagrobnej. Przykucnęła przy niej i dotknęła dłonią.

- Nie zapomniałam o naszej przysiędze, miły - szepnęła. - Nawet nie dali twojego imienia na grobie.

Przymknęła oczy i spod powiek wypuściła łzę. Tu mogła okazać słabość choć przez jedną krótką chwilę.

Po powrocie na zamek Przeclawa przyniosła nowinę, która po raz pierwszy od dłuższego czasu poprawiła nastrój księżnej.

- Prezent, który zamówiłaś, pani, u pewnego wytwórcy świec, właśnie przyjechał. - Dwórka uśmiechnęła się, kładąc na stole przed swoją panią niewielki pakunek.

- Najwyższy czas. - Zaczęła odwijać opakowanie. - Naprawdę udało się zmieszać wosk ze sproszkowanym liściem! - Klasnęła w dłonie. - Oby tylko zadziało.

- Z pewnością tak się stanie. Wiedźma, z którą rozmawiałam zapewniała, że zagloziele naprawdę może zabić nawet wołu. - Łada przypatrywała się świecy, która wyglądała zupełnie normalnie. Wsunęła palce, ale Przeclawa ją powstrzymała. - Lepiej tego nie dotykać, pani. Choć czarownica mówiła, że działa tylko, gdy świeca się pali, to ja bym nawet tego nie ruszała.

Łada skinęła głową. W myślach już układała sobie dalszy plan działania.

- Niełatwo będzie sprawić, aby świeca znalazła się akurat na pulpicie Wilfrieda - zauważyła Przeclawa, jakby odgadując myśli swojej pani.

- Przeciwnie! - Łada uśmiechnęła się podstępnie. - Jutro mam z nim znów rozmawiać w kwestii dobroczynności. Wyobraź sobie, ten obłudnik zarzuca mi, że rozzuchwalam pospólstwo. Całe szczęście, że świeca przyszła. Najwyższy czas skończyć z wszechwładnym archisolisem.

- Wystarczą ponoć dwa wieczory - szepnęła Przeclawa. - Jeśli dwa wieczory będzie wdychał dym z tej świecy, przekreśli się jak od zarazy.

- Niech nam Antres dopomoże - odpowiedziała równie cicho Łada.

Następnego dnia udała się do pałacu archisolisa. Siedział za stołem, studiując jakieś dokumenty urzędowe.

- Dostojna pani von Kolbie przybyła - zapowiedział księżną jego sługa.

Wilfried wstał i lekko skinął głową, gdy Łada weszła do komnaty. Miała długą złotawą suknię z czarnym pasem. Denerwowało go, gdy nosiła barwy rodu męża, choć miała przecież do tego pełne prawo. Jeszcze bardziej irytowało go jej zachowanie pełne buty i wyniosłości.

- Chciałeś ze mną rozmawiać, archisolisie - odezwała się, nie czekając, aż on zacznie.

- Nie spodziewałem się, że przyjdiesz tak szybko. Dotąd nie przyjmowałaś moich zaproszeń - wypomniał jej.

- Jestem żoną twego suwerena, więc formalnie to ty powinienes przyjść do mnie - przypomniała.

Wilfried poczerwieniał, ale nim zdążył coś odpowiedzieć, Łada uśmiechnęła się delikatnie i znów odezwała:

- Puśćmy w niepamięć nasze nieporozumienia, czcigodny ojcze, proszę. - Jej łagodny ton zbił go z tropu. - Oboje chcemy służyć naszemu księciu i Hazenii w jak najlepszej wierze - zapewniała. - Myślę, że dla dobra sprawy powinniśmy nauczyć się żyć w zgodzie.

- Oczywiście nie wątpię w twą dobrą wolę, dostojna pani - postanowił zagrać z nią na jej warunkach - zważ tylko, że znam sprawy Hazenii lepiej. Od lat prowadzę kancelarię księcia.

- Niewątpliwie! - zapewniła szybko. - I nawet nie śmiałabym czynić czegokolwiek, nie spytawszy cię uprzednio o radę.

Zastanowiło go przez chwilę, czy była tak naiwna, czy tak przebiegła.

- Jeśli zatem przyszłaś tu, by wysłuchać mych rad, to myślę, że mogę ci pomóc, dostojna pani.

- Pozwoliłam sobie poprosić skarbnika mojego męża o przygotowanie zestawienia drobnych wydatków dworu, z których gotowi bylibyśmy wraz

z księciem zrezygnować, a oszczędzone monety przekazać na zbożny cel – mówiła, wyjmując spomiędzy fałdów sukni rulonik pergaminu. – Jestem pewna, że sam najlepiej wiesz, jaki cel będzie odpowiedni. Zechcesz na to spojrzeć?

Gestem ręki wskazał na swój pulpit. Zbliżyła się do niego i gdy już miała rozwinąć na nim przyniesiony dokument, niby to przypadkiem trąciła dłonią świecę zatkniętą przy pulpicie. Świeca upadła na kamienną podłogę, łamiąc się w połowie.

– Och, niedara ze mnie! – jęknęła Łada. – Proszę o wybaczenie, ojcze.

– To nic, pani, sładzy zaraz się tym...

– Nie, nie! To moja wina, pozwól, że moja służka naprawi ten bład. – Pstryknęła palcami na dziewczynę, która z nią przysłała i dotąd stała ze spuszczoneym wzrokiem pod ścianą. – Prześlawo, natychmiast! – poleciała.

Berleujście,

29 zniwnia roku 2090

Berleujście od kilku wieków stanowiło siedzibę hrabiów Lirwelii. Daleko mu było do stołecznej Jonki, ale król Henryk czuł się w mieście jak w domu i od powrotu z wojny tylko tu rezydował. Lubił ten gród również i królewicz Grzegorz, który nie wyzbył się swoich kawalerskich nawyków i nadal wieczorami odwiedzał podejrzone miejsca. Nauczył się już, że niemądrze jest włóczyć się nocą po mieście samopas. Zawsze towarzyszył mu wierny Gniewko.

Wyszli właśnie z jednego z dobrze sobie znanych lokali. Syn króla poprawił zapięcie koszuli i podciągnął pas. Gniewko sprawdził tylko, czy miecz wisi właściwie. Mimo że był z królewiczem spoufalony o wiele bardziej niż to wypadało i sam ochoczo korzystał z tego rodzaju okazji, to miał świadomość, że jest na służbie i odpowiada za życie swego pana. Przemierzyli miejskie zaułki, starając się niepostrzeżenie dostać z powrotem na zamek.

O poranku pokojowy wcześniej obudził Grzegorza.

- Czego?! - warknął rozbudzony królewicz. W głowie wciąż szumiało mu lekko od wypitego poprzedniego wieczoru wina.

- Wybacz, książę, ale najjaśniejszy pan wzywa cię do siebie - oznajmił tylko chłopak.

Chcąc nie chcąc Grzegorz wstał. Obmył twarz wodą i narzucił koszulę, po czym ruszył do królewskich apartamentów.

- Dobrego poranka, najjaśniejszy panie - powitał ojca.

- Widzę, że dla ciebie, synu, ten poranek nie jest szczególnie łaskawy - mruknął z przekąsem Henryk.

- Wybacz, ojcze, wczoraj do późna spędziłem czas nad księgami - odparł Grzegorz.

Król lustrował go krytycznym wzrokiem. Nieogolona twarz, zmierzwiłone włosy i zapach wina, jaki wciąż było od niego czuć, stanowiły wystarczający dowód.

- Oszczędź mi podobnych kłamstw - warknął Henryk. - Doniesiono mi, gdzie wczoraj byłeś.

- Ach, niech zgadnę: niezastąpiony Filomen czy może tym razem Syriusz? - zakpił.

- Nie drwij! - Twarz Henryka nagle poczerwieniała. - To nie są żarty! Jesteś synem króla! Następcą tronu! - ryczał wściekle. - Prowadzasz się po burdelach jak zwykły żołdak. Czy takim mają widzieć swego przyszłego króla poddani?

Grzegorz nic nie odpowiedział. W obliczu gniewu ojca wolał opuścić wzrok i przeczekać.

- Skończ z tym natychmiast! - krzyczał dalej monarcha. - Jeżeli jeszcze raz usłyszę, że Gniewko z Horlicy pomaga ci w tych eskapadach, wyrzucę go z zamku na cztery wiatry!

- Nie wiń jego, ojcze - odezwał się w końcu królewicz. - Gniewko tylko wykonywał mój rozkaz.

- I z pewnością krzywdował siebie, jak ciężka służba mu przypadła - burknął Henryk.

W komnacie zapadła na chwilę cisza. Grzegorz odetchnął głębiej, tak

że jego ojciec znów poczuł zapach przetrawionego alkoholu. Henryk pokręcił z politowaniem głową.

- Mówiłem poważnie: to się musi skończyć - stwierdził stanowczo. - Wiosną się ożenisz. Don Godros z Gentu potwierdził nareszcie warunki twego małżeństwa z jego córką. - Wiadomość nie ucieszyła Grzegorza. Biorąc pod uwagę nastrój ojca, postanowił nie komentować. - Doprowadź się do ładu i przyjdź później. Porozmawiamy o szczegółach.

Królewicz skinął głową i z ulgą opuścił komnatę władcy.

**Wolęcin,
stolica Wysp Kameńskich,
29 zniwnia roku 2090**

Ślub odbył się następnego dnia po przybyciu Żanny na dwór króla Ludwika. Znów musieli przepłynąć cieśninę, bo wielka świątynia ich głównego bóstwa, którego imienia póki co Żanna nawet nie zapamiętała, znajdowała się w Reclawiu. Tym razem dziewczyna nie wykazała zainteresowania tłumem, jaki gromadził się na nabrzeżu i uliczkach prowadzących do świątyni. Nie obchodziło jej, jakiej rasy byli. W ogóle niewiele do niej docierało. Nie słyszała prawie nic z tego, co się wokół niej mówiło podczas ceremonii. Zbyt była przerażona perspektywą tego, że gdy słońce zajdzie, będzie musiała oddać się temu wielkiemu, włochatemu mężczyźnie pachnącemu tak inaczej od ludzi, których znała na dworze ojca. Myśl o tym napawała ją wstrętem. „Słodka Virgis, daj mi siły...”, powtarzała w myślach krótką modlitwę.

Nie wiedziała prawie nic o tym, co ją czekało i to chyba przerażało ją najbardziej. Nie miała okazji dowiedzieć się czegokolwiek od matki, zanim ojciec ją odesłał z dworu. Owszem, Żanna słyszała, jak dwórki chichotały czasem po krużgankach lub ogrodach, opowiadając sobie o przygodach z tym lub owym rycerzykiem, ale przy niej zawsze milkły. Nie wypadało przecież mówić takich rzeczy przy księżniczce. Najwięcej wiedziała więc od Łady, która opowiedziała trochę o swojej miłości do

Wilhelma i o tym, co zdarzyło się w noc ognisk. Ale różnica była spora. Wilhelm był młody, ładny, z pewnością Łada tego chciała. A ten tu, król Ludwik, był wielki, stary i szpetny.

Podczas wesela co chwila spoglądała w okna wielkiej sali, odnotowując, jak słońce obniża się na niebie. Gdy w końcu dotknęło horyzontu, król wstał i przy głośnym aplauzie poddanych podał jej rękę. Drżała, gdy podnosiła się z krzesła. Miała ochotę się rozplakać, gdy wychodziła z nim odprowadzana śmiechami i sprośnymi dowcipami gości weselnych. W końcu znaleźli się w królewskiej alkwie. Stała na środku, skrzyżowała dłonie, przyciskając je do piersi i spuściła wzrok.

- Miodu! - huknął Ludwik na jednego ze służących, który natychmiast podał władcy pucharek.

Ludwik opróżnił go kilkoma łykami. Rzucił puste naczynie w sługę i beknął głośno.

- Na co czekasz? - Skinął na nią.

Zadrżała tylko. Zauważył, że podbródek jej się trzęsie.

- No pięknie, nie powiedzieli ci, jak to będzie? - mruknął. -No dobra, szkoda czasu na ckliwość. Bierzmy się do roboty, nim świt nas zastanie.

Ku jej przerażeniu chwycił nóż, podszedł i przeciął wiązania jej sukni. Pisnęła, gdy zdarł z niej spódnicę. Wczepił się w nią łapskami, chociaż jęczała i próbowała się wyrywać. Nie zważał na nic, gdy rzucił ją na łożo i nie przejmując się krzykiem bólu, jaki z siebie wydawała, odebrał jej niewinność.

Głęboką nocą, gdy Ludwik chrapał rozwalony w swoim królewskim łożu, ocknęła się z letargu, który przez kilka godzin nie pozwalał jej wykonać najmniejszego choćby ruchu. Wstała, choć w pierwszej chwili strach odbierał jej siłę. Tak bała się, by go nie rozbudzić. Król spał głęboko, upojony miodem i swoim tryumfem nad nią. Narzuciła na siebie jakąś lekką pelerynkę i wyszła na obszerny taras przylegający do alkowy. Podeszła do balustrady i spojrzała w dół. Dobrze sto stóp kamiennego muru dzieliło taras od kamienistego wybrzeża u dołu. Pomyślała, jak pięknie byłoby teraz wzbić się z balustrady i runąć w tę ciemną przepaść. Ale i na to zabrakło jej odwagi. Oparła się plecami o barierkę i powoli

osunęła na posadzkę. Pomyślała o siostrze, o kochanej Ładzie. Jakże zazdrościła jej tego, że zaznała prawdziwej miłości choć przez chwilę. Zatkęła sobie usta dłonią, uświadamiając sobie, że szłocha. Bała się obudzić Ludwika tak bardzo, że aż przygryzała kostki dłoni, byle tylko być pewną, że nie usłyszy jej płaczu.

Lensburg,

31 zniwnia roku 2090

Krzysztof siedział w fotelu swego ojca i słuchał doradców. Archisolis Wilfried i skarbnik Gulihelm żywo dyskutowali o finansach księstwa, o których młody książę zupełnie nie miał pojęcia. Wilfried zakasłał, łapiąc się za pierś. Nigdy dotąd, przez całe pięćdziesiąt sześć lat życia, nie chorował, a od wczoraj cały czas kręciło mu się w głowie, odczuwał duszność i dławił go męczący suchy kaszel. Obudził się tak poprzedniego poranka. W ciągu dnia już mu się poprawiło, ale wieczorem, gdy siadł do pisania bieżącej korespondencji przy pulpicie, znów zaczął charczeć i kasłać. Nocą prawie nie zmrużył oka, więc teraz był wykończony. Mimo to przyszedł na wezwanie księcia, zamierzając wyperswadować mu pomysły jego przeklętej, lirwelijskiej żony.

- Panie... wybacz... - Krztusił się bezustannie. - Nie wiem, czy, ekhm, ekhm, wskazanym jest budować aż pięć stanic przy gościńcu do... Czerniowców... - Wstał, chcąc nabrać więcej powietrza, ale poczuł, że kręci mu się w głowie, więc usiadł ponownie.

- Niezdrów dziś jesteś, ojcze? - spytał z troską w głosie młody książę.

- To nic, książę panie... - Archisolis machnął ręką. - Co to ja mówiłem... Po co aż pięć stanic? Przecież do Czerniowców z Lensborka jest tylko pięć dni...

- Właśnie na tym polega koncept. Kupcy będą mieli możliwość zatrzymać się na noc w stаницy pod ochroną książęcej załogi, to da poczucie bezpieczeństwa - przekonywał skarbnik.

- Ten pomysł mnie też się podoba - wtrącił książę. - Łada mówiła...

- To jej... pomysł - burknął Wilfried. - Trzeba wyjaśnić dostojnej pani, ekhm, ekhm, że na takie zbytki...

Nie mógł pojąć, jak w ciągu dwóch wieczorów ze zdrowego człowieka stał się schorowanym starcem, który nie może nawet wypowiedzieć jednego zdania, nie krztusząc się przy tym. Gdyby jeszcze był w podróży, zmókł czy się zaziębił, ale nie! On przecież tylko siedział przy swoim pulpicie i pilnie pracował. Siedział przy pulpicie, powtórzył sobie w myślach, przy świecy. Świecy, którą założyła służka tej przekłetej wiedźmy z Lirwelii! A więc to tak! Wstał gwałtownie i chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie rozkaszał się na dobre. Zanim znów zdążył nabrać powietrza, poczuł, jakby coś od środka rozrywało mu pierś. Odkaszlnął znowu i tym razem z jego ust buchnęła krew. Księżę i skarbnik gwałtownie poderwali się z miejsc, ale nie mogli mu już pomóc. Archisolis Wilfried był martwy, zanim osunął się na ziemię.

Wieczorem Łada przemierzyła korytarze zamku i weszła po cichu do komnaty męża. Klęczał przy oknie, patrząc w niebo i mamrotał modlitwy do Wielkiego Sola, dziękując mu za ten dzień oraz błagając o zmiłowanie dla duszy biednego Wilfrieda. Odchrząknęła. Odwrócił się i zobaczywszy ją, wstał.

- Słyszałam, co się dziś wydarzyło - zaczęła cicho. - Chciałam spytać, czy czegoś nie potrzebujesz?

- Chciałem zostać sam i pomodlić się za niego - szepnęła.

- Straszna śmierć. - Pokiwała głową. - Słudzy mi opowiedzieli. I w dodatku tak nagła. Odszedł akurat, gdy macie tyle pracy - ciągnęła.

- To prawda. Nawet nie wyobrażam sobie, że ktoś go zastąpi - jęknęła. - Jak udźwignąć wszystkie sprawy, które prowadził?

- Na pewno kogoś znajdziemy. Sama widziałam tu kilku zdolnych młodych ludzi. Wierzę, że wybierzesz kogoś godnego - uśmiechnęła się lekko. - Nie musimy myśleć o tym dzisiaj.

Podeszła do niego i dotknęła dłonią jego policzka. Przymknął na moment oczy. Łada wiedziała już, że tego wieczora będzie należał do niej, że zapewne nawet nie będzie musiała z nim zlec. Wystarczy kilka

gestów i słów. On też poczuł, że potrzebuje jej w tej chwili. Czuł, że gdy tylko go dotyka, staje się jego panią. Może naprawdę była czarownicą, jak ostrzegał go Wilfried? Nienawidził tego uczucia jako księżę, ale jednocześnie fascynowało go i podniecało jako mężczyznę. Chciał ją dotknąć, ale ona znów się odezwała:

- Pomódlmy się razem - zaproponowała, gdy już podnosił rękę, by dotknąć jej pełnej piersi. - Za duszę biednego Wilfrieda. Był nam taki drogi, tyle dla nas zrobił - mówiła, spuszczać wzrok. - Czuję, że jesteśmy to winni bogom.

Upadła na kolana, a on ukląkł obok niej i modlił się dalej żarliwie za duszę swojego ulubionego doradcy. Łada także się modliła. Wznosiła w myślach hymny do Antresa, dziękując, że bóg zemsty dał jej odwagę, że tak szybko i sprawnie pozwolił się zemścić i że zemsta osiągnęła cel. Pokonała pierwszego wroga i czuła, że daje jej to siłę, by ukarać pozostałych.

Blakownik w Królestwie Zażnicji, 20 pającznika roku 2090

Ledo zdążył poznać miasto i port na wylot. Nie były oczywiście tak rozległe, jak Jonka, którą raz kiedyś odwiedził jako dzieciak. Ustępowały też ponoć Trantowi, choć sam nie mógł tego stwierdzić, bo w tym ostatnim mieście nigdy nie zawitał. Przywiązał swojego konia i chciał wejść do karczmy. Znów udało mu się zarobić kilka monet, ochraniając jakąś karawanę kupców idących od Chyllonii. Ucieszyło go to podwójnie, bo oprócz złota dostał też od nich garść informacji z rodzinnych stron. Choć czy było się z czego cieszyć? Wieści te nie były pomyślne. Nie miał czasu, by roztkliwiać się nad sobą, a zarobionych monet szkoda mu było wydać na gorzałkę. Przynajmniej tym razem podróż okazała się krótsza i obyło się bez nieprzyjemnych incydentów. Mógł więc spokojnie złożyć ofiarę ku czci Taora. Ten znak pozwolił mu na powrót uwierzyć, że bogowie całkiem o nim nie zapomnieli i może nie tylko pani Askea choć

odrobinę mu sprzyjała. Mimo to jakoś nie umiał przekonać się do tej pracy. Zwłaszcza, że Julius wciąż patrzył na niego podejrzliwie, chyba domyślając się prawdy.

W karczmie było pełno, więc Ledo postanowił pójść gdzie indziej. Prowadził konia wąskimi uliczkami miasta. W końcu trafił z powrotem do portu i tu napotkał prawdziwy tłum.

- Co to za święto? - spytał w ich języku, w którym wciąż mówił słabo, z rozpoznawalnym obcym akcentem.

- Król Czcibor za tydzień wyrusza z wojskiem na Sylwanię - odparł zaczepiony mieszczanin. - Dziś przybył ze stolicy i wszyscy wylegli go powitać.

- A nie szuka ten król Czcibor mieczy do pomocy w swojej wyprawie? - spytał z zainteresowaniem Ledo, choć perspektywa kolejnej morskiej przeprawy napawała go przerażeniem.

- Mnie pytasz? - Mieszczanin się roześmiał. - A co to ja, królewski hetman? Ech, rycerzyku...

Mężczyzna przyjaźnie poklepał go po ramieniu, po czym śmiejąc się, ruszył w swoją stronę. Ledo podszedł jeszcze kawałek, aby z bliska zobaczyć całe widowisko powitania króla i być może zasięgnąć języka u ludzi bardziej zorientowanych. Tłum nagle zawył z podniecenia, bo na końcu nabrzeża pojawił się już monarcha ze świtą. Chłopak dostrzegł go z daleka. Młody, ale już brodaty, był mężczyzną potężnej postury. Pozdrowiał wiwatującą gawiedź i od czasu do czasu rzucał garść monet. Czasem też schylał się do dzieci i coś do nich mówił. Klepał przyjaźnie po ramieniu rybaków, a ich żony i córki posyłały mu przeciągłe spojrzenia. Choć Ledo nie przepadał za królami, musiał przyznać, że Czcibor zachowywał się przyzwoicie, tak jakby obca była mu monarsza pycha.

Władca posuwał się powoli naprzód pośród rosnącego aplauzu tłumu. Wszyscy obecni zwracali uwagę wyłącznie na króla, który wprost oczarował swoich poddanych. Ledo obserwował również ludzi i ich zachowanie, co pozwoliło mu dostrzec pewien niepokojący szczegół. Oto gdy Czcibor zbliżał się już do miejsca, gdzie Ledo stał z tyłu, za kilkoma rzędami gapiów, w odległości kilku kroków przed nim jakiś rosły brodacz

wyjął zza poły kaftana lśniący przedmiot i, roztrącając stojących obok, ruszył przed siebie. Chłopak domyślił się, że to sztylet i, nie czekając na rozwój wydarzeń, wyciągnął swój długi miecz. Przewracając kilka osób, ruszył za napastnikiem. Potworny krzyk i wrzawa rozległy się wokół. Zaskoczony król odwrócił się w ich stronę i dostrzegł najpierw brodacza biegnącego ku niemu z nagim sztyletem w ręku.

- Giń, zdrajco! - wrzasnął nożownik.

Nie zdążył jednak zadać ciosu zaskoczonemu Czciborowi, bo gdy już wznosił rękę nad osobą króla, jak spod ziemi wyrósł przed nim młody człowiek z mieczem w ręku, który najpierw jednym cięciem odrąbał napastnikowi rękę, a zaraz potem zanurzył ostrze w jego piersi.

Zanim Czcibor cokolwiek zdołał powiedzieć i zanim młodzieniec z mieczem odwrócił się ku niemu, dopadli ich i rozdzielili gwardziści króla. Chłopak szarpał się i coś krzyczał w jakimś nieznanym władcy języku. Czcibor co prawda podniósł rękę, chcąc nakazać strażnikom, by pozwolili młodzieńcowi się wytłumaczyć, ale nie zdołał zapanować nad sytuacją. Któryś z gwardzistów uderzył chłopaka głownią miecza w kark i pozbawił go przytomności.

Otrzymawszy cios w tył głowy, Ledo upadł na ziemię bez przytomności. Ocknął się, nie mając pojęcia, ile czasu minęło. W obolałej głowie przewijały się z początku niewyraźne obrazy. Widział swego ojca z wbitym w środek piersi sztyletem. Chciał go zawołać, ale ten tylko wskazał mu palcem w jakimś kierunku. Ledo spojrzał tam, gdzie pokazywał mu duch ojca i zobaczył Ładę. Stała pośród łąki. Tym razem nie plotła wianka z kwiatów. Włosy miała upięte do góry. Nie śpiewała po lirwelijsku, a tylko powtarzała słowa rotę małżeńskiej, jaką składa się przed solisami. Potem spojrzała na niego i powtórzyła to, co raz już od niej usłyszał:

- Królowie są ustanowieni, aby chronić swój lud. Jeśli król nie rozumie potrzeb swego ludu, to jakimż jest władcą? Chcesz zostać rycerzem?

W końcu całkiem doszedł do siebie. Z tyłu głowy wciąż czuł tępy

pulsujący ból. Leżał na kamiennej posadzce jakiegoś ciemnego pomieszczenia. Ręce skuto mu kajdanami. Miał na sobie tylko lnianą koszulę, spodnie i podniszczone buty. Reszta jego rzeczy gdzieś zniknęła. „No i pięknie, pomyślał, tak się kończy ratowanie królów”.

- Hej, jest tu kto?! - wrzasnął. - Heeeej!

Darł się, aż w końcu usłyszał kroki na kamiennej posadzce i szcęk klucza w zamku. Po chwili zrobiło się jaśniej, bo wchodzący rycerz trzymał w ręku płonąca żagiew. Był rosy, jego ogorzałą twarz przecinały blizny.

- Coś ty za jeden? - spytał chłodno.

- Nazywam się Ledo - odparł cicho młodzieniec. - Ledo z...
Wilhelmshafen.

- Wstawaj - polecił mu strażnik.

Gdy chłopak stanął na nogi, rycerz walnął go w twarz pięścią, tak że ponownie osunął się na ziemię.

- Choć ja radziłem, by urznąć ci łeb od razu, król życzy sobie z tobą najpierw mówić - oznajmił. - Radziłbym ci nie kłamać przed nim.

Ledo podniósł się i ruszył długim korytarzem za zbrojnym. Za nim kroczyli dwaj kolejni. Wyszli po długich schodach kondygnację wyżej, na jakiś korytarz, na którego końcu majaczyło dzienne światło. Pokonali dziedzińczyk i kolejną sienią dotarli do sporej sali, na środku której na potężnym, pięknie ciosanym drewnianym krześle siedział król Czcibor.

- Mówisz po naszymu? - spytał najpierw władca, gdy młodzieńca obalono przed jego obliczem na kolana.

- Trochę, mój królu - odpowiedział Ledo.

- Chciałeś mnie zabić? - spytał Czcibor. - Brałeś udział w spisku?

- Nie, mój królu - zaprzeczył szybko. - Nie jestem stąd, nie wiem nic o spisku na twoje życie, miłościwy panie. Stałem z ciekawości, bo usłyszałem, że ruszasz na wojnę, a ja i mój miecz szukamy zajęcia - relacjonował. - Zauważyłem, jak tamten człowiek wyciąga nóż i zanim pomyślałem, ruszyłem, by go zatrzymać. Wybacz, jeśli w czymś ci uchybiłem, panie.

- Widzicie?! - Król się roześmiał. - Mówiłem, Dalgorze - zwrócił się

do mężczyzny, z którym Wilhelm rozmawiał wcześniej w celi – że aż dwóch zabójców by na mnie nie nasłali! Zresztą chyba obaj chcieliby ubić mnie, a nie siebie nawzajem! – Klasnął w ręce wyraźnie ubawiony. – A to historia! No dobra, jak cię zwa, młodzieńcze? – powiedział znów do klęczącego więźnia.

– Ledo z – zaczął bez namysłu. – Wybacz, królu, ciebie nie godzi się okłamywać. Jestem Wilhelm von Kolbie, syn Jerzego, księcia Obojga Hazenii, jednakże straciłem swoje imię i nie jestem godny swego rodu – dodał szybko i spuścił wzrok.

– Von Kolbie? Hazenia? – Czcibor usiłował odszukać sobie w głowie informacje. Po chwili jeden ze stojących za jego tronem doradców szepnął mu coś na ucho. – Ach! Hazenia to lenno królów Jonki, czyż nie mam racji?

– Masz absolutną rację, królu – przyznał Wilhelm.

– A czemuż to zatem syn wasala króla Jonki włóczy się po dalekich krajach w stroju, no cóż... – Czcibor przyjrzał mu się dokładnie. – Na barona to ty nie wyglądasz.

– Sprowadziłem hańbę na mój ród, gdy naruszyłem honor króla – oświadczył Wilhelm szczerze i musiał przyznać, że to wyznanie, które uczynił pierwszy raz od ucieczki z domu, przyniosło mu ulgę.

– I wygnali cię?

– Sam odszedłem. Król nie chciał mnie zabić, niech mu Regul wynagrodzi, ale moi stryjowie uważali, że tylko krwią zmyją plamę na honorze rodu.

– Czy gdybym oddał cię twoim stryjom, daliby mi złoto? – dopytywał Czcibor.

– Wydaje mi się, najjaśniejszy panie, że uznali mnie już za umarłego – powiedział. – Ja sam siebie uważam za zmarłego.

– To musi być jakaś bardzo zajmująca opowieść! – zainteresował się Czcibor.

Wstał z tronu i podszedł do okna. Jakiś doradca znów coś szepnął mu na ucho. Po chwili drugi podał mu jakiś przedmiot. Wilhelm zmrużył zmęczone oczy i dojrzał, że Czcibor trzymał w rękach jego broszę

z lampartem.

- Nie wiem, czym naraziłeś na szwank dobre imię rodu i czym obraziłeś honor swego króla - powiedział poważnie Czcibor, po czym wskazał na siebie - ale tego króla tutaj dziś uratowałeś od niechybnej śmierci, a to czyn godny każdego rycerza. Na moim dworze nie musisz ukrywać swego nazwiska. - Wręczył mu broszę, a w oczach młodzieńca błysła łza wdzięczności. Wilhelm uczepił się szaty władcy i ucałował jego dłoń. - Wystarczy, nie jestem bogiem piorunów! - Król znów się roześmiał. - A teraz powiedz mi: szukasz zajęcia dla swego miecza, prawda?

- Prawda, mój królu.

- Zatem pytam cię, Wilhelmie von Kolbie: czy pójdziesz ze mną na Sylwanię?

- Pójdę za tobą choćby i do samych piekieł! - zapewnił gorliwie Wilhelm.

Następnego dnia Wilhelm von Kolbie ubrany w barwy gwardii króla Czcibora, z broszą w kształcie lamparta przypiętą na piersi, udał się do miasta i za srebrną monetę kupił od lokalnych kupców mewę. Znów poszedł na nadmorski klif, gdzie sprawnym ruchem ukręcił ptakowi głowę i śpiewając hymn na cześć bogini mórza, spalił truchło, prosząc Askeę o jeszcze jedną szczęśliwą podróż morską.

PODZIĘKOWANIA:

Jackowi za Wyspy Kameńskie,

Piotrowi za Zażnicję,

Pawłowi za Jomsborgię,

Bożenie, Sylwii, Magdzie, Ani i Kubie, i całej rzeszy innych osób, które wspierały mnie w procesie powstawania tej opowieści,

a przede wszystkim moim Rodzicom, którzy jako pierwsi nauczyli mnie, że warto jest mieć pod powiekami własny świat.

Pieśni dawnej Jonki

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-934-2

© Michał Kamiński i Wydawnictwo Novae Res 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Łukasz Zdancewicz

KOREKTA: Paulina Szymkowiak

OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska

MAPA: Anna Gręda

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

